

**TANITH LEE**

**Serce Bestii**

## CZEŚĆ PIERWSZA

1.

Przez spuszczone rolety do pokoju przesączało się żółte światło przypominające barwą miąższ brzoskwini. W tym żółtym kręgu ciała kobiety i mężczyzny oplatały się nawzajem jak dwie nagie statuetki z bursztynu.

Było samo południe. Na zewnątrz, ponad znajomą uliczną wrzawą, dochodzący z minaretu bezcielesny głos wzywał wiernych na modlitwę.

Czarne włosy Marjannah zwisały z krawędzi łóżka w trzech rozrzuconych pasmach. Ręce, odrzucone do tyłu, zaciskały się na brązowych poduszkach. Usta koloru morwy rozchyliły się w cichym okrzyku. Szczupłe nogi oplatały plecy mężczyzny. Cienkie, złote bransolety na kostkach pobrzękiwały.

Daniel Vehmund dosiadł jej ciała, wykonując odwieczne pchnięcia miłosnego aktu. Miał wąskie, twarde biodra, podobnie jak plecy gładkie niczym kość słoniowa. Wokół jego kołyszącej się głowy falowały włosy - złociste jak światło w pokoju.

Marjannah ponownie krzyknęła i jej ciało wygięło się w łuk. Poruszone tajemniczym prądem zmysłowości czy też podmuchem wiatru zadźwięczały małe dzwoneczki zawieszona na cienkim łańcuszku. Żółty ptak zakwilił w klatce.

- Zabij mnie - powiedziała Marjannah.

Uniosła ręce z poduszek, zaciskając je kurczowo na plecach mężczyzny. Krzyknęła dwa razy dziko, załkała, a jej głos wzbił się ponad inne dźwięki i zapadł w ciszę. Ciężko dysząc, Daniel zawisł nad nią, po czym opadł bezwładnie na jej nieruchome ciało.

- Śmierć - powiedziała Marjannah. - Mój kochany.

Leżeli w milczeniu przez kilkanaście sekund, wreszcie Daniel uwolnił się z jej objęć i przewrócił na plecy. Marjannah westchnęła.

- W takich chwilach jesteś naprawdę mój - powiedziała. Daniel uśmiechnął się. Pomyślał, że w takich chwilach nie należy do nikogo, nawet do siebie samego. Władął nim wtedy niepodzielnie demon rozkoszy, jakaś ślepa, spazmatyczna siła.

Marjannah pogłaskała jego włosy, policzki. Ptak w klatce zaczął ćwierkać, trzepocząc skrzydłami.

- Każę dziewczynie przynieść kawę i słodycze.

- Nie dzisiaj, Mariannah.

- Możesz być na tyle okrutny, żeby odchodzić ode mnie tak prędko?

- Mam ważne spotkanie.

- Kłamiesz. Po prostu nie chcesz ze mną zostać. Nie myliła się.

- Byłbym w siódmym niebie, gdybym mógł zostać z tobą, ale Bóg narzuca nam jakieś obowiązki.

- Nie masz żadnych obowiązków.

- A jednak. Pewien człowiek ma mi przekazać list od matki.

- Nie wierzę w twoją matkę.

- A jednak ją mam.

Marjannah wstała z łóżka i przeciągnęła się, prężąc swe piękne ciało. Czarne włosy posypały się kaskadą, bransolety na kostkach zadźwięczały.

Z nabożnym, cichym podziwem Daniel przypatrywał się przez chwilę jej wdziękowi, o których dzisiaj nie miał już myśleć.

Kobieta włożyła tymczasem haftowaną suknię i podniosła rolety.

Do wnętrza wdarło się jaskrawe światło, ukazując podniszczony pokój: wystrzępione nitki, mysią dziurę. Żółty ptak przybrał barwę bieli. Z dumą stapał po żerdce.

Daniel podniósł się. Wkładając bieliznę, koszulę i spodnie, rzucił okiem na zewnątrz, na ciasno stłoczone dachy, które piętrzyły się nad placem targowym. W dali, po przeciwnej stronie bazaru, wznosiły się wysokie, smukłe wieże o mozaikowych kopułach w kształcie łez.

Właściwie nie czuł się szczęśliwy, jednak myśl o prawdopodobnym nadejściu listu ekscytowała go. Wiedział, że treść przygnębi go jak mocne wino. Przepelni go żądza gniewu i nienawiść. Potrafi jednak trzymać się na wodzy. Już kiedyś wpadł w furję i dlatego trafił do tego dziwnego, egzotycznego kraju, pełnego jaskrawych barw i nieznanymi dźwięków, pachnącego przyprawami i występkiem, tutejszych pięknych kobiet i ekstaz religijnych, które wobec zimnych kościołów, jakie spotykał we wczesnej młodości, były dla niego jak gwałtowny wybuch pożaru.

- Czy zobaczę jeszcze mojego władcę po zachodzie słońca? - zapytała Marjannah tonem, który uznał za fałszywą pokorę. Bez wątpienia przestanie o nim myśleć, kiedy tylko zniknie jej z oczu.

- Nie, kochanie. Nie dzisiaj.

- Szkoda - uśmiechnęła się jednak.

Być może zamiast jemu, będzie umilać czas jakiemuś Turkowi, który ją adorował. Niewiele go to obchodziło. Marjannah była wcieleniem tego egzotycznego otoczenia i jego obyczajów.

Z glinianego naczynia wziął owoc, po czym wyszedł z pokoju.

- Do widzenia - powiedziała.

W korytarzu zobaczył „dziewczyne” - starą służącą - przygotowującą w niszy gęstą, słodką kawę. Zamruczała coś pod nosem, ale nie odezwała się słowem.

Na zewnętrznych schodach, gdzie prostytutki przyprowadzały niekiedy nocą swych klientów, leżały połamane kwiaty, uderzało słoneczne światło i ostry zapach moczu. Minął pustą izdebkę tragarza zwanego Czarnym Olbrzymem.

Wielki żar wisiał już w powietrzu.

Przeszedł uliczką spowitą brązowymi cieniami, nad którą drzewa figowe zwieszały swoje woskowane owoce. Harmonijka wąskich stopni zbiegała w dół między ścianami, które się niemal stykały. Nad schodami zwisała z balkonu waza z czerwonymi różami. W górze powiewało suszące się pranie, za nim pozbawione kropli wilgoci niebo zdawało się bledsze niż indygo.

Daniel Vehmund znalazł się na suku<sup>1</sup>, pod jego czerwonymi i żółtymi baldachimami. Tego dnia targowisko zdawało się pełne wielbłądów. Cuchnące i dumne, przystrojone jak oblubienice, zwierzęta chodziły dostojnie pomiędzy straganami na środku otwartego placu. Człowiek z listem nie przybył z karawaną z gór, lecz od strony portu. Daniel miał się z nim spotkać tam, gdzie zawsze przysyłał ich agent - we Francuskim Zajeździe, w najbardziej na południe wysuniętej części suku.

Zbity tłum jak zwykle przesuwiał się leniwie. Daniel torował sobie drogę między ludźmi. Nie było tu ani jednej kobiety z wyjątkiem tych należących do najniższej klasy, pogardzanych służących i niewolnic. Kilka razy przez tłum przemykała lektyka z zasłoniętym, ozdobionym paciorkami wejściem, rozsiewająca zapach jaśminu i piżma.

Jakiś człowiek podrzucił w powietrze pięć kindżałów, które zamigotały, po czym znowu znalazły się w jego rękach trzymane za gardy. Tuż przy straganach lalkarzy urzędował ten sam co zwykle zaklinacz węży. Gad wyglądał groźnie, gdy podążając za ruchem fletu, kołysał się ponad dzbanem. Następnym widowiskiem był teatr marionetek. Daniel zatrzymał się, by popatrzeć na walkę wojownika w turbanie z dżinem. Wojownik zamierzył się zakrzywionym mieczem i dżin upadł przy szczęku miedzianych krążków. W baśniach walka dobra ze złem kończyła się zawsze oczywistym rozwiązaniem. Tłum wiwatował i klaskał w dłonie.

---

<sup>1</sup> Suk - bazar, rynek, główna dzielnica handlowa w mieście arabskim (przyp. red.).

Za rzędami straganów ściana zajazdu stawała się coraz bardziej widoczna; zdobiący go symbol w kształcie statku był zbyt europejski i raził ponad gwiazdami, ostrzami noży i magicznymi przedmiotami, którymi kipiało targowisko.

Daniel przecisnął się przez grupę targujących się mężczyzn, po czym minął skupionych na ziemi graczy. Zdążył już przyzwyczać się do wydawanych czasem przez przechodniów okrzyków pod swoim adresem i wytykania palcami. Jasna, nordycka cera była tu znana, komentarze wywoływały jednak jego blond włosy, a oczy bywały już nieraz przyczyną kłopotów. Wyglądało na to, że Oka Szatana obawiali się zarówno prostaczkowie, jak i mędracy, i każda niezwykła rzecz z nim związana mogła być tego dowodem. Oczy Daniela miały dziwną barwę; były żółtobrązowe jak wypolerowany mosiądz. Orzechowe, jak mawiała o nich jego matka.

Jakiś wysoki mężczyzna w długiej, ciemnej szacie stał na niewielkiej, wolnej przestrzeni, wpatrując się uważnie w Daniela.

Miał przed sobą stół, a na nim trzy gliniane kubki. Kilku gapiów przystało w pobliżu, by popatrzeć na tę starą sztuczkę, żaden jednak nie miał ochoty obstawić, gdzie pojawi się przedmiot schowany pod jednym z kubków.

Mężczyzna miał długą, kościstą twarz, ospowatą i ziemistą. Głowę owiazał spłowiałym białym płótnem. Władczym ruchem skinął na Daniela.

Vehmund już miał odejść, gdy jakiś człowiek z tłumu, prawdopodobnie współnik tamtego, chwycił go za ramię, zachęcając, żeby podszedł bliżej.

- Chodź, chodź.

Daniel strząsnął z ramienia jego dłoń.

- Nie.

Dziobaty mężczyzna zademonstrował coś, co zabłysło w słońcu jak widziane wcześniej ostrza noży. Najpewniej jakiś szklany klejnot. Wsunął przedmiot pod środkowy kubek, po czym rytmicznie zaczął przesuwac naczynia po stole, kreśląc nimi koła, znajdując im nowe miejsca.

W chwili, gdy przestał poruszać kubkami, gapie wybuchnęli śmiechem. Żaden nie odważyłby się zgadnąć, gdzie znajduje się teraz ukryty przedmiot, wiedząc, iż nie ma go tam, gdzie wydawałoby się, że jest, ponieważ w sztuczce tej, sięgającej czasów starożytnej Grecji, widz zawsze przegrywał.

Daniel wzruszył ramionami i poszedł dalej przez targowisko. Człowiek, który go zaczepił, nie zatrzymał go już po raz drugi.

Przed Francuskim Zajazdem tłoczyły się głodne psy i nie rozbiegły się nawet na widok Daniela. Ktoś odegnał je kopniakami. Z zajazdu wytoczył się pijak i powitał Vehmunda jak dawno nie widzianego przyjaciela. Daniel wyminął go i wszedł w wonną ciemność tawerny.

Natychmiast ogarnął go dziwny strach. Znał to uczucie i nie przywiązywał do niego wagi. Podszedł do kontuaru i zwrócił się do jednookiego mężczyzny.

- Jest tu jakiś marynarz z „Algeracu”?

- Tam, proszę pana. Ten brodaty w rogu.

Potrącony twardymi ramionami Daniel ruszył przez ciemne pomieszczenie rozbrzmiewające rozmowami prowadzonymi w trzech czy czterech językach. Dotarł do stolika i usiadł naprzeciwko brodatego marynarza.

- Ma pan dla mnie list?

- Musi pan podać swoje nazwisko - odparł zagadnięty.

- Vehmund.

- Mam list dla człowieka nazwiskiem Vehmund.

Brudne palce zagłębił w brudną kurtę i wyciągnął zapieczętowany papier. Tak więc znak życia od matki Daniela nadszedł wreszcie. Bóg wie, w jak parszywych miejscach spoczywał po drodze i jakie wstrętne łapska go dotykały. Cud, że list w końcu dotarł do adresata.

Daniel wyciągnął rękę.

- Musi mi pan zapłacić.

- Najpierw list.

Marynarz zamruczał, podał mu list, po czym przyjął garść sou.

- Nie jest pan zbyt hojny, panie Vehmund.

- Dostałeś tyle, ile było umówione.

Ile to już razy miał miejsce podobny dialog?

Marynarz wysączył swoje cierpkie wino i odwrócił się, by spojrzeć na stojące na galerii kobiety. Jedna z nich, młoda Arabka w chuście z frędzlami i o podczernionych oczach, przyciągnęła jego uwagę. Wstał i odszedł ponury.

Daniel złamał pieczęć listu. Trzęsły mu się ręce i w gruncie rzeczy wcale nie miał ochoty czytać o rozpoczęciu nowego życia... o powrocie. Jednak drobne i staranne litery znalazły się już przed jego oczami. „Najdroższy”... Od czasu do czasu charakter pisma zmieniał się na jakiś dziewczęcy i obcy, jak gdyby matka czuła się zbyt zmęczona i prosiła kogoś, by pisał list zamiast niej - kogóż jednak można tam było o to poprosić?

Daniela zalała taka fala smutku, że siedział jak odrętwiały. Matka pisała tak zwyczajnie, jak gdyby wszystko było w najzupełniejszym porządku. Wiadomości o farmie, którą zarządzał jego brat, o porach roku, urodzonych zimą jagniętach, wiosennej burzy. Jak gdyby była pewna, że tęsknił za wszystkim tym, o czym właściwie nie miał wielkiego pojęcia. Kiedy pierwszy raz wrócił do niej, był obcym człowiekiem i takim też jej się wydał. Pamiętał chwilę, kiedy zobaczył ją w drzwiach domu, siwą i bladą w jasnej sukni. Madonna pogorzeliśka.

Po wiadomościach o farmie matka przeszła do mieszaniny prawdy i kłamstw o sobie samej. „Miewam się ostatnio całkiem dobrze i razem z Janet nieustannie coś pieczemy. Chodzimy obsypane mąką od stóp do głów. Wszystkie koty mają młode, grasują po całym domu i są jeszcze gorsze od myszy. Pozwalam im nawet sypiać w swoim łóżku, jeżeli mają na to ochotę”. Sama ta informacja wystarczyła, by upewnić go o ogromnej zmianie, jaką zdołał osiągnąć, zrywając więzy z domem. Na myśl o tym serce zaczęło mu walić gwałtownie, zapierając niemal dech. Odrzucił wspomnienia i czytał dalej o codziennym życiu na farmie, aż dotarł do najważniejszych, lecz jakby mimochodem napisanych słów. „Tak bardzo za tobą tęsknię, z każdym dniem coraz bardziej. Cieszę się jednak, mogąc tęsknić za tobą, kiedy wiem, że dobrze ci się powodzi. Odpisz zaraz i opowiedz mi o wszystkim. Czy nadal masz wystarczająco dużo pieniędzy i czy twój pracodawca płaci ci lepiej? Czy jesteś zdrowy?” Potem zaś: „Obawiam się, że musisz pozostać za granicą jeszcze kilka miesięcy, by zapewnić sobie powodzenie”.

Ile kosztowało ją, by napisać takie słowa? By określać tamten fakt takimi ogólnikami?

„Kilka miesięcy”... Uplłynął rok od chwili, gdy ją opuścił. Obydwoje wiedzieli, że nie powinien pokazywać się co najmniej przez taki okres. Jego brat był bydlakiem, lecz niezupełnym głupcem. Zdawało się jednak, że matce nie grozi nic z jego strony. Obiecała Danielowi, że powiadomi go, jeżeli będzie inaczej. Czy zamierza dotrzymać obietnicy? Ileż to lat upłynęło - jego dzieciństwo, czasy w miejskiej szkole - podczas których matka ukrywała wszystko, on zaś udawał, że nic nie dostrzega.

Siedząc w dusznym, mrocznym zajeździe, odczytał jeszcze słowa pożegnania, i list się skończył.

Przy stoliku pojawił się chłopiec, wyczuwając odpowiedni moment.

- Urak.

Chłopiec odszedł, po czym powrócił kilka minut później, niosąc zwodniczo mały dzbanek alkoholu oraz na pozór niewielką szklaneczkę.

Daniel wypił trunek i otoczyła go straszliwa ciemność, głębsza, intensywniejsza niż mrok zalegający wewnątrz zajazdu. W rogu, który przed chwilą opuścił marynarz, zdążając na podbój

młodej Arabki, nie siedziała już jasno opalona, słoneczna istota o złocistych oczach i włosach, lecz stworzenie czarne jak noc.

Zajazd jakby usunął się, pozostawiając go we własnym, jeszcze głębszym mroku.

Dopiwszy trunek, zgodnie z tutejszym obyczajem Daniel postawił dzbanek dnem do góry, po czym wstał i wyszedł z tawerny. Trzymał się zupełnie prosto. Upojenie urakiem podziało go jedynie na stan jego ducha, docierając do ogniska nieznośnego bólu, rany, którą sam jątrzył, by móc walczyć z tym cierpieniem.

Tłoczne targowisko ze swymi zapachami i gwarem teraz opustoszało.

Mężczyzna w spłowiałym turbanie pozostawał za stołem. Otaczający go tłum rozproszył się, on jednak nadal przesuwiał naczynia. Daniel przystanął, obserwując go. W miejscu trzymała go jakaś dziwna fascynacja. Kubki poruszały się hipnotycznie niczym wąż w takt muzyki zaklinacza. Gdzie znajdował się szklany klejnot?

Kubki stały bez ruchu. Dziobaty mężczyzna podniósł wzrok i spojrzał czarnymi oczami na Daniela. Vehmund potrząsnął głową. Mężczyzna odwrócił wszystkie kubki jeden po drugim. Pod żadnym nic nie leżało.

Rozciągający się dokoła suk zdawał się odległy, oddalony o milę. Ten człowiek jednak był blisko, a stół pozostawał pusty.

Nagle mężczyzna otworzył usta i wysunął język, szary i wstrętny jak jezioro jaszczurki. Na nim, niczym kropla rosy na płatku chorego kwiatu, spoczywał szklany klejnot. Zabłysnął przez moment jak błyskawica. Był zimny i czysty, bardziej prawdziwy niż wszystko dookoła, suk, niebo, ziemia czy powietrze.

- Boże, to brylant - odezwał się Daniel. Jaszczurczy język cofnął się gwałtownie i klejnot zniknął. Mężczyzna trwał w tajemniczym oczekiwaniu.

- Czego chcesz? - zapytał Daniel.

Mężczyzna, z klejnotem uwięzionym w ustach, gwałtownie potrząsnął głową, po czym podniósł rękę i władczy gestem przywołał Daniela, jak gdyby znał swego jedynego widza i był jego przewodnikiem.

Daniel sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta, wyciągnął monetę wartą znacznie więcej niż kwota, którą zapłacił za list, i cisnął pieniądz na puste kubki.

- Zmyślna sztuczka.

Odszedł pośpiesznie, przechodząc przez nierealny suk. Obraz diamentu nie opuszczał go. Odcisnął się jak skrawek mroku na jasności dnia, jak biały płomień tkwiący pod powiekami.

Popołudnie spędził w gaju pomarańczowym na dziedzińcu domu Surim Beya. Siedział za biurkiem pod markizą, przepisując w kwiecistej angielszczyźnie i bardziej wyszukany francuskim listy swojego pracodawcy do różnych zagranicznych kupców działających w kraju. Daniel był sekretarzem Surim Beya, który wypłacał mu tygodniówki, pozwalające Vehmundowi na przetrwanie. Rzadko zdarzało się, by spotykał osobiście tego otyłego mężczyznę w sile wieku, o skórze koloru kawy i jasnogranatowych oczach.

Jednak tego popołudnia Surim Bey zszedł ze znajdującego się na dachu pawilonu na dziedziniec, by popływać. Jak zwykle w domu miał na sobie długą białą szatę, czerwoną czapkę i gęsto haftowane mauretańskie trzewiki. Jego chód był równie łagodny jak głos.

- Mój młody sekretarz przy pracy. Zamienia moje niezdarne słowa w piękne zwroty.

- Tak - powiedział krótko Daniel. Od samego początku nie przystał na zwracanie się do pracodawcy zaszczytnym „panie”.

- Proszę sobie nie przerywać - powiedział Surim Bey, po czym przeciął rzucany przez markizę cień i usiadł na otomanie. Natychmiast pokornie zbliżył się niewolnik, podając słodczyce i sorbet.

Daniel nie przestawał pisać.

Surim Bey obserwował go na pozór ospałym, błyszczącym wzrokiem. Daniel intrygował go i chociaż ten niewierny był trochę za stary, jak na seksualne upodobania Surim Beya, to

jednak pobudzał inwencję. To blask młodości sekretarza przyciągał tak uwagę pracodawcy. Niekiedy popołudniami Surim Bey pozwalał sobie eksperymentować na Danielu. Czasami próby te były tak nieznaczne, że uchodziły uwagi. Pewnego razu jednak przez dziedziniec, pomiędzy donicami z drzewkami pomarańczowymi, które odbijały się w sadzawce, przeszła naga dziewczyna z woalem na twarzy. Innym razem z okna na pierwszym piętrze zeskoczył na wpół oswojony gepard. Na obydwie te widowiska Daniel ledwie rzucił okiem. Znał zakres władzy swego pracodawcy; to, co zobaczył, potraktował jak własność Surim Beya i szybko o tym zapomniał. Gepard - w przeciwieństwie do dziewczyny - rzeczywiście podszedł do stołu, przy którym urzędował sekretarz, lecz Daniel nie przerywał pracy. Nie okazał strachu, ani żądy czy zawstydzenia nagością dziewczyny. Z komnaty na piętrze, przez powiększający szmaragd, Surim Bey chciwie przyglądał się tej scenie. Jednak przez tę zieloną poświatę gepard jedynie przebiegł, dziewczyna zaś przemknęła pod pobliskim łukiem. Daniel pozostał obojętny na otoczenie jak wyrzucona na brzeg muszla.

Tego dnia eksperymentator dysponował innymi środkami.

Gdy Daniel skończył przepisywać listy, układając je starannie jeden na drugim, Surim Bey wezwał go łagodnie.

- Chodź, usiądź tutaj. Nagrodzę twój trud tym boskim lakum.

- Nie jadam takich słodyczy - odparł Daniel, stając przed pracodawcą.

Surim Bey był oczarowany urodą Daniela i jego odmiennością. Gdyby tylko ten chłopak miał mniej lat i był niewolnikiem z targowiska. Daniel jednak był wolnym człowiekiem, mężczyzną, naznaczonym piętnem tajemnicy znanej chyba jedynie Bogu. Ten cień przysiadał czasami na jego ramieniu, czarny jak demon. Tak jak teraz.

- Nie, nie możesz mi odmawiać. Usiądź tutaj. Pozwól, że opowiem ci coś na temat natury tego przysmaku, którym tak gardzisz.

Daniel był sługą tego człowieka. Usiadł zbyt blisko, lecz też niezbyt daleko Surim Beya, i czekał.

Ten wdzięcznym ruchem nakreślił w powietrzu jakiś święty znak. Metalowe pierścienie na jego tłustych palcach błysnęły.

- Żył pewien sułtan, którego zdradziła faworyta. Zabił ją i jej kochanka. Potem jednak, pogrążony w rozpacz, przestał jeść. Marniał w oczach, z dnia na dzień był coraz chudszy. Wielki wezyr sprowadził na dwór sławnego cukiernika. „Stwórz taki słodki przysmak, który skusi usta sułtana. Jeżeli ci się powiedzie, czeka cię wielkie szczęście. Jeżeli zawiedziesz, spotkasz się z katem”. Cukiernik pognął do domu, śmiertelnie przerażony. Tej nocy nawiedził go anioł i podarował mu skórę młodego buhaja, który nigdy nie poznał samicy. Na skórze, literami ze szczerzego złota spisany był przepis na słodycze, jakich nigdy jeszcze nie próbowano i o jakich dotąd nie śniono. Cukiernik zabrał się do pracy i do wschodu słońca zdołał przyrządzić tak wspaniałe lakum, że nim samym wstrząsnął dreszcz. Specjał zanieśiono do pałacu i podano sułtanowi, który, poczuwszy jego woń, nie był w stanie się powstrzymać. Smak potrawy był tak wyborny, że krew napłynęła mu z powrotem do serca i powróciła radość życia. Wyzdrowiał i żył szczęśliwie przez następne sto lat. I taka właśnie, drogi Danielu, jest historia lakum, rajskiej rozkoszy, którą ty pogardzasz.

- Postąpiłby lepiej, oszczędzając kobietę - skomentował chłodno Daniel.

- Kobietę? Jaką kobietę?

- Faworytę, która wołała innego.

- A fe - powiedział swobodnie Surim Bey. - Wy, Europejczycy, jesteście nieokrzesani.

Okrucieństwo też ma swój smak. Nie o to chodzi w opowieści.

Daniel nic nie odpowiedział, po chwili zaś odezwał się:

- Swą opowieścią, sir, nie udało się panu nakłonić mnie do spróbowania tych słodyczy.

Surim Bey sięgnął i wybrał z półmiska kawałek ciemnego, ocukrzonego obficie lakum. Delektował się przez chwilę przysmakiem, po czym go przełknął.

- A jednak opowiedziałem ci baśń. Teraz ty w zamian musisz mi opowiedzieć coś niezwykłego.

- Widziałem dziś na targu brylant - powiedział Daniel.

- Rzeczywiście niezwykłe. To nie był brylant. Żeby znaleźć takie klejnoty, trzeba iść do sklepów za Aleją Jedwabną. A może to żart? Widziałeś brylant, ale na jakimś bogaczem idącym w otoczeniu niewolników?

- Widziałem brylant na języku kuglarza, który przesuwiał po stole trzy kubki.

Surim Bey zamyślił się.

- Bardzo dziwne. W każdym razie to nie mógł być brylant. Potrafisz rozpoznawać brylanty? Często je widywałeś?

- Tylko w książkach.

- Szkło. To było szkło. No, może kwarc.

- Więc to wcale nie takie niezwykłe.

- Przeciwnie, wzbudziłeś moją ciekawość. Pozwól, że powiem ci jeszcze coś na temat tego lakum. Zawiera kilka źdźbeł innego specyfiku. Zdziwisz się.

- Opium.

- Wcale nie. Haszysz, tak doskonały, że zwą go „Dobroc”.

- I co mi to da, że zjem? - zapytał Daniel.

- A co ci dał urak, który piłeś, jak widać po twoich oczach? Może poznałeś siebie. Albo coś jeszcze. W każdym razie widziałeś brylant.

Daniel wziął kawałek lakum. Zjadł powoli, obojętnie. Surim Bey obserwował go uważnie, z uśmiechem. Tym razem zmysłową przyjemność dało mu samo patrzenie.

Jednak wyglądało na to, że w Danielu nie zaszła żadna zmiana. Zdawał się tylko trochę przygnębiony.

Z rysujących się na niebie minaretów ten sam, jakby nie należący do człowieka, głos zaczął zwoływać na modlitwę.

- Muszę udać się do Boga - powiedział Surim Bey, podnosząc się zwinnie. - Ty zaś wracaj do swej kryjówki, mój lwie.

- Mam przyjść jutro?

- Tak. Dotrą listy z trzech miast i chcę, żebyś mi je przeczytał. Daniel skinął głową. Gdy po chwili wstał, dziedziniec wybrzuszył się nieco, jak gdyby oddychał. Nie wydarzyło się nic innego.

Przed domem Surim Beya, za drzwiami, na których widniał wykuty z brązu maszkaron, lampart z ludzką głową i ogonem skorpiona, wąskie uliczki skrzyły się teraz blaskiem zachodzącego słońca.

Tragarze spieszyli ze swoimi pakunkami i nie obowiązywał ich czas modlitwy, podobnie jak kobiet niższego stanu nie obowiązywały zasady obyczajności. Na podwórzach i w miejscach dookoła jakiejś kamiennej studni czy samotnej palmy wszyscy inni dotknęli czołami ziemi.

Na targowisku Daniel ujrzał, jak najpobożniejsi modlili się. Za rysującymi się w dali wieżami lśniła złocista kula słońca.

Daniel podszedł do miejsca, gdzie dziobaty mężczyzna pokazywał rano sztuczkę. Ale nie było go już za stołem, wszelki ślad po nim zaginął. Teraz stał tam rozstawiony na noc kram czarnowłosego astrologa.

Daniel pragnął brylantu, chciał zobaczyć go po raz drugi, może dotknąć. Ten kryształ bólu, czysty i twardy; łza udręczonej wściekłości wypchnięta z wnętrza ziemi jak strumień ropy z zagojonej rany. Daniel nie miał pojęcia, dlaczego go pragnął. Jednak już od tak dawna jego uczucia stały się zagadkowe i rządziły nim niepodzielnie. Nie bronił się przed nimi, kontrolował jedynie sposób, w jaki się uzewnętrzniały, by nie narażać się ludziom. W zimnej



krainie, którą opuścił, nadszedł jednak taki moment, w którym przekroczył granicę między rzeczywistością a grzechem, rzeczywistością a emocjami. Chwycił wtedy tamtego za gardło, a wściekłość dała mu siłę, by wycisnąć z niego życie. Ogarnięty jakąś palącą radością, rąbnął tą kudłatą, wstrętą głową o kamienne obramowanie kominka. Od tamtego czasu Daniel Vehmund włóczył się po świecie jakby we śnie. Gdy uciekał i krył się, widział rzeczy, których w normalnych warunkach nigdy nie byłoby mu dane ujrzeć. Prowadził odmienne, niezwykle życie. On sam zmienił się także. Wyrzekł się swej natury, czy też dopiero stał się sobą w sposób, w jaki niewielu ludzi potrafiło albo pragnęłoby się zmienić. Z tego także zdawał sobie mglście sprawę.

Teraz zaś, na tym targowisku w egzotycznej krainie Wschodu, którą wybrał sobie za miejsce pobytu, co wielu uważało za tajemnicze i pociągające, zapragnął brylantu jak dziecko chce gwiazdki z nieba, jak mężczyzna pożąda kobiety.

Miał wrażenie, że ten kamień należy do niego. Że brylant żyje.

Zaczął szukać go wzrokiem, odwracając nieco głowę.

Słońce chowało się za horyzontem. Niebo pociemniało i uniosło się na niewiarygodną wysokość, ukazując zawieszzone na niewidzialnych sznurach planety i gwiazdy.

Za straganu astrologa wyszedł jakiś chłopiec w łachmanach i zapalił pochodnię na słupie.

Daniel wycofał się z targu, po czym skręcił w boczne zaułki, biegnące w dół, w kierunku portu. Kwiaty haszyszu zwanego „Dobroć” zdążyły już rozkwitnąć w jego głowie. Podsyciły niepohamowaną żądzę brylantu, który może był tylko kawałkiem szkła, i poprowadziły Daniela w jego kierunku, ku niebezpiecznym dzielnicom, mrowiskom jednoizbowych domów, ulepionych z błota i stłoczonych jak kopce termitów.

Pozostawił za sobą wszelkie jasne światło, z wyjątkiem blasku rzucanego przez maleńkie planety i gwiazdy nad głową. Od czasu do czasu przez pęknięcia i szczeliny dochodził nagły błysk światła, które wcale nie świeciło, lecz było ciemnożółte jak olej. Albo w górze na czarnym tle pojawiała się okratowane okno, ciemnobraunatne jak wypalona glina. Szczury uciekały w popłochu. Ludzie pędzili od drzwi do drzwi. W rynsztoku leżało ściervo psa, szkliste od much. Upiorna, wielka ćma trzepotała na ścianie.

Nagle, między kopułą nieba a mrowiskiem domów, daleko w dole, za starożytnym murem błysnęło stalowe morze. Pod murem stłoczyły się rzędy ruder, wspinając się na siebie nawzajem. Szczeliny drzwi górowały nad wycięciami okien. Z tego miejsca nie dochodziło żadne światło ani żaden dźwięk z wyjątkiem zawodzenia nocnych owadów i przeraźliwego, rytmicznego stukotu, jak gdyby ktoś uderzał o siebie dwoma garnkami.

Daniel poczuł się zagubiony. Po chwili nasienie haszyszu ponownie rozjaśniło przed nim drogę.

Dojrzał otwór w glinianej ścianie.

Podszedł do niej. Odrobiny posypały się w ciemność, we wszystkie strony. Podniósł rękę i poczuł drewniane drzwi, które otworzyły się pod jego dotknięciem. Schylił głowę i wkroczył do groty pełnej oczu, które z różnych poziomów mroku obserwowały go, podobnie jak czyniła to Marjannah i Surim Bey.

Wtedy w przeciwległym krańcu groty zabłyśła lampa. Na podłodze za lampą siedział mężczyzna, który pokazywał na targu sztuczkę z kubkami. On także obserwował przybysza. Setka pozostałych oczu zapłonęła.

Izba pełna była, spiętrzonych jeden na drugim, przedmiotów; starych brązowych pergaminów, zmatowiałych skór, może nawet ozdobionymi złotymi literami skór byków, które nigdy nie poznały samicy... Skrzynie i szkatułki migotały. Kocie mumie wybałuszały oczy z lazurytu i zielonego szkła.

W tej ruderze znajdował się skarbiec. Były tam rzeczy cenne i potworne.

Za lampą siedział dziobaty mężczyzna i ponownie wykonał ręką władczy gest, tak jak wcześniej na targowisku.

Daniel nie zapytał, czego ten żąda. Teraz liczyło się, czego pragnie on, Daniel.

Przeciął izbę i usiadł twarzą w twarz z mężczyzną tak, że lampa świeciła między nimi.

Ten napełnił dwa kamienne kubki ze skórzanego bukłaka. Podał jedno naczynie Danielowi. Nad światłem lampy jego dłoń przebił czerwony płomień.

- Urak.

- Może zatruty. - Daniel wyobraził sobie swoje oprawione starannie ciało; celowo odcięte włosy, zęby, kości; rozwieszona odarta skóra, z której powstanie książka.

- Jesteś moim gościem, mile widzianym w domu. Muszę traktować cię tak, jak traktowałbym własnego syna. Tak nakazuje wiara.

- Wiec tutaj obowiązują nakazy wiary?

- Wszędzie.

- Ale twoja wiara nie jest moją - odparł Daniel.

- Bóg jest łaskawy. Musisz tylko przyznać się przed Nim, że zbłądziłeś i wypowiedzieć Jego prawdziwe imię, a On cię wysłucha.

Daniel spróbował uraku. Miał smak ziemi i ognia. Zdawał się nieszkodliwy, a teraz potrafiłby z pewnością rozpoznać, gdyby było inaczej. Przełknął łyk trunku. W kamiennym kubku coś brzęknęło. Zajrzał do środka. Napój lśnił czarno i Daniel niczego nie dostrzegł.

- Jest tam - powiedział ospowaty.

Daniel zanurzył palce w kubku i poczuł między nimi coś twardego. Wyciągnął rękę i z czarnego płynu wychynęła biała kula. Spoczęło na niej światło lampy. Błysnęła. W palcach trzymał brylant.

Odstawił kubek i wytarł klejnot w rękaw.

Kamień był owalny, wielkości gołębiego jaja. Przez jego przezroczyste wnętrze przemknął błysk zieleni, jakby zmarszczka na tafli angielskiego jeziora. Miał jednak nikłą skazę - jakiś cień zalegający w samym sercu lśnienia cofał się i powracał. Był nierzeczywisty; kształtu jakiegoś szczególnego kawałka kwarcu czy krzemu, przyciętego starannie i wypolerowanego do połysku.

Przesycił urak, który wypił Daniel.

Vehmund trzymał klejnot, jakby to był rozżarzony piorun.

- Zmyślna zabawka - odezwał się, podobnie jak kilka godzin wcześniej pochwalił na targu sztuczkę.

- Nie, to kamień stary jak stworzenie świata. - Mężczyzna złożył ręce. - Powiem ci, gdzie go znalazłem.

- Kolejna opowieść - stwierdził Daniel.

- Okradam groby - powiedział cicho ospowaty. - Wiele razy rzucono na mnie klątwę śmierci. Te zaklęcia zzerają mnie po kawałku, a jednak wciąż żyję. Teraz niczego się już nie boję, nawet samego strachu.

- To szkło albo kwarc - powiedział Daniel. Pociągnął jeszcze łyk uraku i poczuł, jak kwiat haszyszu obumiera w jego głowie.

- To brylant wydarty z wnętrza ziemi, odkryty w ciemnościach, uwolniony, kiedy twoja rasa była jeszcze młoda, a moja niewiele starsza. - Mężczyzna schylił głowę. - To był bardzo stary grób, a w środku znajdowały się bogactwa zmarłych. Na odrzwiach wyryto klątwę, wchodząc wstrzymałem więc oddech na wypadek, gdyby powietrze było zatrute. W środku, w malowanej skrzyni ozdobionej uschniętymi nagietkami, spoczywało ciało mężczyzny. Miał na sobie diadem z pereł, brylant jednak znalazłem w jego dawno przegniłym jelicie. Tak, miał go w odbycie.

- Gdzie to było? - zapytał Daniel, trzymając niedbale klejnot.

- W krainie skał i wykutych w kamieniu świątyń. Może ten człowiek był kiedyś królem.

Wewnątrz klejnotu pojawiający się i znikający cień nabrał kształtu, czegoś na czterech łapach, długiego i skulonego jak zwierzę.

- O ile twoja historia jest prawdziwa - stwierdził Daniel.

- Jest bardziej prawdziwa niż życie czy teraźniejszość. Ta nigdy nie jest prawdziwa.

Prawdziwa jest tylko przeszłość. Czasem przyszłość.

- Proszę - powiedział Daniel i podał mężczyźnie krzem, kwarc czy cokolwiek to było.

- Ten kamień zowie się Wilk ze względu na obraz, jaki widzą w nim niektórzy. A ty widzisz?

- Nie.

Z pułapu rudery, który zdawał się nieproporcjonalnie wysoki, zwisały mumie nietoperzy i sęp ze złotą głową. Na pergaminie, do którego dosięgał blask lampy, widniały znaki zodiaku, skupione wokół jakichś konturów, prawdopodobnie Indii.

Daniel podał ospowatemu brylant. Ten odsunął jego rękę na bok.

- Jest twój - powiedział.

- Nie zamierzam go kupić.

- Czasami można coś kupić, ale on nie jest na sprzedaż. Jest twój.

- Więc nie chcę go.

Położył brylant obok lampy. Jej płomień zadrżał, przygasł, po czym buchnął na nowo.

Danielowi zbierało się na wymioty, był zziębnięty, brakowało mu tchu, jak gdyby trawiła go jakaś złośliwa gorączka.

Mężczyzna nie podniósł wzroku, gdy Daniel wstał z miejsca.

Ściany staniały się na boki; wszystkie martwe koty obserwowały go, z dala zaś dochodził niezmienny, upiorny klekot skorup.

- Weź go - powiedział ospowaty. - Błagam cię, na miłość boską.

Daniel odnalazł drzwi i wydostał się na brudne ulice obiegające wzgórze piętrzących się domów.

Ponad morzem na horyzoncie świecił księżyc w kwadrze. Jego blask kładł się na oczach Daniela jak cienkie srebrzyste łańcuszki. Mężczyzna oparł się o róg jakiejś lepianki i zwymiotował w mrok. Stukot glinianych garnków przyprawiał go o mdłości. Gdyby wreszcie ucichły. Natrafił na nie po omacku - był to sznur powiązanych, potłuczonych naczyń, które szorowały o siebie na wietrze; amulety przeciwko dzinowi. Daniel zataczał się. Cicha jak śmierć kobieta pociągnęła go za rękaw.

- Chodź ze mną. Ukoję twój ból...

Przez zaśmiecony zaułek pobiegły za nim trzy wychudzone psy.

Nagle znowu zobaczył na ścianie tamtą ćmę, a zresztą może to była inna. Wycofał się z wąskich uliczek. Minał dziedziniec porośnięty drzewami cytrynowymi, rozbrzmiewający dźwiękami pięciostrunowej lutni.

Dostał się na górę do mieszkania i położył na łóżku. Pokój kołysał się jak łódź.

W fotelu siedziała wyprostowana matka. Z nozdrzy ściekała jej strużka drwi. Na stole, niby skrawek księżycy, leżał brylant, zielony i pulsujący. Zamknięta wewnątrz bestia biegła szaleńczo w mroku, podnosząc łeb na dźwięk głosu przyzywającego z wieży na modlitwę.

Następnego dnia, tuż po wschodzie słońca, zjawiała się Marjannah z Czarnym Olbrzymem. Pochyliła się nad Danielem, otoczona promieniem słonecznego światła. Powiedziała od rzeczy, że wróżbita dowiedział się o jego chorobie ze śladów małego węża na piasku. Czarny Olbrzym wziął Daniela na ręce i zawiniętego w koc poniosł przez puste jeszcze ulice do pokoju o szafranowych roletach.

Przez dwa dni i dwie krótkie, ciemne noce Daniel leżał w gorączce. Na zmianę odzyskiwał świadomość i ją tracił. Nawet gdy majaczył, słyszał własne słowa i nie zdradził się.

Marjannah przyprowadziła lekarza z sąsiedztwa, pachnącego przyjemnie perfumami i anyżkiem starca, który delikatnie dotknął czoła, serca i skroni chorego. Przepisał jakieś lekarstwo, a na podstawce pod jednym z okien spalił kadzidełko. Intensywny zapach tłących

się ziół tak odurzył ptaka, że śpiewał przez cały dzień, czasami też i w nocy. Jego trele zdawały się słodsze niż śpiew słowika, a może tylko tak myślał chory. Marjannah nakarmiła Daniela zupą mleczną i kawałkami owoców.

Nie czuł do niej wdzięczności. Wolałby, żeby zostawiła go w spokoju.

Śniło mu się, że wisi w głębokiej rozpadlinie w ziemi, zielonkawy brylant zaś oświeśla jego postać. Ciało skręcało się to w jedną, to w drugą stronę jak w wodnym wirze. Zdołał wyczołgać się na spowity księżycowym światłem ład. Wszędzie zalegał piach, na urwisku zaś wznosiły się kopce świątyń. Nie mógł stanąć na nogi. Jak zwierzę zaczął biec po białym piasku. Nawet śniąc wiedział, że ta wizja jest kłamstwem, szyfrem, nawet nie symbolem rzeczywistości. Za każdym razem budził się wówczas w łóżku Marjannah, ona zaś leżała na dywaniku na podłodze z poduszką pod głową.

Przez pierwsze dwa dni i nocie Czarny Olbrzym przychodził odrywając się od pracy i zanosił Daniela do ustępu jak małe dziecko. Jednak trzeciego dnia Daniel znowu stał się mężczyzną. Podziękował tragarzowi za opiekę i dał mu trochę pieniędzy. Podziękował Marjannah. Będzie musiał kupić jej jakiś prezent.

Kobieta błagała go, żeby został. Już wcześniej wysłała do domu Surim Beya posłańca, by wytłumaczył nieobecność sekretarza. Musi zostać i pozwolić, by się nim opiekowała.

Marjannah był wyzwoloną niewolnicą. Należała kiedyś tylko do jednego człowieka, który wyzwolił ją na łożu śmierci. Na początku swego pobytu w tej dzielnicy Daniel zobaczył ją w oknie. Jej nie osłonięta, uśmiechnięta twarz powiedziała mu wszystko. Wszedł na górę do jej mieszkania.

W duszy Marjannah pozostało coś z niewolnicy. Tęskniła, by ponownie stać się własnością jednego mężczyzny. Robiła, co mogła, by związać się trwale z Danielem, zafascynowana tym cudzoziemcem i jego odmiennością. A jeśli nie zechciałby jej Daniel, mogła należeć do Turka. Ten zamknie ją w marmurowej klatce, którą oplecie różami.

Marjannah wdzięczyła się do Daniela, prosząc, żeby został, aż wreszcie zaczęła kusić go swą kobiecością. Odparł, że nie jest jeszcze wystarczająco sprawny. Powiedziała, że skoro nie jest jeszcze wystarczająco sprawny na stosunek z kobietą, nie ma także sił, by wrócić samemu do domu. Stara służąca wniosła talerz pikantnych ciasteczek i razowca. Jedli, a z minaretów ten sam głos przyzywał wiernych na modlitwę. Daniel pomyślał o glinianych skorupach klekoczących na wietrze tamtej cichej nocy. „Dobroć” dała mu siłę, by odszukać ospowatego, a może był to tylko jeszcze jeden sen?

Wreszcie wyrwał się z mieszkania Marjannah i poszedł do domu Surim Beya. Przyjął go nie pracodawca, lecz sekretarz, tubylec w okularach, który wysłuchał, jak Daniel odczytuje ważne listy i przez cały czas zapisywał coś w notesie.

Daniel doszedł wolnym krokiem do studni na targowisku i przyglądał się, jak mężczyźni poją muły i wielbłądy. Zakwefione kobiety podchodziły z dzbanami. Choroba przygnębiła go. Nie widział sensu istnienia, tylko rozrzucone bez znaczenia na stole gry Losu kości.

Mieszkanie Daniela było położone na wschód od targowiska. Piętrzyły się tutaj ciasno wysokie żółte domy zamieszkałe przez rzemieślników, muzyków i okolicznych sklepikarzy. Nawet nocą rzadko kiedy panowała tu cisza. Praca wrzała nieustannie i rozlegały się sprzeczki. Słychać było szcęk młota o metal czy rozbijaną pospiesznie skórę, odgłosy gry, strojenia instrumentów, ciche dźwięki pieśni i ostre wrzaski rozzłoszczonych kobiet. Pod oknem Daniela, na podwórzu pod winoroślą, rezydowały dwie kozy. Stado kurczaków grzebało zawzięcie w ziemi. Kogut piał o świcie albo wtedy, kiedy uznał to za stosowne.

Zbliżając się do mieszkania misterną siatką ulic, Daniel przypomniał sobie położony na farmie dom swego dzieciństwa, odgłosy stąpania w zimowe poranki, wełniste owce na szarzielonych wzgórzach. Z męczącym zdziwieniem stwierdził, że nie czuje krztyny tęsknoty za przeszłością. A więc prawdą jest to, co powiedział ospowaty, że tylko

teraźniejszość pozostaje nierzeczywista. To miejsce także nie nabierze wiarygodnych kształtów, dopóki nie odejdzie w przeszłość. Na razie pozostaje tylko mirażem.

Słońce zdążyło schować się za horyzontem, kiedy doszedł do ostatniej uliczki, która miała najpierw kolor głębokiej czerwieni, po czym nabrała jakiejś nieokreślonej barwy, jakby popiołu. W górze wyższe piętra chyliły się na boki. Wznosił się też tu stary łuk z wielką kamienną stągwią, poobijaną i zniszczoną, tkwiącą u jego podnóża.

Daniel znowu wszedł na schody i wdrapał się na piętro.

Otworzył drzwi bez zamka i wszedł do mieszkania. Oczekiwał na niego znajomy i zawsze mu obojętny skromniutki pokoik. Nie przywiózł ze sobą nic, by się urządzić. Poślanie - zwykły siennik na podłodze, stołek, pod oknem dzbanek na wodę, lecz pojawiło się coś jeszcze. Coś niezwykłego. Spoczywało w cieniu przy oknie, pod stłuczonym lustrem, oparte o skrzynię z ubraniami.

Daniel zbliżył się. Ospowata jak powierzchnia księżycy twarz wychylała się z mroku, a oczy wpatrywały się w niego. Brudne płótno nadal było owinięte wokół głowy. Z rozchylonych warg spłynęła na ciemne ubranie rdzawa czerń. Na pewno była to twarz kogoś, kto nie żyje. I Daniel widział ją już wcześniej.

Ukląkł obok martwego mężczyzny. Trup miał podcięte gardło i wyrwany język. Na każdej z dłoni, które spoczywały rozchylone na podłodze, widniał narysowany krwią wizerunek oka.

Trup wyglądał przerażająco, a jednocześnie tajemniczo, gdy tak siedział we wpadającej przez okno poświacie nocy.

Po chwili Daniel otrząsnął się z osłupienia. Zrozumiał, co nastąpiło.

Tym razem to złodziej grobów odnalazł jego mieszkanie i przyszedł tutaj, by ponownie wcisnąć mu brylant. Był jednak ktoś jeszcze, kto omamiony lśnieniem klejnotu śledził ospowatego, przyszedł tu i zamordował go, zabierając brylant.

Daniela ogarnęło dzikie przerażenie. Stłumił je. Nie było wcale związane z potwornym trupem, lecz z kradzieżą klejnotu. Ale brylant wcale do niego nie należał. Nawet gdyby był prawdziwy, co go to mogło obchodzić? Nie rozumiał sensu gromadzenia bogactw, nie znaczyły dla niego zupełnie nic. Jednak zdawało się, że kradnąc brylant, złodziej skradł także jakąś część Daniela, nieuchwytny, lecz istotny element, nie nazwany, nieokreślony i bezcenny.

Wyprostował się.

Należało usunąć ciało z pokoju. Widniejący na dłoniach rysunek oka był z pewnością znakiem jakiegoś złodziejskiego bractwa i wskazywał na sprawców morderstwa. Dlatego będzie można po prostu porzucić ciało na ulicy. Rysunek oka skieruje podejrzenia we właściwym kierunku, choć nie będzie pogoni za zbrodniarzem. Zabity nie był nikim ważnym.

Daniel miał w głowie pustkę, przez jego umysł przebiegały fragmenty myśli.

Za oknem panował mrok. Na dziedzińcu kręciły się kozy, owe szatańskie istoty. Okolicę zaległa dziwna cisza.

Znowu pochylił się nad trupem i podciągnął go do góry, opierając o okno. Można będzie z trudem przerzucić ciało przez mur, poza obręb dziedzińca, jak wyrzuci się wór śmieci czy odchody.

Podcięta grdyka zgięła się i głowa opadła bezwładnie na ramię Daniela. Martwe wargi zadrgały, jak gdyby chciały przemówić. Może kuglarz ukrył brylant w ustach tak jak poprzednio na targu i dlatego tak brutalnie wyrwano mu język? Zmarły król połknął brylant w całości. Klejnot zatkał mu jelito i może był przyczyną śmierci.

Dźwignął ciało, zakotyssał nim i rzucił. Czarny kształt przemknął w powietrzu, otarł się o winorośl, powodując jedynie szelest liści, i wypadł przez zewnętrzny mur. Przestraszone kozy zabeczały przeraźliwie i rozbiegły się zdenerwowane. Zadrżał i przycisnął na moment twarz do ciepłego tynku. Po chwili nalał z dzbanka trochę wody i umył ręce.

Ludzie zaczną się w końcu skarżyć, kiedy będą potykać się w przejściu o trupa. A może wcale nie zwrócą na niego uwagi. Ktoś z parteru, nie mogąc znieść fetoru, zorganizuje w końcu pochówek.

Przemierzał pokój, próbując ochłonąć ze strachu, który ścisnął mu gardło. Nie czuł nic do mężczyzny, którego krew zakrzepła w tym pokoju. Myślał o człowieku, którego sam zabił, o jego ciele rozciągniętym na kamiennym palenisku. Nie było wtedy rozlanej krwi. Teraz także na pokój nie spadła żadna kropla, czerwień wsiąkła w długą szatę kuglarza.

Klęknął na podłodze.

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Modlił się żarliwie jak dziecko, nie rozumiejąc wypowiedzianych słów, lecz pozwalając, by koili go swoją magiczną mocą.

Piętro niżej szewc zaczął wbijać gwoździe, a jego żona nucila przy kuchni. Kozy przestały już beczeć. Dziedziniec i sąsiednią ulicę zaległy ciemności.

Maszkaron na drzwiach Surim Beya płonął, nocą bowiem oświetlał go z góry płomień lampy.

Daniel wpatrywał się w bestię, czekając na otwarcie drzwi.

- Przychodzi pan nie w porę - powiedział odzwierny z przyganą.

- Proszę mnie wpuścić.

- Mój pan jest zajęty.

- Oczywiście, swoimi chłopcami. W każdym razie wpuść mnie. Mężczyzna zdjął z drzwi sztabę i otworzył zamki. Daniel znalazł się w przedsionku. Pod łukami, wokół sadzawki ze złotymi rybkami rozciągał się oświetlony lampami cichy dziedziniec.

Pojawił się jakiś człowiek. Myśląc zapewne, że Daniela sprowadziła jakaś pilna sprawa, pokłonił się nisko, po czym ruszył na górę.

Surim Bey zszedł wkrótce po schodach i przeciął dziedziniec. Miał na sobie luźną białą szatę z fioletowym haftem w kształcie irysa. Ramionami obejmował dwóch milutkich chłopców, którzy stali spokojnie, nieco onieśmieleni obecnością Daniela.

- Jestem do usług - odezwał się Surim Bey bez gniewu, lecz z pewnym zakłopotaniem brzmącym w melodyjnym głosie.

- Przepraszam, że przychodzę w nocy.

- O tak, noc to pora pieśni. Ale ty nie przyszedłeś tu po to, żeby śpiewać.

- Chcę prosić o pomoc.

- Prosić mnie o pomoc? - Granatowe oczy Surim Beya podkreślone czarną obwódką stały się jeszcze większe. Jeden z chłopców zachichotał.

- Cicho. Stoimy twarzą w twarz z przeznaczeniem.

- W moim mieszkaniu zjawiała się śmierć - powiedział Daniel. Surim Bey rozprostował ramiona, wypuszczając obydwu chłopców.

- Odejdźcie - rozkazał i dzieci, śmiejąc się beztrąsko, pobiegły w mrok, podskakując jak gazele.

Daniel stanął nad brzegiem sadzawki. Kątem oka dostrzegał podpływające i znikające ryby, których łuski odbijały światło lamp i majaczących w oddali gwiazd.

- Śmierć? - zapytał Surim Bey.

- Martwy człowiek. Ten z targowiska, o którym panu opowiadałem.

- Człowiek ze szklanym brylantem.

- Klejnot musiał być prawdziwy. I wiedział o tym ktoś inny.

- Kto?

- Złodziej, który śledził tamtego i zamordował go pod moim oknem.

Surim Bey spojrział w niebo.

- Co się stało z ciałem?

- Leży na ulicy. Ma na dłoniach narysowany krwią wizerunek oka. Może to znak jakiejś bandy rzeźmieszków?

Surim Bey pokręcił głową wolno, jak gdyby znajdował się pod wodą, a nie w mroku nocy.

- Nie. To nie jest znak mordercy, ale sprawowanej nad nim ochrony, Oko oznacza, by ci, którzy widzą, odwrócili oczy. To wszystko.

- Nie ma powodów, by ktokolwiek mógł skojarzyć trupa z moją osobą.

- Przypuszczam, że nie - odparł Surim Bey. - Nie chciałbym bardzo, gdybyś zjawiał się u mnie ze strażnikami deptającymi ci po piętach. Czego w ogóle chcesz ode mnie?

- Brylantu - odparł Daniel. - Nie chciałby pan na niego spojrzeć?

- O tak. Nawet bardzo. Równie mocno, jak chciałbym oglądać rajskie ogrody.

- Tamten człowiek przyniósł mi klejnot, a złodziej go zabrał.

- I chciałbyś teraz, żebym użył swoich wpływów, wytropił złodzieja, odebrał mu brylant i oddał tobie. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że jeśli ten klejnot jest rzeczywiście takim cudem, ja go zatrzymam. Taka jest moja cena.

- Nie zatrzyma go pan - powiedział Daniel. Cięży na nim klątwa. A pan unika takich rzeczy.

- W takim razie dlaczego miałbym zadawać sobie trud?

- Na wypadek, gdybym był w błędzie lub nie mówił prawdy. Tylko wtedy, gdy brylant znajdzie się w pańskich rękach, pozna pan jego właściwości.

- Jak nazywa się ten brylant? - zapytał Surim Bey.

- Człowiek z targu mówił o nim Wilk.

- Nie słyszałem o takim brylancie - stwierdził Surim Bey - ale nie podoba mi się ta nazwa.

- Jest trochę mniejszy od kurzego jaja, oszlifowany, z zielonkawym odcieniem. Na dnie jest jakaś skaza, przypominająca kształtem zwierzę, psa albo wilka, i stąd nazwa.

- Nie obchodzi mnie opis. Zjadliwie zielony jak księżyc, z zatopioną w środku bestią.

- Zabraną z grobowca jakiegoś króla.

- Może w Sind.

- Albo przyleciał z kosmosu - orzekł Daniel - jak piorun.

- Jesteś pijany? - spytał Surim Bey. Podszedł bliżej i spojrzał Vehmundowi w oczy. - Nie, to nie urak. Nigdy przedtem nie mówiłeś w taki sposób. Ten kamień cię opętał.

- Tak - odrzekł Daniel.

- Powiedz, że wcale nie chcesz, abym odnalazł brylant. Tak będzie lepiej.

- Może samemu uda mi się go znaleźć. Proszę mi powiedzieć, gdzie mogę kupić „Dobroć”. Surim Bey roześmiał się pogardliwie, jak gdyby śpiewał.

- To nie dla ciebie. Zrobię w twojej sprawie, co tylko zdołam. A teraz idź już i nigdy więcej nie nachodź mnie w taki sposób. Zrozumiałeś?

Daniel skinął głową. Twarz miał nawiedzoną jak oblicze anioła. Surim Bey przyglądał się, jak sekretarz nerwowym, niespokojnym krokiem przecina dziedziniec i uczynił ręką znak błogosławieństwa. Ludzie o twarzach aniołów, poruszający się w ten sposób, zawsze zmierzają ku miłości lub śmierci.

Wymówił kilka słów modlitwy i zgasił zwisającą nad sadzawką lampę. Potem wolno wdrapał się z powrotem do swej komnaty rozkoszy, gdzie nie oczekiwała nań miłość, lecz bez wątplenia coś w rodzaju agonii.

Śniło mu się, że jest w lesie, równie gęstym jak zarośla wokół farmy, ale cichym i mrocznym. Natrafił pośród drzew na martwego człowieka, którego sam zabił. Na piersi trupa przysiadł czarny wilk i wbił zęby w jego szyję. Pojawiły się strugi krwi, a wilk zlizywał ją z martwego ciała.

Daniel obudził się.

- Coś się stało - powiedział głośno.

Rzeczywiście coś się stało - ale z nim. Może tylko nawiedziło go wspomnienie wydarzenia sprzed wielu miesięcy. Towarzyszyło mu przez całą drogę, przez lądy i morza.

Położył się na plecach, obserwując przez okno lśniące w oddali gwiazdy. W domu nie cichły hałasy: stukanie, skrzypienie, rytmiczne dudnienie koła garncarskiego. Psy zawyły i nagle ucichły.

Usłyszał jeszcze jakiś hałas, dochodzący nie wiadomo skąd. Może z dachu budynku. Cichy, monotony dźwięk, który zaczął słabnąć w tej samej chwili, gdy dotarł do uszu Daniela. Może był to jakiś dziwny wiatr od gór albo równinny samum<sup>2</sup>.

Daniel zwłókł się z siennika i podszedł do skrzyni. Zapalił stojącą tam świecę i wyciągnął listy od matki.

Spojrzał na nie i wtedy, jak na ironię, usłyszał płacz kobiety. Gorzko brzmiała ta muzyka. Po chwili znowu zerwał się wiatr i ponownie ucichł. Daniel usiadł, odczytując pięć listów, które nadeszły w ciągu kilku miesięcy wygnania. Nie opuszczało go przeświadczenie, że nie ma domu, do którego mógłby powrócić, ani żadnego miejsca, dokąd mógłby się udać. Jest zupełnie sam jak dryfujący po morzu kawałek drewna.

Przypomniał mu się jednak brylant.

Surim Bey mógł go odnaleźć, bo był człowiekiem wpływowym i chytrym. Ale natychmiast odbierze Danielowi klejnot, który wcale nie jest przeklęty, a jedynie dziwny.

Jednak, gdyby on sam miał odzyskać brylant...

Rozjaśniło mu się w głowie i nagle zobaczył klejnot przeliczony na pieniądze: banknoty i monety. Pieniądze zapewniają siłę i bezpieczeństwo, więc warto je mieć. Czy mimo wszystko nie mógłby wrócić, gdyby je posiadał?

Nagle przemknęło mu przez myśl, że brylant nie jest prawdziwy.

Odłożył listy, zdmuchnął świecę i położył się do łóżka. Gdy zapadał w sen, który przyszedł niespodziewanie szybko, po dachu harcował wiatr.

Marjannah zjawiała się z zasłoniętą twarzą, w towarzystwie Czarnego Olbrzyma, i znów zabrała Daniela do swojego szafranowego pokoju. Miała na sobie odświętną suknię z cienkiego czerwonego jedwabiu w odcieniu henny, nakrapianą mosiężnymi cekinami.

Od kilku dni w domu Surim Beya nie było dla Daniela żadnego zajęcia. Dzień w dzień po południu sekretarz w okularach odsyłał go grzecznie. Surim Bey mówił, lecz nie potrafił pisać w językach, którymi Daniel posługiwał się w listach i rzadko aż tak zwalniał tempo pracy. Daniel zachodził w głowę, czy nie pozbyto się go. Jego nocna wizyta w domu Surim Beya mogła stanowić wystarczający powód. Pracodawca potrafił zapominać, ale nie wybaczając.

W mieszkaniu Marjannah stara kobieta przygotowała poczęstunek: pieczone koźle, oliwki, nadziewane figi podawane na liściach palmy, i zakazane wino.

Daniel kupił dla Marjannah bransoletkę ze szklanych kwiatów. Uszczęśliwiona kobieta obracała w palcach błyskotkę.

- Po co ta uczta?

- Żeby uczcić twój powrót, mój panie - odparła.

Nie miały ochoty na jedzenie. Kochał się z nią przez całe popołudnie, dopóki żółte światło na ścianach nie zmieniło się w brąz. Obydwoje leżeli wyczerpani w tym brązowym blasku. Daniel szukał słów, by powiedzieć, że wkrótce wyjedzie, opuści miejsce, gdzie Marjannah urodziła się i zapuściła korzenie. Ona nie ruszy się stąd, ale on wyjedzie. W ciągu minionych dni i nocy narastał w nim jakiś dręczący niepokój. Teraz pragnął uciec, jak gdyby uciekał z więzienia pełnego żółtych pokoi i dziedzińców obsadzonych drzewkami pomarańczowymi. Zostawi brylant grubasowi. Musi tylko zorganizować sobie odbiór listów. Nic więcej go tutaj nie trzyma.

---

<sup>2</sup> Samum - gorący, suchy wiatr na pustyniach Afryki Północnej i Półwyspu Arabskiego (z arab.) (przyp. red.).



- Dzisiaj pełnia - powiedziała kobieta. - Noc kochanków. Wcale tak nie było. Na niebie świecił księżyc w nowiu, na zewnątrz panowały ciemności i to one sprzyjały kochankom i złodziejom. Ten, który ukradł brylant, nie był wyjątkiem.

Daniel odczuwał niepokój. Zaspokoił swe pożądanie i teraz nie był w stanie pozostać na miejscu ani chwili dłużej. Skłamał, że czeka na niego praca w domu Surim Beya, ponieważ nie zjawił się tam po południu. Marjannah nie uwierzyła, ale nic nie powiedziała. Myślała już o Turku. Daniel niemal go dostrzegał w jej smutnych oczach.

Włóczył się po ulicach przedmieścia, pełnych dziedzińców i ogrodów. Przy niektórych bramach siedzieli żebracy, czekając, aż zostaną nakarmieni zgodnie z nakazem religii. Zszedł ku targowisku. Wszędzie płonęły tu pochodnie, bo było po zachodzie słońca. Daniel nie zwracał uwagi na zapadający zmierzch, zauważył jedynie, że brązowe ściany stawały się coraz bledsze, potem niebieskie. W Zajeździe Francuskim kupił urak, jednak nie był w stanie pić trunku, podobnie jak nie był w stanie jeść. Zdawało mu się, że znowu powraca atak gorączki.

Noc przypominała szkło.

Poszedł w dół, ku przedmieściom metropolii, gdzie ciągnęły się rzędy lepierek. Przemknęło mu przez głowę, że powinien odnaleźć kryjówkę złodzieja grobów, jednak z pewnością do tej pory została już splądrowana i wyniesiono wszystko przedstawiające jakąkolwiek wartość. Jedynie osoba właściciela odstraszała dotąd rabusiów. Z ulicy, przy której stał dom Daniela, nie podniesiono żadnego larum, ciała jednak już nie było. Daniel już wcześniej poszedł tam i sam się o tym przekonał. Może właśnie wtedy, gdy leżał w ramionach Marjannah, uprzątnięto trupa.

W każdym razie nie udało mu się znaleźć nory kuglarza. Pamiętał jedynie, że była przy jakimś starym murze, po którym nie odnalazł śladu.

Szklana noc była przerażająca. Ciemność napierała na niego, odgradzając od rzeczywistości. Mijający go ludzie przypominali cienie, kroczące pod warstwą mgły. Chciał wyciągnąć rękę i dotknąć ich, ale mgła zgęstniała. Nagle z miejsca, gdzie kończyły się piaszczyste ulice, zobaczył w dole ocean. Zaczynał wschodzić księżyc.

Jak przepowiedziała Marjannah, była pełnia. Księżyc, porcelanowy i krągły, wychylił się z wody. Cały świat powlekleła biaława poświata. Na obliczu księżyca widać było plamy dziwnych łądów, gór czy ogromnych kotlin pełnych białego pyłu.

Daniel wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w twarz księżyca.

Wysoko ponad hałasami ulicy ponownie rozległo się w mroku monotonne zawodzenie zrywającego się wiatru. Nie brzmiało wcale jak wiatr, lecz jakiś opętańczy ryk, jak szaleńcza pieśń księżyca wiszącego nad pogrążoną w mroku ziemią.

Z Danielem zaczęło dziać się coś dziwnego. Przenikało go na przemian gorąco i lodowaty chłód. Odczuwał ból w każdej części ciała; każdy skrawek skóry stał się tak wrażliwy, że nawet dotyk ubrania był nie do zniesienia.

Gorączka powróciła. Nie wyzwolił się z niej. Zawrócił w kierunku mieszkania. Nikt nie będzie mu teraz przeszkadzał. Położy się tam i będzie majaczył, o czym zapragnie. Nikt nie przejmie się jego wypowiedzianymi w obcym języku słowami, w których oskarży się o to, że zabił własnego ojca, popełnił śmiertelny grzech, uśmiercił go własnymi rękami, a jego czaszkę roztrzaskał o kamienne obramowanie kominka. Matka siedziała wówczas w pokoju na górze; czerwona strużka spływała na jej usta.

Na ulicy odbywało się wesele. Roilo się od muzykantów, grających na piszczałkach, harfach i bębnach. Światła pochodni utworzyły złocisty krąg pod kopułą mroku. Z domu dochodziły krzyki i nawoływania.

Daniel przecisnął się między ludźmi i pochodniami, dotarł do swego pokoju na górze i rzucił się na siennik.

W dole pod oknem płonęły pochodnie. Harmider głosów nie ustawał.

Niewidoczny księżyc podnosił się na niebie. Daniel czuł, jak oko planety przenika mury, jak gdyby wszystkie budynki stały się nagle przezroczyste. Wkrótce zobaczy, jak promienie księżycy siłą przedzierają się przez dach. Cienie belkowań, domów zarysują się wyraźnie; przybiorą kształt lasu stojącego na tle białego kręgu, chłodniejszego i jaśniejszego niż słońce.

Przez cały czas Daniela trawiła gorączka. Podciągnął się w kierunku dzbanka z wodą. Nie był w stanie opanować drżenia ręki. Dzbanek upadł.

Z zewnątrz dobiegł głośny ryk w chwili, gdy na ulicy pojawił się pan młody. Natychmiast ozwał się ponowny grzmot, gdy oblubieniec przebił pięścią skórę na małym bębenu. Przez dźwięki te przebijało się monotonne zawrozczenie księżycy, coraz głośniejsze i straszniejsze.

Potworny, przejmujący ból zaczął przenikać ciało Daniela. Działo się coś niesłychanego. W głowie miał zamęt, czuł, że powinien wzywać pomocy, któż jednak miałby mu pomóc? Marjannah, która na skrzydłach znalazłaby się u jego boku, była daleko. Poza tym, który lekarz byłby w stanie ustalić przyczynę tych dolegliwości - bólu, jak gdyby wrywano mu żebra, mięśnie, kości czaszki, kręgosłup. Z ust Daniela wyrwał się krzyk. Z ulicy dobiegał śmiech i śpiewy. Kobiety wrzeszczały nieustannie, ogarnięte jakąś dziwną radością weselnej nocy.

Krzyk Daniela został zduszony, jak gdyby jakiś wielki ciężar przygniótł mu gardło. Walczył, żeby złapać oddech, żeby żyć. Wstrząsnęły nim konwulsje. Plecy wyprężyły się; ciało jak w żelaznej obręczy uniosło się w powietrzu. Pograżony w agonialnej męce, Daniel spróbował znowu krzyknąć, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Jego wnętrzności stopiły się pod wpływem wewnętrznego żaru. Stracił wzrok. Ślepy, zgięty w kabłąk, zsunął się z siennika i zarył palcami w tynk. Z góry niezmiennie dochodził ryk księżycy i tylko on zakłócał teraz ciszę. Daniel czuł, że jego ciało rozplywa się w ogniu, a kości wystają na zewnątrz jak ostrza noży. W ostatnim spazmie potoczył się w głąb tunelu, w mrok panujący poza sferą światła.

Służąca żony szewca była niewolnicą pośród niewolnic, pozbawioną wszelkich praw i przyjemności. Żyła w ciągłym napięciu - w każdej chwili mogła zostać wezwana, by wykonać czyjeś polecenie. Nawet gdy spała wyczerpana, wrywano ją gwałtownie ze snu. Tak jak teraz. Kozy są niespokojne. Ma zejść do nich i sprawdzić. Może za murem błąka się jakiś wściekły pies i straszy zwierzęta. Niech dziewczyna wdrapie się na mur i rzuci w psa kamieniem.

Okrzyki weselników już ucichły. Muzykanci, otrzymawszy zapłatę, odeszli. Z domu i stłoczonych blisko sąsiednich budynków dobiegały jedynie odgłosy nocnego życia. W czeluści dziedzińca kozy poruszały się niespokojnie. Nie beczwały, rzucając się to w jedną, to w drugą stronę i szeleszcząc liśćmi winorośli.

Dziewczyna podeszła do nich i nad grzbietami zwierząt wymówiła cicho słowa modlitwy. W odpowiedzi na dźwięk ludzkiego głosu kozy stłoczyły się przy niej, muskając kobietę gładkimi pyskami. Wspięła się na stołek i wyjrzała przez mur. Nic nie zauważyła. Coś nadprzyrodzonego niepokoiło zwierzęta, może było to wspomnienie zamordowanego człowieka, który tam leżał.

Na szczycie dachu zatrzymał się księżyc w pełni. Dziewczyna popatrzyła na niego w bezmyślnym zadziwieniu. Księżyc, podobnie jak Bóg, miał niewielką wartość dla takich jak ona. Był niczym więcej jak ogromną lampą, oświetlającą drogę innym.

Białe światło sączyło się na dziedzińcu.

Dziewczyna rozejrzała się po znajomym otoczeniu. Dostrzegła coś niezwykłego. W górze, z okna pokoju cudzoziemca, zwisał jakiś kształt.

Nie mogła dostrzec, co to takiego.

Był długi, ciemny, kosmaty - światło księżyca ukazywało tylko kłaki tkaniny czy futra. Był to jakiś dywanik, może skóra zwierzęcia, zdawało się bowiem, że widać zarys głowy czy jakiejś maski.

Nagle kształt poruszył się. I nie byk to gra świateł. Ozwał się zgrzyt i chrobot, jak gdyby pocierano o ścianę kawałkiem metalu.

Dziewczyna przykucnęła między napierającymi kozami. Wpatrywała się w tę jeszcze jedną żywą istotę, która wyslizgnęła się teraz z okna i wijąc się, szła na ukos po ścianie.

Służącą ogarnęło przerażenie, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. W jej świetle nie należało oczekiwać pomocy. Kozy, powodowane tym samym, czy może ostrzeżone instynktem, nie zabeczały.

Włochata istota pełzała po ścianie. Ciężka głowa kołysała się na boki, węsząc. Nagle w świetle ukazały się długie, wygięte łapy o wystających ścięgnach. Pazury chowały się i wysuwały, zagłębiając w szczeliny w murze.

Stwór zatrzymał się znowu po kilku krokach. Uczepiony ściany jak mucha, uniósł łeb w kierunku księżyca.

Dziewczyna zobaczyła długi pysk i dwoje ślepi, które zaświeciły nagle martwo jak srebrne monety. To wystarczyło, by nabrała przekonania, że potwór nie jest przywidzeniem. Zwinęła się w kłębek, zakryła rękami głowę i nie patrzyła dłużej. Kozy nadal stały bez ruchu. Ich ciałami wstrząsały tylko gwałtowne dreszcze. Głęboko osadzonymi oczami wodziły za bestią.

Stwór zwiślał jeszcze przez chwilę z krawędzi budynku, po czym ruszył przed siebie w dół, aż znalazł się na murze otaczającym dziedziniec. Oddał mocz i stał tam przez chwilę - bezkształtna, skurczona masa, ulana jedynie z mroku i światła księżyca. Nagle znów zakotłosał głowę i lodowatymi oczami powiódł po dziedzińcu. Nie zainteresował się niczym, a może nie potrafił jeszcze kierować swą uwagą. Po chwili zsunął się z muru na ulicę - gwałtownie i niezdarne jak worek kartofli.

Na spieczonej od żaru ziemi zachrobotowały jego pazury, po czym bestia powoli odeszła w głąb ulicy.

Ulicami zawładnęła noc. Ocierała się o drzwi i ściany budynków.

Ludzie spoglądali z oświetlonych okien w mrok i widzieli, jak biegnie. W ciemnościach zawsze jest coś, czego należy się bać. Dlatego zapal lampę i zarygluj drzwi. W ciemnościach zawsze odciska się znak śmierci i cmentarzyska.

Czarny Olbrzym, spieszący późną nocą z jakimś ładunkiem, również to wyczuł, przycisnął więc amulet do warg. Marjannah także ogarnęło nagle przeczucie, kiedy stała w swym szafranowym oknie. Załkała i, szukając pociechy, zaczęła przemawiać do ptaka w klatce.

Wielu żebraków i włóczęgów odwróciło się, czując tchnienie Szatana, zadowoleni, że nie muszą przekonywać się na własnej skórze, czy to rzeczywiście powiew śmierci.

On pozostawał nadal niewinny i bojaźliwy, nie znał jeszcze swej siły i z zadziwieniem poznawał otoczenie.

Przemykał między cieniami, rozkoszując się swą wolnością. Był niebezpieczny - jakże niebezpieczny - ale nie w pełni świadomy swej mocy.

Nad wszystkim unosiło się monotonne dudnienie księżyca, wszechpotężnego pana przyływów i odpływów, władającego wodą i krwią płynącą w żyłach ludzi, łonami kobiet i każdą żywą istotą oddychającą na ziemi.

Surim Bey podniósł się z otomany w komnacie przesiąkniętej zapachem hiacyntów, lukrecji i seksu. Stał w wysokim oknie i wpatrywał się w noc. Nie mylił go instynkt. W tym czasie jego ludzie przeczesywali boczne zaułki i przystanie w poszukiwaniu wszelkich informacji o brylancie. Surim Bey trwał w pogotowiu.

Zdawało mu się, że noc przybrała jakiś kształt, owinęła się wokół jego domostwa, wbijając kły w bramę, zaglądając do okien.

W mroku dał się słyszeć jakiś odległy dźwięk, nie krzyk, ale wyszeptane pojedyncze słowo.

Chłopiec zerwał się z łóżka, podbiegł do Surim Beya i chwycił go za nogę.

- Co to było, ojcze?

- Nie bój się - odparł Surim Bey. Na mięsistym karku, ramionach i dłoniach włosy stanęły mu dęba.

- Jakiś pies, ojcze?

- Tak, kochanie, to tylko pies. Odgłos nie powtórzył się.

Surim Bey wypowiedział w naelektryzowane powietrze słowa zaklęcia.

Natomiast łowca szczurów nie był pobożnym człowiekiem. W świetle księżyca zszedł z górnych ulic między rudery. Przez ramię przewieszony miał kij, symbol swe rzemiosła. Z kija zwisały ścierwa trzech zasuszonych szczurów o sztywnych wąsach i kołyszących się ogonach. Szklane oczy błyskały od czasu do czasu. Szczury te, niegdyś harujące po zaułkach, żyły teraz na kiju swego pana, zwiastując upadek swojej rasy.

Księżyc stał wysoko, jednak poniżej, jak gęsta krew, sączył się mrok.

Szczurołap wyszedł na otwarty plac z białą studnią, obok której spoczął jej czarny jak atrament cień. Nagle z mroku wyszło mu coś na spotkanie.

Mężczyzna zawahał się. Był przyzwyczajony do małych stworzeń, przebiegających między cieniem a światłem, to jednak było coś dużego, większego niż pies czy nawet biegnący na czworakach mężczyzna.

Kształt wychylił się z mroku, po czym zniknął za studnią. Szczurołap zatrzymał się, nie mając ochoty na spotkanie ze zwierzęciem.

Zapadło grobowe milczenie. Nad piętzącymi się lepiankami wznosił się cichy księżyc; wszystkie małe stworzenia skulone czekały w ukryciu.

Szczurołap zaś ze swym kijem trwał w białości nocy.

Postąpił wreszcie krok do przodu. Nic się nie poruszyło. Może bezkształtny kłęb dymu, który mignął mu przed oczami, zniknął, a może w ogóle go nie było... Stał na skraju rzucanego przez studnię cienia. I nagle cień podniósł się, by go powitać. Rósł, aż osiągnął wzrost mężczyzny. Był niemal ludzkich kształtów, lecz nie był człowiekiem. Łowca szczurów zobaczył głowę bestii: ciężką, ogromną, czarną jak heban, zwężającą się ku górze, z grzywą i dwojgiem wielkich ślepi, odbijających jedynie światło księżyca.

Nagle lekkim, niemal wdzięcznym ruchem stwor rozdarł ciało mężczyzny od podbródka po krocze. Zanim ten zdążył krzyknąć, bestia wyrwała mu struny głosowe.

Człowiek upadł z rozrzuconymi na boki ramionami. Kij z brzękiem uderzył o ziemię. Trzy zasuszone szczury, niegdyś ofiary łowcy, obserwowały, jak bestia rozszarpuje i wyciąga wnętrzności ich oprawcy.

Po chwili jedynym dźwiękiem pozostał tylko cichutki plusk, pieśń wody krążącej w studni.

Szczury leżały bez ruchu. Bestia podeszła i obwąchała je. Czarną łapą o szerokich, lśniących paznokciach, dłuższą niż stopa mężczyzny, przewróciła zasuszone zwłoki i pozostawiła w tym samym miejscu.

Księżyc chował się za wzgórzami, zanurzał między dziedzińce i ogrody, przeglądając się w sadzawkach i przystając na płaskich dachach.

Kopuła mroku zamknęła się nad studnią i nad ruderami, zakrywając wszystko.

Promienie słońca utworzyły plamę na podłodze.

Było późno. Ulice i dom ogarnęło popołudniowe rozleniwienie. Żar rozkwitał w pokoju jak róża.

Daniel usiadł na posłaniu, miał straszne zawroty głowy, które stopniowo ustąpiły. Bolał go każdy miesiąc, jak gdyby został dotkliwie pobity.

Przypomniawszy sobie, jak chory wrócił wieczorem do mieszkania. Bolały go ręce i nogi, klatka piersiowa omal nie popękała w szwach... Jego ciało jednak było nie naruszone i teraz już chłodne, czuł się jedynie roztrzęsiony, jak po jakimś potwornym przeżyciu. Ciało pozostało spięte i poranione wewnętrznie po ataku konwulsji, które, jak był przekonany, przyniosą mu śmierć.

W pociętym promieniami księżycy mroku nachodziły go też jakieś sny... Nic nie pamiętał, jedynie jakieś dziwne zmieniające się obrazy ulic i ścian, widziane z wysokości, pod jakimś dziwnym kątem.

Daniel wstał. Położył się spać w ubraniu, ściągnawszy jedynie surdut. Wokół przewróconego dzbanka lśniła kałuża rozlanej wody.

Rozległo się stukanie do drzwi. Okazało się tak nie w porę, że Daniel odruchowo powiedział:

- Proszę wejść.

W drzwiach ukazał się sekretarz okularnik, pracujący dla Surim Beya. Był starannie ubrany w białe szaty. Wokół niego rozciągał się zapach perfum. Stał w zagraconym pokoju, nie rozglądając się dookoła i spoglądając jedynie na Daniela, jak gdyby ten wyglądał tak jak zwykle, był umyty, uczesany i spokojny.

- Dzień dobry, panie Vehmund. Ma pan przyjść do domu Surim Beya.

- Ach tak. Więc są jakieś listy, czy tak?

- Surim Bey ma dla pana jakąś wiadomość.

Sekretarz splótł pulchne palce o zadbanych paznokciach. Daniel zdrętwiał, gdy w powietrzu zawisło coś niejasno znajomego. O jaką wiadomość chodzi? Rzeczywiście prosił o coś Surim Beya. Tak, o brylant. Grubasowi udało się go znaleźć. Daniela ogarnęło niezrozumiałe przerażenie, odbierając mu władzę w mięśniach.

- Dziś już nie przyjdę - powiedział. - Przepraszam w moim imieniu Surim Beya. Przyjdę jutro, jutro na pewno.

- Musi pan przyjść właśnie dzisiaj - odparł sekretarz.

- Idź do diabła i jemu też możesz tego życzyć. Nie jestem niczym niewolnikiem. Przyjdę jutro.

- Mam rozkaz na pana poczekać - odparł spokojnie sekretarz. Zdawało się, że Surim Bey przewidział opór Daniela. Jak gdyby nie chciał dłużej niż to konieczne pozostawać sam na sam ze swymi informacjami. Jak gdyby chciał pozbyć się tych słów, które miał do przekazania, brylantu i wszelkiego po nim śladu.

- Dobrze. Poczekać na zewnątrz. Sekretarz wyszedł na wąski i kręty korytarz.

Daniel doprowadził się do porządku, na ile zdołał. Mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa przy każdym ruchu, ręce drżały. Zaczesał do tyłu włosy, myśląc o złocistych puklach matki, które zdążyły już posiwieć. Poczł smutek jak w czasach dzieciństwa.

Gdy wyszedł na korytarz, sekretarz skłonił się przed nim, po czym ruszył przodem, jak gdyby Daniel nigdy jeszcze nie był w domu Surim Beya i należało go tam zaprowadzić. Nie chciał oczywiście kroczyć u boku niewiernego.

Brązowymi ulicami wspięli się do gaju pomarańczowego przy domu Surim Beya. Gdy tylko znaleźli się na dziedzińcu, sekretarz odszedł. Na otomanie, ocieniony baldachimem, siedział Surim Bey. Był świeżo po kąpieli i przypominał dojrzałą śliwkę.

- Siadaj - odezwał się.

Daniel wolno usiadł na krześle w miejscu, gdzie zazwyczaj stało biurko i starał się rozluźnić rozdygotane mięśnie.

- Znalazłem to, czego szukałeś - powiedział Surim Bey.

- To znaczy brylant.

- Brylant, który nazywają Wilkiem z powodu niewielkiej skazy w jego sercu. To kamień cieszący się złą sławą, tak jak mnie ostrzegałeś. Nie mówi się o nim nic konkretnie, ale pewne

znaki świadczą przeciwko niemu. Złodziej, który go ukradł, nie zatrzymał klejnotu przy sobie. Kamień wiele razy przechodził z rąk do rąk. W końcu trafił w posiadanie pewnej francuskiej świni, właściciela burdelu. Ten człowiek wyjeżdża stąd lada chwila. Nie wie nic na temat tego klejnotu i zabiera go ze sobą jako niezwykle cenne cacko, które będzie mógł sprzedać na Północy.

- Bardzo dużo się pan dowiedział.

- Tak, rzeczywiście.

- Jak nazywa się ten człowiek?

- Wcale się nie nazywa - odparł Surim Bey. Jego oczy były bez wyrazu jak na marnym portrecie. - Natomiast za trzy dni wyrusza w drogę na statku zwanym „Cos”. To mały statek. Odnajdziesz tego człowieka bez trudu. Masz pieniądze na przejazd?

- Nie - odparł Daniel.

- Dostaniesz je - powiedział Surim Bey. Klasnął w ręce. Z pierścieni na pulchnych palcach posypały się iskry. Wśród tych, którzy poszli, by spełnić niemy rozkaz swego pana, nastąpiło gwałtowne poruszenie.

- Dlaczego? - spytał Daniel. - Dlaczego zamierza pan dać mi...

- Ponieważ chcę się ciebie pozbyć - odparł Surim Bey. - Chcę mieć pewność, że wyjechałeś razem z brylantem.

Ból w ciele sprawił, że Daniel nie zrozumiał ostatnich słów. Wcale nie wydawało mu się dziwne, że Surim Bey da mu pieniądze, ani że on sam pojedzie za brylantem. W sumie planował wyjazd już od dawna, no może nie na Północ, bo właśnie stamtąd niedawno uciekł, ale to było i tak bez znaczenia.

- Ale dlaczego nie chce pan wyjawić mi nazwiska tego Francuza? - zapytał bez zastanowienia.

- Przysięgałem, że go nie wyjawię. Nie będzie ci trudno ustalić na pokładzie, który to z pasażerów.

Czerwone smugi dziennego światła rozciągały się na dziedzińcu. Sadowka rzucała cień, który przypominał Danielowi jakąś inną, białoczną scenę. Pewnie jakiś sen.

Zjawił się służący, niosąc przed sobą wielką skrzynkę z laki. Surim Bey obojętnie odliczył lśniące monety, wrzucił je do jedwabnego woreczka, który służący podał następnie Danielowi.

- Byłem zadowolony z twojej pracy - powiedział Surim Bey. - Ale teraz nie zwlekaj ani chwili dłużej. Wyjedź stąd.

- Czy widział pan brylant? - zapytał Daniel.

- Widziałem człowieka, który go oglądał.

- Czego się pan obawia?

- Ten kamień jest przeklęty. Sam to powiedziałeś.

- Wymyśliłem to, abyśmy nie weszli sobie w drogę.

- Trzeba przyznać, że był to niezły pomysł. Nigdy nie dotknąłbym tego kamienia ani nie pozwolił dotknąć swojemu słudze. Nie pozwoliłbym też, aby znalazł się pod moim dachem. Ty dotknąłeś go, dlatego chcę, żebyś ruszył stąd natychmiast.

Daniel wstał. Służący już gdzieś zniknął.

- Ten brylant może być wart fortunę - powiedział Daniel.

- Nie, to tylko latarnia strachu.

- Jeżeli odbiorę go temu pańskiemu Francuzowi, będę bogaty.

- Owszem, już spłynęły na ciebie jego hojne łaski. Ten kamień jest przeznaczony dla ciebie albo dla kogoś takiego jak ty.

- To wszystko bzdury - odparł Daniel. - Zwrócę panu pieniądze możliwie jak najszybciej.

- Nie, niczego mi nie przysyłaj.

- W takim razie wyjeżdżam.

- Oby jak najszybciej.

Daniel roześmiał się. Nagle owładnęła nim niepoohamowana żądza działania. Dziedziniec stał się mikroskopijny, grubas był już tylko figurką z papieru. Statek znajdował się w zasięgu ręki jak dojrzały owoc. A na jego pokładzie mienił się brylant, bajkowy kamień, lśniący w gąszczu promieni słońca, czasu i przestrzeni.

Surim Bey mamrotał słowa modlitwy. Daniel zdał sobie sprawę, jak bardzo grubas jest przerażony i znowu zachciało mu się śmiać. Jednakże w milczeniu i z pieniędzmi w kieszeni opuścił dziedziniec i ruszył przez wąskie uliczki. Mijał drzwi, mury, bramy, minarety, stracone już dla niego bezpowrotnie.

2.

Na pokładzie „Cos” stało trzech podróżnych, obserwując oddalający się ląd. Statek przewożąc nielegalne towary w ładowni sunął na zachód, mając przed sobą dwadzieścia dni rejsu. Po drodze nie przewidywano żadnych postojów. Widać było jeszcze złociste pasma lądu, wkrótce jednak mieli znaleźć się na otwartym morzu. Wielkie ryby przecinały wodę jak ostrza mieczy. Zapach porannej kawy i czekolady absurdalnie krążył nadal po pokładzie. Marynarze ruszyli do swej codziennej brudnej roboty. W górze falowały żagle, zwisając nad statkiem jak chmura, ciężka od zwojów płótna, rzucająca na pokład plamy cienia.

Przy relingu w pobliżu kasztelu stał, paląc cygaro, Pierre Faude. Był szczupły, ciemnowłosy, o nerwowych ruchach, ubrany w popielaty surdut, niedbale ogolony. Był niespokojny; jak owad strzegący czegoś w swoim brzuchu, zadowolony ze zdobyczy, czujny wobec drapieżców. Każdy, kto na niego patrzył, mógł się domyślić, że człowiek ten prawdopodobnie ukrywa przy sobie cenne trofeum. Faude nie potrafił opanować podniecenia; zdradzał się, ponieważ nigdy dotąd nie trafiła mu się podobna okazja. Zaoferowano mu klejnot za cenę honoru. Z zadowoleniem przystał na transakcję. Jego niewprawnym oczom kamień wydawał się wprost bajeczny. Ukradkiem oddał go do wyceny. A więc brylant. Wyjechał właśnie ze względu na jego wartość, pozostawiając innym prowadzenie lukratywnego, choć ryzykownego proceduru.

Była jeszcze sprawa zmarłej dziewczyny. Podjął ryzyko, zajmując się nią, chociaż nie zrobił tego bez zadowolenia. W końcu zajmował się dostarczaniem kobiet i od czasu do czasu za odpowiednią opłatą zgadzał się, by jego dziewczyny znosiły pewne trudy. Nie miały nikogo, komu mogłyby się poskarżyć. Tamtą znalazł w brudnych zaułkach dzielnicy portowej. Miała oczy i włosy jak z perskiej miniatury, skórę jak atlas. Poszła z nim oszalała z głodu i rozpaczy. Zao opiekował się nią, nakarmił i wyszkolił, by stała się doskonałym towarem. Bez niego umarłaby z nędzy w przeciągu kilku dni. W zamian za to miesiąc później, w zamkniętym pokoju, dziewczyna została związana na dywanie i na oczach jakichś dwudziestu mężczyzn skopana na śmierć dla ich przyjemności. Straszliwa śmierć, powolna, kat bowiem doskonale opanował swą sztukę. Dziewczyna i tak w końcu by szczęła, a on, Pierre Faude, którego, jak inne dziewczyny, ona także nazywała „ojcem”, ofiarował jej miesiąc wystawnego życia. Za wszystko trzeba płacić. Może jednak wybuchnął skandal. Wyjazd to całkiem niegłupie rozwiązanie.

Oparł się o reling i obserwował przypominający zastygłą wodę kontur lądu, któremu nigdy już nie chciał przyglądać się z bliska. Jeden ze współpasażerów, handlarz daktylami, podszedł, aby pogawędzić, ale Pierre Faude nie kwapił się do rozmowy i odpędził go nerwowymi gestami.

Handlarz, który pragnął jedynie ubić z kimś interes, co stanowiło istotę jego życia, wycofał się. Po pokładzie zbliżył się natomiast Anglik, nazwiskiem Vehmund, który był chyba chory i przebywał cały czas w swojej kajucie, nie stołując się nawet w mesie. Francuzowi nie podobał się ten człowiek. Oczywiście ich narody tradycyjnie nie lubiły się, w niechęci Faude'a było jednak coś więcej. Vehmund był bardzo przystojny, co w przypadku mężczyzny stanowiło dla Faude'a rzecz niezwykłą. Był to towar, którego nie potrafił należycie wycenić i w takiej sytuacji czuł się niezręcznie. Poza tym nie odstępował go nieomylny strach, iż Vehmund interesuje się nim z jakiegoś powodu. Czuł to nawet przez zamknięte drzwi kajuty. Czyżby ten łotrzyk wiedział coś o klejnocie?

Daniel zatrzymał się przy relingu, niecałe sześć stóp od Francuza.

Za nimi wznosił się grotmaszt przypominający cumulusa. Umorusani marynarze jak potępieńcy pędzili to w górę, to w dół, wykonując odwieczne prace na statku.

- Dobra pogoda do żeglugi - odezwał się Daniel Vehmund.



- Rzeczywiście - uciął Faude tonem pełnym rezerwy, jak gdyby mówił: „Daj mi, człowieku, święty spokój”.

- Wczoraj wieczorem - mówił Daniel - widziałem nad wodą księżyc. Stał w nowiu, a jednak wydawał się taki wielki. - Faude nie odpowiedział. - I ryby w tutejszych wodach są przedziwne, nieprawdaż? - Daniel zaczął mówić po francusku. Dobrze władał tym językiem, Faude zaś zinterpretował to jako dalsze narzucanie się ze strony Anglika.

- Tak, rzeczywiście - szorstko odpowiedział po angielsku.

- Jak się panu podoba rejs?

- Rejs? Nic szczególnego. - Faude nieopatrznie zaczął używać ojczystego języka.

- A pańska kajuta? Czy aby wygodna?

- Dlaczego pan o to pyta? - zapytał obcesowo Faude, nie mogąc znieść indagacji.

- Moja jest dosyć ciasna. Trudno poupychać tam bagaże.

- Doprawdy?

- Gdyby ktoś przewoził na przykład coś szczególnej wagi, coś cennego...

Faude popatrzył uważnie na Daniela, przygryzając usta. Więc ten łajdak wie. Czy ktoś go nasłał? Czy wynajęli go ci, którzy pragnęli rozdmuchać skandal wokół tamtej dziwki?

- Czego chcesz? - spytał Faude.

Daniel popatrzył na niego. Miał oczy koloru miodu, które mogłyby należeć do kobiety albo młodego chłopca.

- Chcę tylko, by okazał pan swoją życzliwość.

- Wobec tego, niechże pan powie, co się naprawdę za tym kryje.

- Nic się za tym nie kryje, proszę pana.

- Tak, działa pan z polecenia władz. Stara się pan wywiedzieć o moje plany.

- Byłbym uszczęśliwiony, znając pańskie plany. Czy mógłby mi pan zaufać?

Francuz zaklął i splunął do morza.

Daniel czekał cierpliwie, nieruchomy jak kamień, który nagle okazuje się wężem.

- Ile pan żąda? - spytał Faude. - Żeby zostawić mnie w spokoju.

- Niczego nie żądam.

- Więc nie da się pana przekupić.

- Ależ skąd. Zdziwiał mnie pan. Skąd ta podejrzliwość? Można by pomyśleć, że ma pan wiele do ukrycia.

Jeden z marynarzy ześlizgnął się z takielunku i jak małpa zeskoczył na pokład. Faude spokojnie przeciągnął palcem po źle ogolonym policzku.

- Chciałbym, aby podał pan swoją cenę albo zostawił mnie wreszcie w spokoju.

- Moją cenę - powtórzył Daniel. Posłał Francuzowi długie spojrzenie z jakby zalotnym błyskiem w oku. - Prawdopodobnie ma pan coś, czym byłbym zainteresowany.

Faude przemówił ostro po francusku:

- Zapamiętaj to sobie. Jeżeli pod jakimkolwiek pozorem wejdiesz do mojej kajuty, zastrzelę cię. Mam czym. I zapamiętaj sobie jeszcze, że w porcie, do którego dobijemy, będą czekać na mnie pewni ludzie. Jeżeli mnie nie znajdą, zaczną wszędzie węszyć i może wtedy natkną się na ciebie, mój panie.

- Ależ to nieładnie z pana strony - odparł Daniel. Mówił łagodnie jak pijaczyna, który zachowuje się grzecznie i nie potrafi zrozumieć obrazy i potraktować jej poważnie. - Co takiego zrobiłem?

- Niech pan nic nie robi, bardzo proszę, panie Vehmund. Dla swojego własnego dobra. Bo inaczej pan przegra.

- Jeżeli pan mnie zastrzeli - stwierdził Daniel - to przypuszczam, że będzie pan musiał przed kimś się wytłumaczyć.

- Nie sądzę. Moi przyjaciele w porcie już się mną zajmą.

- Więc taki jest pan potężny. - Daniel popatrzył uważnie na Francuza. - Ale rzeczywiście ma pan w swym posiadaniu coś wyjątkowego. Gdybym stwierdził, że niegdyś przedmiot ten należał do mnie, uwierzyłby mi pan?

- Oczywiście, że nie.

- Ależ tak jest, mój panie. To moja własność. Moje prawo jest potężniejsze niż religia i trwalsze od pieniędzy.

- Niech się pan strzeże.

- I pan niech ma się na baczności. Teraz musi pan zacząć czuwać z myślą, że lada chwila mogą się zgłosić po swoją własność. Nie wolno panu zasnąć przez całą noc.

- Pan jest wściekłym psem - stwierdził Pierre Faude ogarnięty śmiertelnym przerażeniem.

- Nie, jestem łagodny jak baranek - odparł Daniel. Odwrócił się. Francuza uderzyło w jego profilu coś okrutnego, zwierzęcego.

- Zapamiętaj sobie - powiedział Faude - że nie tylko ze mną będziesz miał do czynienia.

- Czuwaj i módl się - odparł Daniel, po czym oddalił się wolno po pokładzie.

\* \* \*

O zachodzie słońca w mesie zebrało się na obiad pięciu pasażerów, kapitan i dwóch oficerów.

Kapitan był wesołym łotrzykiem, który stracił niegdyś lewe oko i dwa ostatnie palce u prawej ręki. Mimo to przez cały czas chodził uzbrojony w pistolet i nóż myśliwski. Jego odzienie, niegdyś rażące krzykliwą elegancją, było teraz sztywne od brudu. Dwaj oficerowie byli jego gorszymi kopiami. Drugi oficer posunął się nawet tak daleko, że stracił mały palec u lewej ręki. Wszyscy trzej nosili w uszach kolczyki.

Pasażerowie stanowili barwną zbieraninę. Poza przystojnym Anglikiem i ogorzałym Francuzem był tam tłusty, łysy handlarz daktylami, tłusty kudłaty kupiec zajmujący się handlem oliwą oraz wychudzony, zamknięty w sobie skromny urzędnik lat około dwudziestu.

Daniel dołączył do tego towarzystwa w momencie, gdy odbyło się już jedenaście wspólnych obiadów. Obydwaj kupcy wiedli tutaj prym z nadzieją zrealizowania swych zamierzeń handlowych. Od czasu do czasu kapitan zabierał głos, twierdząc, iż wszyscy ludzie są nic niewarci i przytaczając liczne tego przykłady związane tak z życiem na morzu, jak i na lądzie. Urzędnik nerwowo zaciskał ręce i nie odzywał się ani słowem. Francuz uśmiechał się szeroko i niekiedy wtrącał swoje trzy grosze, jednak jego sądy pozbawione były raczej oryginalności.

Daniel, znalazłszy się w mesie, usiadł bez słowa. Obserwował poszczególnych mówców i najwyraźniej słuchał, nie komentując jednak ani nie przychyłając się do niczyjego zdania. Kapitan nie wciągał go w rozmowę i nie prowokował. Twarze Europejczyków nie robiły na nim żadnego wrażenia. Niczego od nich nie oczekiwał i gardził wszystkim, co oferowali, poza skinieniem głowy. Taką samą pogardę czuł dla Francuza Faude'a.

- Ale czy pogoda utrzyma się do zawinięcia do portu, kapitanie? - zapytał handlarz daktylami, który, między innymi, szczycił się swym żołądkiem wilka morskiego.

- Tak, tak. Bóg jest dla nas łaskawy. O tej porze roku możemy spodziewać się tylko najlepszego. - Kapitan spojrzał na Daniela i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Żadnych burz ani sztormów.

Daniel skinął głową.

Kapitan z obowiązku popatrzył i na Faude'a, który odpowiedział po francusku:

- To dobrze, dobrze.

Kapitan odezwał się również w tym języku:

- A więc zadowolony pan, że wybrał właśnie mój statek? Faude zmarszczył brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- To całkiem dobry statek. Ale ten osobnik - wskazał na Daniela - zaczął mi grozić dzisiaj rano. Doprawdy jestem wręcz zmuszony, by prosić pana, kapitanie, o ochronę.

Jedyne oko kapitana zabłysło.

- O co tu chodzi? Jakaś zemsta?

- Przewożę pewien przedmiot, na który w porcie będzie już ktoś oczekiwać. Natomiast ten Anglik twierdzi, że mi ową rzecz odbierze.

- Czy mógłbym wiedzieć...?

- Niestety nie, kapitanie. Jestem związany przysięgą. A zresztą powiem panu.

Obydwaj kupcy zamilkli. Urzędnik trzymał w ustach kciuk. Trzy pary szeroko otwartych oczu wpatrzyły się we Francuza, po czym spoczęły na Angliku.

Handlarz daktylami zwrócił się do Daniela.

- No i co ma pan do powiedzenia? Daniel podniósł wzrok.

- Nic - odparł.

- Ale monsieur Faude oskarża pana...

- To jego sprawa.

Kapitan podniósł rękę. Złą angielszczyzną zwrócił się bezpośrednio do Daniela:

- O panu mówić, że grozić. Co pan powie? Daniel wzruszył ramionami.

- Monsieur Faude nie ma do mnie zaufania - powiedział. - Wyraziłem jedynie swoje zainteresowanie ogromnym brylantem, który przewozi.

Zaległo długie milczenie. Statek skrzypiał, lampa wisiała nieruchomo nad biesiadnikami.

Jako pierwszy przerwał ciszę handlarz oliwą.

- Brylantem?

Pierre Faude strzelił palcami.

- To nic takiego. Kamień pośledniego gatunku. Człowiek, który czeka na niego w porcie, jest z nim po prostu związany emocjonalnie.

- Brylant - powtórzył kapitan. - Cmoknął ustami, po czym uważnie spojrzął na Francuza.

Pierwszy i drugi oficer zwrócili oczy w tę samą stronę.

- Jestem zobowiązany do wykonania tego zadania - powiedział Faude. - Pewni ludzie spodziewają się mojego przybycia.

- Chciałbym zobaczyć ten klejnot - odezwał się handlarz daktylami.

- To niemożliwe! - zaprotestował Faude. Wyciągnął chusteczkę, po czym wydmuchał nos tak głośno, jak gdyby dął w róg, obwieszczając w ten sposób koniec rozmowy.

Daniel przyglądał mu się uważnie. Teraz Faude może zewsząd spodziewać się napaści, nie tylko ze strony dobrodusznego, jednookiego kapitana.

Vehmund natomiast nie zamierzał atakować Francuza. Właściwie nie był pewien, co powinien zrobić. Wiedział jedynie, że pomiędzy nim a klejnotem, który widział ostatnio wydobyty z kubka z winem, istnieje jakaś bariera powietrza, odzienia, skóry. Ten kamień należy do niego. Do niego, który niegdyś odmówił jego przyjęcia, teraz zaś uwierzył w wierność klejnotu, zdawało się bowiem, że brylant zamierzał sam wrócić do niego, wbrew woli Faude'a i chciwości innych pasażerów.

Czuł się fatalnie, gdy wsiadał na statek. Bolały go mięśnie, drżał, było mu niedobrze. Doczołgał się do swojej kajuty i czekał, aż poczuje się lepiej. Statek sunął coraz dalej, a organizm Daniela stopniowo pokonywał chorobę. Vehmund zauważył Pierre'a Faude'a, zanim jeszcze rozpoczął z nim rozmowę. Jak przewidywał Surim Bey, nie miał kłopotów z rozpoznaniem tego człowieka.

Poczuł lekkość i pewność siebie. Jak gdyby był pijany, co wobec lichego trunku, jaki stawiano na kapitańskim stole, wydawało się niemożliwe.

Nagle rozmowa zaczęła nieszczerze toczyć się wokół opowieści o statkach widmach, zjawiskach dziwnych i niematerialnych. Wszyscy stołownicy z wyjątkiem Daniela

wpatrywali się teraz w Faude'a, jak gdyby był istotą z Marsa. Francuz krzywił się i wił jak robak pod mikroskopem. Nawet jego milczenie było nieszczerze.

Noc zawisła nad wodą ogromnym łukiem czerni o przedziwnym blasku. Gwiazdy, księżyc i fosforyzujące nitki rozciągnięte wzdłuż grzbietów fal połączyły się, tworząc srebrzystą poświatę.

Daniel przez kilka godzin leżał na wznak, obserwując przez świetlik to dziwne zjawisko. W końcu przymknął oczy wpatrzone w błyskający mrok. Zasnął i nawiedził go sen, taki sam jak na łodzi, sen o brylancie. Klejnot wisiał w klatce na ptaki należącej do Marjannah, jednak nie w jej mieszkaniu, lecz w pograżonej w mroku bocznej uliczce powyżej portu. Gdy się doń zbliżył, twarz owiał mu dochodzący z klatki podmuch. Padł na kolana i w tej pozycji zaczął biec. Nie sprawiało mu to żadnej trudności.

Obudził się, czując duszność w piersiach.

Jakiś marynarz, jeden z najniższych rangą wśród nielicznej załogi, zakradł się do jego kajuty. Ukląkł na ciele śpiącego i ręką zakrył Danielowi usta, pochylając nad nim swą brodatą, pełną blizn twarz. Śmierdział, jak może cuchnąć jedynie zaniedbana ludzka istota; potem, ekskrementami i czymś jeszcze. W tym, co robił, znać było jakieś potworne, złośliwe zadowolenie. A miało to być morderstwo, w rękę bowiem dzierżył czysty, lśniący nóż, tak odmienny od swego właściciela, gotowy jednak, by mu się przysłużyć.

Daniel był zbyt zdumiony, by odczuwać strach. „To robota Faude'a”, pomyślał. Francuz opłacił tego łotra i niewątpliwie kapitana, aby był mu posłuszny. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, bo wstrętne łapa zakrywała mu usta. Wdychał wolno zapach nocy i odór marynarza. Nagle jego wzrok napotkał świdrujące oczy swego kata. Ten roześmiał się bezgłośnie, ukazując spróchniałe zęby. Smród stawał się nie do wytrzymania.

- Umieraj w pokoju - powiedział marynarz. Nóż jak pikujący ptak zbliżył się do szyi Daniela.

Na ułamek sekundy przedtem, nim ostrze zagłębiło się w gardle ofiary, w oczach Daniela coś zabłysło. Tylko w ten sposób mógł jeszcze okazać swą moc. Czuł, że to się stanie. Nie była to prośba, klątwa, wściekłość ani groźba. To był rozkaz. Jak gdyby zwrócone na dzikiego psa, oczy Daniela wyrażały chłodne, władcze „nie”.

Marynarz zawahał się. Nóż zawisł w bezruchu, nie dosięgając celu.

Wyglądało to tak, jak gdyby niedoszły morderca znalazł się w sieci, omotany przez niewidzialne siły, jakie wyzwoliły się z żółtych oczu Daniela.

Marynarz rzeczywiście wił się i przeżył. Ręce odrzucił w bok, grzbiet wygiął do tyłu. Twarz skurczyła mu się i skomlać, rozdziawił usta.

- Nie - powiedział cicho Daniel. - Nie możesz tego zrobić, prawda?

- Bóg jest wszechmocny - zaskomlał marynarz. - Błagam o wybaczenie. - Zatrząsał się tak gwałtownie, aż jęknęła koja.

- Zejdź ze mnie i wynoś się, nędzna kreaturo. Mamrocząc pod nosem, marynarz usłuchał polecenia. Cofnął się do drzwi i przykucnął tam, niezgrabny jak kaleka. Ślina sączyła mu się z drżących warg. Nóż już wcześniej upadł na podłogę, wydając słaby brzęk. Zdawało się, że marynarz nie może oderwać wzroku od oczu Daniela.

Vehmund zamrugał powiekami wolno i z namysłem.

Marynarz zerwał się nagle i pokonawszy kilkoma susami trap, zniknął na pokładzie.

Daniel westchnął. Czuł, że oczy ma wielkie i rozżarzone, pełne siły, której pozbawiona była reszta ciała.

Dotknął szyi i nagle wybuchnął śmiechem. Nie wiedział właściwie dlaczego. Przypominało to wcześniejszy śmiech marynarza i miało coś wspólnego ze śmiercią, ale nie jego własną.

Podczas spacerów po pokładzie Daniel od czasu do czasu podchodził do Francuza.

Ciałem Faude'a wstrząsał dreszcz, Daniel jednak nie odzywał się do niego ani słowem, stał jedynie przy relingu kilka metrów dalej, wpatrując się w odległy ład przypominający skamieniałą wodę.

Podczas obiadów nie zamieniali ze sobą słowa.

Faude przez cały czas nosił brylant przy sobie, ukryty w małym, zamszowym woreczku zawieszonym na sercu. Zdawało się, że klejnot wypala tam dziurę. Nocami, gdy chował skarb pod poduszkę, pod ręką mając nieodłączny pistolet, czuł, jak kamień porusza się, niekiedy zaś zdawało mu się, że spod pościeli dochodzą niewyraźne, piskliwe dźwięki.

Obydwaj kupcy unikali zarówno Daniela, jak i Faude'a. Urzędnik nadal milczał i gryzł pałce dla uspokojenia.

Kapitan robił wrażenie wesołego, był jednak niezadowolony. Pasażerowie byli prawdopodobnie niebezpieczni i wśród załogi rozeszły się już jakieś mętne pogłoski.

\* \* \*

Każdej nocy nad wodą wstawał coraz większy księżyc. Ślad statku mienił się biały jak śnieg. Wielkie ryby wypływały na powierzchnię, rozkoszując się tym światłem. Srebrzysty krąg przyciągał je. Żarłoczny ocean wybrzuszał się w jego kierunku.

Daniel odnosił niejasne wrażenie, że musi się golić coraz częściej. Zarost na brodzie stał się twardszy. Ze zdziwieniem obejrzał swoje ciało. Włosy na rękach, w pachwinach zdawały się delikatniejsze i przypominały złociste pierścionki. Czuł się ospały. Przez świetlik zagapił się w bladą tarczę księżyca. Stracił apetyt. Bał się, że zbliża się kolejny nawrót gorączki. Odczuwał jednocześnie jakieś dziwne podniecenie. Jak gdyby powierzono mu wielką władzę, magiczną niemal moc ingerencji w przypadkowy bieg życia. Mimo wszystko zamierzał ukraść brylant. I zrobi to w świetle księżyca. Wystarczy gwałtownym szarpnięciem otworzyć drzwi kajuty Francuza - zaniki są dostatecznie liche - po czym jednym susem znaleźć się na ciele ofiary. Właściwie jakie o proste.

Po chwili znowu poczuł się ociężały. Sięgnął po kilka drobnych przedmiotów, grzebień, kubek, które natychmiast upuścił. Stracił stertę książek, które rozsypały się po podłodze małej kajuty.

Podczas gdy na statek padało srebrzyste światło księżyca, Danielowi przywidziało się, że przenika wzrokiem maszty, takielunek i ciała marynarzy, docierając do rusztowań szkieletów i parującej krwi...

Zdawało mu się, że jest bliski obłądu. Nie czuł strachu. Spostrzegł marynarza, który przyszedł, aby go zabić. Brodacz ukrył się natychmiast. To on się bał.

Rozgwieżdżona mapa nieba unosiła się nad statkiem w oczekiwaniu na wzejście księżyca. Lampa w mesie wisiała nieruchomo jak ciężki owoc, oświetlając pikantne puree z kartofli i prażony chleb, które podawano na statku na obiad.

- Anglikowi nie poszła w smak moja kuchnia - stwierdził kapitan, Daniel bowiem znowu nie pojawił się przy stole.

Handlarz daktylami zachichotał.

- Biedny marynarzyk.

- A jednak morze jest spokojne - oznajmił kapitan.

- Widziałem, jak ludzie rzygali pływając po jeziorze.

- Przynajmniej monsieur Faude nie musi wysłuchiwać jego grózb - powiedział handlarz oliwą.

- Ale z pewnością Anglik nie grozi już panu Faude? - zapytał żartobliwie kapitan. - Co właściwie teraz porabia?

Stołownicy przez cały czas wpatrywali się we Francuza.

- Nie spotkałem się już z dalszymi groźbami - odparł niespokojnie Faude.
- To dobrze - orzekł kapitan.
- Ale co się dzieje z pańskimi ludźmi, kapitanie? - zapytał handlarz daktylami. - Wygląda, jakby się czegoś bali.
- Nie, nic z tych rzeczy.
- Słyszałem, jak dwóch z nich rozmawiało o jakimś demonie, który zagnieździł się na statku - mówił dalej kupiec. - Tylko bezbożnicy mogą być tak zabobonni.
- Szczera prawda - odparł kapitan. - To zwykli głupcy.

Na pokładzie rozstawiono wachtę. Statek sennie sunął przed siebie. Wschód błękitniał na horyzoncie niczym stalowe ostrze.

Jakiś czas później pasażerowie rozeszli się do swoich kajut, kapitan zaś i oficerowie po zwykłym obchodzie zniknęli w swoim królestwie pod sterówką. Do tego czasu zdążył już wejść księżyc, zalewając wszystko bezlitosną białą poświatą.

Gdy gromkie okrzyki kapitana i oficerów ucichły, statek niczym widmo pograżył się w twardą białość nocy.

Dwaj marynarze stojący na wachcie przycupnęli pod grotmasztem i rozpoczęli grę talią zatłuszczonych kart o zielonkawych grzbietach, których łuskowaty wzór przypominał skórę krokodyla. Trzeci wachtowy pochrapywał z cicha na forkasztelu. W górze na bocianim gnieździe, niczym odpoczywający ptak, zawisł w niebezpiecznej pozycji inny majtek. Być może drzemał albo obserwował połyskującą wodę, spoglądając od czasu do czasu na przesuwane się po pokładzie cienie żagli.

Księżycowa poświata zakrzepła. Zapadła cisza zakłócana tylko pomrukiem drewna, metalu i płótna, pluskiem wody, bezdźwięczną muzyką zabłąkanych gwiazd wiszących nad wyprężonymi masztami i cichym oddechem rytmicznie wybrzuszanego się pod wodą kadłuba statku.

Spod pokładu, z samego serca statku, coś pojawiło się nagle, unosząc pokrywę luku, która opadła z głuchym brzękiem.

Człowiek na bocianim gnieździe spojrział w dół. Zobaczył, jak jakiś cień przesuwa się i znika - nie zauważył nic więcej poza towarzyszami na pokładzie.

Marynarz śpiący na forkasztelu nawet nie drgnął.

Dwaj ludzie grający w karty popatrzyli w kierunku kajut dla pasażerów. Ktoś wyszedł na pokład? Odczekali chwilę. Nikt się nie pojawił. Ogarnął ich niepokój. Podnieśli się z miejsc, przemierzając wzrokiem przestrzeń pod rozpiętymi żaglami.

Spowity białym światłem pokład był pusty.

Sternik w skupieniu utrzymywał statek na kursie, nie zwracając uwagi na jakiegokolwiek hałasy na pokładzie.

Pod bezanem pojawił się jakiś ciemny kształt, przypominający stojącą na czworakach ludzką istotę.

Nie zwalniając uścisku na sterze, marynarz zapatrzył się w dół, oczekując, iż w każdej chwili mężczyzna stanie na nogi. Zamiast tego czarny kształt przemknął w kierunku trapu, po czym wdrapał się po niej do sterówki.

Sternik nie wypuszczał koła z rąk. Patrzył przed siebie w osłupieniu. Zaledwie kilka metrów dalej zatrzymała się jakaś czarna, masywna bryła, przyczajona jak zwierzę, z czymś w rodzaju twarzy, o ukośnej szczęce i dwóch ślepiach jak księżyce. I nagle czarna postać wstała.

- Bóg jest wielki - powiedział jeden z graczy. - Słyszałeś ten krzyk?

- Nic nie słyszałem - odparł pospiesznie drugi marynarz. - Zupełnie nic.

- Ale na pewno ktoś krzyczał.

Obydwaj mężczyźni ukłękli i dotykając czołami desek pokładu zaczęli szeptać słowa modlitwy.

Na rufie płetwa sterowa kolebała się w obie strony. Nikt nie otrzymał koła. Gdy promienie księżycy spłynęły na sterówkę, ukazał się jakiś stwór, który przycupnął z podniesioną głową. Przypominał raczej niedźwiedzia niż wilka, miał jednak długi pysk, teraz rozchylony. Zimne, bezduszne oczy odbijały światło księżycy. Bestia wpatrywała się w srebrzysty krąg. Nie była wilkiem i właściwie jej nieforemne ciało nawet go nie przypominało. Czarny, ociekający krwią stwór przyczał się na oświetlonych białym światłem deskach.

Koło sterowe jęknęło z cicha i przekręciło się znowu w jedną i drugą stronę.

Dwaj marynarze pod masztem skończyli modlitwę.

- To nie było nic takiego. Ktoś wyszedł za potrzebą. Obydwaj uśmiechnęli się.

- Te grubasy co noc wychodzą, żeby się wyszczać.

- A urzędnik idzie na stronę, jakby był kobietą.

Księżyc kołysał się wysoko nad grotmasztem, po chwili zaś zaczął nieznacznie skłaniać się ku zachodowi.

Ospały marynarz na bocianim gnieździe nie sięgał wzrokiem ku sterówce. Nie widział tam także czarnej plamy ani koła, które tańczyło raz w jedną, raz w drugą stronę.

Księżyc opuszczał się po niebie.

Cień, który zamarł przy kole sterowym, zdążył już zniknąć.

Jeden z graczy podniósł wzrok i ponad pochyloną głowę towarzysza zobaczył oświetloną promieniami księżycy twarz Szatana. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Otworzył usta i w tej samej chwili czarne pazury bestii przeorały ciało drugiego majtka. Rozległ się suchy trzask, krew trysnęła fontanną; głowa została oderwana od tułowia. Spośród potoków krwi wysunęła się długa łapa i w chwili, gdy pozostały przy życiu marynarz zaczął krzyczeć, zacisnęła się na jego gardle.

Wilkołak przystanął nad ciałami ofiar, zanurzając czarny jęzor w świeżej krwi. Nie zaczął jednak pić. Odepchnął na bok krwawe strzępy, po czym odszedł dalej po pokładzie, zagłębiając się w gąszcz odbijającego światło księżycy takielunku.

Stwór, który kroczył jak goryl na dwóch łapach i dłoniach, był zwinny i potężny. Ogromny łeb kołysał się rytmicznie, jak gdyby napędzany bezszelestnym silnikiem. Ślepie wyblakły, gdy przestało odbijać się w nich światło księżycy, były zielonkawe, lecz bardzo ciemne.

Bestia dotarła do trapu prowadzącego na forkasztel. Wspięła się tam i ponownie przystanęła, jak gdyby przypatrując się śpiącemu marynarzowi. Nagle ruchem płynnym i zadziwiająco szybkim podbiegła do niego i zanurzyła ostro zakończony, przypominające sztylety kły w twarzy człowieka, zdzierając ją jak maskę. Zakończona pazurami łapa zdusiła cichy charkot, który nieszczęśnik wydał z siebie umierając.

Stąpając w kałuży krwi rozlanej po forkasztelu, bestia ponownie podniosła łeb ku księżycowi. Rozchyliła pysk i wydała z siebie basową, przytłumioną pieśń głodu. Głodu, którego nie mogło zaspokoić pożywienie. Odepchnęła z pogardą swą kolejną ofiarę i uniosła gruby, czarny kark. Ślepie zapłonęły białą wpatrując się w szczyt takielunku. Po chwili ponownie biegła susami przez pokład. Dotarła do podnóża masztu i zbliżyła doń lśniąco czarny pysk, obwąchując drewno. Nagle wstała, a swoje małe łapy, które mogły być jednocześnie ludzkimi dłońmi, łapami wilka czy jeszcze czymś innym, położyła na szczeblach i zaczęła bez żadnego trudu pięć się w górę, sunąć płynnie ku kolejnej ofierze.

Marynarz z bocianiego gniazda, podobnie jak jego towarzysze, nie zdawał sobie sprawy z tego, co niesie ze sobą noc.

Jego myśli krążyły właśnie wokół posiłku, jaki dostanie na dole, gdy tylko pojawi się kolejna wachta. Na statku jednak panowało zamieszanie i nie było wcale wiadomo, jak długo będzie jeszcze musiał czekać.

Jakiś cichusieńki dźwięk dochodzący z dołu sprawił, że majtek rozejrzył się, lecz nie dostrzegł żadnych powodów do obaw.

Z góry można było już zobaczyć wspinającą się bestię. Wyglądała jak czarna masa, z której wysuwała się głodna, wściekła, bezmyślna paszcza. Marynarz dostrzegł śmiercionośność, bielejące ślepia i czarny jęzor pomiędzy rzędami ostrych kłów. Krzyknął przeraźliwie. Na Boga i wszystko stworzenie, niech mu ktoś pomoże! Nikt jednak go nie usłyszał, nikt nie pospieszył na ratunek. W chwilę później, gdy rozległ się jego krzyk, z ciemności wysunęła się potężna łapa przypominająca teraz raczej ludzką rękę z lśniącymi pazurami zamiast palców, rozorała ciało mężczyzny, wyrzucając wnętrzności na zewnątrz.

Krew bryznęła deszczem ze szczytu masztu, kładąc się czarnymi plamami na bieli żagli, zalewając kałużami pokład.

Właśnie tę krew dostrzegli ludzie, którzy zjawili się, by przejąć wachtę. Odbity w niej ogromny ślad stopy był zbyt mokry i rozmazany, by cokolwiek wyjaśniać.

Nim się zjawili, ciemny kształt, idąc w ślady księżyca, zsunął się po maszcie i zniknął w na wpół otwartych drzwiach, które zatrzasnęły się za nim głucho. Tam też, w spowitej mętną poświatą kajucie Daniela, spoczął na podłodze, zamierając w bezruchu jak błąd wyprawionego futra. Blask jego oczu zniknął w chwili, gdy grzmiący księżyc ze skowytym zanurzył się w morzu.

Gdy na ziemię spłynęły pierwsze promienie słońca, Pierre Faude otworzył oczy, słysząc, że ktoś dobija się do kajuty.

- Co tam?

Przez zamknięte drzwi drugi oficer oznajmił mu, że ma natychmiast wstawać, ubrać się i przyjść do mesy.

- Po co, u diabła?

- Stało się coś potwornego. Faude usiadł i odrzucił kołdrę.

- Chodzi o Anglika? - spytał niecierpliwie.

Drugi oficer jednak nie odpowiedział, gdyż zdążył już odejść. Ozwało się walenie do kolejnych drzwi.

Faude ubrał się szybko, mając w tym wyjątkową wprawę, jego przeszłość bowiem obfitowała w sytuacje wymagające natychmiastowego działania. Anglik zachorował, czy nie żył? Czy podejrzenie padnie na niego, wynajął przecież jednego z marynarzy, niestety bez rezultatu. Słyszał, jak ostatniej nocy Daniel Vehmund krzyczał nieustannie. Pozostali pasażerowie nie słyszeli albo woleli nie słyszeć tych wrzasków. Być może jego wróg rzeczywiście nie żyje, po krzykach bowiem nastąpiła niczym już nie zakłócona cisza. Uśpiony wrzaskami, zadowolony z cierpień Vehmunda, Faude zapadł w sen.

Znalazszy się teraz w wąskim korytarzu, Faude stwierdził, że drzwi do kajuty Anglika są zamknięte. W ciągu nocy pozostawały lekko uchylone. Zamykając własne drzwi, dostrzegł coś nowego na ich płaskiej powierzchni. Były to cztery długie, głębokie, ukośne rysy, jak gdyby wyłobione ostrzem noża. Zadrżał, patrząc na poranione drzwi, przez sen bowiem nie słyszał żadnych odgłosów niszczenia. Zaświtało mu w głowie, że w ciszy, jaka nastąpiła po krzykach Anglika, ten wyszedł z kajuty i pokancerował jego drzwi. Ten człowiek był niebezpiecznym szaleńcem i do tego najprawdopodobniej wciąż pozostawał przy życiu.

Na spowitym porannym słońcem pokładzie zebrała się już cała załoga, nawet kucharz o wyglądzie łotrzyka. Wszyscy wałęsali się, pogrążeni w jakimś ponurym nastroju, przypominając wystraszone psy. Pod grotmasztem spoczywały jakieś toboły zawinięte w konopne wory. Pokład był poznaczony rdzawymi plamami.

Faude zszedł na dół, gdzie oczekiwali już kapitan z oficerami oraz wszyscy pasażerowie z wyjątkiem Daniela Vehmunda. Gdy tylko Francuz znalazł się w mesie, kilku marynarzy zbiegło głośno po trapie i stanęło w drzwiach wsuwając głowy do środka. Kapitan nie wpuścił ich do pomieszczenia.

- Gdzie Anglik? - zapytał ostro.



- Skąd mam wiedzieć? - odparł Faude.

- Zapukałem do niego - powiedział jeden z oficerów. - Mówi, że jest chory i nie może przyjść. W każdym razie żyje.

Faude poczuł przykrość słysząc te słowa, a jednocześnie ogarnął go dziwny niepokój. Dlaczego miałyby budzić wątpliwości to, czy Daniel Vehmund żyje, i co znaczyły te toboły przypominające, kształtem ludzkie ciała i leżące na pokładzie.

- Wobec tego nie będę czekał na Anglika - odezwał się znowu kapitan. - Niech pozostali posłuchają. Nocą miało miejsce kilka morderstw. Zginęło pięciu moich marynarzy: chłopak z bocianiego gniazda, wachta, sternik - dzięki Bogu morze jest spokojne i nie zboczyliśmy wiele z kursu.

Zamieszanie, które wybuchło chwilę wcześniej, zdążyło już wygasnąć. Marynarze stali w drzwiach w milczeniu, bo wiedzieli już o tragedii.

- Na pokładzie jest jakiś szaleniec - mówił dalej kapitan. - Przypuszczam, że ukrywa się gdzieś na statku. Rozpocznemy poszukiwania. Wszyscy pasażerowie dla własnego bezpieczeństwa pozostaną tutaj. Jesteście uzbrojeni? - Urzędnik i kupcy powiedzieli, że nie, toteż pierwszy oficer wręczył im groźnie wyglądające noże.

- Słyszałem nocą - odezwał się handlarz daktylami - że ktoś krzyczał jakby z bólu.

- To był Anglik - powiedział handlarz oliwą. - Znam takie krzyki. Musiał zażyć jakiś narkotyk. Dlatego nie ma go teraz z nami.

- Nikt z was - odezwał się kapitan - nie jest podejrzany o dokonanie tej zbrodni. Bo który z was, łącznie z Anglikiem, byłby w stanie wspiąć się na maszt? Może Szatan znajduje się wśród moich marynarzy. - Od strony ludzi stojących na trapie rozległ się głuchy pomruk. Kapitan bez wahania wyciągnął pistolet i majtkowie ucichli. - Znajdę go. Ten człowiek morduje, jak gdyby owładnięty przez demony. Popłynęło wiele krwi.

- To była pełnia księżyca - powiedział nieoczekiwanie urzędnik. Skubnął zębami swój palec, po czym dodał: - Krew spływa wtedy z większą łatwością. Trudniej krzepnie.

- Macie tutaj pozostać - powiedział kapitan w chwili, gdy kupcy wstali niespokojnie, dzierżąc noże, a Faude wyciągnął pistolet. Marynarze rozstąpili się, przepuszczając kapitana i oficerów. Statek musiał zostać przeszukany od dzioba do rufy.

- Ale czy Anglik naprawdę żyje? - zapytał handlarz daktylami.

- Może to on jest zabójcą - powiedział Faude. - Zupełnie pomieszało mu się w głowie. Na drzwiach mojej kajuty porobił rysy, które wyglądają jak ślady pazurów dzikiej bestii. Kto wie, czy nie byłby w stanie wspiąć się na maszt? Co właściwie o nim wiemy?

- To samo można powiedzieć o panu, monsieur Faude - odparł handlarz oliwą. - Bo co właściwie o panu wiemy?

- Jestem człowiekiem interesów, podobnie jak pan i pański towarzysz - odpowiedział Faude. - Odwrócił szybko wzrok ku urzędnikowi. - A pan? Skąd pan wie tyle na temat krwi?

Urzędnik nie odpowiedział, gryząc paznokcie. Jego oczy pozostały ponure i nieprzeniknione.

Żar lał się z nieba, potęgowany przez odbijającą go wodę. Statek lśnił. Pokład został wyszorowany do czysta, martwe ciała w konopnych worach ułożono na rufie. Przeszukano wszystkie kąty, nie odkrywając nic nowego: ładownię nadal wypełniały przemycane towary, w zakamarkach przemykały tylko szczury i migocące półcienie - to wszystko. Kapitan zebrał załogę. Przemawiał, przechodząc w ton coraz bardziej stanowczy. Oni jednak nie mogli wskazać wśród siebie mordercy. Znowu natomiast zaczęły krążyć pogłoski o demonie.

Wy tłumaczenie to stopniowo zaczęło wydawać się kapitanowi przerażająco trafne, na własne oczy widział bowiem rozprute ciała zamordowanych marynarzy, jednego z nich z urwaną głową. Nie zwymyślał swoich ludzi, nakazywał im jedynie, by modlili się i wszędzie

chodzili parami. Spać także będą musieli na zmianę, tej nocy bowiem cały statek ma czuwać w oczekiwaniu na to, co nastąpi.

Tuż po dwunastej Daniel wyszedł z kajuty. Był blady i wyczerpany, nawet włosy wydawały się zbyt jasne. Stał w ostrym świetle mrugając powiekami, podczas gdy marynarze odsunęli się od niego, czyniąc znaki chroniące przed złym urokiem.

Kapitan zbliżył się do Daniela i przemówił do niego marną angielszczyzną.

- Pan chory?

- Tak, to nawracająca gorączka. Ale przejdzie.

- Powiedz pan teraz, jak minąć noc?

- Nie wiem. Nic nie pamiętam. Zawsze jestem w takim stanie, kiedy nachodzi mnie gorączka.

Marynarze otoczyli ich ciasnym kołem. Majtkowie pracujący na rejach popatrywali w dół. Dłonie zaciskały się na rękojeściach noży i zaostrzonych kawałkach drewna.

- Pięciu moich ludzi nie żyje.

- Słyszałem o tym. Ujęliście już mordercę?

- Jeszcze nie - odparł kapitan, mierząc wzrokiem wymizerowanego Anglika. - Podróżować pan już kiedyś na statek?

- Tak.

- Wspinać się pan na maszty?

- Nie - odpowiedział Daniel z uśmiechem. Jego niegdyś urokliwy uśmiech teraz wydawał się gniewny. - Jak miałbym tego dokonać?

- W chorobie może ty być szalony. I wspinać się.

- Leżałem cały czas nieprzytomny. Oskarża mnie pan o morderstwo?

- Ktoś to zrobić.

- Nie ja.

Kapitan wpatrywał się w dziwne oczy chorego, nie znajdując tam nic, co potwierdziłoby oskarżenia czy udowodniło niewinność.

- Pan był uzbrojony?

Daniel potrząsnął głową, która zdawała się dziwnie ciężka. Kapitan nie zadbał, by uzbroić Anglika.

- Dziś w nocy my będziemy trzymać wachtę.

- Jeżeli będę w stanie - odparł Daniel. - Obawiam się jednak, że będzie pan musiał mnie usprawiedliwić.

- Nie ma mowy.

Daniel wzruszył ramionami. Popatrzył na kapitana z hardością typową dla mieszkańca Północy.

„Jest po prostu taki sam jak reszta”, pomyślał kapitan.

\* \* \*

Światło dnia przygasło nabierając barwy mosiądzu. Zachodzące słońce płonęło przez chwilę, po czym ustąpiło miejsca niebieskawemu zmierzchowi. Na niebie rozbłysły gwiazdy; spokojne morze spowijała srebrzysta poświata. Noc była piękna i pełna lęku.

Na statku płonęły dziesiątki lamp. Księżyc w pełni można było spodziewać się za godzinę, potrzebowano więc światła.

Pasażerowie siedzieli w mesie, gdzie nieco wcześniej podano im pospieszny, skromny posiłek. Na stole spoczywały teraz trzy noże i pistolet Faude'a. Z tego, co wiedział Francuz, Daniel Vehmund również posiadał nóż, marynarz bowiem, który niefortunnie próbował go zamordować, porzucił broń w jego kajucie - tyle Faude zdołał się dowiedzieć. Daniel nie zjawił się, jak oczekiwano, w mecie. Drugi oficer zameldował, iż Anglik zawinął się w koc i położył na koi. Wyglądało na to, że nie jest zupełnie zdrowy, w momencie bowiem, gdy

oficer dotknął jego czoła, by sprawdzić, jak bardzo jest rozpalone, Anglik zamierzył się na niego i chybił.

- Oprócz mordercy mamy więc na pokładzie jeszcze zarazę? - zapytał kapitan.

Pogrążony w ponurym nastroju, wyszedł z oficerami na pokład, by objąć wachtę. Faude wiedział, iż trzech marynarze zostali wysłani na dół, by trzymać straż przy kajutach pasażerów i drzwiach Anglika. Mieli ze sobą potężne noże, niechętnie jednak wykonali polecenie kapitana. Cała załoga lękała się Daniela Vehmunda.

- Marynarze mówią, że Anglik rzuca urok - mruknął handlarz daktylami.

- Zażywa jakiegoś narkotyku - stwierdził handlarz oliwą. - Widziałem już nieraz takie obrazki.

- Czy wystarczy zażyć narkotyk, żeby postradać rozum i zostać zabójcą?

- Oczywiście. Bóg jest wszechmocny, a owoce jego królestwa nie służą do zabawy. Ludzie z Północy czynią tak na własną zgubę.

- Myśli pan, że mordercą jest Vehmund? - zapytał Faude.

- Bardzo prawdopodobne - odparł handlarz oliwą. - To wściekły pies, ale będą go trzymać na łańcuchu.

- Musi mieć wielką siłę - nieoczekiwanie znowu przemówił urzędnik. - Żaden z tamtych pięciu nie był w stanie stawić mu czoła. - Dwóch z nich było razem, a i tak nie potrafili się obronić.

- Tak, od tego narkotyku ma siłę pięciu mężczyzn - powiedział handlarz oliwą. - Jednak dzisiejszej nocy cały statek stoi w gotowości. Złapią go. Skują i dadzą jakiś środek przeczyszczający, żeby pozbył się całego narkotyku.

Faude po raz trzeci sprawdził, czy pistolet jest nabity.

- Nieważne, jak silny jest ten diabeł, nie potrafi oprzeć się kuli.

- Początkowo może nawet nie poczuć rany od kuli - powiedział handlarz oliwą z dziwną przewrotnością. - Nie widział pan nigdy świętych mężów, którzy przebijają sobie mieczami ręce i policzki, nie krwawiąc i nie odczuwając bólu?

- Zdawało mi się, że to tylko sztuczka - odparł Faude.

- Czasami - uciał kupiec.

Faude był zdenerwowany, a z drugiej strony zadowolony z obrotu spraw. Nie przerażało go to, że szalony, śliniący się Vehmund zostanie zastrzelony albo porąbany na kawałki. Tak byłoby najlepiej. Jednocześnie na sercu Faude'a cały czas pulsował rytmicznie brylant, cena za honor, jego niezwykła zdobycz. Nikt spośród ludzi na statku nie wtykał już nosa w jego sprawy, starając się dotrzeć do klejnotu. To wszystko prostacy i tak naprawdę nie trzeba się ich obawiać. Francuz myślał od niechcienia o tym, jak zareagują ociężały kupcy, gdy staną twarzą w twarz z szaleńcem. On sam odda jeden celny strzał.

Pod pokładem, w korytarzu między kajutami dla pasażerów przykucnęło pod ścianą trzech marynarzy, rozpoczynając w milczeniu grę w kości. Noże spoczywały w gotowości u ich stóp.

Na niebie wzeszedł biały księżyc w pełni.

Nie widzieli go, a jednak wyczuwali jego obecność. Niewidzialna siła księżycy zaczęła na nich oddziaływać. Władca przyływów i odpływów poruszał w ich ciałach wodę i krew.

- Wyrzuciłem oko - powiedział jeden z marynarzy. Ich rozrywkę stanowiła bardzo stara gra, która z Egiptu rozprzestrzeniła się na inne kraje, w ciągu wieków docierając także w zatłoczone uliczki nadbrzeżnych ruder, gdzie ludzie ci przyszli na świat i dorastali.

Wszyscy trzech pochylili się nad kośćmi i nagle odskoczyli od siebie chwytając noże. Za drzwiami kajuty, przed którą trzymali straż, rozległ się jakiś nieludzki głos. Marynarze popatrzyli w tym kierunku szeroko otwartymi, zaczerwienionymi oczyma. Cisza. Po chwili kolejny potworny krzyk przeciął noc.

- Zbliży się atak - powiedział ten, który wyrzucił oko.

- Wstępuje w niego demon - odezwał się inny. Przygotowali noże, wycofując się w wąską niszę.

- O, Boże... Boże, ratuj... - krzyczał po angielsku Vehmund. Marynarze zrozumieli słowo „Bóg”. Demon wstępując w ludzkie ciało, przeklina Boga.

Za drzwiami słychać było jakieś poruszenie, po chwili zaś rozległ się okrzyk śmiertelnej męki, tak potworny, że niemal ich ogłuszył. Rozpoznali dźwięk, jak gdyby ludzkie ciało zważyło się z powrotem na koję. Potem zaległa cisza.

Marynarze czekali w napięciu. Przez dłuższą chwilę nie pozostawało im nic innego do roboty. Wreszcie jeden z nich zaproponował, że pójdzie na górę opowiedzieć kapitanowi o krzykach dochodzących z kajuty Anglika. Towarzysze jednak stanowczo zażądali, by został z nimi. I czekał. Czekali więc.

Minęło jeszcze siedem, może osiem minut i z kajuty dobiegły jakieś nowe odgłosy. Tym razem hałas rozległ się tuż przy drzwiach.

Marynarze stłoczyli się blisko siebie, trzymając noże w pogotowiu.

Przypuszczali, że drzwi otworzą się nagle z hukiem i pojawi się w nich jasnowłosy szaleniec z nożem w dłoni, wyjąc, zataczając się i przewracając białkami. Każdemu z nich bowiem nieobce były takie sceny.

Drzwi pozostały zamknięte, a zamiast tego dał się słyszeć jakiś przerażający hałas. Wreszcie nastąpiło to, czego oczekiwali - drzwi rzeczywiście stanęły otworem, jednakże w inny sposób. Szaleniec odrywał deski i ciskał je na bok.

Stłoczeni w korytarzu mężczyźni jednocześnie wydali z siebie okrzyk zdumienia, który po chwili zamarł na ich wargach.

Przed nimi rozgrywało się coś dziwnego. Coś, czego nigdy dotąd nie widzieli, jeżeli w ogóle dane było to oglądać jakiegokolwiek ludzkiej istocie.

W drewniane drzwi wbiły się cztery lśniące, czarne ostrza, przypominające spiczaste zakończenie stalowych gwoździ. Przez sekundę bębniły w jednym miejscu, po czym wolnym i pewnym ruchem zjechały od szczytu drzwi ku podłodze, rozdzierając drewno jak papier.

Co to za broń? Z pewnością nie był to nóż, który porzucił tam ich towarzysz, uciekając przed spojrzeniem Anglika. To było coś innego...

Pierwszy atak na drzwi pociągnął za sobą następny. Cztery kolejne szpikulce wbiły się w drewno, rozrywając drzwi do samej podłogi.

Trzej marynarze przyglądali się tej scenie zdrętwiali z przerażenia.

Nagle całe drzwi zatrzęszczały i upadły wprost przed nimi. I oto w tej wyrwie zobaczyli...

Marynarze obrócili się gwałtownie i skowycząc rzucili się ku trapowi.

Piekiło, jakie zostawiali za sobą, było jednak tuż za nimi. Pozostała część drzwi pękła z jękiem; drzazgi posypały się na podłogę. Z mrocznego wnętrza kajuty wysunął się cień, chwytając jednego z mężczyzn i rozrywając go od gardła po krocze. Umierający mężczyzna upadł ze zwierzęcym wrzaskiem. Czarna postać wyciągnęła rękę, chwytając drugiego marynarza w chwili, gdy próbował się obrócić, i rozdarła twarz i pierś, odsłaniając serce.

Ostatniemu majtkowi, temu, który wyrzucił oko, udało się dostać na trap. Walczył, by podnieść klapę, bił w nią pięściami, krzyczał, błagał. W ostatniej chwili on także się odwrócił. Zobaczył przed sobą twarz istoty z piekła rodem, władcy ognia i ciemności. W czarnym pysku połyskiwały ostrza zębów. Marynarze wbił weń nóż po samą rękojeść, po czym wyrwał go z okrzykiem triumfu, by wkląć się ponownie pod okiem bestii, okrągłym, błyszczącym i bezbarwnym.

Nagle na ciele człowieka zacisnęły się potężne łapy, wyszarpując z niego wnętrzności. Zmiażdżone szczątki spoczęły w korytarzu obok zwłok towarzyszy.

Nóż nie uczynił bestii żadnej krzywdy, ociekała jedynie krwią innych. Dotknęła pyskiem klapy, która gwałtownie zaczęła się podnosić, gdy szarpnęli ją ludzie stojący na pokładzie.

Przy władze skupiło się siedmiu marynarzy, inni zebrali się nieco dalej. Gdy spod pokładu doszły stłumione odgłosy szamotaniny, władz luku skupił na sobie uwagę wszystkich.

Siedmiu mężczyzn, jak poprzednio ich trzech towarzysze, stanęło oko w oko z twarzą diabła. Dwaj z nich odwrócili się i pobiegli z krzykiem. W chwili gdy potężny czarny kształt ruszył do przodu, pozostałych pięciu marynarzy zamierzyło się nożami, by dźgnąć bestię, zadając jej śmiertelne ciosy. Ostrza zanurzyły się w jędrną miękkość, przypominającą błoto - i ukazały się z powrotem bez najmniejszego śladu krwi. Nie wyrządziły bestii żadnej krzywdy. Marynarze cofali się, równocześnie inni pchali się do przodu, żeby przyjrzeć się dziwowisku.

Przez krótką chwilę stłoczony krąg ludzkich istot wpatrywał się tępo w bestię, która wydostawała się z serca statku.

Stwór był potężny i niski, przypominał ogromnego psa. Nie był to jednak pies, trudno byłoby go także nazwać wilkiem. Łeb bestii był nieproporcjonalnie duży przy jej zwalistym cielsku. Kołysał się na boki ruchem z pozoru niezgrabnym, lecz skoordynowanym. Szyję porastało pasmo czarnych włosów, rozwidlając się następnie ku barkom czy łopatkom. Uszy bestii przylegały płasko do łba, oczy były ogromne jak płaskie zwierciadła pozbawione odbicia. Nagle zwierzę stanęło na dwóch łapach, skoczyło do przodu i w jednej chwili rozplatało na dwie części jednego z marynarzy z taką łatwością, jak gdyby to było krojenie chleba. Bestia wydarła człowiekowi serce, kładąc lśniący ochłap na pokładzie w świetle lampy. Stłoczonych marynarzy przebiegł dreszcz, bez chwili wahania rozpierchli się w różne strony.

Słyszając odgłosy paniki, krzyki i jęki swoich ludzi, stojący na rufie kapitan ruszył w ich stronę.

Ludzie biegli w przeciwnym kierunku. Kapitanowi buchnęło w twarz ich śmiertelne przerażenie; marynarze czepiali się go jak przestraszone dzieci. Odepchnął ich i natknął się na obraz jak z nocnego koszmaru: ogromny czarny stwór biegł długimi susami po pokładzie, przedzierając się przez rzędy mężczyzn. Kapitan zobaczył, jak drugi oficer stara się strzelić do bestii z pistoletu, lecz jego ramię zostało oderwane od tułowia i poszybowało w powietrzu. Chlusnęła krew. Po chwili bestia rozszarpała mu gardło. Człowiek upadł. Czarny potwór obrócił się gwałtownie. Kapitana poraził błysk jego ślepi i widok ściekającej po pysku krwi.

Mężczyzna uniósł pistolet.

- Bóg jest z nami - powiedział, po czym wystrzelił wprost w bestię, którą miał przed sobą, jednocześnie z trudem mogąc uwierzyć w jej istnienie.

Stwór przyjął atak, uskakując w bok, jak gdyby wstrząsany napadem czkawki. Kula zaryła się w cielsko, nie pozostawiając żadnego śladu. Po chwili bestia znowu kogoś dopadła i gapiąc się na kapitana, który oddał do niej strzał, rozpruła tamtego jak kawałek płótna, rzucając krwawe ochłapy na pokład.

Wszędzie płynęły rzeki krwi, czarniejsze niż noc, mieniające się szkarłatem, kiedy zderzało się z nimi światło lamp.

Jakiś marynarz potknąwszy się w kałuży krwi, pełzał za plecami bestii.

Kapitan ruszył do przodu. Strzelił znowu prosto w potwora. Tym razem zwierzę zatrzęsło się. Pozostawiając krwawe strzępy kolejnej ofiary, podskoczyło w górę i wyrzuciło za siebie tylne łapy, uderzając nimi nieszczęśnika, który starał się zająć bestię od tyłu. Pazury zaryły się w brzuchu człowieka, wyrzucając wnętrzności na zewnątrz.

Powietrze wypełniły okrzyki przerażenia i jęki, które stopniowo cichły.

Ludzie próbowali wspinać się na maszty. Pod zerwanym żaglem zwisało przepołowione ciało jednego z nich; głowa trupa kołysała się miarowo w rytm ruchów statku.

Kapitan odrzucił pistolet, chwytając szybko jedną z lamp. Gdy bestia zaczęła biec w jego kierunku, rzucił w nią silnie tym pociskiem.

Jednak ogień spłynął po grzbiecie bestii jak woda, wpadając w kałużę krwi i gasnąc z sykiem.

Lampa rozprysnęła się na kawałki.

Przyparty do ściany kapitan poczuł chłód stalowych pazurów, lecz nie mógł w to uwierzyć aż do chwili, gdy potężne szczęki zacisnęły się na jego gardle.

Za plecami potwora żagiel runął z trzaskiem na pokład, a ludzie uwięźli w zwojach płótna.

Gdy spowite bielą sylwetki, wyglądające jak dzieci bawiące się w duchy, walczyły, by się uwolnić, bestia wdarła się między nie. Czerwone plamy poznały biel płótna. Szamoczące się pod tkaniną ludzkie postaci zaczęły padać bez życia jedna po drugiej. Potwór skakał zwycięsko po swych ofiarach.

Na jego drodze stał jeszcze jeden człowiek - oszalały ze strachu pierwszy oficer. Rozległ się nic nie znaczący wystrzał. Bestia przegryzła mężczyznę na pół i zaległa cisza. Głuche milczenie spowiło zalany krwią pokład, pełen porzrzuconych szczątków.

Monstrum uniosło się nad zaśmieconym pokładem. Na niebie płonął księżyc i potwór podążył w jego kierunku. Zniknął niczym czarna fala.

Handlarz daktylami wstał od stołu i zbliżywszy się do drzwi zaczął nasłuchiwać.

- Teraz już cicho.

- Złapali go - uznał handlarz oliwą.

- Nikt nas nie woła - odezwał się znowu handlarz daktylami.

Kupcy zamknęli drzwi mesy w chwili, gdy wybuchło zamieszanie. Rozzłościło to Francuza, który chciał się wszystkiemu przyglądać. Odezwał się teraz stanowczym głosem:

- Otwórzcie drzwi, to zobaczymy, co się stało z tym cholernym Anglikiem.

Handlarz daktylami zawahał się i cofnął.

- Strasznie cicho. Chybaby krzyczeli? A Anglik, czy on by się nie wydierał?

- Pewnie go ogłuszyli - odparł Faude. - Albo nie żyje - dodał z nadzieją.

Przepchnął się obok kupca i otworzył drzwi.

Przed nim rozciągał się pokład, rozjaśniony promieniami wznoszącego się coraz wyżej księżyca. Jakiś długi strumień mienił się czarno, w cieczy leżał kawałek kopcającej, stłuczonej lampy. Nagle Faude dostrzegł porzrzucone wszędzie ludzkie członki. Było ich tak wiele, że nie był w stanie objąć wszystkich wzrokiem. Nogi, wnętrzości, ludzkie ramię. Ciarki przebiegły mu po krzyżu. Z hukiem zatrzęsął drzwi.

- Co tam się dzieje? - zapytał ze strachem handlarz daktylami.

- Ten człowiek wpadł w szal - odpowiedział Faude po francusku. - Pozabijał ich wszystkich. Uciekł...

- To niemożliwe - powiedział handlarz oliwą. - Tam było jakichś dwudziestu ludzi albo więcej.

- Niech pan sam zobaczy - odparł Faude. Zacisnął usta. Był zdumiony, niemal zawstydzony.

Żaden z nich nie śmiał zbliżyć się do drzwi.

W milczeniu usiedli przy stole. Na zewnątrz cisza zalegająca pokład odbijała się głucho od tarczy księżyca.

Upłynęła godzina i oprócz skrzypienia statku nocnej ciszy nie zakłóciły żadne dźwięki.

- Ktoś musi wyjść i zobaczyć, co się dzieje - odezwał się handlarz oliwą. - Czy jest jakiś sternik? Co z nami będzie?

- Mam pistolet - powiedział Faude. - Pan... - wskazał na urzędnika - zabieraj swój nóż i chodź ze mną.

Urzędnik wstał bez słowa i posłusznie czekał.

Faude wcale nie był odważny, tylko niecierpliw. Przypuszczał, że kapitan i jego ludzie oddali kilka przypadkowych strzałów, których odgłosy dotarły do mesy, chybili jednak, nie mając dostatecznej wprawy. On wierzył święcie we własne umiejętności. Nie lubił być odsuwany na bok.

Gdy wyszli z mesy, Francuzowi przypomniała się dziewczyna o perskich oczach, którą posłał na śmierć. Mówiła do niego „ojcze”. Ale jej klątwa nie byłaby nic warta. Czy Bóg wysłuchuje modlitw biedaków? Raczej nie.

Pokład był białą pustynią i zdawało się, że nie stały na nim kałuże krwi ani nie zalegały ludzkie szczątki.

- Tak jak pan powiedział - odezwał się Faude - krew łatwo leje się przy pełni księżyca. Skąd pan to wie?

- To wiedza alchemiczna - odparł urzędnik. Tym razem nie gryzł palców, zdawał się przygnębiony. Życie zawsze kładło mu kłody pod nogami.

Przecięli pokład i, kierując się ku rufie, natknęli się pośród innych szczątków na ciało kapitana.

- Mój Boże, co tu się działo? - zapytał Faude.

W sterówce nie było nikogo. Sternik, podobnie jak pozostali, został rozszarpany na strzępy. Koło było czarne od krwi.

- Będziemy musieli dryfować - powiedział Faude. - Na szczęście właśnie tym szlakiem kursują statki handlowe. Ktoś przyjdzie nam z pomocą.

Cofnęli się po pokładzie, mijając ciała i przechodząc pod żaglami, z których jeden leżał zniszczony. Wdrapali się na forkasztel.

Nie było tam żadnych trupów. Ludzie uciekli stamtąd albo zostali ściągnięci na dół.

Księżyc mieli teraz za plecami. Ich ciała rzucały cienie na deski pokładu.

Stanęli w miejscu, wpatrując się w niezmaczenie obojętne morze.

Pod nimi w ciemnościach, gdzie nie docierało światło księżyca, krył się galion, rzeźba przedstawiająca mężczyznę czy kobietę. Pod bukszprytem, stanowiąc jak gdyby jedną całość z galionem, zawisała czarna postać, wbijając pazury w miękkie drewno. Wisiała jak leniwiec, brzuchem do góry, i nasłuchiwała. Słyszała zapewne poruszających się po forkasztelu dwóch ludzi. Ich klatki piersiowe unosił oddech, tętnili życiem. Bestia zakołysała się ruchem gąsienicy i powoli rozpoczęła wspinaczkę ku relingowi.

- Gdzie jest Vehmund? - odezwał się Faude. - Może wyskoczył za burtę?

Trzymając pistolet w gotowości, podszedł do lewej burty i pochylił się do przodu, skupiając wzrok na odległej, lśniącej tafli morza. Nagle dostrzegł, że z ciemności pod statkiem wyłania się jakaś czarna postać. Wpatrywał się w nią zdumiony. Zanim para ślepi zapłonęła białą tuż przy jego twarzy, księżyc dwukrotnie odbił się w nich półkolem. Wtedy Faude strzelił prosto w długą, sunącą na niego paszczę. Wystrzelił bezbłędnie, a jednak chybił. Nocna zjawia zbliżała się.

Faude krzyknął i odskoczył do tyłu. Ciemność podążała za nim, pokonała reling i rzuciła się na mężczyznę. Bestia usiadła mu na brzuchu, a on krzyczał, starając się uwolnić. Po chwili zęby potwora wpiły się w jego twarz.

Słyszac chrzęst kości, urzędnik rzucił się na kolana.

- Zbłądziłem - powiedział szybko. - Nie ma innego pana poza Bogiem.

Bestia zabiła go jednym ciosem.

Słyszac krzyk Francuza, kupcy zatrzasnęli drzwi mesy. Sapiąc i ociekając potem przytaszczyli stół, by zabarykadować wejście. Na blacie ustawili stertę krzesel.

W ciszy, jaka zaległa znowu statek, padli na twarze, pogrążając się w modlitwie.

Modlili się przez pół godziny, skończyli wreszcie i popatrzyli na siebie.

Ich domostwa ze wszystkimi żonami i wygodami znajdowały się daleko. Życie zaś zdawało się bez znaczenia, jak gdyby widziane z bardzo wysoka.

- Nikt nie zbliżył się do drzwi - powiedział handlarz daktylami.

- Ale nie wrócił również Francuz - odparł drugi kupiec. - Obawiam się, że nie możemy spodziewać się niczego dobrego.

- Czy to demon?

- Tak myślę.

Nagle rozległ się jakiś chrobot.

Pomyśleli, że to śmierć stoi u drzwi i popatrzyli w tamtą stronę. Nagle jednak podłoga jęknęła, więc tam skierowali swój wzrok.

W chwili, gdy deski rozsypały się w drzazgi, kupcy wpatrywali się w nie jak urzeczeni. Spomiędzy kawałków drewna wysunęła się czarna włochata masa, łapy jakiegoś zwierzęcia, a po chwili głowa. . Potem z otworu wydostało się całe cielsko.

Handlarz daktyłami modlił się w chwili, gdy skupiła się na nim wściekłość bestii. Handlarz oliwą, nie zwracając uwagi na wrzaski towarzysza, także trwał pogrążony w modlitwie, póki cztery ostrza nie wbiły się w jego ciało i białe jak ogień światło rozsadziło mu czaszkę.

Ocknął się o świcie w przesączającym się przez świetlik różowozłotym blasku, miękkim jak gołębi puch. Niczym nie zmaczona cisza ukoiliła go.

Leżał bez ruchu, wsłuchując się w nią leniwie. Słysząc było jedynie skrzypienie kołyszącego się statku. Rzucane ostro rozkazy i nawoływania marynarzy gdzieś zamarły. Trzeszczały jedynie deski i szumiały morskie fale. I wszystko spowijało łagodne różowawe światło.

Daniel wyobraził sobie, że zbliża się do niego Marjannah odziana w zwiewne poranne szaty. Jego ciało przebiegła fala pożądania. Nadal jednak czuł w sobie słabość po kolejnym nawrocie gorączki. Bolały go wszystkie mięśnie. Nie mógłby ofiarować wiele Marjannah, gdyby rzeczywiście była teraz u jego boku.

Ostrożnie podniósł się z koi, obawiając się zawrotów głowy. Stanął na nogi. Gorączka jak zwykle dopadła go, gdy był całkowicie ubrany. Zaczął ściągać koszulę pogniecioną jak stara szmata, gdy nagle zobaczył przed sobą drzwi kajuty. A raczej to, co z nich zostało.

Z pewnością zamknął drzwi na klucz. Wyglądało na to, że ktoś próbował dostać się do środka, drzwi bowiem były roztrzaskane w drzazgi.

Podszedł bliżej i wyrzwał na korytarz. Podłogę zaścielały martwe ciała, które prawdopodobnie wpadły tu przez otwartą pokrywę luku. Zmasakrowane trupy piętrzyły się jeden po drugim. Ich smród uderzył nagle jego nozdrza. W powietrzu unosił się odór krwi i wylewających się wnętrzności.

Daniel przestał przejmować się koszulą. Cisza, jaka zaległa nad statkiem, była dziwna i przerażająca.

Przedarł się przez wąski korytarz, po czym usunął z drabiny jeszcze jednego trupa. Wyszedł na spowity porannym słońcem pokład.

Zewsząd otaczała go śmierć, mnożąca się, namacalna.

Wpatrywał się tępo w porozrzucane zwłoki. Pot spłynął po jego udręczonym ciele.

Wolno zaczął przemierzać pokład, przyglądając się zmarłym. Nie rozpoznawał twarzy większości z nich. Nawet gdyby widział je już wcześniej, wątpliwe czy zdołałby teraz poznać znajome rysy. Twarze trupów wykrzywione w śmiertelnym przerażeniu ociekały ropą i krwią. Tak wyglądali wszyscy, którzy padli ofiarami tej jatki - śmierć nie starła strachu z ich twarzy. Wszystkie oczy były szeroko otwarte. Daniel przypomniał sobie oczy rabusia grobów. Nie pamiętał, jak wyglądały oczy ojca, którego uśmiercił. Przy kasztelu odnalazł zwłoki kapitana i oficerów.

Wszędzie walały się lśniące i czyste noże; obok ciała kapitana odnalazł pistolet, z którego oddano strzały.

Mimo słabości, jaka owładnęła jego ciałem, zdołał przedrzeć się przez barykadę strzegącą drzwi mesy. Wewnątrz odnalazł zwłoki obydwu kupców. Na forkasztelu spoczywał martwy urzędnik ze skreconym karkiem. Obok zobaczył ciało Pierre'a Faude'a, rozpoznając je po ubraniu, nie zaś po twarzy zupełnie zmasakrowanej.



Staął nad zwłokami Francuza. Nagle przyklęknął i bez namysłu wsadził rękę pod odzienie na piersiach zmarłego. Po chwili wyciągnął stamtąd woreczek czarny od zakrzepłej krwi. Rozplatał sznurki i wy dostał na światło dzienne poznaczony czerwonymi plamami brylant.

Wciąż klęcząc nad zmarłym, trzymał klejnot na otwartej dłoni. Promienie słońca przecinały oszlifowane ścianki kamienia białego jak morska piana, jak zimna błyskawica z jasnozieloną, drżącą w głębi skazą.

Statek kołysał się z boku na bok. Nikt nie pilnował już teraz steru. Wszystkie żagle poza jednym były wciągnięte na maszty, gotowe wydać się przy najbliższym wietrze. Nie pozostawało nic innego, jak poddać się losowi, samotny człowiek bowiem był bezsilny wobec poczynań natury.

Daniel podniósł się i ścisnął brylant w dłoni.

Masakra na statku wywarła na nim dziwne wrażenie. Nie zrobiło mu się bardziej niedobrze ani nie poczuł zdziwienia. Jak gdyby spodziewał się, że to nastąpi, jako rzecz normalną witając także roztrzaskane drzwi swojej kajuty. Kimkolwiek był ten, kto to zrobił, zjawił się tutaj dla niego, nie czyniąc Danielowi żadnej krzywdy. On jeden przeżył. I odzyskał klejnot.

Leżał na koi. Był chory i pogrążony w stanie jakiegoś przerażającego ukojenia. Statek kołysał się na falach poddając się podmuchom wiatru.

Wciąż nachodziła go jedna uporczywa myśl.

„Tylko ja”.

Tylko on uniknął śmierci. Noc nie pozostawiła po sobie żadnych wspomnień. Pamiętał, że jego ciało rozdzierał potworny ból, potem musiał stracić przytomność tak jak poprzednim razem. Świadomość odzyskał dopiero o świcie? A jednak...

A jednak gdzieś kołatało się niejasne wspomnienie lśniącej białości księżyca, gry światłocieni. W podobny sposób pamiętał falę wścieklej radości, jaka ogarnęła go, gdy miażdżył głowę ojca o kamienny kominiek. Radość. Musiało mu się coś przyśnić.

Leżał w koi przez cały dzień. Gdy słońce zmierzało ku zachodowi, ogarnął go strach, nie się jednak nie zmieniło. Gorączka nie powróciła.

Na niebie pojawił się księżyc, nieco mniejszy niż poprzedniej nocy.

Daniel wyszedł na pokład i popatrzył na cuchnące ślady rzezi. Dziwne, że szczury nie zbiegły się na biesiadę.

Morze było bardziej niespokojne, żagle wyduły się od podmuchu wiatru. Na horyzoncie nie pojawił się żaden łód. Wszędzie była tylko woda.

Staął przy relingu. Nagle dotarło do niego, że statek jest zupełnie wymarły. Przyłapał się na tym, iż wcale nie zadawał sobie pytań, kto dokonał tej potwornej masakry. Nie przeszukiwał statku, nie czuł leku. Przerażała go jedynie myśl, że znowu powróci atak gorączki.

Co wydarzyło się na pokładzie? Dlaczego nie zginął?

Obracał w palcach brylant. Przeleciało mu przez myśl, żeby wrzucić klejnot do wody. Nie zobaczy go już nigdy więcej.

Zacisnął jednak kamień w dłoni. W cichej zadumie zapatrzył się w narastający mrok.

3.

Ze wschodu nadciągnęła burza. Czarne chmury zakryły zapadające w wodę słońce. Morze wzburzyło się. Statek spychany ku zachodowi, zagłębił się w noc.

Daniel nie mógł nic zrobić. Nie potrafił ani zwinąć żagli, ani zabezpieczyć luków. Stał wsparty całym ciałem o reling. Czarne jak agat fale rozpryskiwały się przed nim, zimne krople kłuły go w twarz jak szpilki. Czyżby chciał umrzeć? Gdy tylko zaczął zadawać sobie to pytanie, wziął się w garść i zszedł pod pokład. Przysiadł w swojej kajucie - zdążył już uprzątnąć z przejścia ciała marynarzy - kołysząc się w rytm przechyłów.

Statek mknął poprzez sztorm, z trudem pozostając na wodzie, zanurzając i wydostając na powierzchnię. Fale uderzały o pokład i rozбивały się na nim.

Minęło już wiele dni i nocy jego tułaczki po bezmiarze oceanu. Daniel nie potrafił nim jednak sterować, pozwolił mu więc swobodnie dryfować. Żywił się zimnym jedzeniem, które znalazł w spiżarniach i w kambuzie. W kajucie kapitana natknął się na zapas suszonych fig, moreli i beczułkę brandy.

Było mu żal zagubionego i pozbawionego opieki statku, z jedynym pasażerem, który ani nie potrafił, ani nie starał się mu pomóc. Słabość stopniowo opuściła jego ciało. Miał już bardzo długie włosy i gęstą brodę, jak gdyby chorował od wielu tygodni, na morzu zaś znajdował się od miesiący, a przecież tak nie było. Minęło dziesięć, może trzynaście dni, nie więcej.

Jakieś trzy, cztery godziny wsłuchiwał się w szalejącą burzę, potem zapadł w sen. Nie widział ciemnego zarysu łądu, jaki pojawił się naprzeciwko połyskującego, wschodzącego słońca, ostrej krawędzi widocznej poprzez siekące strugi deszczu.

Statek utknął na skałach niczym wielki, dziwny pomnik. Nie pasował do otoczenia, gdy tak leżał na boku obmywany przez wodę.

Daniela obudził wstrząs. Po przekrzywionym trapie wbiegł na pochyłony pokład zobaczyć, co się stało.

Życie statku zmierzało ku końcowi. Przeszedł zbyt dużo i teraz nadchodził koniec. Osiadł na mieliźnie, jak gdyby tam właśnie chciał wyzionąć ducha.

Vehmund niezdarnie wydostał się na łąd, pozostawiając na statku wszystko z wyjątkiem brylantu, który spoczywał w zakrwawionym woreczku na jego sercu.

Za skałami panowała cisza, a w ciszy tej przed oczami rozbitka rozciągała się zatoka. Pokonując uspokajające się fale, dopłynął do brzegu. Dzień wstał surowy, niebo spoglądało na ziemię ostrym błękitem. Łąd wydawał się pusty, nie było tam nic. Powyżej płaskiego brzegu wznosiły się skały. Usiadł, żeby odpocząć, po czym zaczął piąć się na nie, aż dotarł do jakby naturalnie ukształtowanej ścieżki, po czym znalazł się na płaskowyżu. Widział stamtąd rozciągającą się u jego stóp równinę otoczoną skałami. Płaski teren przecinała biała droga, jakąś milę dalej zaś było kolejne wzniesienie.

Stał oszołomiony tym widokiem. W ciągu ostatnich dni ani przez chwilę nie wyobrażał sobie, że dotrze do jakiegokolwiek skrawka łądu.

Odwrócił się i w dali zobaczył statek oparty o wystające z morza skały. Fale przybrzeżne obmywały go łagodnie. Martwych ciał nie było już na pokładzie, zabrał je sztorm. Statek był czysty i martwy.

\* \* \*

Daniel był pogrążony w swoistym transie, gdy krok po kroku zsuwał się ze skał ku równinie. Podczas marszu przez równinę rozglądał się dookoła zdumiony jak przybysz z innej planety, jak gdyby nigdy dotąd nie dane mu było widzieć świata.

Na równinie rozciągały się zdziczałe gaje pomarańczowe. Jaszczurki wygrzewały się na głazach. Piaszczysta droga, do której dotarł, wiała się w górę ku wzniesieniu, na którym stały ruiny zamku, należącego kiedyś zapewne do krzyżowców.

W oddali zobaczył sylwetki zabudowań; białe ściany, czerwone dachy. Ale żadnych ludzi. Nie pragnął spotkania z nimi. Jakaś część jego natury chciała zostać tutaj, żywić się owocami napotykaných drzew i trwać w transie, bez celu i zobowiązań wobec świata.

Wdrapał się ku ruinom zamku. Był tam dziedziniec, przestronne kamienne komnaty oraz schody, które prowadziły donikąd, urywając się w błękicie nieba. Tu i tam widniały rzeźby: orły dzierżące krzyż, lew trzymający w łapach klucz. Daniel przysiadł na porośniętym trawą skrawku gruntu nad głazami, pośród przemykających jaszczurek, i popatrzył na równinę. Widział przed sobą krainę pustą jak rajski ogród na początku świata i łuk morza wygięty jak cielsko krokodyla. Nie miał pojęcia, dokąd dotarł. Czy ma to zresztą jakiegokolwiek znaczenie? Wokół panowała taka cisza, że słyszał delikatny szmer wiatru, grające w trawie świerszcze, szuranie skóry jaszczurek biegających po kamieniach.

Po jakimś czasie wyciągnął na światło dzienne brylant, który zamigotał w promieniach słońca.

Kamień był biały i lśniący, załamania ścianek ostre jak sztylety, w sercu klejnotu zaś widniała skaza przypominająca jakieś zwierzę, może wilka.

Brylant odnalazł go, on zaś straciwszy go później, ruszył w pościg. Jakże lśnił.

- To ja - powiedział Daniel.

Po niebie przemknął ptak z wielkimi czarnymi skrzydłami.

On to zrobił. On zamordował ludzi na statku. Nie pozostały mu żadne wspomnienia, a jednak nie miał wątpliwości. Brylant odmienił go, obdarzył wielką mocą i nie zaspokojonym potwornym głodem. Poruszył coś w jego duszy, sprawiając, że kwiat śmierci i dzikiej żądz rozkwitł w całej okazałości.

A jednak nie cisnął klejnotu za siebie. Trzymał go w dłoni, wpatrując się w jego jasność, aż wydawało się, że zamknięta w kamieniu bestia zaczęła biec.

Nie pamiętał, kiedy zmorzył go sen. Przed oczami zaczęły przesuwać się dziwne obrazy: jakaś krypta, a w niej wielka otwarta skrzynia; wewnątrz leżał pozbawiony ciała szkielet, przystrojony wieńcem złocistych kwiatów. Potem zobaczył grotę z siedzącymi na półkach skalnych nietoperzami o zielonych kocich oczach. Dalej pojawił się jakiś pochód; powiewały kolorowe sztandary, przejeżdżały rydwany, kobiety nuciły jakąś pieśń. Wreszcie zjawił się maleńki, niepozorny obraz; namalowana na kości słoniowej twarz dziewczyny o kasztanowych włosach.

Potem ukazał mu się ogień. Daniel przyglądał się płomieniom przez chwilę, po czym uświadomił sobie, że już nie śpi i że naprawdę widzi ognisko.

Usiadł.

Wokół zaległa ciemność nie zmacona żadną jaśniejszą plamą. Z nastaniem nocy pojawili się ludzie. Zebrali się przy ognisku jakieś sześćdziesiąt stóp od Daniela, nieco w górze przy ruinach. Jedli i pili, a w pobliżu przestępowały z nogi na nogę uwiązane konie. Blask ognia migotał na siedzących postaciach, ukazując stare kurtki, frędzle, buty z cholewami, czupryny tłustych włosów. Jeden z mężczyzn bawił się wisiorkiem z nanizanych monet, dwaj pozostali nie przestawali się sprzeczać. Być może nie zauważyli śpiącego nie opodal człowieka, a każdym razie z pewnością nie zakłócali mu spokoju.

Daniel odwrócił głowę. Na pobliskiej ścianie ktoś napisał białą kredą słowo „Terepha”.

Pod ścianą przysiadł jakiś cień, czyhając na niego.

Daniel wyciągnął nóż, który pozostawił mu jego niedoszły morderca.

Cień powiedział coś łagodnie w języku, którego Vehmund nie rozumiał.

- Nie, nie - odezwał się, po czym na próbę zadał pytanie po francusku. - Dlaczego mi się przyglądasz?

Cień pochylał się do przodu. Blask ognia oświetlił z boku jego postać. Mężczyzna nawet siedząc zdawał się bardzo wysoki. Miał pociągłą, kościstą twarz o wygiętych, krzaczastych brwiach, które podobnie jak włosy zdążyły już posiwieć. Oczy miał ciemne i chmurne. Wargi rozchyliły się, ukazując długie zęby, i mężczyzna przemówił po francusku:

- Przyglądam się, bo mnie interesujesz.

- Jak to miło z twojej strony - odparł Daniel. On także przyglądał się teraz nieznajomemu. Nie wiedział nic, jaki to miesiąc czy pora roku, która godzina, jak nazywa się kraj, do którego dotarł, i kim jest siedzący naprzeciwko mężczyzna. - Więc zasłużyłem sobie, żebyś tak uważnie mi się przypatrywał?

- Spałeś bardzo głęboko, jak czynią to chorzy albo strapieni. Sen jest ucieczką.

- Ale znowu jestem tutaj - odparł Daniel.

- Możesz odłożyć nóż - powiedział nieznajomy. Mówił chropowatą francuszczyzną, inaczej niż Arabowie: zdawało się, że celowo zniekształca wypowiedane słowa. - Ani ja, ani żaden z moich ludzi nie zrobi ci krzywdy, jeżeli sam nas do tego nie sprowokujesz.

Daniel przypomniał sobie drogę, która przecinała rozciągającą się pod nimi równinę.

- Dlaczego wdrapaliście się tutaj? - zapytał.

- Ruiny także mnie interesują. Zjesz z nami posiłek?

- To miłe z twojej strony. Dziękuję.

- Nie ma za co. Obydwaj jesteśmy nocnymi wędrowcami. Nazywam się Julinus. A ty?

- Vehmund.

Julinus zawołał cicho i wszyscy mężczyźni zgromadzeni przy ognisku zwrócili ku niemu oczy. Jeden z nich wstał i przyniósł chleb, mięso i jakąś czarną butlę. Postawił wszystko na ziemi, w ciemności, gdzie siedział Daniel, jak gdyby przygotowywał piknik.

Imię nieznajomego nie wzbudzało zaufania. Pasowałoby raczej do jakiegoś cygańskiego szarlatana, wróżbity przepowiadającego przyszłość z kart i gwiazd. A jednak odzienie mężczyzny było przyzwoite, niezbyt skromne ani szczególnie paradne.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu.

- Byłeś na morzu - odezwał się wreszcie Julinus. - Chodziły słuchy o jakiejś katastrofie statku.

Daniel zastanowił się, skąd mogła pochodzić taka pogłoska. Jeżeli rozmówca mówił prawdę - musiał być ktoś, kto zauważył statek spoczywający daleko na wodach zatoki. Nic nie odpowiedział. Julinus pociągnął z butelki potężny łyk, otarł jej szyjkę, po czym podał flaszkę towarzyszowi. Daniel przełknął trunek. Było to wino, stare i ciemne, o smaku na wpół przegnilej śliwki.

- Dokąd zmierzasz? - spytał Julinus.

- Przed siebie.

- Nie znasz języka.

- Poradzę sobie.

- Tak, wielu ludzi mówi tu po francusku jak we wszystkich cywilizowanych krajach. Ale nic ze sobą nie masz. - Daniel uśmiechnął się na te słowa. - Jesteś bardzo tajemniczy - stwierdził Julinus. - Chciałbym poznać twój sekret. Masz jakieś pieniądze na drogę?

- Takie pytania zadają złodzieje - odparł Daniel.

- Zdaje mi się, że chciałbyś mi coś sprzedać. Wiozę swoje pieniądze w skrzyni. Jak się przekonasz, dobrze strzegę się przed rabusiami.

- Co takiego mógłbym ci sprzedać? - zdziwił się Daniel. - To, co mam na grzbiecie?

- Może te długie włosy - odparł Julinus. - Byłaby z nich piękna peruka dla kogoś mniej obdarowanego przez los.

- Moje włosy i ubranie nie są na sprzedaż. Nie mam zwyczaju rozprzedawać samego siebie.

- Ależ uspokój się - powiedział Julinus. - Wszyscy ludzie sprzedają się w taki czy inny sposób. Najmują się jako urzędnicy czy sekretarze, mówią cichutko, kiedy powinni krzyżeć.

Znowu pociągnęli z butelki. Za starymi murami nad równiną wstawał błady księżyc.

- A niektórzy z nas - mówił dalej Julinus - stają się niewolnikami księżycy. On odbiera nam rozum. Sądzi pan, że zalicza się do tej grupy, monsieur Vehmund?

Daniel wsunął rękę pod surdut. Materiał był poznaczony plamami soli, sztywny i nieprzyjemny w dotyku jak reszta zmoczonego w morskiej wodzie i wysuszonego na słońcu odzienia. Wyciągnął poplamiony, wilgotny woreczek.

- Mam tu coś, co chciałbym ci sprzedać - powiedział. Wyciągnął brylant i trzymał go w dłoni jak ogromny kryształ soli. Blask ognia padł na klejnot i kamień zapłonął. Dwaj mężczyźni podnieśli wzrok znad ogniska, jednak wyćwiczeni prawdopodobnie przez przywódcę, wpatrywali się tylko przez moment, po czym odwrócili głowy.

- A cóż to takiego? - zapytał Julinus, wędrowny lekarz, astrolog czy może szarlatan.

- A jak ci się wydaje?

- Zapewne kawał szkła.

- Właśnie - odparł Daniel. - Chcesz go kupić?

- Migocze tak jasno. To nie szkło, jak sądzę. Jest zaczarowany?

- Oczywiście.

- Skąd go masz?

- Zabrałem go pewnemu zmarłemu - odparł Daniel.

- Tego typu przedmioty zazwyczaj zdobywa się właśnie w taki sposób - stwierdził Julinus.

Daniel czekał, trzymając klejnot w dłoni. Już za chwilę się go pozbędzie. Jak sprytnie. Najpierw gnać na złamanie karku, ruszać w pościg, żeby potem oddać go bez mrugnięcia okiem.

Ludzie przy ognisku wybuchnęli śmiechem. Przebywali w zupełnie innym świecie.

- Nie sądzę, abym mógł zapłacić ci tyle, ile jest warta ta błyskotka - stwierdził Julinus.

- Weź ją - odparł Daniel. - Przyniosła mi tylko pecha.

„Co się stanie, kiedy klejnot będzie daleko ode mnie, nie tak jak wtedy, gdy ukryli go złodzieje i szukał go Surim Bey, ale oddalony o lądy i morza? Wtedy będę już tylko sobą. Pozostanę tylko ja. Daniel, nikt więcej”.

„Zwariowałem, myślałem dalej, że wyobrażam sobie to wszystko. Czy ten szarlatan rzeczywiście siedzi tu obok mnie?”

- Nie, nie mógłbym wziąć tego klejnotu bez zapłaty - Julinus znowu zwrócił się w stronę ogniska i krzyknął coś, prawdopodobnie czyjeś imię. Mężczyzna z naszyjnikiem z monet podniósł się i ruszył w stronę koni.

Daniel znowu przebiegł wzrokiem po białych literach na murze. „Terepha”. Co to znaczy? Z czym jest związane? Może z nim samym?

- Kto to napisał? - zapytał szarlatana.

- To? Kto tam wie.

- Zrobił to jeden z twoich ludzi. Nic nie było na murze, zanim przybyli.

- Dlaczego tak cię to niepokoi?

Mężczyzna wrócił od koni, niosąc skrzynię. Podał ją Julinusowi, po czym odszedł.

Julinus wyciągnął zza pazuchy klucz i, przekręciwszy go w zamku, podniósł wieko. Wewnątrz leżały paczki papieru i skórzane woreczki z zagadkową zawartością. Była tu też mniejsza skrzynka wykonana z czarnego metalu. Julinus wyciągnął ją i trzykrotnie naciskał pokrywę szybkimi, pieszczotliwymi ruchami. Wieko uniosło się. Zajaśniało złoto.

- To cekiny - odezwał się Julinus. - Można za nie kupować. Stare, ale warte swojej wagi. To będzie moja zapłata.

Daniel pokazał zęby w uśmiechu.

- Daj mi tyle, ile warty jest kamień.

Julinus uniósł szkatułkę i wysypał jej zawartość u stóp Daniela. Miał pewnie jeszcze więcej takich skrzyń.

Stare monety lśniły na darni jak nocne słońca. Daniel nawet nie próbował ich przeliczyć.

- W porządku - odezwał się.

- Widzę, że jesteś zadowolony. - Julinus wyciągnął rękę i Daniel położył na jego dłoni brylant. Zdawało się, że opuszczając go, klejnot pozostawia po sobie jakiś ślad, chłód i żar, które przylgnęły mu do palców. Głęboko w ciele młodzieńca zaś coś pękło, jakiś mięsień naciągnięty do granic wytrzymałości.

Julinus wręczył mu w zamian czarną flaszkę, nie ocierając tym razem szyjki. Daniel chciwie pociągnął łyk wina o smaku przegniłej śliwki. Nie czuł ulgi. Nie czuł już nic.

- Rozsądny wybór - powiedział Julinus. - Już widzę ten kamień na szyjach kobiet, jak połyskuje w blasku świec gdzieś na chłodnym pomocnym zachodzie.

- Gdzie właściwie jesteście? - zapytał Daniel.

- Na szczycie wzgórza.

- Nie. Miałem na myśli, w jakim jesteście kraju?

- Znajdujesz się na rozległym kontynencie europejskim - odparł Julinus. - Czy statek dryfował? Nie powiem ci nic więcej. Niech to będzie dla ciebie niespodzianka.

Podnosili butelkę do ust, aż wypili cały trunek. Julinus wskazał na ziemię.

- Zbierz monety.

Daniel przesunął po nich ręką i pozostawił tam, gdzie leżały.

- Nie będzie ci ich brakowało?

- Mam je tutaj - szarlatan stuknął w wieko skrzyni. Brylant zniknął. - Teraz odejdę, żebyś mógł zasnąć. Jutro będzie ci się wydawało, że to był tylko sen.

- Jutro będę bogaty - odparł Daniel.

Aaron, jeden z ludzi Julinusa, wolno przeciął kamienisty teren między zrujnowanymi murami zamczyska. Był sierotą i wałęsał się po brudnych zaułkach, zanim nie zajął się nim Julinus. Nie znał innego ojca poza nim. Był teraz wiernym psem Julinusa, i to takim, który potrafi użyć swoich kłów.

Stanął nad Danielem, mając nadzieję, że młodzieniec nie ocknie się i nie narobi hałasu. Jego towarzysze kręcili się po obozowisku, przygotowując do drogi.

Złote włoskie cekiny leżały zgarnięte na kupkę obok dłoni młodzieńca. Daniel nie zebrał ich z ziemi, chociaż przez sen gładził je palcami, jak gdyby szukał czegoś innego.

Aaron pochylił się nieco nad śpiącym. Strzelił prosto w jego pierś.

Jego towarzysze wzdrygnęli się na odgłos wystrzału i zaklęli, po czym znowu wrócili do swoich zajęć przy koniach i pakunkach.

Julinus siedział na grzbiecie swojego wałacha z nogami spuszczoneymi po jednej stronie. Był wysoki, imponujący i całkowicie obojętny.

Aaron owinął złote monety w płótno. Nie przejął się wcale tym, że zastrzelił tego uprzejmego młodzieńca. Ten leżał z wyrazem spokoju na twarzy, jako że nie zdążył się obudzić. W nabierającym śmiałości świetle dnia jego włosy miały kolor złotych monet. Julinus jednak nie nakazał ich ścinać. Niech zachowa sobie te włosy, dopóki drapieżne ptaki, które oskubią jego ciało do kości, nie zaczną budować z nich gniazd na skałach.

## CZĘŚĆ DRUGA

1.

Wstał jasny, zielony poranek. Wiosenne niebo prześwitywało przez zielen młodych listków, w które przyodziwały się drzewa porastające szczyt wzgórza. Staw, po którym dawno już nie pływało żadne domowe ptactwo, błyskał mrokiem nefrytu pomiędzy dębami, których pnie zdobiły szmaragdowe porosty. W porośniętej trawą dolinie skryła się stara wiejska chata, której ściany spowijał ciemnozielony bluszcz, pożerający mury za życia. Z komina sterczącego ze spadzistego dachu leniwie snuł się dym. Ogień został jak zwykle źle rozpalony i jak zwykle z głównej izby dochodziły odgłosy kłótni.

Przez okno Laura rozróżniła nadąsane głosiki sióstr. Elfie i Alice, i posępne tremolo matki. Nagle zagrzmiął głos ojca. Spośród nich wszystkich Jason Wheelwright robił najmniej hałasu. Był jednak mężczyzną, głową rodziny, tego stada kobiet, jak zwykły mawiać.

- Gdzie mój chleb? - krzyczał ojciec. - Mam zdechnąć z głodu? Cztery przeklęte baby w domu i żadnej nie ma, żeby zrobić człowiekowi śniadanie.

- Laura! - Matka rozdarła się przez otwarte okno. - Chodź no tutaj i odsmaż ojcu chleb.

Laura weszła do domu niechętnie, jednak bez słowa sprzeciwu. Bunt był zupełnie niemożliwy.

Przykłęknęła przy palenisku, na którym perkotał garnek z owsianką, i rzuciła na patelnię pełny talerz chleba dla ojca.

Jason Wheelwright był niskim, tęgim mężczyzną, czerwonym na twarzy od picia i ciągłego przebywania na powietrzu. Ubierał się niewiele lepiej od wędrownego druciarza - które to zajęcie było niegdyś jego źródłem utrzymania. Obecnie imał się każdej pracy, jaka tylko wpadła mu w ręce i od której nie sposób było się odżegnać. Ciężko mu się wiodło. Odziedziczył dom kilka lat wcześniej i to przywiodło go w te strony, gdzie osiedlił się wraz z rodziną: tłustą, ponurą żoną i trzema córkami. Dwie z nich, czternastoletnia Alice i piętnastoletnia Elfie, zajmowały się domem i nieustannie pieklącym się ojcem, kiedy akurat znajdował się w pobliżu. Na szczęście rzadko bywał w domu, włócząc się po okolicznych targach, gdzie kupował okazyjnie różne rzeczy - cały dom był zaśmiecony bezużytecznymi przedmiotami - pracując dorywczo w gospodarstwach sąsiadów lub przesiadując w piwiarni nad kuflem. Dwie młodsze córki były bardzo podobne do ojca, nawet matka przypominała go w jakiś sposób, z tym że kobiety miały twarze o jasnej karnacji, a nie czerwone. Wszyscy czworo wydawali się ulepieni z jednej gliny. Natomiast najstarsza córka, Laura, zupełnie odstawała od reszty. Była wysoka i szczupła, o ciemnorudych włosach, które Jason widział tylko u jednej ze swoich ciotek. Oczy miała czarne, skórę zaś jasną i bez skazy. Poruszała się odmiennie i inną przybierała postawę, mówiła także inaczej niż pozostali domownicy. Zawdzięczała to okresowi, jaki spędziła w wiejskiej szkole, czego pozbawione zostały Alice i Elfie. Laura w istocie wydawała się różą, która ugrzęzła w błocie.

Jasona rozpierała duma na widok Laury, podobnie jak szczycił się świecidełkiem, które szczęśliwie zdobył za jakąś piosenkę. A jednak czuł się również nieszczęśliwy z jej powodu, ponieważ dziewczyna była dla niego po prostu za dobra. Z jednej strony chwalił ją, z drugiej starał się córkę pognębić. Jeśli chodzi o matkę i siostry, Laura na każdym kroku napotykała ich niechęć.

- Znowu idziesz wałkonić się cały dzień na farmie? - warknęła do najstarszej córki pani Wheelwright.

- Tak, matko.

Inaczej niż pozostali domownicy Laura chwytiała się każdej pracy, jaką tylko udało się jej znaleźć. Zawsze starała się, by zatrudniono ją przy żniwach i sianokosach. Jej jasna skóra była pełna zadrapań, krzyż bolał od ciągłego schylania. Gdzie indziej najmowała się do dojenia krów i oporzędzania owiec. Zwróciła także na siebie uwagę właścicielki jednej z farm: zyczliwej, nobliwej damy, która zaciekawiona sposobem mówienia Laury, zapytała ją,



czy potrafi dobrze czytać. Dziewczyna odpowiedziała, że tak. Od tamtej pory, a minęło już od tego czasu siedem miesięcy, Laura, gdy tylko zaśnieżone drogi były przejezdne, zajmowała się czytaniem owej damie, której oczy po jakiejś poważnej chorobie męczyły się szybko. Sowiec wynagradzano ją za tę pracę i chociaż ojciec przepijał część zarobionych przez nią pieniędzy, matka mogła wykorzystać resztę na zakup żywności i inne niezbędne wydatki. Mimo to właśnie matka najwięcej zrzędziła.

- I co, wzrok jej się nie poprawił? A przecież widzi wystarczająco dobrze, żeby pisać listy. I słyszałam, że wysyła je w jakieś obce strony. - Pani Wheelwright była jedną z najbardziej wytrwałych plotkarek w wiosce.

- Kilka razy dyktowała mi listy - odparła od niechcienia Laura.

- A ty mi nie powiedziałaś! - zawołała oskarżycielsko matka. - Czytasz jej też listy, które dostaje w odpowiedzi?

- Nie, nigdy.

Matka rozczarowana dołała mężowi herbaty. Jason zdążył już opchać się chlebem i owsianką, siedział teraz w milczeniu, paląc fajkę. Miał dzisiaj stawić się do pracy na jednej z odległych farm i powinien już wyruszyć w drogę. Spóźni się, a gdy dotrze wreszcie na miejsce, spartaczy robotę.

Laura pozmywała naczynia, wytarła je i ustawiła na półkach, po czym odwiązała fartuch. Jej wyjściu z domu towarzyszyły oznaki niezadowolenia ze strony matki i pogardy ze strony sióstr - żadna z nich nie potrafiła przeczytać więcej niż kilka słów.

Zielony poranek nabrał pod otwartym, jasnym niebem odcienia błękitu. W chwili, gdy Laura wyrwała się z rodzinnego domu, poczuła się wolna.

Czekał ją dwugodzinny spacer, jednakże długa droga nie stanowiła dla dziewczyny problemu. Idąc rozglądała się dookoła, spoglądając na drzewa, żywopłoty, ciemne pola, które zaczynały zielenieć, zwierzęta i ptaki, które akurat znalazły się w pobliżu. Kotłowały się w niej dziwne uczucia. Jakieś nieuzasadnione, zagadkowe podniecenie. Może spowodowała to tylko kipiąca życiem wiosna.

Po jakimś czasie pojawiły się grzbiety wzgórz. Były porośnięte starym, gęstym borem, który na tle jasnobłękitnego nieba przypominał kudłate śpiące zwierzę. Farma Vehmundów, do której zmierzała Laura, leżała niżej, na dnie kotliny. Pastwiska na zboczach wzgórz, które dziewczyna miała przed oczyma, usiane rdzawymi plamami krów i bielą owczego runa, należały już do Vehmundów.

Farmę zajmował się teraz syn pani Vehmund, jej mąż bowiem padł ofiarą potwornego morderstwa. Został zaatakowany przy kominku we własnej kuchni. Sprawcą był, jak powszechnie uważano, jakiś Cygan czy włóczęga, którego właściciel przyłapał na kradzieży. Uzasadniały to pogłoski o zaginięciu pokażnej sumy pieniędzy. Żona zmarłego, już od jakiegoś czasu podupadająca na zdrowiu, rozchorowała się ciężko po śmierci męża. Właśnie ta choroba pozbawiła ją możliwości czytania. Od urodzenia wychowywana na damę, nie miała wielkiej wprawy w prowadzeniu domu, nad którym opiekę powierzono niejkiej Rosamunde Ax. Mężczyźni mieszkający na farmie byli prymitywnymi gburami, syn właścicielki zaś, przypominający ludzką istotę jedynie mową i ruchami, nie był szczególnie rozgarnięty - tak uważała Laura. Jenavere Vehmund - bo takim właśnie imieniem kazano Laurze zwracać się do pracodawczyni - zawsze odstawała od otoczenia, teraz zaś wegetowała jak jakiś słaby pasożyt, nikogo niczym nie obdarzając ani nie przyjmując niczego poza spaniem, jedzeniem i nielicznymi wygodami, takimi jak usługi Laury, na które sobie pozwoliła. To ona jednak wniosła do rodziny majątek, który jej zmarły mąż zainwestował w farmę. To był jej wkład. Jej obecność tolerowano jeszcze właśnie z tego powodu.

Laura wkroczyła na drogę wiodącą w dół kotliny. Wkrótce przecięła bukowy las i znalazła się w sadzie, za którym widniał dom z szarego kamienia. Na osłoniętych jabłoniach i gruszach wciąż jaśniały późne kwiaty. Za sadem znajdował się ogród, w którym Rosamunde

uprawiała zioła, kapustę i starą rozrośniętą winorośl, która pięła się po ścianie i w lipcu wydawała owoce. Stadko kurczaków przemierzało dumnie dziedziniec. Drzwi były zamknięte.

Rosamunde otworzyła je przed Laurą, wpuszczając następnie dziewczynę do ogromnej kuchni, która była kiedyś sceną morderstwa.

Służąca była drobną, pomarszczoną starszą kobietą o ciemnej cerze. Popatrzyła na Laurę, przesywając ją wzrokiem pełnym nienawiści.

- Ona już czeka. Idź na górę.

Tymi słowami Rosamunde Ax za każdym razem witała Laurę, której nienawidziła i bała się jednocześnie, podobnie jak nienawidziła swej schorowanej pani, choć ta ostatnia nie wzbudzała w niej strachu. Rosamunde opiekowała się niegdyś nieżyjącym już mężem Jenavere, teraz zaś była służącą jego syna. Zaharowywała się na śmierć dla nich obydwu, nie oczekując i nie otrzymując żadnego słowa podziękowania, przeświadczona, że życie w takim kieracie jest dla niej najzupełniej odpowiednie. Ale czuła wstręt do jakichkolwiek oznak wytworności. Vehmundowie mieli jeszcze jednego syna, którego wysłali do szkoły, by nauczył się sposobu życia głupców i rzeczywiście opanował tę wiedzę do perfekcji. Jego także nienawidziła, jednak od kiedy stał się mężczyzną, a więc istotą, którą Bóg uczynił wyższą, kobieta nie okazywała swoich uczuć ani nie zaprzętała sobie nimi głowy. Teraz w każdym razie przebywał za granicą razem ze swoim wymądrzaniem się. Pani Vehmund odczytała na głos jego list, który przyszedł z miesiąc po morderstwie z jakiegoś obcego, zamorskiego kraju. Wyglądało na to, że jej syn opuściwszy szkołę, nie mówiąc nic nikomu, udał się prosto za granicę, co było dziwne, spodziewano się go bowiem w tym czasie w domu. Rosamunde dobrze pamiętała, gdyż na polecenie pani ze złością sporządzała wypieki na jego przyjazd.

Laura przeszła przez kuchnię i tylnymi schodami wdrapała się na piętro. Pokonawszy korytarz, zastukała do drzwi pracodawczyni. Niski, pełen słodczy głos zaprosił ją do środka.

Jenavere przesiadywała jak zwykle w położonej nad kuchnią dużej sypialni, zwanej pokojem pana, a która teraz należała wyłącznie do niej.

Okno było otwarte. Z dziedzińca dolatywało gdakanie kurcząt i aromatyczny zapach sadu.

Jenavere siedziała w fotelu ze stopami wspartymi na podnóżku. Obok leżała przygotowana książka.

Podczas gdy włosy Laury mieniły się barwą miedzi, głowa Jenavere była pokryta srebrem. Mimo to włosy jej były nadal tak zdrowe i miękkie, że lśniły jak platyna. Oczy utraciły dawny błękit i przybrały kolor zimowego oceanu; były równie chłodne, pozbawione jednak okrucieństwa. Zimne i łagodne. Kobieta miała jasną cerę i nieliczne zmarszczki. Nie wyglądała na swoje lata, w ogóle trudno było określić jej wiek. Zdawała się jakby żyć poza czasem. Miała na sobie starą szarą suknię z wpiętą na piersi srebrną szpilką, którą jeszcze bardziej podkreślała bladość twarzy i metaliczny połysk włosów.

- Oto jest mój dobry anioł - powiedziała Jenavere, witając Laurę nieśmiałym, słabym uśmiechem, jak gdyby spoglądała na zstąpienie z nieba kogoś, czyjego przybycia od dawna wypatrywała z niecierpliwością.

Laura usiadła i otworzyła książkę. Nie traciły czasu na zadawanie nic nie znaczących pytań. Gdy zaczęła czytać, spostrzegła, że na kolanach Jenavere spoczywa kupka starych listów. Kobieta nadal przytrzymywała je jedną ręką, jak gdyby było to jakieś zwierzę.

Po godzinie Jenavere poprosiła Laurę, by przerwała czytanie, co zdarzało się niezwykle rzadko. Niekiedy tylko pracodawczyni zamiast zwykłej rozrywki wybierała rozmowę.

Laura pociągnęła łyk jabłeczniaka z kubka, który stał już przygotowany, by nie trzeba było wzywać służącej.

- Znowu zaczęłam czytać te same listy od syna - odezwała się Jenavere. - Jak ci mówiłam, Daniel pojechał na Wschód. Mam wrażenie, że już od tak dawna nie miałam od niego żadnej wiadomości. Listy idą stamtąd miesiącami, a do tego czasami giną.

- Z pewnością bardzo to panią martwi - powiedziała Laura. Współczuła pracodawczyni, przebywanie bowiem w towarzystwie osoby tak dystygowanej, pośród ksiązek sprawiało jej przyjemność, zwłaszcza że została przez nią wyróżniona.

- Boleśnie odczuwam nasze rozstanie - odpowiedziała Jenavere. - Nie jestem tak blisko związana z drugim synem. On należał do swojego ojca. A Daniel jest mój. - Nie starała się usprawiedliwiać. Pragnęła, by Laura pojęła treść jej słów i rzeczywiście tak się stało. Gbur, który przejął prowadzenie farmy, mógł być tylko przypadkowo wydany na świat przez Jenavere. Laura nie miała wątpliwości, że drugi syn, mimo iż nigdy go jeszcze nie widziała, jest ulepiony ze szlachetniejszej gliny.

- Czy jest jakaś nadzieja, że Daniel powróci wkrótce do domu? - spytała.

- Nie - odparła szybko Jenavere, jak gdyby wręcz ogarnięta strachem. - Daniel nie ma tu czego szukać.

Laura powstrzymała się od odpowiedzi, że przecież tutaj mieszka jego matka.

- Przypuszczam, że znasz tę potworną historię o... śmierci jego ojca - odezwała się znowu Jenavere. - Ojciec zapisał wszystko naszemu pierworodnemu, Marsallowi, Danielowi nie pozostawiając nic. Daniel musi ułożyć sobie życie gdzie indziej. Ale tak bardzo mi go brakuje. To boli jak ukłucie nożem w serce. - Jenavere wahała się przez chwilę, po czym mówiła dalej: - Czas nie goi ran. Czuję, że boli mnie to coraz bardziej. A ponieważ nie ma żadnych wiadomości, wyobrażam sobie wszystko co najgorsze. Nawet nie potrafię tego dokładnie określić. Oto jest głupota matek.

Laurze nie mogła przejść przez gardło żadna stosowna odpowiedź, by pocieszyć nieszczęśliwą kobietę.

Koty leżące na łóżku obudziły się i zaczęły lizać wzajemnie jeden drugiego. Jenavere popatrzyła na nie z sympatią.

- Takie proste, idealne życie - odezwała się. - Bez żadnych trosk. My także jesteśmy tylko zwierzętami, ale zaśmiecamy sobie głowy uczuciami. Podyktuję ci list do syna, dobrze, Lauro? Gorzej dzisiaj widzę.

Zamieniwszy książkę na pióro, papier i atrament, Laura wzięła się do zapisywania słów listu. Tekst był prosty, pełen szczegółów z życia na farmie, bez wzmianki na temat prawdziwych utrapień Jenavere. Ostatnie słowa brzmiały: „Błagam, napisz do mnie jak najszybciej. Przypuszczam, że nie dotarł do mnie któryś z twoich listów i nie mogę się doczekać, by wreszcie odebrać od ciebie jakieś wiadomości”.

Gdy list był gotowy, Laura zaofiarowała się, że sama pójdzie go wysłać. Jenavere z wdzięcznością przyjęła propozycję. Farma Vehmundów była znacznie oddalona od wioski i gdyby nie Laura, Rosamunde lub inna służąca musiałyby się tam udać z listem.

Kolejna godzina upłynęła na wymianie przypadkowych uwag. Jenavere jednak zdawała się coraz bardziej zmęczona. Wreszcie zapłaciła dziewczynie, odprawiając ją w ten sposób taktownie.

Wychodząc Laura czuła przygnębienie. Jenavere była osaczona podobnie jak ona. Pozbawiona poczucia wyższości, Laura myślała jednak o sobie jak o łabędziu, który przypadkowo znalazł się w nieodpowiednim, brudnym otoczeniu. Jenavere, szlachetna więźniarka, tkwiła w swej celi, jak gdyby w oczekiwaniu na egzekucję.

Rosamunde pielęła w ogrodzie. Nawet nie spojrzała na Laurę, gdy ta przechodziła obok. W otwartym oknie zaś wychodzącym na dziedziniec pojawiła się srebrzysta postać, unosząc dłoń na pożegnanie.

Przechodząc przez sad, Laura nie mogła przestać myśleć o morderstwie. Matka swojego czasu nieustannie mówiła o tej tragedii. Jason Vehmund został uduszony.

Część kwiatów opadła z gałęzi, tworząc pod stopami dziewczyny dywan, którego piękno nie pasowało wcale do jej myśli.

Zboczem wzgórza jechało konno dwóch mężczyzn. Jednego z nich Laura rozpoznała bez wahania. Był to gruboskórny Marsall Vehmund. Drugim jeźdźcem był ktoś obcy, odległość zaś nie pozwalała zobaczyć czegoś więcej.

Szła dalej. Weszła między buki, po czym wdrapała się ku ścieżce, biegnącej przez położone na wzniesieniach pola.

Gdy znajdowała się jeszcze u podnóża pagórka, dostrzegła, że obydwaj mężczyźni śledzą ją wzrokiem, ale nie myślała o tym więcej.

Jednak jakieś dziesięć minut później, gdy maszerowała w kierunku domu, usłyszała za sobą tętent kopyt. Obejrzała się. Jechał za nią tamten drugi, nieznajomy jeździec.

Droga była wąska, Laura przyłgnęła więc do żywopłotu, żeby przepuścić jeźdźca.

Był to młody, szykownie ubrany dżentelmen. Miał jasne włosy i bez wątpienia mógł uchodzić za przystojnego. Zdawało się, że w jakiś dziwny sposób jest całkowicie czymś pochłonięty. On również popatrzył na dziewczynę i w tej samej chwili Laura roztropnie odwróciła spojrzenie.

Gdy zbliżył się do niej, ściągnął cugle zamiast pojechać dalej.

- Ten nedorajda Vehmund powiedział mi, że nazywa się pani Laura Wheelwright.

- Tak - odpowiedziała Laura, wbijając wzrok w ziemię.

- A więc, panno Wheelwright, proszę mi powiedzieć, skąd się wzięły u pani te płomienne włosy? Myślałem, że to las się pali.

Laura z oburzeniem podniosła głowę.

- Nie widzę żadnych wad w swoich włosach.

- Bo rzeczywiście ich nie ma. Dodają tylko pani urody. A cała reszta ani trochę im nie ustępuje.

Wbrew sobie Laura poczuła przyjemność słysząc te słowa. Mimo iż zawsze ostrzegano ją przed pochlebstwami ze strony mężczyzn, szczególnie wywodzących się z tej klasy co nieznajomy, nie była oburzona. Nic nie odpowiedziała.

- Bardzo proszę - odezwał się nieznajomy - choć przez chwilę pozwolę mi spojrzeć w pani oczy. Są zielone czy niebieskie?

Laura podniosła wzrok i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w młodzieńca. Może nie powinna była tego robić. Jeździec roześmiał się.

- Czarne jak dzety - powiedział. - Cóż to za gra barw. Gdybym był malarzem, nie omieszkałbym sportretować pani, panno Wheelwright. Ale ponieważ nie jestem artystą, mogę jedynie pokornie prosić, aby pozwoliła mi pani odprowadzić się do domu.

- Nie, w żadnym wypadku.

- Wielka szkoda. Naprawdę ogromnie żałuję. Czy mogę w takim razie zapytać, gdzie pani mieszka?

- Mieszkam z rodzicami.

- Chwileczkę, tak, już wiem. Słyszałem, że ojciec pani zajmuje się ciesielstwem i uprawą roli. Mieszka pani w domku z bluszczem, czy tak?

Laura, znowu wpatrzona w ziemię, żadnym gestem nie potwierdziła jego przypuszczeń.

- Zapewne ostrzegano panią przed ludźmi takimi jak ja - odezwał się znowu nieznajomy. - Nazywam się Hyperion Worth. Mieszkam za następną wsią, w tamtym kierunku. Pani pewnie wydaje się, że to na końcu świata. - Laura nie zaprzeczyła. Miał rację: nigdy nie była dalej jak w następnej wiosce. - Czy pozwoli pani posadzić się na tego spokojnego deresza i zawieźć do domu?

- Nie, dziękuję.

- No cóż, w takim razie już pojedę. Pani z pewnością chciałaby, żeby to się stało jak najszybciej.

Gwałtownym ruchem zdjął na pożegnanie kapelusz, ukazując płowe włosy, po czym pogalopował przez pastwisko, nie zwracając uwagi na skubiące trawę owce, które rozbiegły się na widok jeźdźca.

Każde popołudnie Jenavere było podobne do poprzedniego. Wyglądała przez okno, drzemała. Ot, popołudnie starej kobiety. Od czasu do czasu na kolana wskakiwał jej lekko jeden z kotów, po jakimś czasie z powrotem zeskakując na ziemię. Kobieta głaskała je łagodnie na powitanie i pozwalała im odchodzić bez żadnego gestu sprzeciwu.

Słońce schowało się za domem. Zaczęło zmierzchać. Nad pastwiskami pojawił się jędrny, wiosenny księżyc.

Rosamunde silnie zastukała do drzwi.

- Pan pyta, czy zejdzie pani na dół na kolację?

Jenavere nie miała w zwyczaju spożywać posiłków w towarzystwie syna. Pytanie z jego strony oznaczało rozkaz.

- Oczywiście.

Poprzez zalegające schody półcienie kobieta w szarej sukni zeszła powoli na dół.

W kuchni buzował na kominku ogień i płonęły lampy. W gorącym świetle siedział starszy syn Jenavere i jego trzech pomocnicy. Nikt inny nie miał prawa zasiadać do jedzenia w kamiennej kuchni. Marsall rozparł się za stołem. Naniósł na podłogę grubą warstwę błota. Przed pójściem spać Rosamunde zdąży jeszcze wypucować posadzkę i długie buty swego pana. Teraz podała mężczyznom piwo i wszyscy czterej długo trzymali kufle przy ustach.

Jenavere bez słowa usiadła przy przeciwległym krańcu stołu.

- Dobry wieczór, matko - odezwał się Marsall, przesadnie akcentując słowa, który to sposób mówienia zachowywał wyłącznie dla niej. - Jakże dzisiaj twoje zdrowie?

- Dobrze, dziękuję.

- Wspaniale. Cudownie. Nie posiadam się z radości. Zajmowałaś się więc kuchnią?

- Nie. Rosamunde gotowała dzisiaj.

- A więc nie byłaś na tyle zwawa, żeby gotować?

Niekiedy Jenavere starała się krzątać koło domu. Rosamunde jednak nigdy nie zachęcała jej do tego, więc Jenavere zaprzestała tych zajęć.

Nie uzyskawszy odpowiedzi Marsall mruknął coś do swoich towarzyszy i cała czwórka wybuchnęła grubiańskim rechotem.

- Mam ci coś do zakomunikowania, matko - po chwili odezwał się ostro Marsall. - Przyjechał pewien niezgorszy dżentelmen. I do tego bogaty. Mieszka piętnaście mil stąd. Chce kupić farmę, a mnie zostawić tutaj jako zarządcę. Zatrzymamy dom i sad. I co ty na to? Jenavere doskonale zdawała sobie sprawę, że jej pogląd nie ma najmniejszego znaczenia. Chociaż to, o czym kiedyś myślała, było tak czy siak absurdalne. Bała się, że nic nie przypadnie w udziale Danielowi. W końcu jednak cała posiadłość i wszystkie pieniądze, zarówno należące do męża, jak i te, które wniosła mu w wianie, zostały zapisane Marsallowi. Daniel i tak przebywa tysiące mil stąd, a na dodatek nie przychodzą żadne listy.

- Musisz postąpić tak, jak uważasz za stosowne - odpowiedziała ostrożnie na pytanie starszego syna.

- No, ja myślę - stwierdził Marsall. - Uważam, że nie możemy zrobić nic lepszego jak właśnie sprzedać farmę. Nic się nie zmieni, a jeżeli zdarzy się niefart, to bogaty pan Worth poniesie straty, nie my. A mając gotówkę - rany, mógłbym coś sensownego zrobić.

Od ramion po kolana sylwetka Marsalla była równie masywna. Miał ogromne stopy, głowę zaś malutką, pokrytą gęstą czupryną ciemnobrązowych włosów. Był podobny do ojca. Jenavere została zmuszona do małżeństwa z tym gwałtownym, brzydkim mężczyzną, ponieważ podobała się Vehmundowi, a jej ojciec winien mu był pieniądze. Jej mąż był grubiański od samego początku, nie bardziej delikatny w łóżku, a jego napady gniewu nedorzeczne i straszliwe. Uderzył ją pierwszy raz w dziesięć dni po ślubie i od tamtej pory

robił to regularnie. To prawda, że gdy była w ciąży - czterokrotnie, łącznie z dwoma poronieniami - nie dotykał jej, niszczył za to przedmioty albo wyładowywał gniew na zwierzętach, które także były jego własnością. Widziała kiedyś, jak kopnął byka między oczy. Ukręcał też szyje kociakom, które uważał za zbędne.

Nienawiść, jaką Jenavere czuła w stosunku do tego człowieka, była silniejsza niż wszystkie inne złe uczucia kłębiące się w tym domu, mocniejsza od tej, na jaką zdobywała się zjadliwa Rosamunde, i niezmienna jak spokojnie płonący ogień. Mimo woli zaszczepiła tę nienawiść Danielowi, chociaż, usilnie starając się go oszczędzić, zdołała wysłać ukochanego syna do szkoły w mieście. Od urodzenia we wszystkim był do niej podobny i stary Vehmund wydawał się zadowolony, że nie musi oglądać go na co dzień. Gdy Daniel znowu pojawił się na farmie, wykształcony i wyglądający jak prawdziwy dżentelmen, Vehmund wysoko go ocenił, choć jednocześnie traktował z lekką ironią. Śmieszyła go wiedza i obycie Daniela, jak gdyby oglądał tresowaną małpę. Gdy Daniel wstąpił na uniwersytet, Vehmund był nadal ubawiony jego sztuczkami i razem z Marsallem, swoim lustrzanym odbiciem, nie przestawali się śmiać.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Daniel zjawił się, żeby odwiedzić Jenavere. Nie zauważony przez nikogo, jak włóczęga przemaszerował pieszo przez pola. Jak gdyby wszystko zostało zaplanowane. W wiosce odbywał się akurat targ. Wybrała się tam nawet Rosamunde, pozostawiając na parapecie tace z chlebem.

Vehmund był zły, Jenavere nie mogła sobie przypomnieć dlaczego. Potem po chwili jego gniew skupił się na niej i wreszcie swoim zwyczajem uderzył ją. Zdążyła podnieść się z podłogi i paść potem na fotel, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Daniel. Już wcześniej widywał na twarzy matki ślady uderzeń. Widział, jak zapadała na zdrowiu. Od kiedy pamiętał, matka zawsze była wątła. Nie zdarzyło się jeszcze, by na własne oczy zobaczył, jak matce wymierzana jest kara.

Rzucił się na ojca. Zaatakował go błyskawicznie jak dzikie zwierzę. Potężny, grubokościsty Vehmund odepchnął syna i Daniel także upadł na podłogę z rozmazaną na twarzy krwią.

Niskim, chrapliwym głosem Vehmund zaczął obrzucać syna obelgami. Rozkazał mu, by zszedł do kuchni i przyniósł pas, którego używał, gdy synowie byli dziećmi.

Daniel wstał bez słowa i podszedł do drzwi.

- Czekam na ciebie - powiedział ojciec i wyszedł.

- Obmyj twarz - odezwał się Vehmund do Jenavere i poszedł za synem.

Nie ruszała się z fotela. Krew zastygła jej na ustach jak strużka żarzącego się lodu. W uszach jej huczało, a serce waliło mocno.

Z dołu doszedł ją jakiś dziwny hałas. Jakieś pomruki, a potem pokój zatrzęsł się od uderzeń dobiegających od strony komina. Wreszcie zaległa cisza, którą po chwili przecięły lekkie kroki Daniela. Jenavere przygotowała się na najgorsze. Syn wszedł do pokoju. Był błydy i spokojny. Krew w kąciку ust zdążyła już zastygnąć.

- Zabiłem go - powiedział.

Nie zdziwiła się. Wiedziała już wcześniej. Ułożyli plan bez chwili wahania. Daniel zabrał pieniądze ze skrytki, którą ojciec miał w kuchni, i ulotnił się, zanim pojawił się ktokolwiek z domowników. Później przysłał z zagranicy list. Nigdy go nie podejrzewano. Władze przychyliły się do opowieści o cygańskim włóczędze, który zamordował Vehmunda, podczas gdy jego chora żona spała w pokoju na piętrze. Ludzie przez pół roku wspominali ze zgrozą to wydarzenie, mężczyźni spali z bronią w pogotowiu, kobiety uciekały na widok włóczędzów, krzycząc z przerażenia.

Wstrząśnięta Jenavere nie zdawała sobie wówczas sprawy, jak bardzo będzie tęsknić za synem, znacznie bardziej niż w czasach, kiedy Daniel uczęszczał do szkoły. Długo chorowała, a kiedy już doszła do siebie, pragnęła tylko Daniela, on jednak nie miał się pojawić.

Może to było głupie, ale Jenavere nie mogła się powstrzymać, by patrząc na Laurę, nie myśleć o swym złotowłosym synu. Laura także była zbyt subtelna jak na otoczenie, w którym się obracała. Ona także była młoda i piękna.

- No, tak - odezwał się podobny do wieprza syn, którego, aż trudno uwierzyć, kiedyś urodziła - może sprzedam farmę nieocenionemu panu Worthowi.

Wiosnę zastąpiło wczesne lato i ziemię nawiedziła powódź zieleni. Gałęzie drzew uginały się pod ciężarem liści, na polach falowały kłosa, w których dojrzewało ziarno. Trawa na zboczach wzgórz rosła tak szybko, że krowy i owce ledwo nadążały ją wyskubać. Szeroki strumień biegnący nad kotliną stał się brązowy i płytki. Po lśniących kamieniach skakały żaby. Zieleń lasu była tak intensywna, że wydawała się prawie czarna.

Laura zatrudniła się na jednej z sąsiednich farm jako dojarka. Wychodziła z domu przed świtem, gdy ojciec leżał jeszcze pochrapując, albo wieczorem, podczas gdy Jason Wheelwright wybierał się do piwiarni. Dziewczynie brak było wolnego czasu, by odbywać długie wędrówki na farmę Vehmundów i czytaniem dostarczać Jenavere rozrywki.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Laura po skończonym dojeniu udała się do domu. Usypiał ją letni żar, bzykanie unoszących się nad stawami komarów i trzepotanie skrzydeł motyli mieniących się kolorowo na rozchylonych główkach kwiatów. Na polach długie cienie spowijały pierwsze czerwone maki.

Dusza dziewczyny pełna była posępnej rezygnacji, jak zwykle, gdy wracała do domu, do matki, ojca i sióstr.

W chwili, gdy dęby rosnące przy ścieżce zostały za nią w tyle, Laura zobaczyła uwiązanego przy domu deresza.

Nie miała pojęcia, do kogo koń mógłby należeć, jednak od czasu do czasu wpadali do nich miejscowi urzędnicy, doprowadzając ojca do wściekłości. Uznała, że tym razem pewnie znowu o to chodzi.

Gdy była już blisko domu, z okna doleciał ją wybuch opętańczego śmiechu.

Przestraszyła się.

Z drżeniem położyła rękę na klamce.

- A oto i nasza dziewczyna! - zawołał z zapalem ojciec, jak gdyby była gościem honorowym.

Matka i siostry siedziały przy stole, ojciec w fotelu. W kącie przy kominie spoczął Hyperion Worth. Gdy weszła, wstał i uklonił się. Tak bardzo nie pasował do otoczenia, że cała izba wydawała się jakaś koślawą, jak gdyby wszystkie kąty były krzywe. Rodzina wpatrzyła się chciwie we wchodzącą.

- Proszę wybaczyć mi śmiałość, panno Wheelwright - odezwał się Hyperion Worth. - Przyjechałem, żeby się z panią zobaczyć. Rodzice pani byli tak uprzejmi i zaprosili mnie do środka.

- Cała przyjemność po naszej stronie, sir! - zawołał z entuzjazmem Jason.

Laura stanęła przy stole. Miała na sobie codzienną sukienkę, rude włosy owiązane wokół głowy. Ręce osłabły jej od dojenia.

- Dlaczego chciał się pan ze mną widzieć, panie Worth? - spytała.

- I cóż dziwnego. Dlaczegoż to mężczyzna nie miałby odwiedzić ładnej dziewczyny?

Zamiast obrazić się, mile połączani domownicy niemal przyklasnęli słowom gościa. Dwie brzydkie siostry zachichotały.

- Zazwyczaj - odparła stanowczo Laura - mężczyźni nie wyświadczają ładnym dziewczętom żadnych uprzejmości.

- Cicho, Lauro - powiedziała matka. - Obrazisz pana. A przejechał taki kawał, żeby się z tobą zobaczyć.

- Jestem zobowiązana - stwierdziła Laura - ale nie prosiłam go, żeby przyjechał, wybrał się w drogę dla własnego kaprysu.

- Szczerza prawda - wtrącił Hyperion Worth. - I przyznam, że warto było przebyć taki szmat drogi, żeby zobaczyć pannę Laurę tak świeżą i zadowoloną po ciężkim dniu pracy.

- Wręcz przeciwnie - odparła Laura. - Jestem bardzo zmęczona.

- Nie na tyle jednak zmęczona, mam nadzieję, by odmówić mi krótkiego spaceru.

Laura przebiegła wzrokiem po twarzach domowników. Ojciec i matka uśmiechali się radośnie. Laurze nie pozostawało nic innego jak samej się bronić.

- Niestety, sir, jestem zbyt zmęczona. Przez cały dzień nie usiadłam nawet na chwilę.

- W takim razie posiedzimy tutaj, ciesząc się gościnnością pani rodziny - odparł bez cienia rozczarowania.

Laura usiadła. Matka z wyraźną niechęcią nalala jej filiżankę zimnej herbaty.

Mężczyźni zaczęli dyskutować o uprawie roli, o czym, pomimo swego próżniactwa, obydwaj zdawali się cokolwiek wiedzieć.

- A teraz, skoro wypijaś już herbatę - mruknęła matka - idź i rozczesz włosy. Najlepiej ci z rozpuszczonymi i to bardzo przystoi młodej, niewinnej pannie. A potem masz wybrać się z tym panem na krótki spacer.

- Ależ, matko, jak możesz nakazywać, abym zrobiła coś takiego? - zapytała zirytowana Laura.

- To jasne, że robi do ciebie słodkie oczy - odparła matka. - Opowiadał nam całkiem swobodnie, że widział cię kiedyś na drodze i twoja uroda zrobiła na nim wrażenie. I oto przyjechał. Zboczył z drogi piętnaście czy szesnaście mil, i to wszystko dla ciebie. I przywiózł nam tę herbatę. Nadmienił, że może przydałby się twojemu ojcu jakiś koń.

Laura nie była pewna, czy matka po prostu źle jej życzyła, czy też powoduje nią chciwość.

- Wszędzie słyszy się opowieści - odparła Laura - o młodych dziewczynach ze wsi zbałamuconych przez tak zwanych dżentelmenów i zniesławionych na resztę życia.

- Bzdury. Czcze gadanie - zaoponowała matka. W końcu stało się jasne, że powoduje nią głównie chciwość. - Ta znajomość wyjdzie ci tylko na dobre. Pomyśl tylko, ile możemy na tym zyskać. Mamy już tyle planów.

- Chętnie sprzedalibyście mnie za konia i paczkę herbaty - powiedziała Laura.

- Jesteś zbyt zarozumiała, moja panno. Myślisz, że jaka czeka cię przyszłość? Masz szczęście, że zwrócił na ciebie uwagę, więc przestań się zżymać. Idź na górę i zrób coś ze sobą.

Laura nagle zawrzała gniewem.

W milczeniu stała jeszcze chwilę przed matką, po czym pobiegła na piętro do sypialni, którą dzieliła z siostrami. Umyła się, założyła lepszą suknię i rozpuściła ogniste, gęste włosy. Z powrotem zeszła na dół. Wpatrzony w nią Hyperion udał, że mruży oczy.

- Jestem olśniony - powiedział.

- No więc chodźmy na spacer - odezwała się Laura.

Na twarzy matki zobaczyła szyderstwo, że tak obcesowo potraktowała młodzieńca, siostry zaś stroiły do niej zza dzbanka z herbatą złośliwe miny. Jason podniósł się z miejsca, po czym wzięwszy dłoń Laury podał ją gościowi. Podobny gest przekraczał wszelkie granice rozsądku i przyzwoitości. Dziewczynie nie mieściło się to w głowie.

Gdy tylko wyszli na zewnątrz i znaleźli się sami, wysunęła dłoń z ręki Hyperiona.

- Jak pan widzi, mam wstrętą rodzinę - powiedziała.

- Rzeczywiście. A jednak z tą irytacją tak pani do twarzy, że mogę być im tylko wdzięczny. Mam nadzieję, że ze mną nie jest pani w stanie wojny?

- Nie. Pan po prostu goni za swoją zachcianką jak każdy mężczyzna. Ale oni... - nawet nie miała ochoty skończyć.

- A jednak wyszła pani ze mną.



- Wolę pańską szczerą nikczemność od ich obłudy.

- No, cóż - odparł Hyperion - może nie jestem aż tak nikczemny, jak pani sądzi. Dokąd pójdziemy?

Laura nie odpowiedziała. We wszystkich opowieściach, z których kilka, jak dobrze wiedziała, mówiło prawdę, dżentelmen towarzyszący dziewczynie wyprowadzał ją do lasu, a tam robił z nią co chciał. Od tej pory dziewczyna stawała się przedmiotem pogardy w oczach świata, podczas gdy mężczyzna spokojnie zajmował się własnymi sprawami.

Nie ulegało wątpliwości, że Hyperionowi również nie są obce podobne historie, jak i trudno było wątpić w to, że zamiarem jego jest zwykle uwiedzenie. Rodzina dziewczyny jasno dała do zrozumienia, że nie będzie stawała mu na drodze, jeżeli tylko otrzyma odpowiednie zadośćuczynienie. Należało tylko przekonać Laurę.

Szli zboczeni wzniesienia oddalając się od domu, po czym przecięli drogę i znaleźli się na ścieżce biegnącej przez pole.

Słońce stało już nisko i otaczało zarysy przedmiotów lawendową poświatą. Ptaki śpiewały. Laura i Hyperion znaleźli się w niewielkim zagajniku, zbyt rzadkim, by mógł uchodzić za zarośla z tamtych opowieści. Usiedli na powalonym drzewie i zaczęli obserwować wróble i leśne myszki szukające w poszyciu pożywienia.

- Chyba nie jest tak okropnie, prawda, Lauro? Dziewczyna nie odpowiedziała.

Hyperion zaczął dźgać ziemię czubkiem wysokiego buta.

- Czy jestem ci taki wstrętny? - zapytał. - Ledwie wiem, kim pan jest.

- Kim więc jestem?

- Człowiekiem z wyższej niż ja sfery.

- Czysty przypadek. W mojej rodzinie nie ma żadnych szlacheckich tytułów. Naszą pozycję określają wyłącznie stare, wierne pieniądze.

- Za które zawsze kupuje pan to, czego tylko zapragnie.

- Ale masz ostry języczek, Lauro - ocenił Hyperion. - Dobrze wiem, że ciebie nie uda mi się kupić.

- Moi rodzice zrobią wszystko, żeby pana do tego skłonić - odpowiedziała.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Spodziewałem się tego. Pozwól, że coś ci powiem, Lauro. Mam piękny dom nad jeziorem pełen rzeźb, z wieloma oknami i balustradami. Czy mógłbym mieć nadzieję, że mnie odwiedzisz? To zaledwie dwanaście mil stąd.

- Dziękuję, ale nie.

- Nie myśl, że mam straszne ojca albo matkę, która jest wzorem doskonałości i zaraz skoczy ci do oczu. Właściwie nie mam nikogo na świecie.

- Szczęśliwie się składa - zauważyła Laura.

- Tak, ciebie natomiast los rzucił pomiędzy wilki - mówił dalej Hyperion Worth. - Nie chciałabyś, abym spróbował zmienić to na lepsze?

Laura wstała.

- Ja wracam, panie Worth. Zaraz zacznie się ściemniać. Hyperion podążył za nią. Wyszli z lasu i zaczęli wracać tą samą drogą, tym razem w metalicznym blasku zachodzącego słońca.

- Twoje włosy płoną - powiedział Worth.

Laura jednak szła szybko w kierunku swego okropnego domu.

Hyperion nie odezwał się już słowem. Odprowadził dziewczynę do domu, gdzie cała rodzina kłaniała mu się w pas, po czym wsiadł na konia i odjechał.

Przez całe lato Hyperion Worth zalecał się do Laury, najstarszej córki Jasona Wheelwrighta.

Przywoził jej rodzinie kosze pełne jedzenia, wino, młodszym dziewczętom sukienki, leniwej matce zaś materiał i koronki, by uszyła następne, kiedy tylko nabierze na to ochoty. Ani razu nie ofiarował samej Laurze nic poza bukietem zerwanych po drodze kwiatów.

Dziewczynnie odpowiadał taki układ, w końcu jednak zaczęła bać się, że nadejdzie czas, kiedy Hyperion straci cierpliwość i nie pojawi się więcej. Wtedy bowiem jej zachłanna rodzina przestanie otrzymywać hojne prezenty i będzie wyrzekać jej nad głową.

Domownicy byli przekonani, że Laura oddała się adoratorowi w jakimś kącie podczas wspólnych spacerów, ona jednak nie zrobiła nic podobnego ani też on nigdy jej o to nie poprosił.

Gdy nadeszły żniwa, Laura zaczęła mimo wszystko doceniać cierpliwość tego przystojnego i wesołego młodzieńca. Bliższa zażyłość z nim nie byłaby chyba tak odrażająca. Od podjęcia takiej decyzji powstrzymywały ją jedynie panujące obyczaje oraz obawa, że podobny stosunek z mężczyzną mógłby zepchnąć ją poza nawias społeczeństwa.

Jednakże Hyperion zasługiwał na nagrodę za swoją wierność i niefrasobliwość. Laura więc odpłacała mu swą obecnością, rozmawiała z nim i słuchała tego, co miał do powiedzenia.

Hyperion opowiedział jej o swym smutnym, pozbawionym miłości dzieciństwie i o procesji oziębłych ciotek, z których ostatnia uciekła co sił w nogach w dzień jego dwudziestych pierwszych urodzin. Uzyskał wówczas dostęp do swego majątku i rozkoszował się nim z niepohamowaną radością, trwoniąc go na przyjemności i nie mając przy tym wyrzutów sumienia. Wiele razy prosił Laurę, by odwiedziła jego rezydencję. Opisywał uroki swojego domostwa, nie skusił jednak dziewczyny.

- Przywykł pan do osiągnięcia swoich celów przekupstwem - orzekła. - Na pewno z pomocą różnych podarunków wkładał się pan w łaski swoich oziębłych ciotek, żeby wreszcie pana polubiły.

- Rzeczywiście tak było - odparł Hyperion. - Pamiętam, jak któregoś roku na Boże Narodzenie ofiarowałem jednej z nich bukiet róż, drugiej zaś dorodne winogrona ze swojej winnicy. Co prawda nie musiałem za to płacić ani grosza, zadałem sobie jednak trud i poświęciłem swój czas. Jak aniołek zaniósłem ciotkom podarunki. Ale czy ich lodowate serca zmiękły? Nie, pozostały równie oziębłe co zwykle.

- Niech pan nie myśli, że ja zmięknę - powiedziała krótko Laura.

Hyperion uśmiechnął się.

- Uwielbiam tę twoją nieustępliwość, Lauro. Jesteś jak Atena. Namiętna, a jednocześnie opanowana. A kto potrafi wygrać z boginią?

A w domu rodzice Laury puchli z dumy i nawet złośliwe siostry porzuciły dokuczliwe docinki. Wieczorami jednak, gdy Elfie i Alice leżały ze starszą siostrą w jednym łóżku, nie dawały jej niekiedy zasnąć, naśladując zachowanie dwojga kochanków, o którym zresztą wiedziały bardzo niewiele.

Gdy nadeszły żniwa, Laura najmowała się do pomocy u okolicznych farmerów zarabiając pieniądze, które matka zabierała, a ojciec przepijał.

Przez jakiś czas nie widywała Jenavere Vehmund, latem bowiem starsza pani zaniemogła i nie wzywała Laury na farmę, nawet gdy inne zajęcia pozwalałyby dziewczynie na te wizyty.

W końcu, gdy dni były coraz krótsze, a żółte i brązowe liście pojawiły się na drzewach, Jenavere posłała po Laurę, pisząc do niej krótki list, który dostarczył miejscowy furman.

\* \* \*

Rosamunde Ax uwijała się przy kuchni. Stała właśnie przy gorącym piecu i rzuciła kwaśno:

- Idź na górę. Czeka na ciebie.

Jenavere siedziała w pokoju na piętrze, przy kominku, na którym buzował ogień. Przygaszona i słaba, tym razem nie lśniła srebrem. Jej postać spowijała tylko szarość. Zdawało się, że gorąca czerwień ognia wysączyła z jej policzków całą krew.

- Jak się cieszę, że przyszedłś, Lauro. - Wcale jednak nie wyglądała na ucieszoną, lecz smutną.

Z boku spoczywała odłożona książka, po którą Jenavere nawet nie sięgnęła. Wyglądało na to, że pragnie porozmawiać, siedziała jednak w milczeniu.

- Miała pani jakieś wiadomości od syna? - spytała Laura.

- Nie, ani słowa - odparła Jenavere. Głęboki smutek malował się na jej twarzy, oczy pociemniały. - Dotychczas ciągle dostawałam od niego listy. A tego lata ani słowa. Może tylko zapomniał o starej matce. - Załamała dłonie, po czym podniosła je do ust. Wpatrzyła się gdzieś w przestrzeń. - Może to głupie, ale ciągle wyobrażam sobie jakieś potworności.

- To zupełnie normalne, ale jestem pewna, że nie ma pani w tych przeczuciach odrobiny racji. Trudno liczyć na regularną pocztę z tak daleka.

- Tak, to prawda - zgodziła się Jenavere.

- A może dokąś wyjechał i pani listy jeszcze tam do niego nie dotarły - snuła dalej przypuszczenia Laura.

- Może być i tak - przytaknęła Jenavere.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, po czym znowu starsza pani odezwała się:

- Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie mogę nic zrobić. Pozostaje mi tylko siedzieć i czekać. Brakuje mi sił, żeby to znieść, a jednak muszę.

Trudno było cokolwiek odpowiedzieć na te słowa. Laura patrzyła przed siebie w milczeniu, Jenavere zaś nie opuszczała ożywienie. W końcu to ona znowu się odezwała:

- Przypuszczam, że zima będzie surowa. Tak jak w zeszłym roku. Wiesz, że kiedy siedziałam kiedyś przy oknie, widziałam na pastwisku wilka. Sam jeden. Biedaczysko, wałęsał się po śniegu.

- Rzadko można tu u nas spotkać wilka - odparła Laura.

- Rzeczywiście. Na pewno przyznał go tutaj mróz. Nie powiedziałam nic Marsallowi, bo zaraz ruszyliby na polowanie. Ciekawe, dokąd też to stworzenie poszło dalej. Nie zagryzł ani jednej owcy. To była ciężka zima, a ta będzie jeszcze gorsza. Trzeba siły, aby to wszystko przetrwać. Wątpię, aby udało mi się przeżyć tę zimę.

- Ależ... - wydukała Laura - ależ...

- A zresztą może się myłę. Może nie będzie ze mną aż tak źle. Chorzy ludzie są często najbardziej odporni. Gdyby tylko Daniel napisał chociaż kilka słów.

Laura westchnęła. Jenavere wciąż powtarzała, że umiera z tęsknoty za listem od syna. Nie można było nic na to poradzić. Jeden z kotów zbliżył się i wskoczył Laurze na kolana. Dziewczyna pogładziła mruczące, jedwabiste zwierzę.

Jenavere poruszyła pogrzebaczem drewno w kominku. Po chwili odezwała się z wysiłkiem:

- Słyszałam, Lauro, że masz adoratora?

- To bardzo niezręczna sytuacja - odparła dziewczyna.

- Dlatego, że nie jest prostakiem ze wsi? Wolałabyś kogoś takiego?

- Mężczyźni ze wsi nie są zbyt pociągający - stwierdziła Laura. Była pewna, że do Jenavere doszły słuchy o jej sytuacji. Plotki te pochodziły zapewne od dwóch pokojówek, a raczej nie od Rosamunde Ax. Już tak daleko rozniosła się cała historia. - Moja rodzina - mówiła dalej Laura - przyczepiła się do pana Wortha jak cztery wampiry, a on się na to zgadza, ze względu na spacer, jakie odbywa w moim towarzystwie, bo nic innego nas nie łączy.

- Może mu to odpowiada - stwierdziła Jenavere. - Sprytny z niego człowiek. Zawsze postępuje tak, jak sam tego pragnie, a nie jak reszta. Zamierza kupić farmę od Marsalla. Widziałam się z nim dwa razy i wydawał się dobrze ułożony.

- Ale w żaden sposób nie powinnam go zachęcać, Jenavere - odpowiedziała Laura poważnym głosem, korzystając z przywileju zwracania się do pracodawczyni po imieniu. - Może mi to wyjść tylko na złe. Już plotkuje o mnie całe hrabstwo.

- To prawda - potwierdziła Jenavere, po czym nagle roześmiała się krótko. - Ale plotki dotyczą twej nietkniętej, pomimo jego usilnych starań, cnoty. A to, Lauro, ukróciło złe języki.

Na dole ktoś z domowników wszedł chwiejnie do środka. Rozległo się ciężkie stąpanie. Jak to się ostatnio często zdarzało, Marsall wrócił do domu wczesnym popołudniem, zrzucając obowiązki na swych pomocników.

Rozległ się głośny wrzask. To Marsall wołał Rosamunde. Było w tym całe grubiaństwo, na jakie stać było tego mężczyznę.

- Mój syn - powiedziała Jenavere wykrzywiając usta. Siedziała wyprostowana jak królowa. Widać było, że Marsall, chociaż był jej dzieckiem, nigdy do niej nie należał. Starsza pani podała dziewczynie książkę i Laura zaczęła czytać na głos.

Gdy skończyły i Laura otrzymawszy zapłatę wyszła, serce miała ciężkie z żalu nad losem Jenavere. Odnosiła wrażenie, że jej własne problemy są niczym w porównaniu z nieszczęściem tamtej.

Marsall siedział w kuchni przy kuflu piwa. Nawet nie spojrzał na dziewczynę. Była za chuda i w ogóle zbyt delikatna, by rozbudzić jego zmysły. Wołał dorodniejsze kobiety. Rosamunde jak zwykle nie zaszczyliła Laury nawet słowem.

We wsi odbywała się dożynkowa zabawa taneczna. Laura normalnie nie wybrałaby się na nią, matka jednak upierała się, że młodsze dziewczęta nie mogą pójść bez niej. Siostry docinały jej i marudziły, matka wyzywała najstarszą córkę od czarnych niewdzięcznic. W końcu Laura poddała się.

Na zabawie, podczas gdy skrzypek rzępolił, a pary podrygiwały, Laura przysiadła w kącie, nie pozwalając nikomu wyciągnąć się do tańca. Elfie i Alice natomiast z radością wrywały się do tańca, poprzysięgając sobie, że nie wrócą do domu, dopóki nie umilknie ostatni akord.

Po około godzinie drzwi otworzyły się nagle i do sali wkroczył Hyperion Worth.

Zaległa cisza, chociaż skrzypek grał nadal mrużąc czarne oczy. Hyperion nawet nie spojrzał na wpatrujących się w niego tancerzy, ale jego uśmiech nie był lekceważący. Podszedł do Laury i poprosił ją do tańca. Bez wątplenia słyszał o plotkach krążących po okolicy i nic sobie z nich nie robił.

W pierwszej chwili Laurę ogarnął gniew. Zorientowała się jednak, że tym razem Hyperion nie zaakceptuje odmowy. Poza tym był dobrym tancerzem i z niechęcią przyznała się sama przed sobą, że nie jest jej nieprzyjemnie. Bo czyż we wsi, a nawet w całym hrabstwie, można by znaleźć równie przystojnego i układnego mężczyznę?

Od tej chwili Laura i Hyperion nie schodzili już z parkietu. Dziewczęta obserwowały ich zielone z zazdrości, mężczyźni mrucze pod nosem, stopniowo jednak powrócił dobry nastrój. Hyperion Worth nie starał się podkreślać swojej inności ani też nie małpował miejscowych obyczajów. Był inny, swobodny, pełen czaru. Lody stopniowo pękały. Widać było, że umizguje się do Laury, ale dobrze o nim świadczyło, że robi to tak otwarcie. Nakazy wiejskiej moralności nie były tak bezwzględne jak w mieście. To tylko Laura była przekonana, że uległość jest równoznaczna z upadkiem.

Tańczyła przepelniona szczęściem. Była wesoła jak skowronek, który znalazł sobie towarzysza, by dzielić się z nim radością.

Gdy zabawa dobiegła końca, Hyperion odprowadził wszystkie trzy siostry do domu.

Przed wejściem zamarudził przez chwilę, zatrzymując Laurę na słówko.

- Nie powinien pan przychodzić na tańce - powiedziała dziewczyna wbrew sobie.

- Przepraszam. Ale gdyby ciebie tam nie było, natychmiast bym czmychnął.

Laurze przemknęło przez myśl, że zaraz zetknie się ze zrzędzącą matką i spędzi kolejną noc w jednym łóżku z siostrami. Uświadomiła sobie, że nienawidzi swojej rodziny. O ileż miłsze było jej towarzystwo Hyperiona, który ofiarowywał jej kwiaty i dobry nastrój. Ona także miała ochotę postać jeszcze chwilę przed domem, więc tym szybciej zaczęła się zegnać.

- Idzie zima - odezwał się młodzieniec. - Ptaki pochowają głowy pod skrzydła, woda zamarznie i niewykłuczone, że, tak jak w zeszłym roku, z lasów nadciągną tutaj wilki.

- Słyszałam o wilku, który zabłąkał się zimą w okolice - powiedziała nieopatrznie Laura. - Ale już od jakichś dziesięciu lat nie spotyka się ich w tych stronach.

- Uważaj jednak, gdy będziesz chodziła sama - odparł Hyperion.

- Ależ wilki nie robią nikomu żadnej krzywdy, czasami tylko napadają na owce.

- Wszystko jedno - stwierdził Hyperion. - Chciałbym zabronić ci tych samotnych zimowych wędrówek.

- Kiedy spadnie śnieg, on sam mi tego zabroni.

Obydwoje pomyśleli o tym, że czeka ich długa biała zima, kiedy zapewne drogi staną się nieprzejezdne i wcale nie będą mogli się widywać.

- Często mi się śnisz, Lauro - powiedział Hyperion.

- Dobranoc, panie Worth - powiedziała dziewczyna, po czym zniknęła za drzwiami.

Nadeszła zima. Barwne liście drzew i drobne owoce na gałęziach pomarszczyły się w ciągu jednej nocy. Wiatry przelatywały z rykiem po okolicy, wyginając drzewa i wyrwijając niektóre z korzeniami. Padały deszcze i szalały burze. Potem nastał wszechwładny mróz i wszystko ucichło. Ziemia stała się twarda jak kamień. Nagle popielate niebo otworzyło się i spadł śnieg. Biały puch przykrył ziemię i wrota mroźnego nieba zamknęły się za nim. W tej skutej zimnem białej krainie dymyły kominy zagród, przesuwwały się szare owce, a od czasu do czasu pojawiał się człowiek wyglądający jak ostatni mieszkaniec ziemi.

Tego samego wieczoru, gdy spadł śnieg, Laura wybrała się na farmę Vehmundów. Matka wyprawiła ją spieszenie ze słowami:

- Może będzie padał śnieg, a wtedy będziesz musiała tam zostać. I chyba wyjdzie ci to na dobre. - Vehmundów bowiem nadal uważano za majątną rodzinę, szczególnie od chwili, gdy zaczęli sprzedawać swe włości.

Laura cieszyła się, że może wyrwać się z domu. Tym razem Jenavere przesłała jej wiadomość z prośbą o przybycie przez wędrownego druciarza i Laura wniosowała z listu, że Jenavere chyba również chce ją zatrzymać na farmie przez kilka dni. Starsza pani była tak strasznie osamotniona.

Gdy Laura dotarła na miejsce, niebo wyglądało jak zielonkawe błoto i pierwsze płatki śniegu zaczęły właśnie opadać na ziemię.

W pokoju Jenavere było bardzo przytulnie - wszystko przygotowano specjalnie na przyście Laury. Na stole stał półmisek czerwonych zimowych jabłek, w oknach wisiały grube czerwone zasłony, ogień buzował na kominku, na łóżku zaś leżała pikowana kołdra z pozszywanych łątek w kształcie różnokolorowych kotów. Jenavere miała na sobie brązową suknię.

Na chwilę przysiadły przy kominku, rozmawiając o pogodzie.

- Obawiam się, że zastanie cię tutaj śnieżycą. Nie gniewasz się na mnie, że wezwałam cię właśnie teraz?

- Cieszę się, że chociaż na trochę mogę uwolnić się od rodziny - odpowiedziała Laura.

- W pokoju Daniela jest wszystko przygotowane, byś mogła tam przenocować, Janet posłała łóżko i napaliła w kominku.

Przez jakiś czas Laura czytała, aż zauważyła, że Jenavere usnęła w fotelu spokojna jak dziecko.

Mimo iż ubrana w suknię, starsza pani przypominała teraz ducha. Była blada i chorobliwie szczupła, jej włosy straciły połysk.

„Powoli więdnę bez syna, pomyślała Laura. Obumiera cal po calu, z minuty na minutę bez swojego Daniela”.

Nagle dziewczyna zaczęła zastanawiać się, czym jest miłość, miłość taka jak ta. To straszna rzecz kochać.

Wieczorem zjadła z Jenavere kolację w jej ustroniu, po czym tuż po wschodzie księżyca, którego lodowate oblicze było bielsze od śniegu wyglądającego, jak gdyby spadł na ziemię ze srebrnego globu, dziewczyna udała się na spoczynek w przydzielonym jej pokoju, na farmie bowiem wcześniej kładziono się spać.

Mimo zmęczenia, jakie ją ogarnęło, z ciekawością przyjrzała się pokojowi Daniela. Szukała jakiegoś śladu poprzedniego właściciela, niczego jednak nie znalazła. Odszedł z tego domu jak duch. Dziewczyna leżała z otwartymi oczami ogarnięta przerażeniem, że matczyna intuicja podpowiadała jednak Jenavere prawdę, i że Daniel nie żyje. Wiadomość o jego śmierci, która musi w końcu dotrzeć do matki, z pewnością ją zabije.

Nocą Laurze przyśniły się wilki wyjące złowieszczo na śnieżnej pustyni. Widziała, jak zwierzęta puściły się biegiem, za nimi zaś pędziła jakaś istota niska i ciemna, znacznie ciemniejsza i zupełnie inna niż reszta stada. Zdawało się, że wilki uciekają przed nią, jednak nie mogła wyraźnie dostrzec jej kształtów i nawet we śnie była z tego rada.

Przez dwa kolejne dni świat trwał skamieniały od śniegu i mrozu, trzeciego zaś dnia nad wszystkim zajaśniało słońce. Jak każda uwięziona istota Laura nie mogła już dłużej wytrzymać w zamknięciu. Oznajmiła Jenavere, że musi przespacerować się po okolicy.

Wyruszyła około dziesiątej rano. Ledwie dobrnęła do sadu, zobaczyła na pastwisku dwóch pomocników Marsalla jadących konno. Obydwaj nie byli wcale od tego, by nie zainteresować się dziewczyną, dlatego też Laura zwróciła się w przeciwnym kierunku, ku wzgórzom i linii lasu.

Słońce świeciło zimno jak szary, opalizujący kamień. Wokół było tak białe, że aż bolały oczy, Laura jednak uparcie szła przed siebie, otrząsając się z senności po dwóch dniach spędzonych w zamknięciu.

Ścieżki były śliskie i twarde jak kamień, jednak gdy dziewczyna znalazła się na skraju lasu, usłyszała dźwięczne krople kapiące z tysięcy sopli dotkniętych promieniami zamglonego słońca.

Zagłębiła się między potężne drzewa i w końcu straciła farmę z oczu. Na wszystkich gałęziach leżał śnieg, którego płatki połyskiwały jak klejnoty. Pod pokrytymi szronem, rozłożystymi dębami i świerkami przypominającymi stojące niedźwiedzie, przemarznięte paprocie wyglądały wdzięcznie jak koronkowe robótki.

Laura dotarła do szerokiego potoku. Woda sprawiała wrażenie, jak gdyby niespodziewanie zaskoczył ją mróz. Na powierzchni zamarzyły mleczne smugi nurtu, z głębi przebijały zielonkawe błyski. Tu i tam przecinał gładką powierzchnię oblodzony gład wyglądający jak ostra krawędź szkła.

Gdy stała nad brzegiem potoku, słońce schowało się za chmurę. Światło zgasło. Wyglądało to jak zaćmienie, jak gdyby zapadał zmierzch, rzucając na ziemię krótkie, czarne cienie.

Gdy jej oczy przywykły do tego tajemniczego mroku, dostrzegła coś, czego nie widziała wcześniej.

Stała jak zahipnotyzowana wpatrując się w jeden punkt.

W dole strumienia, na środku skamieniałego nurtu, jeden gład wystawał bardziej niż pozostałe.

W lodzie uwięziony był kamień przedziwnych kształtów.

Zaczęła posuwać się wzdłuż strumienia. Nie wierząc własnym oczom, wpatrywała się uparcie w kamień. Gdy jednak podchodziła bliżej, niezwykle zjawisko stawało się coraz bardziej wyraźne, aż wreszcie nie mogła mieć już żadnych wątpliwości.

W ogromnej bryle lodu, większej niż ona sama, w niektórych miejscach matowej, w innych przezroczystej jak kryształ, zostało uwięzione jakieś zwierzę. Wilk. Szare cielsko przykucnęło w kamiennym bezruchu. Jednak głowa zwierzęcia była uniesiona, oczy i pysk otwarte, jak gdyby w okrzyku protestu, gniewu i przerażenia.

Laura zajrzała w szkliste oczy zwierzęcia, bladożółte jak pergamin, pozbawione blasku, martwe. Miała przed sobą uwięzione na wieki, potworne, zamrożone zwierzę. Nagle ogarnęła ją instynktowna panika, czyhająca zawsze na odludziu.

Ściemniło się jeszcze bardziej, jak gdyby słońce umarło.

Poczuła w uszach szaleńcze pulsowanie. Obraz, jaki miała przed oczami, zaczął drgać i zamazywać się.

Zdawało się, jakby nagle puściły lody i woda runęła na nią z wysokości, niosąc za sobą ogromne głazy, potrzaskane drzewa, hucząc ładunkiem śmierci. Na wodzie unosiły się szkielety dzikich zwierząt, krów i owiec, dalej zaś, jak gdyby wyrzucone z wnętrza ziemi, płynęły kości wymarłych potworów: dinozaurów, smoków, ogromnych ptaków przypominających nietoperze. Szkielety, przecinając mroczne powietrze, pędziły prosto na nią. Laura z okrzykiem przerażenia uskokczyła na bok, niezdolna do obrony przed nacierającą masą.

Biegła przez las, przez zdradliwe śniegi, aż niespodziewanie wpadła na kogoś z impetem, nie wiedząc, czy oznacza to dla niej śmierć, czy wybawienie.

- Lauro! Lauro! To ja. Co się stało?

Rozpoznając nagle głos Hyperiona, dziewczyna otworzyła oczy.

Znowu świeciło słońce, wszystko dookoła lśniło bielą. Strumień, skamieniały wilk i rwące do przodu szkielety pozostały gdzieś daleko.

- Widziałam... - wyjąkała Laura. - Widziałam...

- Co takiego? Czy któryś z tych prostaków śmiał cię obrazić?

- Nie - odparła dziewczyna. - Widziałam wilka zamrożonego w wielkiej bryle lodu.

Nie powiedział jej, że to wcale nie było tak. Trzymał dziewczynę w ramionach, dopóki nie przyszła do siebie i nie cofnęła się. Wtedy dopiero odezwał się:

- Przyjechałem, żeby omówić z Vehmundem pewien interes, ale ten gbur ma już w czubie. Wybacz, że poszedłem za tobą. W tych okolicach nie jest zbyt bezpiecznie.

Laura skinęła głową.

Hyperiona ośmieliła jej potulność i to, że znalazła się w jego ramionach.

- Mój powóz stoi niedaleko farmy Vehmundów. Pozwól, że zabiorę cię do siebie.

Dziewczyna już zamierzała zaprotestować, zrobiłaby to jednak odruchowo. Miała dosyć śniegu i śnieżnobiałej kobiety, Jenavere, pełnej smutku i mówiącej nieustannie o wilkach.

- Dobrze - odparła, ledwo zdając sobie sprawę z tego, co mówi. Hyperion trzymając dziewczynę pod rękę, sprowadził ją po zboczach wzgórza. Służącej z farmy, Janet, kazano przekazać wiadomość, że Laurę wezwano nagle do domu.

Miała wyrzuty sumienia, że bez wahania opuszcza Jenavere. Nie mogła wyrzec się własnych pragnień. Tak długo spychała je na bok, że teraz odżyły z nową siłą.

Na drodze koło farmy rzeczywiście oczekiwał powóz. Była to niebezpieczna zabawa, typowa dla Hyperiona. Konie stały na oblodzonej powierzchni i ślizgały się jak żuki na krawędzi porcelanowej filiżanki. Ruszyły ostrożnie i powoli, podczas gdy woźnica prowadził je za uzdę.

Wyżej, między polami, droga była przejezdna. Powóz posuwał się teraz znacznie szybciej.

Laura starała zachowywać się z rezerwą, na ile tylko pozwalało jej na to obejmujące ją ramię mężczyzny i jego ręce, w których grzała swoje dłonie. Zostawili za sobą wysokie skały, strome, śnieżne przepaście. Przerazało ją śmiertelnie coś, co było może tylko wytworem jej wyobraźni. Pozbawiło ją odwagi, by powiedzieć stanowczo „nie!”

Podczas jazdy zamienili ze sobą zaledwie kilka słów.

Wreszcie po kilku godzinach, a może po kilku dniach, podczas których Laura drzemała niespokojnie, powóz stanął między słupami bramy wjazdowej, a następnie potoczył się głośno po odśnieżonej, szerokiej alei wysadzonej białymi teraz lipami. Po drodze minęli lodową tafłę jeziora. Wreszcie powóz zakręcił i stanął.

Hyperion wysiadł i podał jej rękę.

- Tylko popatrz. Sama powiedz, czy nie warto było przyjechać? Dziewczyna zapatrzyła się w pokrytą śniegiem rezydencję. Śnieg nadał jej białym murom niebieskawą poświatę. Liczne okna wyglądały jak ciemne kawałki berylu - tylko w niektórych paliło się światło. Białe puch uwypuklił w murach wieżyczki, galerie, pinakle i wiatrowskazy. Niżej na tarasie stali w milczeniu śnieżni ludzie - rzeźby, które troskliwie otulił śnieg.

Wspięli się po schodach i przeszli przez imponujących rozmiarów drzwi do hallu tak przestronnego, że Laura poczuła się zupełnie zagubiona.

Na stole przy ogromnym kominku, na którym jak pożar buzował ogień, w naczyniu z lodem chłodził się szampan. Hyperion stanowczym gestem podał dziewczynie kieliszek trunku.

Sceny, które od tamtej chwili zaczęły przepływać przed jej oczami, były rozmazane, niewyraźne, otoczone różową aureolą.

Zaprowadzono ją do pięknej komnaty. Przy kominku stała tam wanna w kształcie gruszki, gdzie delikatnym, różanym mydłem Laura obmyła swoje ciało. Następnie obleczone ją w tak luksusową bieliznę, że aż było to śmieszne, a wreszcie w wieczorową suknię z błękitnego jedwabiu z głęboko wyciętym dekoltem. Zjawiła się jakaś ładna, czysta kobieta, która uczesała jej włosy, nadając im kształt jakby diademu i wpinając w pukle białe kwiaty. Skąd wzięły się kwiaty o tej porze roku - czyżby spod śniegu?

Gdy dziewczyna wyglądała już jak księżniczka z bajki, szerokimi schodami zeszła na dół. Hyperion, piękny jak młody książę, poprowadził ją do saloniku, gdzie złocista poświata płonącego ognia odbijała się w przedmiotach. Tutaj zasiedli do obiadu.

Przez cały czas Laura była przekonana, że śni i co chwila przypominała sobie, że musi się obudzić, a jeśli to się nie uda, musi uszczypnąć się i zmusić senne oczy do popatrzenia na szarą rzeczywistość. Jednak cień strachu, jaki przeżyła tego ranka, zapadł w niej tak głęboko, iż teraz pragnęła już tylko jasności. Tylko w części pozostała sobą, pozwalając, by wypadki potoczyły się same.

Hyperion był niezrównany. Pomagał jej z największą swobodą, gdy dziewczyna miała kłopoty z posługiwaniem się rozłożonymi na stole sztucami. Rozprawiał z ożywieniem o pogodzie, o domu i o niej samej. Wychwalał jej urodę i wdzięk, nie bardziej jednak niż zazwyczaj. To, czego nie wypowiadały jego wargi, widać było w oczach młodzieńca.

Gdy obiad dobiegł końca i posprzątało ze stołu, za smukłymi oknami widać było jedynie czarne niebo i nienaturalnie białą, śnieżną pustynię. Spuszczono zasłony i ponury obraz zniknął. Laura i Hyperion usiedli przy kominku. Ona spoczęła w fotelu wyściełanym aksamitem, on u jej stóp. Sączyli słodkie białe wino o owocowym zapachu. Ani teraz, ani wcześniej Hyperion nawet słowem nie wspominał o jej powrocie do domu.

Mimo działania wina, ognia, błogiej, głębokiej ciszy zalegającej dom, w którym dzięki służbie wszystko działało jak w idealnym zegarze, Laura zaczęła się budzić.

- Ofiarowałeś mi tak cudowny dzień - powiedziała.

- Byłaś śmiertelnie przerażona i zasługiwałaś na to.

- Naprawdę go widziałam. Wilka zamrożonego w bryle lodu.

- Wierzę ci, Lauro. Ani przez chwilę nie wątpiłem w twoje słowa. To bardzo dziwne, ale jest przecież tyle dziwnych rzeczy.

- Mam wrażenie - mówiła dalej Laura, wciąż poddając się działaniu wina i nie w pełni jeszcze rozbudzona - jak gdyby została wygłoszona jakaś przepowiednia. Moje życie nie może być już od tej chwili takie samo.

- Och, Lauro - powiedział Hyperion, odstawiając kieliszek na bok i biorąc dziewczynę za rękę - niech tak się stanie.

Laura obudziła się. Nie cofnęła ręki, lecz rzekła:

- Jesteś na to zbyt szlachetny, by żądać ode mnie zapłaty za dzisiejszą rozrywkę.



- Tak, Lauro, to prawda. Nigdy nie zamierzałem poprosić cię o zapłatę. Nie urządziłem tego w tym celu. Chciałem po prostu zobaczyć cię taką, jaką teraz jesteś. Jak błękitna orchidea, jak jarzębina świeża od porannej rosy.

- Twoje słowa jak zwykle brzmią pięknie. Ale bałabym się przywiązywać do nich wagę.

- Ależ zaufaj mi, Lauro. Czekam na ciebie już tak długo.

- Nigdy nie zachęcałam cię, żebyś czekał. Czekając zakładamy, że dostaniemy w końcu to, czego pragniemy.

- Więc bądź moja, Lauro.

- Wreszcie jasno powiedziane - szepnęła Laura cofając rękę. - Można się było spodziewać. Pragniesz mnie zhańbić.

- Nie. Chcę cię posiadać. Moja Atena może zostać Afrodytą.

- Nie - odparła krótko Laura.

- Ależ tak.

- Dla ciebie to jedna z licznych rozrywek, dla mnie życiowa klęska - powiedziała Laura, myśląc o tym, jak afektowanie brzmią teraz jej buńczuczne słowa.

- Kocham cię, Lauro. Kocham i pragnę. Trzymałem swą namiętność na wodzy przez prawie rok. Nie dręcz mnie dłużej.

- Nie zamierzam celowo cię dręczyć. Ale muszę bronić siebie.

- Gdybyś знаła choć w części ból, który mi zadałaś. Ponure dni i bezsenne noce. Jak człowiek może to znieść?

- Znajdź sobie inną - powiedziała Laura. - Bardziej chętną, nie tak dumną.

Hyperion jęknął. Położył głowę na kolanach dziewczyny i delikatnie, choć zdecydowanie dotknął ręką jej podbrzusza i wypukłości między udami.

- Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy - powiedział. - Sprawiasz, że płonę.

Laura wstała z miejsca i ręka Hyperiona opadła.

Młodzieniec objął ją za nogi i ukrywając twarz w fałdach sukni, zapłakał.

Dziewczyna patrzyła na niego z góry, zakłopotana.

„Wiec to rzeczywiście aż tak poważna sprawa, że musi płakać jak dziecko?”

Poczuła, że nagle ogarnia ją całkowita niemoc. Miała dosyć tego człowieka, jego pościgu, a teraz usilnych błagań. Zmęczył ją świat, złe znaki, śniegi, uwięzione wilki, zniewolone kobiety i wszystkie bajki. Nie znajdowała w sobie siły, aby odepchnąć Hyperiona. Jakie to miało znaczenie? Stracić cnotę - a cóż to jest cnota? Niech robi z nią, co zechce. Niech to się wreszcie stanie, a potem może zostawi ją w spokoju.

- A więc weź mnie - powiedziała lodowato. - Rób to, czego chcesz.

Hyperion podniósł ku niej twarz. Był zarumieniony i podniecony. Nie potrafił ukrywać swej radości.

- Naprawdę tego chcesz? Zgadzasz się? - Tak.

- Lauro, moja bogini!

- Nie musisz dłużej mnie czarować. Już się tego nasłuchałam. No, dalej!

Spodziewała się wybuchu gwałtowności i szaleństwa, tak jak to było we wszystkich opowieściach.

Hyperion natomiast wstał, wziął ją w objęcia i pocałował. Pocałował ją w sposób, o jakim nigdy nie słyszała, stopniowo uznając to za zdumiewające, obrzydliwe, przyjemne, ciekawe, fascynujące, wspaniałe. Trwało to przez dłuższą chwilę, a kiedy oderwali się od siebie, ich ciała przebiegało drżenie.

Potem Hyperion zabrał dziewczynę z salonu i poprowadził przez hall, po schodach, przez sieć korytarzy, aż znaleźli się w sypialni. Dobrze wyszkolona służba tego idealnego domu pochowała się gdzieś po kątach i oprócz Hyperiona nikt nie widział Laury podążającej do sypialni mężczyzny.

Sypialnia była urządzona na błękitno, przypominając barwą jej suknię, wkrótce jednak Hyperion uwolnił jej ciało z krępującego go materiału. Niecierpliwie sam się rozebrał, jak gdyby wydostawał się z kokonu.

Dziewczyna nie była onieśmiewiona nagością swoją ani mężczyzny. Stanowili ładną parę: on smukły, atletycznej budowy, ona drobna i zmysłowa. Odwróciła jednak wzrok od jego męskości. Z zasłyszanych opowieści wiedziała, że ta broń zostanie użyta przeciwko niej.

Pieścili się, leżąc na ogromnym łóżu z baldachimem. Nagle Laura zapragnęła, żeby wziął ją brutalnie, ujarzmił. Jednocześnie odczuwała strach, także przed samą sobą, bo wydawało się, że teraz wcale nie jest sobą. Zamierzała się oddać i skończyć z tym wszystkim. Ale to było zupełnie coś innego.

Gdy nagle wszedł w nią, poczuła ból i całe jej radosne zdumienie gdzieś się rozwiało. „No oczywiście, pomyślała cynicznie. Sama tego chciałam”. Innymi słowy: „Sama jestem sobie winna”.

Hyperion krzyczał głośno z rozkoszy, a ona mimo bólu przyjmowała go spokojnie. Ogarnęło ją, tak jak poprzednio, tkliwe zadowolenie. Utrata dziewictwa w jakiś dziwny sposób przywróciła jej dawny nastrój.

Gdy było po wszystkim, dziewczyna wydostała się spod ciała mężczyzny, po czym szybko owinęła się w kołdrę. Kwiaty już dawno wypadły z jej włosów.

- Co robisz? - zapytał Hyperion.

- Będzie mi potrzebne moje własne ubranie. Potem chcę wrócić do domu.

- Jest już bardzo późno - odparł. - Czy pozwolisz, aby moje biedne konie musiały cwałować nocą po śniegu?

- A więc dobrze - zdecydował. - Pójdę do drugiego pokoju i tam się prześpię, a rano pozwolisz mi odjechać.

Mężczyzna usiadł na łóżku i popatrzył na dziewczynę. On także został niegdyś zgwałcony podobnie jak ona, a może bardziej brutalnie.

- Oczywiście, Lauro. Zrobię wszystko, co zechcesz.

2.

Z bezbarwnego nieba czarnym deszczem spłynęły ptaki. Przysiadły na nagich szkieletach. W jakiś sposób te nagie kości dostarczały im pożywienia. Było to cmentarzysko nie pogrzebanych istot. Walały się tam szkielety bydła i owiec, lecz zdarzały się także kremowe kości potężnych, dawno wymarłych bestii. Środek tej umieralni przecinał zamarznęty strumień. Od czasu do czasu kruki lądowały na lodowatej powierzchni, po czym dumnym krokiem wspinały się na brzeg, by rozpocząć potworną ucztę.

Kruk uwięziony między nagimi żebrami wzbil się w powietrze. Przez chwilę czarne skrzydła unosiły długi szkielet, kręgi ogona brzękały o lód. Nagle szkielet spadł na ziemię, roztrzaskał się na kawałki; uwolniony ptak zamachał swobodnie skrzydłami, po czym wbił się dziobem prosto w mózg Daniela.

Kobieta krzyknęła. Potem wypowiedziała kilka słów w jakimś nieznanym języku.

Zobaczył, że siedziała w drugim kącie spowitego słonecznym blaskiem pokoju, na tle okna zasłoniętego siatką przeciw owadom. Wstała i gestem nakazała mu, żeby leżał spokojnie.

Nie ruszał się więc.

Kobieta wybiegła szybko z pokoju.

Daniel rozejrzał się. Izba była pusta niczym klasztor na celę. Stało tam jedynie łóżko, krzesło i mały stolik z poustawianymi na blacie słoikami i butelkami. Przez moskitierę przesączały się plamy światła, spoczywając na wypolerowanej podłodze. Na ścianie za plecami Daniela cierpiał na krzyżu Chrystus spowity złotym blaskiem.

Drzwi otworzyły się ponownie i do pokoju wszedł starszy mężczyzna o bladej twarzy. Zdawał się wielce rozradowany. Miał długie siwe włosy związane na karku tasiemką. Odezwał się po francusku:

- Drogi gościu, jakże się cieszę, że dochodzisz do zdrowia.

- Gdzie jestem? - zapytał cicho Daniel.

- Gościsz w moim domu, w domu Leona Bernardina. - To powiedziawszy mężczyzna zwrócił się do staruszki, która czuwała przy śpiącym Danielu. - Mario, przynieś zupeł. Mój gość musi być bardzo głodny.

Kobieta ponownie wyszła z pokoju, a Leon Bernardin przysiadł na krześle.

- Znalaziono cię w wiosce - powiedział spokojnie. - Kazałem im przynieść cię tutaj, bo na miejscu możemy zapewnić ci najlepszą opiekę. Były pewne trudności, ale porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Daniel usiadł na łóżku. Miał na sobie czystą nocną koszulę. Nie czuł osłabienia, był wręcz wypoczęty i głodny. W nagłym przypływie wspomnień zobaczył osiadający na skałach statek, przypomniał sobie, że płynął, a potem siedł przed siebie i wdrapał się na wzgórze. Co tam się działo - tego już nie pamiętał. Nagle zamajaczyła mu przed oczami niewyraźna postać mężczyzny; w jego dłoni jakiś klejnot płonął i migotał. A potem był ból. Leżał długo pod ołowianym niebem. Padał deszcz. Pił z wyżłobionego kamienia, w którym zbierała się woda. Jednak wszystkie te obrazy mógł widzieć we śnie, podobnie jak śniły mu się kruki dziobiące jego kości i szkielety dinozaurów.

Dlaczego jednak był na statku? Dokąd się udawał?

- Jesteś tu już od jakiegoś czasu - odezwał się Leon Bernardin. - Pamiętasz, jak się tu znalazłeś?

- Nie - odparł Daniel.

- Pamiętasz, jak się nazywałeś?

- Tak, Daniel Vehmund.

- To dobrze. Wiesz, kim jesteś. Myśleliśmy początkowo, że bestia cię pokąsała, ale na twoim ciele nie było żadnych ran.

- Jaka bestia? - zapytał Daniel. Poczul, że jego ciało tężeje, napina się jak instrument w oczekiwaniu na przeraźliwy dźwięk.

- Mam więc o tym mówić? Jakieś zwierzę zaczęło grasować we wsi. Poluje nocami. Przez dwie kolejne noce były ofiary w ludziach. Zginał Tomasio, drzeworytnik, i Selig, chłopak z tawerny. Jedna z kobiet twierdzi, że widziała zwierzę wyglądające jak ogromny pies. Kiedy ludzie znaleźli cię koło studni, bali się, że ty także zostałeś zaatakowany, na twoim ciełe jednak nie było żadnych śladów, no i żyłeś. A tamci... poszarpani na strzępy. Bestia w każdym razie nie atakowała już więcej. Dwie noce przeszły spokojnie. Może odeszła.

Daniel przypomniał sobie wysokiego, chudego mężczyznę, za nim widniało na murze jakieś słowo złożone z białych liter. Skądś dochodził blask ognia.

- Źle zrobiłem, opowiadając ci tę ponurą historię - stwierdził gospodarz.

- Skąd się wzięła ta bestia? - zapytał Daniel.

- Ludzie we wsi boją się, że to coś nie z tego świata. Mówią, że stwór zszedł ze wzgórza, na którym stoją ruiny zamku. Ten zamek to przeklęte miejsce. Źli ludzie robili tam podłe rzeczy, mieniając się rycerzami Chrystusa.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Maria, niosąc chleb i zupę.

- Kiedy już się posilisz, znowu powinieneś wypoczywać. Wrócę wieczorem.

Bernardin wstał wspierając się laską.

Nie mogąc opanować narastającego głodu, Daniel prawie nie zauważył, że starzec wyszedł. Tak, był głodny jak wilk.

\* \* \*

Daniel leżał na wznak, obserwując przesączające się przez siatkę światło.

Myślał o bestii schodzącej z zamku krzyżowców ku położonej na równinie wiosce. Nie potrafił wyobrazić sobie wyglądu potwora.

Nic nie pamiętał, nic, co by dotyczyło drzeworytnika czy arabskiego chłopca z zajazdu.

Czy ktoś go postrzelił? To wydawało się prawdopodobne. Oddał brylant, sprzedał go jakiemuś człowiekowi, którego spotkał w ruinach, a potem pewnie jakiś sługa tamtego strzelił do niego i zabrał pieniądze z powrotem. Była to pokaźna kwota, więc czy w przeciwnym razie Bernardin w ogóle wspomniałby o tym? Tamci zostawili go, by w spokoju skończył życie. On jednak nie umarł. Leżał w zapomnieniu na dziedzińcu zamku, na wpeł przytomny. Trwało to wiele dni, może miesiąc. Spijał krople deszczu, gdy tylko nadarzyła się okazja. A potem... Potem księżyc stanął w pełni i nadeszła przemiana. W jakiś dziwny sposób ani rana, ani ołowiana kula, jaka utkwiała w jego ciełe, nie zaszkodziły jego nowej postaci. Ludzie na statku bez wątplenia strzelali do bestii, ta jednak pozostała odporna na wszelkie ataki. Przemieniony w potwora zjawił się tutaj i zrobił wszystko to, o czym przed chwilą usłyszał - coś jakby ogromny pies, tak powiedziała wspomniana kobieta... A potem, kiedy wrócił już do własnej postaci, padł koło źródła, gdzie wreszcie jacyś ludzie znaleźli go i zanieśli do domu tego miłosiernego i nierozważnego starca. Cały czas spał - dwie noce, prawda? Wydobrzył i nabrał sił.

„To ja zamieniani się w bestię”.

Po masakrze dokonanej na statku nie chciało mu się to pomieścić w głowie. Teraz jednak wszystko nabrało realnych kształtów. Rzeczywiście jego ciało ulegało przemianie.

Sprzedał brylant, żeby się go jak najprędzej pozbyć, żeby pozbyć się bestii, bo to właśnie ten klejnot był przyczyną przemiany. Jednak wyrzeczenie się kamienia nie było dobrym rozwiązaniem, gdyż bestia i tak się pojawiła. Przypomniał sobie, jak popijał urak z kubka, na którego dnie spoczywał brylant. Rabuś grobów powiedział wtedy: „Jest twój. Weź go w imię boże”.

Kamień był mu przypisany, bestia również. Jakieś mgliste skojarzenia wyjaśniały mu, dlaczego tak jest, jednak przemęczony tymi rozważaniami, nie mógł dopatrzeć się w tym żadnego sensu. Widział jedynie całą potworność tego, co się z nim dzieje.

Obserwował, jak promienie światła załamują się. Był spokojny, jak gdyby potworna przemiana nie miała żadnego znaczenia. Na podłodze spoczywały teraz smugi światła w kolorze mosiądzu. Nad gajami pomarańczowymi porastającymi równinę popołudnie przechodziło w wieczór.

Tej nocy jednak był tylko człowiekiem. To księżyc miał nad nim prawdziwą władzę. Brylant oddał go pod panowanie jego srebrzystego światła. Księżyc był bezsilny z wyjątkiem dwóch, trzech nocy, kiedy osiągał pełnię. Czy bestia także musi wtedy odżywać, czy też nie zawsze będzie pojawiała się w ciągu wszystkich trzech nocy? Na te pytania znajdzie jeszcze odpowiedź i nie uda mu się tego uniknąć.

To on, on zamienia się w bestię.

I stał się nieśmiertelny.

Na dziedzińcu długi stół był pięknie zastawiony. W wąskich lichtarzach płonęły fioletowe świece. Przypominające krople łez kryształowe kieliszki oczekiwały na czerwone wino. Po ścianie pięła się winorośl. Wyżej, nad dachem domu, migotały gwiazdy. Skądś dochodziły ciche dźwięki gitary. Owady leciały na osłep do światła i płonęły.

Sędziwy Bernardin mieszkał sam, nie licząc służącej i chłopaka, który zajmował się w domu trudniejszą robotą. Kiedyś miał osła, który zestarzał się jednak i zdechł. Był także inteligentny ptak, który potrafił mówić. Jednak nieuważny chłopiec zostawił pewnego dnia otwartą klatkę i ptak uciekł. O wszystkich tych wydarzeniach starzec opowiedział swojemu gościowi, siedząc z nim przy posiłku złożonym z pikantnego mielonego mięsa i cytrynowego ryżu. Mówił także o mieszkańcach wioski i ich jednostajnym życiu. Między wierszami jego opowieści przewijało się coś jeszcze. Bernardin był bogaty, powszechnie szanowany i samotny. Zaopiekował się Danielem jak pięknym dzieckiem błąkającym się po dolinie. O nic nie podejrzewał swojego gościa i za wszelką cenę pragnął usłyszeć jego historię tylko po to, by poznać go lepiej.

Daniel zorientował się nagle, że teraz znacznie łatwiej mówić mu nieprawdę, bo czyż już od ponad roku nie żyje w kłamstwie? Poza tym prawda jest mu niedostępna, jest niedostępna im wszystkim. Z niewielkim zainteresowaniem przysłuchiwał się swoim własnym słowom, gdy opowiadał, jak to jacyś ludzie, oczywiście ludzie Julinusa, napadli na niego i ograbili ze wszystkiego. Jak dowłókł się do wioski, gdzie upadł. Oznajmił, że pracował niegdyś jako urzędnik, nie wspomniał jednak gdzie. Nie mówił także o katastrofie statku, powiedział jedynie, że zmierzał do najbliższego portu. Ta część opowieści była także oderwana od reszty, bo właściwie jakie to miało znaczenie, dokąd się udawał? Był teraz bez wątplenia jednym z najzwyczajniejszych bezdomnych włóczęgów, uciekinierem, wyrzutkiem, na którym ciążyła klątwa. Jednak gdy to sobie uświadamiał, wcale nie odczuwał niepokoju. Co się z nim stało? Czy uczucie tak instynktowne jak strach odebrało mu całe człowieczeństwo? Tak, ponieważ stało się to już wcześniej. Tego samego dnia, kiedy opuścił farmę, uciekając o brzasku dnia bocznymi drogami, pozostawiwszy za sobą martwe ciało ojca. Od tamtej chwili nie był już sobą. W końcu zapomniał nawet, jaki był człowiek, który żył przedtem w jego ciele. Stary Bernardin był przerażony i pełen współczucia, słysząc tę zmyśloną historię. Najwyraźniej do głowy mu nie przyszło, by wątpić choć w jedno słowo swego gościa. W blasku świec włosy Daniela lśniły złotem. Miał na sobie staromodne ubranie, jakie znalazło się w domu gospodarza, i wyglądał jak ktoś z czasów młodości Bernardina.

- To potworne, co ci się przytrafiło - odezwał się gospodarz. - Pozwolisz, że wynagrodzę ci to, czym tylko zdołam.

- I tak okazał mi pan już zbyt wiele uprzejmości.

- Ależ skąd. Pomaganie ci mnie samemu sprawia przyjemność. Rzeczywiście tak było. Bernardin nudził się na starość. Nie cieszył go widok swego porządnego domu, klasztornych, choć luksusowych sprzętów, książek, służby i sąsiadów.

Z żywym zainteresowaniem wypytywał Daniela o dalsze plany.

- Chciałbym wrócić do domu - odparł Daniel. Jednak to, co powiedział, wydało mu się tak zabawne i nieszczerze, że aż się roześmiał.

- No, tak - stwierdził gospodarz - sama myśl o ojczyźnie dodaje panu otuchy. Zobaczmy, co się da zrobić.

„Zaproponuje mi pożyczkę, myślał Daniel, na powrót do Anglii. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie skończył się mną bawić”.

Bernardin rzeczywiście nic nie obiecał, wciąż natomiast prowadził z Danielem dziwną, pełną niedopowiedzeń i jałową rozmowę, aż wreszcie na skraju dziedzińca pojawiła się Maria niosąc świecę.

- O, przyszła moja Maria, żeby zagonić mnie do łóżka. Jestem już starym człowiekiem. Muszę robić wszystko o ściśle określonej porze jak dziecko. - To powiedziawszy uśmiechnął się jeszcze raz do Daniela, po czym ze świecą w dłoni spokojnie odszedł.

Maria zaczęła sprzątać ze stołu. Dźwięki gitary zamarły, z oddali rozległo się wycie psa.

Maria powiedziała coś, z czego Daniel domyślił się, że pies, który wyje, należał niegdyś do Tomasia.

„I to ja go zabiłem tego człowieka. Nie, nie ja. Jakaś część mnie.”

Chudnący księżyc nie pojawił się nad dziedzińcem domu Leona Bernardina. Nocne powietrze zdążyło już przesiąknąć chłodem.

Kobieta mruknęła coś, po chwili zaś odezwała się łamaną francuszczyzną:

- Mój pan bardzo pana polubił.

- To dobry człowiek - odparł Daniel.

Maria nie powiedziała już nic więcej i odeszła, uprzątnąwszy wszystko ze stołu z wyjątkiem lichtarzy, kieliszków i wina.

Daniel pociągnął jeszcze kilka łyków trunku. Próbował skupić myśli na dochodzącym z oddali wyciu psa, przypominającym mu o tym, co zrobił, wcieliwszy się w bestię. Jednak nie ogarniały go żadne uczucia na myśl o tych wydarzeniach, chociaż był pewien, że to stało się naprawdę.

„Jeżeli wrócę do Anglii, wszystko się powtórzy”.

Starał się wyobrazić sobie postać, jaką przybierało jego ciało. Wpatrzył się w cienie zalegające dziedzińiec. Czy stawał się właśnie czymś takim?

Daniel zaczął odbywać ze swym gospodarzem spokojne spacerunki po okolicy. Rozciągały się tam pola, i gaje pomarańczowe. Gałęzie rzucały cienie na niskie, białe murki.

Przy rynku stał kościół. Daniel i Bernardin wspięli się na wieżę, by popatrzeć z bliska na dzwon, na którym widniały łacińskie słowa. Przy rynku znajdowała się także tawerna, gdzie zajrzeli, aby odpocząć. Leon Bernardin był traktowany jak ważna osobistość. Jemu i jego gościowi podano natychmiast owoce i wino. Usługiwała im młoda Arabka, siostra rozszarpanego na strzępy Seliga. Jej czarne oczy, obwiedzione na niebiesko, nie kryły w sobie żalu, a jedynie rezygnację. Tamto potworne wydarzenie należało już do przeszłości. Ludzie nie zdawali sobie sprawy, że wraz z pełnią księżyca zwiastująca śmierć bestia powróci.

Leon Bernardin zaczął uczyć Daniela miejscowego języka oraz dialektów, jakimi posługiwała się okoliczna ludność. Wieczorami jednak prosił swego gościa, by czytał mu na głos francuskie powieści. Grywali także w szachy, Daniel jednak był niecierpliwym i niezbyt byстрыm graczem.

Bernardin nie wypytywał swego gościa o czasy, kiedy ten pracował jako urzędnik, interesował się natomiast jego życiem w Anglii. Daniel kłamał. Został wychowany w dużym

mieście przez ciotkę: jego rodzice nie żyli. Czasami przemykało mu przez myśl, że matkę także wysłał w zaświaty. Wyglądało to na niezbyt fortunne posunięcie. Zastanawiał się, czy do Francuskiego Zajazdu nadal przychodzą jej listy, na próżno oczekując adresata.

Powinien nieustępliwie dążyć do tego, by ruszyć w drogę. Może Bernardin udzieli mu pożyczki, a może nie. W najgorszym razie miejscowy język, którego cokolwiek liznął, będzie mu służył pomocą tam, gdzie nie przyda się francuski.

Jednak ani przed Bernardinem, ani przed sobą samym nie postawił jeszcze stanowczo sprawy wyjazdu. Wyglądało na to, że wybrał ten piękny dom, aby wyczekiwać. Mówiąc ściśle, mogła być tylko jedna rzecz, której należało się spodziewać. Gdyby jednak wierzył w to, co się z nim działo, powinien odejść bez wahania i znaleźć sobie jakiś dziki zakątek, gdzie księżyc mógłby przemieniać jego ciało, nie wyrządzając nikomu innemu krzywdy.

Nie odczuwał lęku. Perspektywę swej ponownej metamorfozy przyjmował ze spokojem, bez cienia wątpliwości. Nie był w stanie zgłębiać swego nastroju. Wydawało mu się, że pogodził się już z rzeczami trudnymi do przyjęcia, niemożliwymi do wypowiedzenia.

- Zdajesz się zmęczony grą - stwierdził Bernardin, gdy siedzieli obydwoj nad szachownicą.

Nad nimi królowało rozgwieżdżone niebo. Nad polami zawisł księżyc w kwadrze, ukryty poza murami domu.

- Po prostu zamyśliłem się - odparł Daniel. - Myślałem właśnie o pańskiej wielkiej uprzejmości wobec mnie i o tym, jak wielkim darzy mnie pan zaufaniem.

- Pismo Święte poucza nas, byśmy nie omijali nikogo potrzebującego i przychodzili z pomocą podróżnym - powiedział Bernardin.

- I pan tak właśnie uczynił. Wprowadził mnie pan jednak do swego domu, a co pan o mnie wie?

- Opowiadałeś mi o sobie.

- Może mówiłem nieprawdę.

Bernardin popatrzył na Daniela z niezmiennym, niemal łagodnym uśmiechem.

- Proszę się tylko zastanowić - mówił dalej Daniel. Niezwykłość sytuacji, którą sprowokował, sprawiała mu przyjemność. - Zostałem znaleziony i przyniesiony tutaj, bez pieniędzy i jakichkolwiek dokumentów. Nie wiadomo, kim jestem, a mogę być każdym. Może jakimś złoczyńcą ukrywającym się teraz w pana domu. A może jestem kimś znacznie gorszym.

- No, już przestań, przestań - odezwał się Bernardin. - Musisz przyznać, że w moim wieku mam już niejaki doświadczenie. Zdążyłem ci się przypatrzeć i nie znalazłem w twym charakterze nic niepokojącego.

- Może jestem sprytny. Może zdołałem wywieść pana w pole.

- Niemożliwe.

- Słyszał pan kiedyś o ludziach, którzy potrafią zmieniać swoją postać?

Bernardin zbladł nieco. Zmarszczył brwi i wbił wzrok w Daniela.

- O czym mówisz?

Daniel zaczął odwracać kota ogonem.

- O czym mówię? Może o tym, że jak pewna roślina staram się wyglądać atrakcyjnie tylko po to, by przyciągać swą ofiarę.

Zmarszczka na czole Bernardina wygładziła się.

- Czy w takim razie mówiłbyś mi o tym?

- Ależ tak, żeby jeszcze bardziej pana rozbroić.

- Twierdzisz więc, że nie powinienem ci ufać, czy nie tak, Danielu?

- Dziwię się, senor, że jest inaczej.

Bernardin pokiwał głową. Po chwili wstał opierając się na lasce, na której wyrzeźbione były filigranowe postacie i głowy zwierząt.

- Chodź ze mną, Danielu. Coś ci pokażę.

Młodzieniec pchnął do tyłu swoje krzesło i ruszył za Bernardinem. Przecięli dziedziniec i z powrotem weszli do domu.

Pokonali główny korytarz, po czym skręcili i zeszli o jeden stopień w dół. Znaleźli się w jakimś ciemnym pomieszczeniu oświetlonym jedynie przez zawieszony na ścianie kaganek. Bernardin zdjął lampę z haka. Odstawił laskę i sięgnął za pazuchę, wydobywając potężny klucz. Po drugiej stronie ciemnego korytarza znajdowały się drzwi. Starzec przekreślił klucz w zaniku.

Światło lampy ukazało zapadniętą komnatę otoczoną zniszczonymi kolumnami.

- Znajdowała się tu niegdyś łaźnia rzymska - powiedział Bernardin - którą udało mi się połączyć z moim domem. Musimy zejść jeszcze niżej. - To powiedziawszy starzec zstąpił po kamiennych stopniach do baseniku, którego posadzkę pokrywało kilka cali połyskującej wody.

Daniel, nie kryjąc zdumienia, poszedł za gospodarzem. Wysokie buty, które włożyli wybierając się na wieczorny spacer, chroniły ich stopy przed wilgocią, gdy stanęli w wodzie.

Bernardin schylił się z trudem, po czym z dziwnym chichotem usunął z posadzki jeden kamień.

- Widzisz?

Pod kamieniem coś zabłysło. Nawet w kapryśnym świetle lampy nie mogło być żadnych wątpliwości. To było złoto, sterta żółtych, lśniących monet.

Bernardin opuścił kamień na miejsce, aż rozprysnęła się woda, po czym wyjął następny. Tym razem Daniel dostrzegł błysk srebra.

Starzec unosił coraz to nowe kamienie. Pod każdym lśniło srebro lub złoto.

- Oto mój majątek - powiedział Bernardin. - Oryginalny pomysł, nieprawdaż?

Podszedł sztywno do skraju basenu. Kaganek rzucił światło na stojak do wina, na którym spoczywały ogromne, nieporęczne butle. Wyciągnął jedną z nich i podniósł do światła. W środku leżały ciasno banknoty.

- Niezwykle oryginalny - odparł Daniel.

- Teraz znasz już mój sekret - mówił dalej Bernardin. Złodziej, który wdarłby się do mojego domu, mógłby do upojenia przeszukiwać moje kufry, a i tak niczego by nie znalazł. A tutaj nie ma nic takiego - zrujnowana łaźnia i trochę starego wina.

Daniel nie odezwał się słowem.

- Sam widzisz, jak bardzo się ciebie lękam - zakończył starzec. Ostry blask lampy zniekształcił jego twarz, która wykrzywiła się jak gdyby ze strachu.

- Zdziwiał mnie pan - powiedział Daniel. Zastanawiał się, czy Bernardin zaproponuje mu teraz pożyczkę na podróż do ojczyzny. Właściwie nie było to już potrzebne, starzec bowiem pokazał mu swój skarbiec i sposób, w jaki należy dobrać się do pieniędzy. Danielowi pozostawało jedynie odebranie klucza, który gospodarz nosił na sercu.

Zawisło między nimi jakieś dziwne napięcie. Daniel nie wiedział właściwie, co to wszystko ma znaczyć. Czy starzec chciał upewnić się, że gość niczego nie ukradnie, czy też pokazać mu drogę do skarbcza, by uchronić się przed wymierzonym w siebie aktem przemocy? Czy Bernardin, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wiedział, że stoi przed istotą przeklętą?

Daniel był przygnębiony. Zabije Bernardina i zabierze całe jego złoto, srebro i pieniądze. Nic prostszego. Nie miał żadnych skrupułów, jego spokoju nie zmącił nawet cień przerażenia na myśl o potwornym czynie, jaki planował. Ogarnął go natomiast jakiś smutek, przygnębienie.

- Pański sekret nie wydobędzie się na światło dzienne z mojej przyczyny - powiedział.

- Nie wątpię.

Pod koniec miesiąca, gdy księżyc zaczął się robić coraz bardziej okrągły, Daniel zauważył pierwsze oznaki swej niezdarności. Stracił ze stołu kieliszek wina. Pojawiły się także inne



trudności: z zapinaniem guzików, z wkładaniem i zdejmowaniem ubrania. Stopniowo tracił smak. Pikantne mięso czy słodkie pomarańcze wydawały mu się równie mdłe. Czasami, na jedną chwilę, obraz rozmazywał mu się przed oczami. To był wstęp.

Ludzie we wsi byli przekonani, że Leon Bernardin usynowił przystojnego, ujmującego cudzoziemca. Bawiło ich to, a czasami drażniło.

Zbierali właśnie pomarańcze. Daniel przechodził przez zielone tunele, w których połyskiwały bursztynowe owoce i złociste ramiona młodych dziewcząt i chłopców. „Kto z nich poniesie śmierć?”

Czuł teraz w sobie siłę i bestia także będzie silna. Będzie miała dla siebie pełne trzy noce, którymi zawładnie grzmiący księżyc.

Przysiadł na zboczu wzniesienia, skąd rozciągał się widok na gaje pomarańczowe oraz odległe wzgórza, gdzie majaczył ledwo widoczny brązowy szkielec zamczyska. Gdy ludzie pracujący przy zbiorze przechodzili мимо, pozdrawiał ich przyjaźnie, zastanawiając się jednocześnie, kto spośród nich zostanie rozszarpany na strzępy.

„Co się ze mną stało? - pomyślał. Nie zadrżał jednak z bólu czy strachu. Zaczyna mi się to podobać.” Czuł się tak, jak gdyby zgromadziła się w nim jakaś boska siła, niewidzialna dla ludzi, potężna jak uderzenie pioruna.

Może stanie się coś jeszcze, skoro nie jest w stanie zebrać się do wyjazdu. To jednak oznaczało, że będzie musiał szczerze porozmawiać z Bernardinem. Gdyby bowiem wyjawiał prawdę mieszkańcom wioski, a ci uwierzyli mu, bez skrupułów spaliliby go żywcem. Nie przypuszczał, aby Bernardin zachował się w podobny sposób. Starzec nie zdziwi się ani nie przestraszy. Jego biblioteka jest pełna uczonych książek. W ciągu swego długiego życia posiadał rozległą wiedzę, kryje się w nim także coś tajemniczego. Czyżby miał coś wspólnego z magią? Czy to możliwe?

Bernardin siedział w swoim gabinecie, gdzie niekiedy odpoczywał wieczorami, gdy zdobywał się na chwilowe rozstanie z Danielem. Pokój był pełen książek, poza tym stało tam politurowane biurko z mnóstwem szuflad, dwa rzeźbione fotele i podnózek wyściełany czerwonym aksamitem. Na jednej ze ścian wisiał prosty krzyż, inną zdobiło religijne malowidło: uczniowie w drodze do Jeruzalem. Przedstawione w surowym stylu, rysowały się na tle zachodzącego słońca pasującego kolorystycznie do czerwonego podnóżka.

Starzec zdawał się zadowolony, że Daniel, szukając go, wszedł do gabinetu. Poprosił, aby młodzieniec usiadł i przeczytał mu kilka ustępów z tomu esejów. Następnie wypytywał go o poglądy na temat przeczytanych tekstów, korygując jednocześnie jego błędy tak w rozumieniu znaczenia słów, jak i w składni.

Kiedy omawianie lektury dobiegło końca, Daniel wstał. Za oknami z moskitierą zachodziło słońce. Nadchodziła ostatnia noc poprzedzająca pełnię.

- Przypomina pan sobie, senor - zaczął Daniel - jak dziewięć dni temu rozmawialiśmy o moim charakterze. Stwierdziłem wówczas, że to niemądrze z pana strony darzyć mnie zaufaniem, pan zaś uczynił mi honor, okazując je w jeszcze większym stopniu.

Leon Bernardin skłonił się z powagą.

- Nadal jestem przekonany o twojej cnotce, Danielu.

- Czuję się zobowiązany. Jednak z uwagi na to, że nadal korzystam z pańskiej gościnności, muszę pana poważnie ostrzec przed czymś, co tyczy mojej osoby.

Leon Bernardin uniósł brwi niemal z rozbawieniem.

- A cóż to za okropna sprawa?

- Jakiś czas temu tknęła mnie pewna choroba. Od tamtej pory przy pełni księżyca powracają jej ataki. Na trzy kolejne noce staję się bezrozumną istotą, niebezpieczną i pełną wściekłości.

- Stroisz sobie żarty.

- Ani trochę. Powinienem powiedzieć panu o tym wcześniej. Patrząc teraz na mnie, może to wydać się panu nieprawdopodobne. Odwlekałem tę rozmowę, teraz jednak nie mogę czekać ani chwili dłużej. Jutrzejszej nocy stanę się dla pana, jego domu i całej wioski śmiertelnym niebezpieczeństwem.

- Mówisz więc, że nawiedzają cię ataki obłądu...

- To coś znacznie poważniejszego niż zwykłe szaleństwo. Jeżeli opiszę panu wszystkie szczegóły, pomyśli pan, że jestem w błędzie, albo że już zdążyłem postradać rozum.

Starca twarz Bernardina wyglądała jak pomięty biały papier. Malował się na niej jakiś jeszcze nie nazwany strach.

- Jeżeli chcesz, abym cię wysłuchał - powiedział starzec - nie możesz niczego pomijać.

- Zamieniam się w bestię - mówił dalej Daniel. - W potwora, który zabił Tomasza i chłopca z tawerny. To byłem ja w zmienionej postaci.

Bernardin wstał, wspierając się o blat biurka.

- Mówisz prawdę?

- Tak. Jutro wieczorem, nim wzejdzie księżyc, musi mnie pan zwięzać, przykuć łańcuchami i trzymać pod kluczem.

- Czytałem o podobnych wypadkach - odparł Bernardin.

- To dobrze. Jest pan już nieco przygotowany.

- Czy całkowicie poddasz się mej władzy?

- Ja tak. Ale bestia, która się pojawi, nie ulega nikomu. Bernardin wziął głęboki oddech.

- Bóg jest panem wszelkiego stworzenia.

Daniel już dawno temu przestał dopuszczać do siebie jakiegokolwiek myśli o Bogu.

- Jak Bóg, jeżeli w ogóle istnieje, może pozwolić, aby po ziemi chodziła taka bestia?

- Pan poddaje nas próbie - odparł Bernardin.

Daniel odszedł z uśmiechem, pozostawiając Bernardina sam na sam ze zwykłą lekturą czy może szeptanymi modlitwami.

„Powiedziałem mu. Ostrzegłem”.

Jakże Bernardin mógł skutecznie przeciwstawić się temu, co nadchodziło nieuchronnie? Daniel roześmiał się, podobnie jak w chwili, gdy wspomniał o powrocie do Anglii.

Następnego popołudnia do pokoju Daniela wszedł Bernardin ze służącym. Przynieśli ze sobą grube sznury. Starzec kazał chłopcu przysiąc na Biblię, że zachowa milczenie. Gość cierpi na nawracające ataki choroby i musi zostać zwięzany, aby nie zrobił sobie krzywdy.

Daniel gorączkował przez cały dzień. Nie przyjmował jedzenia ani płynów. Leżał spokojnie na łóżku i pozwolił przybyłym skrępować sobie członki.

- Włożymy mu sznur między zęby, żeby nie pokąsał sobie języka? - zapytał chłopiec.

Bernardin jednak kazał mu odejść.

- Wybacz mi, Danielu. Sam nie miałbym tyle siły, żeby zawiązać mocno sznury.

Daniel uśmiechnął się.

- Ledwie mogę ruszyć palcem.

- Sam nalegałeś, aby się przed tobą zabezpieczyć.

- To prawda - rzekł Vehmund i dodał: - Jeszcze dobrze przed wschodem księżyca musi pan stąd wyjść i zamknąć drzwi na klucz.

- Zamknę drzwi, ale zostanę z tobą.

- Nie - zaprotestował Daniel. - Proszę nie robić tego pod żadnym pozorem.

- Musisz mi pozwolić. Jestem naukowcem, Danielu. Chcę zobaczyć, co się wydarzy. Będę miał przy sobie poświęcone przedmioty.

- Myśli pan, że krzyż powstrzyma bestię?

- W moim przekonaniu nie ma nic potężniejszego od Boga.

- Jest pan tylko człowiekiem, Leonie, a ta bestia to dzieło Szatana.

Ciałem starca wstrząsnął dreszcz.

- To nie ma znaczenia.

W jego oczach płonęła nie zaspokojona ciekawość. Był jak dziecko czekające niecierpliwie na opowieści o duchach, budzące w nim strach jeszcze przez następny rok.

- Proszę dać się przekonać i nie zostawać tutaj - powiedział Daniel. - Proszę wrócić do siebie, zamknąć drzwi na klucz i na zasuwę.

Bernardin jednak powiedział z przekonaniem:

- Znasz mnie przecież i nie życzysz mi źle. Kiedy wyzwoli się z ciebie bestia, jakaś część twojej natury musi pozostać gdzieś w głębi. Może uda mi się przemówić do niej.

- Nie. Proszę nie liczyć na to. Ta bestia to nie jestem ja. Albo może to jakaś część mnie, której nie widać, gdy jestem w ludzkiej postaci.

- Coś z ciemnej strony duszy - powiedział Bernardin. - Cień na sercu.

- Właśnie. To tkwiące we mnie Zło.

- Chrystus pokonuje Zło.

- Ale pan nie jest Chrystusem.

- Moja wiara jest bezgraniczna.

- Proszę się strzec i pamiętać o tym, co spotkało Tomasza. Bernardin przeżegnał się i wyszedł.

Leon Bernardin wrócił o zmierzchu, zamknął drzwi na klucz, położył na stole ciężką księgę, po czym usiadł w fotelu.

Daniel był pogrążony we śnie. Od czasu do czasu coś do siebie cicho mamrotał w swym ojczystym języku.

Bernardin nie zwracał na to uwagi. Na kartach Biblii położył niewielki krzyż ze srebra i hebanu. Tom był otwarty na Księdze Apokalipsy, na wersetach, które głosiły: „Bestia, którą widziałem, podobna była do pantery, łapy jej - jakby niedźwiedzia, paszcza jej - jakby paszcza lwa. ...Któż jest podobny do bestii i któż potrafi rozpocząć z nią walkę? ...i ujrzałem jakby morze szklane, pomieszane z ogniem, i tych, co zwyciężają Bestię”<sup>3</sup>.

Starzec poczynił pewne przygotowania niczym mędrzec Wschodu. Wziął kąpiel i namaścił się różnymi balsamami, a nawet przyodział w szczególny sposób. Na szyi zawiesił sobie maleńki złoty krzyż wysadzany drobnymi perłami. Na palcu lśnił pierścień poświęcony nigdy przez kardynała.

Jego wiara w Boga była tak głęboka, że starzec nie odczuwał strachu, a przynajmniej tak mu się wydawało. Drżenie rąk przypisywał podnieceniu, miał przecież stać się świadkiem niebywałego zjawiska.

Jednocześnie szczerze pragnął nie spuszczać troskliwego oka z Daniela, którego pokochał, podobnie jak darzył miłością wszystko, co piękne; słońce zachodzące za linię horyzontu, skórzaną oprawę pięknego zbioru fascynujących opowieści. Nie chciał, aby Daniel go opuścił, gdyż w całym swoim życiu niewiele osób zasłużyło na jego miłość. Nie miał też syna. W głębi duszy nie pragnął, aby młodzieniec przemienił się w potwora. Gdyby tak się jednak stało, a był częściowo przekonany, że to nastąpi, zamierzał sam z pomocą opatrności pokonać kłtwę. Jeżeli mu się to uda, Daniel będzie wolny.

Bernardin spodziewał się ujrzeć coś przypominającego pewne wydarzenie, o którym opowiadano mu wiele lat temu. Pewien podróżny, przejeżdżający nigdy przez wieś, zatrzymał się u niego na obiad i w rozmowie, przytaczając różne dziwy, wspomniawszy także, iż widział opętanego. Gdy w młodzieńca wstąpił diabeł, najpierw piana pojawiła mu się na ustach, po czym nieszczęśnik padł na ziemię. Dał się słyszeć potworny odgłos pęknięcia jego stawów i chłopak zaczął biegać na czworakach. Jego ciało i twarz porastała stopniowo twarda szczecina. Oczy nagle nabiegły krwią. Gdy atak choroby odpędzonej przez księżowskie

<sup>3</sup> W tłumaczeniu O. Augustyna Jankowskiego OSB.

kropidło minął, włosy odpadły od ciała, ścięgni i kości wróciły na swoje miejsce, i młodzieńiec znowu był w stanie stanąć na dwóch nogach. Gdy zadawano mu pytania, zdawał się nie pamiętać, co się z nim działo, wszyscy jednak potwierdzali jego niebywałą siłę i energię. Mówiono, że biegał po murach jak jaszczurka.

Od tego czasu Bernardina nie dziwiły podobne zjawiska.

Siedział w milczeniu szepcząc modlitwy, które w jego przekonaniu pasowały do sytuacji. Jedną rękę położył na złotym krzyżu, druga spoczęła na Biblii.

Wzejście księżycy umknęło jego uwagi. Dla niego księżyc milczał, a z okien pokoju nie było go widać.

Daniel jednak zaczął się wykręcać i obracać na boki, na ile tylko pozwalały mu więzy.

Nagle z jego ust dobieły się potworne wrzaski, jak gdyby krzyczał w śmiertelnej męce.

Bernardin wstał. Wbrew sobie poczuł niepokój.

- Zaczyna się - wymamrotał pod nosem.

Nim zjawił się u Daniela, nakazał Marii, by poszła do siebie, zamknęła drzwi na klucz i nie wychodziła niezależnie od tego, co by się działo, gość bowiem zachorował i istnieje obawa, że może być agresywny. Chłopcu Bernardin dał wolny wieczór.

W pobliżu nie było żywej duszy.

Obserwował, jak Daniel rzuca się i krzyczy, walcząc z więzami. Jego powieki zacisnęły się. Wykręcone ręce zdawały się szukać jakiegoś oparcia w chaosie.

Nagle zaczęła się przemiana.

Początkowo Bernardin nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zdawało się, że mięśnie Daniela gwałtownie drżą. Starzec zbliżył się ukradkiem do łóżka. Wzrok go nie mylił. Mięśnie poruszały się, pełzały po szkielecie młodzieńca.

Bernardin wymamrotał coś ze wstrętem, cofnął się i oparł o ścianę. Porwał leżący na Biblii krzyż.

Przez ciało Daniela przebiegały teraz potężne wstrząsy. Mężczyzna zdawał się rozpląwać w ogniu, który nie niszczył ani nie zwęglął. Przerażony starzec dostrzegł, że ruch mięśni przeniósł się na odzienie, które także zaczęło pulsować i drżeć. Po chwili liny krępujące ruchy młodzieńca ożywiły się szaleńczo. Zaczęły poruszać się, jak gdyby oblepione przez robaki. Splatały się ze sobą bez końca.

Krzyk Daniela zamilkł. Nie zdawał sobie sprawy z własnej bluźnierczej metamorfozy. Żaden człowiek będąc świadomy nie byłby w stanie tego znieść. Czyż nawet ten, kto tylko patrzył, mógł zachować zdrowy rozsądek?

Bernardin przycisnął większy krzyż do warg. Mamrotał modlitwy, wzywając na pomoc nawet piekło.

Na łóżku kipiało trzęsawisko tkanek. Poprzez żyły i arterie pojawiało się na moment coś przypominającego oko, kość, kłęb włosów. Nie było widać krwi. Masa wiła się i tarzała, stając się coraz ciemniejsza. Wessała koszulę i spodnie, bieliznę i naciągając sznury. Był to jeden wielki kocioł, gmatwanina stapiająca się w jeden kształt.

Bernardin zaszlochał. Drżącym głosem powiedział słowa tak stare jak zamek na wzgórzu, mające powstrzymać diabelskie siły.

Masa na łóżku zbiła się w jedność, przybierając postać wielkiej bryły ciemności. Nagle, jak gdyby ze zgrzytem żelastwa, wychynęły z niej cztery potężne kończyny zwierzęcia. Po chwili pojawił się nieforemny łeb, który powoli i precyzyjnie nabrał kształtu.

Bernardin posuwając się wzdłuż ściany dotarł do drzwi i drżącymi rękami zaczął celować kluczem w zamek.

Z łóżka patrzyły zimne, czarne oczy bestii, wolnej od więzów, sznury bowiem wtopiły się w jego ciało. Pojawiły się przylegające do łba uszy. Wciąż wyrastały nowe włosy, całe cielsko nie przestawało wic się i drżeć. Oczy jednak były wpatrzone w jeden punkt i nie poruszały się. Bernardin mimowolnie spojrzał w nie. Nie kryło się w nich nic, absolutnie nic,

nie były to oczy starca ni dziecięca, nie należały do człowieka ani też do zwierzęcia, nie było w nich nikczemności, cienia myśli czy nawet śladu instynktu. Cokolwiek zapadło na dnie tych ślepi, było ledwie zauważalne. Ale istniało.

Starzec przekręcił klucz w zamku. W chwili, gdy drzwi się otworzyły, bestia, którą stał się Daniel Vehmund, zsunęła się z łatwością na ziemię.

Krucyfiks wypadł Bernardinowi z rąk. Starzec wymknął się na korytarz i zatrzasnął za sobą drzwi. Zgrabiła ręką przekręcił klucz.

- Słodki Jezu...

W korytarzu płonęło kilka znajomych lamp. Były tam te same, wypolerowane drzwi. Ale nic nie wyglądało tak jak powinno, jak gdyby cały dom nagle się wypaczył.

Gdy starzec stał tak, nie wiedząc, co czynić, doszedł go odgłos rozłupywania drewna. To cztery pazury, niczym stalowe ostrza, rozrywały drzwi w drzazgi.

Bernardin nie zdziwił się. Bestia miała nieograniczone możliwości.

Odwrócił się i zobaczył roztrzaskane drzwi. Potwór zrobił to nie wysilając się zbytnio, nawet bez pośpiechu, ale za to zniszczenie było całkowite.

Gdy drzazgi posypały się w kąt, bestia niczym cień z mrocznej puszczy wydostała się na korytarz.

Bernardin przemówił żałośnie głosem ochryplym i uniżonym.

- Danielu. Przecież mnie znasz, Danielu. Jestem twoim przyjacielem.

Nie było jednak Daniela. Daniel został rozszarpany na strzępy i złożony ponownie w nową postać.

- Danielu... - powiedział cicho Bernardin.

Zaczął cofać się w głąb korytarza spowitego drżącym światłem lamp. Pozbawiony laski poruszał się niezdarnie jak krab, ledwo powłócząc nogami. Bestia ruszyła za nim równie wolno. Przesuwali się jakby we śnie. W zupełnej ciszy.

Gdy starzec dotarł do drzwi swego pokoju, przekręcił galkę i wszedł do środka. Nie zadał sobie trudu, by zamknąć drzwi i odgrodzić się od tego, co nadchodziło.

I to nadeszło. Z poświaty lamp wkroczyło za Bernardinem w ciemność.

Maria słyszała krzyki młodzieńca i zaczęła modlić się za swego pana. Szeptala słowa modlitwy żarliwie, jednak bez strachu, gdyż miała Bernardina w wielkim poważaniu.

Gdy zaległa wreszcie cisza, Maria zadowolona położyła się wcześniej niż zwykle do łóżka.

Po jakimś czasie znów usłyszała jakieś gardłowe krzyki. Tym razem dochodziły z innej części domu. Jak się zorientowała, była to sypialnia pana.

Maria była odważna, a może głupia. Narzuciła szal na ramiona i wzięła lichtarz. Gdy znalazła się na korytarzu, dostrzegła natychmiast rozłupane drzwi pokoju Daniela. Ogarnął ją niepokój. Śmiało zwróciła się w kierunku sypialni pana. Drzwi stały otworem. W środku panowała ciemność. Kobieta nie dosięgła tej ciemności, to ona wyszła jej na spotkanie.

Odwaga staruszki wypaliła się.

Pomyślała, że to jakiś niedźwiedź, coś podobnego do niedźwiedzia. Zwierzę stało bez ruchu wpatrując się w nią, ona zaś odwróciła się z krzykiem. Nagle, w ułamku sekundy, bestia wyciągnęła ku niej łapy, jednym ciosem gruchocząc staruszce czaszkę.

Nocą koło domu Leona Bernardina przechodził pijany mężczyzna. Spojrzał w górę i na dachu dostrzegł w świetle księżyca jakiś kształt. Wydało mu się, że to lew i biegiem puścił się do domu. Nikt mu jednak nie uwierzył, widząc, ile wypił. Rankiem, po przebudzeniu, on sam nie był już tego pewny.

Promienie słońca zaległy pokój jak monety Bernardina, kiedy Daniel otworzył oczy.

Był w swojej sypialni na piętrze. Początkowo wydawało mu się, że wszystko jest w pełnym porządku, dopóki nie zobaczył roztrzaskanych drzwi. To było jego dzieło, a raczej bestii, w którą się przeistoczył.

Usiadł ostrożnie na łóżku. Tym razem jednak nie czuł się chory ani osłabiony. Był raczej zmęczony. Ręce i nogi drżały mu lekko jak po niezwykle wyczerpujących ćwiczeniach. Jego ciało poddawało się coraz bardziej. Przemiana stawała się czymś normalnym.

Gdy wyszedł na korytarz, ujrzał zwłoki staruszki. Nie miała rozprutego brzucha ani nie była rozszarpana. Wywrócił ją i zabił jeden cios.

W sypialni Bernardina leżało ciało gospodarza przypominające Danielowi to, co widział na statku. Nie przeraził się. Nie spodziewał się ujrzeć nic innego.

Gdy jadł w kuchni śniadanie, zjawił się służący Bernardina.

- Twój pan powiedział, że masz jeszcze dwa dni wolne. Zastanawiał się leniwie, czy rzeczywiście musiał ocalić chłopaka odsyłając go do domu. Dzieciak jednak z pewnością nie powinien zobaczyć ciała.

Chłopak w każdym razie był zadowolony i nie okazał zdziwienia, gdyż Bernardin zawsze dobrze go traktował. Pogratulował Anglikowi, że ten przewyciężył atak choroby.

Gdy znalazł się przy drzwiach, odezwał się jeszcze:

- Luis mówił, że w nocy jakiś lew siedział na dachu.

- Bo siedział - odparł Daniel. - Sam go widziałem. Chłopak popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami, ale po chwili uznał, że to żart. Śmiejąc się wyszedł.

W ciągu dnia Daniel odpoczywał leżąc na łóżku, od czasu do czasu zagłębiając się w lekturze którejs z książek Bernardina. Jakoś dziwnie i bez emocji było mu żal starca. Przykrość czuł także na myśl o kobiecie. Pewnie nic by się jej nie stało, gdyby nie wychodziła z pokoju. Może zresztą bestia wyczułaby jej obecność i odszukała staruszkę.

Promienie słońca przeświełiły dom jasną smugą. Potem nadszedł zachód, a wreszcie zapadła noc.

Daniela przerażała jedynie zbliżająca się męka przemiany. Czy ona też w końcu się zmniejszy? Wydawało się, że już nieco zmaląła, nadal jednak było to coś okropnego.

Będzie wiedział, kiedy się zacznie, usłyszy bowiem wycie wznoszącego się nad ziemią księżycy.

Położył zwłoki staruszki w sypialni Bernardina, co było może nieco nieprzyzwoite. Zatrzasnął drzwi.

Co wydarzy się kolejnej nocy?

Rankiem, który nadszedł po drugiej nocy, przy studni na rynku znaleziono zwłoki dwóch ludzi. Obydwaj mieli rozprute brzuchy i wnętrzności wyciągnięte na zewnątrz. Atak musiał być tak szybki, że nie zdążyli nawet krzyknąć. We krwi odbiły się dziwne ślady łap i prowadziły przez cały plac w kierunku kościoła. Tam jednak krew wsiąkła w wysuszoną ziemię i ślady znikły.

Coś nawiedziło nocą wieś, ta sama istota, która zjawiła się tu już wcześniej. Dzieci miały złe sny, kobiety przewracały się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Dziwne, że nie było żadnych szkód wśród kóz i drobiu, chociaż zwierzęta były wyraźnie niespokojne.

Nagle zrozumieli związek tych niezwykle zjawisk z księżycem.

To była bestia, która, uspiąca przez cały czas, budziła się przy pełni księżycy, żeby zabijać.

Kiedy we wsi wybuchła panika, Daniel, zapracowany, nie ruszał się z domu. Przeszkodził mu jedynie chłopiec, który powrócił z rewelacjami o potwornościach ostatniej nocy. Daniel znowu kazał mu iść do domu, wyjaśniając, że Bernardin siedzi w swoim gabinecie, Maria zaś krząta się gdzieś po domu. Chłopiec był rozczarowany, że Daniel z taką obojętnością przyjął wieść o straszliwej jatce.

- Ludzie mówią, że to... wilkołak.

- No, tak - odparł obojętnie Daniel.

- Wie pan, señor, taki człowiek, który przy pełni księżyca zamienia się w wilka.

Daniel wzruszył ramionami, po czym odezwał się:

- Wilki nie są takie drapieżne.

- Ależ tak, tak - upierał się chłopiec. - Wilki są straszne. Są żądne krwi. - Widać było, że jego wiedza o wilkach ogranicza się do opowieści zasłyszanych przy dzbanie z winem.

Daniel zastanawiał się, czy chłopak opowiedział komuś, że razem z Bernardinem krępowali go sznurami. Przysięgał jednak na Biblię i wydawało się, że słowa dotrzymał.

Gdy chłopiec odszedł, Daniel powrócił do pracy. Kilka razy przemknęła mu przez głowę myśl o wiosce. Ciekaw był, co zrobią mieszkańcy, aby ocalić życie kolejnej, trzeciej nocy. Nie czuł nawet cienia strachu; nic go nie mogło powstrzymać.

Na turkusowym niebie pojawił się księżyc. Wioska leżała cicho jak zaklęta; spokój zakłócał jedynie nocny wiatr szumiący w krzakach i kępach drzew. Wszystkie drzwi i okna były zatrzaśnięte na głucho. Nawet tawerna zamknęła wierzeje. Tego dnia zawitało tam niewielu gości, a i ci poszli sobie po zachodzie słońca.

Miejscowy stolarz niepokoił się o swoją oślicę. Chciał zabrać ją na noc do domu, żona jednak zaoponowała. Stajnia była tak licha, że każdy mógł włamać się do środka, cóż dopiero potężna bestia, która rozrywała ludzi na strzępy. Żona stolarza była odważną kobietą. Zamknęła starannie wszystkie drzwi i okiennice, po czym podała mężowi kolacje. Poza leżącym na stole krzyżem nic nie chroniło ich przed bestią.

- Jesteśmy tu dostatecznie bezpieczni - powiedziała kobieta.

- Biedna Rosa - uzalił się stolarz, mając na myśli oślicę.

We wszystkich zakątkach wioski zapadła cisza. Od czasu do czasu wiatr przeganiał po ulicach jakiś szeleszczący śmieć. Jaszczurka, która za długo wygrzewała się na murze, pognęła do swej kryjówki pod glinianym garncem. Z pozamykanych na głucho domów nie wydostawał się żaden ciepły blask. Jakaś zaniepokojona koza dreptała nerwowo. Ćmy trzepotały skrzydłami poszukując światła lampy. Poza tym żaden dźwięk nie przecinał ciszy.

Tylko jedne drzwi stały otworem - te, które prowadziły do domu Leona Bernardina.

Niebo pociemniało. Do księżyca dołączyły blade gwiazdy. Na domach i ulicach spoczęła biała poświata; tam gdzie księżyc nie zaglądał, zaległy czarne cienie. Było to dziwne, nieprzyjemne światło, jak gdyby wysyłała je jakaś odległa, obca planeta. A jednak był to tylko blask księżyca, ziemskiego księżyca, który był martwy i, jak niewolnik świata, odbijał jedynie światło ukrytego słońca. A jednak zdawał się nie poddawać zniewoleniu. Był silny; władał ciemnością i śpiewał jak przyłożona do ucha muszla.

Z domu Leona Bernardina wyszedł cień i zaczął przemierzać ulice wioski. Gdy znalazł się na rynku, podniósł łeb. Jego oczy były białe i płaskie jak dwie zimne monety.

Bestia weszła na obramowanie studni. Spojrzała na wodę, w której przeglądał się księżyc i zaczęła ją chleptać połykając księżyc, który jednak spadł z języka potwora i znowu trwał nienaruszony.

Wokół placu stały domy z dziedzińcami, na których rosły niskie drzewa. Ciężka bryła tawerny, długa i niska, tej nocy nie była oświetlona. Ku niebu wspinała się wieża kościoła z zawieszonym u stropu dzwonem.

Bestia, jak cień, ruszyła dalej. Mijała pozamykane drzwi, pochylając niekiedy głowę, jak gdyby węszyła przy progach domów.

- Co to za szuranie?

Być może usłyszała dochodzące ze środka głosy. Delikatnie przejechała pazurami po drzwiach zostawiając długie rysy, po czym ruszyła dalej, podczas gdy domownicy zamarli w izbie z przerażenia.

Bestia zaznaczyła pazurami kilkoro mijanych drzwi i za każdym razem szła dalej, pozostawiając mieszkańców zastygłych jak kamienne rzeźby.

Potem wdrapała się na mur jednego z dziedzińców i spuściła w zalegającą po drugiej stronie ciemność. Wbiła pazury w drewniane drzwi i rozerwała je w drzazgi. Ze środka dobiegł stłumiony krzyk. Jakiś mężczyzna wypadł na zewnątrz i wystrzelił z pistoletu, bestia jednak poszła dalej i rzuciła się na niego. Jego krzyk zamarł, słychać było natomiast odgłos odrywanego od kości mięsa i chlupot rozlewanej krwi.

Ludzie w sąsiednich domach usłyszeli krzyki, potem strzał z pistoletu, potem jeszcze straszliwsze wrzaski... aż wreszcie zapadła cisza.

Drzwi zabarykadowano sprzętami. Ludzie rzucili się przed krzyżami na kolana. Dzieci płakały.

Bestia jednak poszła dalej, aż dotarła do kolejnego domostwa. Wspięła się po ścianie i dostała się do środka przez okno, przeciskając się między prętami krat, które popękały i upadły na podłogę. Potem potwór zszedł na dół i, zwinnie jak dym, wpadł między dziesięcioosobową rodzinę. Przez izbę przeszła jakby trąba powietrzna i fragmenty ludzkich ciał zaczęły wylatywać w powietrze jak lalki rozrywane eksplozją.

Zostawiając za sobą jatkę, bestia ruszyła dalej. Księżyc połyskiwał ogniście we krwi, która zalała jej futro.

Lśniący cień posuwał się wzdłuż ulicy, wspiął się na dach jednego z domów, ale pozostał tam tylko przez chwilę.

- Coś jest na dachu!

Ludzie w izbie przeżegnali się i zaczęli modlitwę do Najświętszej Pani.

Ale bestia tylko siedziała na dachu, lśniąca i wpatrzona w księżyc.

Miejsca, gdzie siała zniszczenie, wybierała na chybił trafił, według zasady znanej tylko jej samej. Wszędzie pozostawiała ślady pazurów, przechodząc przez wieś niczym Anioł Śmierci. Była pozbawiona zdolności rozumowania, ale może było w niej coś w rodzaju sprytu. Łączyła się z księżycem, ale jak się to objawiało w tym potworze wywodzącym się z mrocznej strony duszy, z ciemności serca, ze sfery id?

To nie był Daniel. Podobnie jak nie on był tym, który zabił. To nie Daniel chodził znowu do izb, nawiedzając kolejne domy przy odgłosach krzyków, modlitw i opętańczego trzasku wystrzałów. Kule ani noże nie osłabiały bestii. Była nieczuła na wszystko, jak gdyby ulepiona z błota, przyjmowała ciosy, a rany natychmiast zablizniały się, jak znika ślad na powierzchni bagniska.

Kobiety zabijała szybko, jak gdyby wcale o tym nie myśląc. Na mężczyzn jednak napadała z furią. Przede wszystkim oni byli jej wrogami.

Mordowała bez spoczynku w białych promieniach księżyca. Drzwi i kraty nie potrafiły jej powstrzymać. Gdy domy były połączone, wpadała przez dzielącą je ścianę. I gdy jedna z rodzin zamarła w cichym przerażeniu, słysząc krzyki najbliższych sąsiadów, bestia przedostała się ku nim jak czarna maszyna. Pazury wczepiły się w głowę człowieka, który słuchał z uchem przyłożonym do ściany, przygważdżając go tam w chwili, gdy bestia nagle wpadła obok niego do środka.

W końcu zdawało się, że przez wieś przetoczyła się wojna. Z domów, które stały nietknięte, ozwało się zduszone łkanie i przekleństwa, jak gdyby ziemia nagle zawrzała. Wiatr uniósł ze sobą odór krwi i wnętrzości.

Księżyc jednak zniżał się ku zachodowi i bestia podążyła za nim ku domostwu Leona Bernardina. Znalazłszy się tam, kierowana mimo wszystko jakimś dobrym instynktem, zatarła za sobą ślady.

Gdy księżyc zniknął i zaczęło świtać, nowa, straszliwa cisza zawisła nad wioską.

Nic się nie poruszyło. Żaden nie dochodził żaden dźwięk, gdyż połowa modlitw i łez była daremna; reszta wyczerpała się.

Nagle od wschodu niebo otworzyło się na oścież jak przeogromne okno. Nadeszło wybawienie - świt.



Rankiem przez wieś przeszedł tłum ludzi.

Ci, którzy przeżyli, byli na nogach już od świtu. Znajdowali zmarłych. Jęczeli i lamentowali. Z wieży kościelnej odezwał się dzwon.

Potem mężczyźni zebrali się w tawernie.

Zaczęto rozmawiać o dziwnym zbiegu wypadków: przybyciu nieznajomego cudzoziemca, który zadomowił się u Leona Bernardina, i pojawieniu się bestii.

Zawołano chłopca służącego u Bernardina. Opowiedział, jak cudzoziemiec odesłał go do domu. Poprzednio widział Anglika powiązanego sznurami, tym razem zaś mówił on powoli, włosy miał grube jak rzemienie, a oczy błyszcząły mu dziwnym żółtym blaskiem.

Wszyscy ruszyli do domu Leona Bernardina. Prowadził ich ksiądz dzierżący krzyż. Mieli ze sobą wszystkie bezużyteczne pistolety, kamienie i drażgi. Dom był zamknięty. Gdy nikt nie odpowiadał na ich krzyki, wyłamali drzwi.

Pokoje były puste z wyjątkiem sypialni pełnej much, gdzie znaleźli dwa trupy: Maria wyglądała jak stara, biała ikona, Bernardin leżał w kałuży krwi, na której siedziały brzęczące owady.

Chłopiec zbiegł po schodach krzycząc.

Pokazał ludziom starą rzymską łaźnię. Wszystkie kamienie posadzki zostały wyciągnięte. Dookoła leżały rozstrzaskane butelki. Bernardin trzymał tutaj pieniądze, a teraz cały majątek zniknął.

Zniknęła także oślica Rosa, którą ktoś wyprowadził ze stajni, gdy po zachodzie księżycy zaczynało szarzeć i kiedy stolarz i jego żona trzęśli się ze strachu nad stołem.

Po cudzoziemcu nie było śladu.

3.

Odwilż, która nadeszła na tydzień przed Bożym Narodzeniem, stopiła zalegające od dawna śniegi i zamieniła drogi w grzęzawisko. Potem znowu przyszedł mróz i ziemia ponownie stała się twarda jak kamień. Z dachu domku z bluszczem zwisały sople lodu. Skute mrozem drzewa podpierały niskie, łożowane niebo. Jason Wheelwright nie odważył się wyjść gdzieś daleko. Żona zajmowała się świątecznymi wypiekami, to znaczy dyrygowała zobojętniałą Laurą i jej marudzącymi młodszymi siostrami.

Laura była ponura i milcząca jak staw, którego powierzchnię zmacono i zostawiono w spokoju, by wygładziła się znowu.

Jej uległość nie przyniosła żadnych niepożądanych rezultatów. Dla świata nadal pozostawała sobą. Była zadowolona, że uległa naleganiom Hyperiona Wortha, i że teraz, tak jak tego chciała, zostawił ją w spokoju.

Jej rodzina mówiła o nim z zażyłością, nie kryjąc swej interesowności, gdyż nie zdawali sobie sprawy, że dobre czasy już minęły. Byli przekonani, że to śniegi przeszkodziły mu w odwiedzaniu Laury. Z ogromnymi nadziejami wyczekiwali wiosny. Okazało się to dość nudne, niewiele jednak można było poradzić.

Pod zewnętrzną układnością Laura była coraz bardziej rozdrażniona przez własną rodzinę. Ich sposób zachowania zaczął ją razić. Zaczęło jej się marzyć, że może wiosną, kiedy domownicy zrozumieją swoją stratę i staną się naprawdę nie do zniesienia, ona zdobędzie się wreszcie na to, żeby odejść. Dostanie się jakoś do miasteczka, a może do dużego miasta, najmie się jako służąca i będzie wolna od wszystkich Wheelwrightów razem wziętych. Snując takie mgliste plany zebrała siły, by przetrwać okres Bożego Narodzenia.

W pierwszy dzień świąt wyniknął zwykły problem. Poprzedniego wieczoru państwo Wheelwright podochoćceni piwem zapowiedzieli, że rankiem wybiorą się do kościoła. Rano okazało się, że są na to zbyt słabi, siedzieli więc otępiali w fotelach. Późno zabrano się za przygotowanie obiadu, a jeszcze później rodzina usiadła do jedzenia, które, przyrządzone niestarannie, nie było szczególnie smaczne. Jednakże świąteczna wódka podniosła na duchu Jasona i jego żonę. Alice i Elfie całkiem od niej ogłupiały.

- Ależ z niej stara nudziara - powiedziała pani Wheelwright o cichej, trzeźwej Laurze. - Nic dziwnego, że ten człowiek przestał sobie zawracać głowę odwiedzinami.

- Jeszcze przyjedzie, przyjedzie - rzucił radośnie Jason. - Zobaczysz, że przyjedzie.

- Pewnie już mu się znudziłam - odpowiedziała Laura.

- Co to za gadka? - odezwała się zaczepnie matka. - Nic ci z tego nie przyjdzie, jeżeli dasz mu się sobą znudzić.

- Przecież obiecał mi konia - powiedział Jason. - Odbiorę mojego konia, panienko, zanim każesz mu odejść z kwitkiem.

Laura westchnęła i zaczęła sprzątać ze stołu.

Słyszała groźne rzeczy o życiu w wielkim mieście, ale czyż mogło być coś gorszego od obecnej egzystencji?

Wkładając talerze do miski, usłyszała odgłos końskich kopyt dzwoniących o skostniałą ziemię gdzieś na wzgórzu.

Domownicy przycupnęli jak stado czujnych psów i jedynie Laura dobrze wiedziała, że ktokolwiek by się zbliżał, nie był to Hyperion Worth.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Jason rzucił się, by je otworzyć, ciesząc się hałaśliwie z przyjazdu gościa.

- Niechże pan wejdzie. Bardzo proszę. Właśnie piliśmy pańskie zdrowie.

Co dziwniejsze, powitanie Jasona nie było chybione. Z mrozu zimowego popołudnia do mieszkania wkroczył gość. Był nim Hyperion Worth.

Laura zawrzała gniewem bolesnym jak wstyd.

Myślała, że już pozbyła się Wortha, on jednak wrócił.

Przywiózł ze sobą kosz pełen słodczy, które zaćmiły uroki stołu gospodarzy. Domownicy, chociaż dopiero co skończyli napychać sobie brzuchy, rzucili się na łakocie z nową ochotą.

Hyperion podszedł do Laury, podczas gdy ona zdecydowanymi ruchami szorowała naczynia. Zgiełk wywołany przez resztę rodziny umożliwił im swobodną rozmowę.

- Jesteś na mnie zła?

- Tak.

- Zezłościło cię moje zachowanie, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem?

- Ani trochę. Zachowałeś się naturalnie i uczciwie. Doceniam to.

- I doceniłaś, rzeczywiście.

- Miałam nadzieję, że to się wreszcie skończy.

- Niestety - odparł pokornie Hyperion. - Efekt jest odwrotny. Tylko nieprzejezdne drogi uniemożliwiły mi wizyty.

Laura zapragnęła nagle rozbić wszystkie talerze. Opanowała się.

- Nie wysilaj się. I tak nie będę ci już przychylna.

- Nie wierzę, abyś mogła być tak okrutna.

Laura spojrzała znad tłustych pomyj na rodzinę. Grzebali tak zachłannie w koszu ze słodczymi, że świniom miałyby więcej wdzięku. Po chwili siostry podniosły ryjki, popatrzyły na nią i zachichotały.

- Może kropelkę brandy, panie Worth? - zaproponował Jason.

- Jeszcze nie teraz, panie Wheelwright.

- Lepiej niech się pan pospieszy, bo wódeczka może nie poczekać.

- Wtedy starczyło mi odwagi - powiedział Hyperion do Laury. - Ale teraz nie ma po niej cienia.

- Jak możesz się mnie lękać - odparła pogardliwie Laura. - Jestem twoją ofiarą.

- Nieprawda. To ja jestem twoją.

Zanim zdążył się zorientować, wyciągnęła z miski rękę i zamachnęła się, by go uderzyć. Hyperion chwycił jej dłoń jak cenny klejnot i upadł na jedno kolano. Zdumione świniom podniosły ryje znad swojej uczty.

- Lauro - powiedział wyraźnie Hyperion. - Wiem, że nie jestem ciebie wart, ale czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

W izbie zaległa taka cisza, że słychać było płonącą lampę.

Jason Wheelwright zamarł w bezruchu z rozdziawioną gębą i wybałuszonymi oczyma. Matka podniosła chusteczkę do ust, jak gdyby bała się, że krzyknie. Młodsze córki zaczerwieniły się jak wiśnie.

Laura jednak była zimna jak lód. Wpatrywała się twardo w Hyperiona, który klęczał przed nią w swym świetnym stroju. Podobne wypadki zdarzały się jedynie w najbardziej fantastycznych opowieściach, w bajkach. Przemknęło jej przez głowę, że młodzieniec szydzi z niej, a może postradał rozum. Jednak na jego spokojnej, jasnej twarzy nie znać było ani kpiny, ani szaleństwa. Hyperion Worth, przystojny, bogaty dżentelmen, klęczał u jej stóp, jak gdyby dopiero co włożył na jedną z nich leżący jak ulał szklany pantofelek. W istocie, powiedział to, co zamierzał, i to w obecności świadków.

Nagle załapała Laurę nowa fala gniewu. Nie z tego powodu, że była zabawką w jego rękach, dlatego jednak, że sama sytuacja była absurdalna. Jak śmiał klękać przed nią w tym chlewie, kiedy akurat gapią się te kreatury?

Otworzyła usta, by go wyśmiać, żeby kategorycznie odmówić. I nagle w jednej sekundzie przypomniało jej się wszystko: zaśnieżone rzeźby, berylowe okna, skute lodem jezioro, ogromne pokoje, salon, sypialnia, kwiaty wydobyte spod śniegu. Przypomniała sobie także, jak bardzo błagał, by mu się oddała, ale od kiedy to zrobiła, prośby nie były już potrzebne.

Wyobraziła sobie zadymione miasto, gdzie pewnie czekałaby ją ciężka praca pomywaczki, a potem przemknęły jej przed oczyma wspomnienia lat spędzonych tutaj, wspólnie z rodziną.

- Zgadzam się, panie Worth - powiedziała.

Elegancko i z godnością Hyperion wstał z klęczek, ucałował jej mokrą, tłustą rękę, a potem policzek.

- Przypuszczam, panie Wheelwright, że nie ma pan nic przeciwko temu?

Jason mógł jedynie zagulgotać jak indor. Matka wybuchnęła płaczem, lejąc potoki łez, zupełnie otumaniona, a może zazdrosna. Alice i Elfie zbladły jak wybielone pranie.

Laurze zdawało się, że chyba sama odeszła od zmysłów. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek wyobrażała sobie to, co stało się przed momentem. Może wydarzyło się w owej chwili coś jeszcze.

Hyperion jednak poprowadził ją do stołu i usiadł obok dziewczyny.

- Musimy omówić - zaczął - wszystkie sprawy dotyczące ślubu.

Ślub miał się odbyć w kościele oddalonym o dwie mile od rezydencji Wortha. Hyperion zawiązał tam narzeczoną dwukółką, by mogła zobaczyć miejsce, gdzie miała zjawić się jako panna młoda.

Okolica była dzika. Człowiek nie zamienił jej w uprawne pola, ciągi rowów czy długie pastwiska. Była skalista i nieurodzajna. Dalej ciągnęły się gęste lasy. Romański kamienny kościół położony był na wzgórzu i otoczony przez stare, ogromne cisy i cyprysy, które wyginał wiatr.

Kiedy narzeczeni dotarli na miejsce, nikogo nie było w pobliżu. W uroczystej ciszy obejrzelni proste wnętrze kościoła, które już wkrótce miały przyozdobić róże z oranżerii Wortha.

Gdy drzwiami pod wieżą ponownie wydostali się na powietrze, zobaczyli w dole księdza gramolącego się pod górę z pustym koszem na ramieniu.

Za nim rozciągała się prastara, niegościnna kraina, wciąż poznaczona upartymi plamami śniegu. W oddali majaczyła ciemna sylwetka lasu.

- Tutaj, ojczel! - zawołał Hyperion, kiedy ksiądz zbliżył się do furtki. - Wybrał się ksiądz, żeby nakarmić potrzebujących?

- Właśnie - odparł duchowny. - Przyjechaliście w samą porę, żeby zobaczyć moich parafian przy obiedzie. - Popatrzył na Laurę. - Mam nadzieję, że pani się nie przestraszy.

- Jak księdzu wiadomo, moja narieczona pochodzi ze wsi.

Stojąc obok księdza i Hyperiona, dziewczyna powiodła wzrokiem ku podnórzowi wzgórza. W dole leżało w krzakach jedzenie - zawartość księżowskiego koszyka. Nagle w lesie zaczęło się jakieś poruszenie. Spomiędzy drzew wychynęły trzy ciemne kształty i zaczęły susami przemierzać pustą przestrzeń.

- Wilki - powiedziała Laura. - Karmi ksiądz wilki?

- Zima to ciężki czas dla tych biedaków.

- Oto człowiek - stwierdził Hyperion - który wierzy, że nakazy ewangeliczne odnoszą się do wszystkich stworzeń.

Wilki były wychudzone i szare, pokryte gęstą, zimową sierścią. Przybiegły wprost do rozsypanego jedzenia, najwyraźniej znając miejsce i czas dostawy, i cały czas jej wyczekując.

- Trochę podrobów i pół kurczaka - powiedział ksiądz - ale również kawałek szarlotki. To też zjedzą.

Rozglądając się jedynie co jakiś czas, żeby sprawdzić, czy nikt się nie zbliża, chude zwierzęta jadły łapczywie. Wyglądało to groźnie, a jednocześnie wruszająco. Nie wrywały sobie pożywienia, lecz dzieliły się sprawiedliwie. Jeden z nich na moment podniósł łeb i spojrzał na ludzi stojących na szczycie wzgórza żółtymi myślącymi ślepiami.

- Patrzy na ciebie jak człowiek - powiedział Hyperion. - Inteligentny i niewinny człowiek.

Kiedy wilki skończyły ucztować, zaczęły nagle wyprawiać harce na śniegu, tarzając się na łąkach bieli.

Laura poruszyła się niechętnie. Zwierzęta momentalnie poderwały się i odbiegły.

- Nigdy nie pozwalają mi się zbliżyć - powiedział ksiądz. - Zawsze należy zachować dystans. Próbowałem kiedyś poczekać na nie niżej, ale nie przyszły.

Wilki dotarły do linii lasu i jeden za drugim niknęły między drzewami jak smukłe, szare obłoki.

- Ludzie opowiadają - zaczął ksiądz - że mój poprzednik dokarmił wilki i pozwalał im spać w kościele. Pewnego razu widziano, jak jedno zwierzę zwinęło się w kłębek na chrzcielnicy.

Zeszli w dół na plebanię i wypili wspólnie herbatę.

- To wilk nas połączył - przypomniał narzeczonej Hyperion.

- Wydaje mi się teraz, że musiałam go sobie wyobrazić.

- Nie powątpiewaj w swoją pamięć.

- Nigdy bym się nie odważyła - powiedziała dziewczyna - wrócić tam i sprawdzić.

- Odwilż na pewno uwolni go z lodu - stwierdził Hyperion - a przynajmniej popłynie w dół strumienia, może ku jakiejś rzece albo do morza.

Laura pomyślała o Jenavere Vehmund zamkniętej na klucz w swym pokoju, uwięzionej podobnie jak wilk. Siedziała w milczeniu, dopóki nie przyszła pora, by roztropnie odpowiadać na pytania dotyczące małżeństwa, które kierował do niej ksiądz.

Gdy zapadł zmrok, Jenavere wsłuchiwała się w dochodzące z kuchni pijane głosy syna i jego towarzyszy. Noce ciągnęły się długo. Wiedziała, że kuchnia oświetlona jest lampami stojącymi na obramowaniu kominka i na stole, na palenisku zaś buzuje ogień. Rosamunde Ax przycupnęła w swoim kąciku, gotowa na każde zawołanie usługiwać tym wspaniałym mężczyznom. Nie drażniła jej ich hałaśliwość, a kiedy odprawiali ją, odchodziła, jeżeli nie z żalem, to z pewnego rodzaju zadowoleniem z siebie.

Kiedy pijackie pohukiwania dawno już umilkły, a Marsall, potykając się z trudem wdrapał się po schodach do sypialni, Jenavere ocknęła się. Leżała pod czarnym koszem zimowej nocy, myśląc o swym młodszym synu. Widziała, jak gdzieś w tajemniczym zakątku Orientu Daniel leży martwy w jakimś zaułku, jak wrzucają jego zwłoki do anonimowego grobu. Albo wydawało jej się, że syn oddaje się hulankom, wcale o niej nie myśląc.

Pragnęła, aby żył. Niechby nawet o niej zapomniał, jeżeli miałoby to oznaczać, że żyje.

Po chwili znowu wyobraziła sobie własną śmierć. Dlaczego nie chciała nadejść? Była przekonana, że zima zabije ją; nie tyle mrozem, ile swą pustką i dlatego, że niszczy wszystko, co słabe.

Nie miała po co żyć, a jednak żyła. Jakie to dziwne.

Tego wieczoru pijane kroki Marsalla nie ominęły jej pokoju. Syn zastukał do drzwi i Jenavere ubrana w szlafrok wstała, żeby otworzyć.

Jak zwykle, gdy zwracał się do matki, jego bełkotliwy głos brzmiał przesadnie.

- Farma nie należy już do nas, matko. Właścicielem jest Worth. A ja jestem jego pracownikiem. Co powiedziałby na to ojciec?

Jenavere nie odpowiedziała.

Marsall uśmiechnął się. W ręku trzymał świecę, która przechyliła się niebezpiecznie.

- Nigdy by tego nie zrobił. Nie sprzedałby ziemi, na pewno - mówił Marsall. - Myślisz, że to twoje oczko w głowie, ten twój Daniel, wróci kiedyś, żeby się poskarżyć?

- Nie, nie wróci.

- Też mi się tak wydaje. Pewnie sprzedali go gdzieś w niewolę. Jasna skóra i ładne włosy przyciągnęły wzrok jakiegoś starego rozpustnika. Tak, matko, Daniel do tej pory zdążył już zostać pederastą.

Jenavere wzięła głęboki oddech, ale nadal się nie odzywała. Marsall wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bo czy nadawał się do czegoś innego?

- Zawsze go nienawidziłeś - odparła Jenavere. - I nienawidzisz nadal. Dlatego wygadujesz takie rzeczy.

- Czy ja go nienawidzę? Nie. Nie marnowałbym dla niego swoich cennych uczuć. Śliczny Daniel. Myślisz, że co wyprawiał w tej swojej szkole? To wylęgarnia wszelkich świństw. A zapewniam cię, że dobrze wiedział, jak używać tej swojej jedwabistej dupy.

Jenavere odwróciła się.

- Idź spać - powiedziała do syna.

Marsall zatoczył się do przodu. Chwycił matkę za ramię i odwrócił.

- Nie mów do mnie takim tonem. Nie zapominaj, że żyjesz na mojej łasce. W każdej chwili mogę wyrzucić cię za drzwi. Ciekawe, jak wtedy dasz sobie radę.

Jenavere wpatrywała się w syna. Był dla niej jakimś prawie nieludzkim stworzeniem, podstępny i wykoślawiony wybrykiem natury.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział, gdyż do jego pijanego umysłu dotarło to, czego nie mogły dostrzec mętne oczy. - Ty suko. Uważaj, żebyś nie przeholowała.

Zamachnął się i wymierzył matce policzek.

Cios niemal zwałił kobietę z nóg.

Dowlokła się z powrotem na swój fotel.

„Znów się zaczyna”, pomyślała.

Od strachu silniejszy był piekący gniew i rozpacz.

- Tak - powiedział Marsall zadowolony z tego, co zrobił, jak gdyby przywołał pamięć ojca.

- Uważaj, starucho. Nadal jestem tu panem.

To powiedziawszy wyszedł chwiejnym krokiem, zostawiając matkę w spokoju.

Wtedy po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że mogłaby sama przyspieszyć swoją śmierć. To odkrycie zabłysnęło w jej głowie czyste i twarde jak kryształ.

Ślub odbył się zimą, pogoda jednak dopisywała.

Promienie słońca nadały kościołowi stojącemu pośród dzikiej, wyżynnej krainy kolor miodu. Między drzewami krakały kruki.

Laura miała na sobie suknię z białego jedwabiu i koronkowy welon ozdobiony niebieskimi niezapominajkami z naszytych paciorków.

Pół wsi zbiegło się, żeby zobaczyć pannę młodą, ze strony Hyperiona nie przybył nikt - i może tak było lepiej.

Przez całą uroczystość matka Laury głośno zawodziła, żeby pokazać, jak bliską osobą jest dla panny młodej. Jason już był podchmielony i radosny. Obydwie siostry, których nie poproszono na drużny, siedziały chmurne, ubrane w nowe sukienki. Chociaż rodzina Laury w komplecie zjawiała się na ślubie, przyszła mężatka ledwie ich zauważała. Ceremonia, w której grała tak ważną rolę, oznaczała dla niej wyzwolenie.

Uroczyste śniadanie odbyło się w rezydencji. Panował radosny nastrój, lał się jabłecznik, piwo, biały szampan. Gdy dzień dobiegł już końca, weselnicy ruszyli chwiejnie do domów. Pozostawieni sam na sam państwo młodzi mogli udać się do swej sypialni, gdzie stało ogromne łóżko z baldachimem.

Hyperion nie przyszedł do żony tak, jak gdyby miał teraz do tego prawo, lecz był nieśmiały i niecierpliw jak za pierwszym razem.

Laura przyjęła go z prawdziwie boską obojętnością.

Oszałamiała ją wszystkie łaski, jakie nagle na nią spłynęły. Nieoczekiwanie znalazła się w tym kolorowym, błyszczącym świecie. Co do seksu jednak nie miała żadnych oczekiwań, mogła być zaledwie uprzejma. Ten mężczyzna uczynił z niej wielką damę dysponującą

pięćdziesięcioma pokojami, parkiem, jeziorem i wieloma tysiącami rocznego dochodu. Był poza tym przystojny i wesoły. Jedyne, co jej pozostawało, to łaskawie mu się oddać. Więc to zrobiła.

A kiedy on wędrował po jej ciele, odkrywając nowe lądy i ukryte oceany rozkoszy, Laura zaczęła myśleć o drodze, jaką teraz miało pójść jej życie.

- Pojedziemy do miasta. Wszystko ci tam pokażę - powiedział Hyperion, gdy odpoczywali.

Laura zastanowiła się, jak też odbierałoby miasto, należąc jeszcze do niższej sfery. Teraz będzie spoglądać na nie z góry, pędząc śmigłymi karocami po najszerszych ulicach, patrząc spomiędzy zaśnieżonych kolumn prowadzących do złotych pokoi.

Musi postarać się być dla męża taką kobietą, jakiej potrzebował. Musi jaśnieć urodą i szczęściem. Hyperion zasłużył sobie na to.

Teraz już jej się podobał. Życie małżeńskie z nim nie będzie wcale takie straszne. I nauczy się od niego tego, co powinna wiedzieć - o jego sferze, o świecie i o jego własnych pragnieniach.

Hyperion zawiózł ją do miasta.

Było to coś niezwykłego, jak inna planeta. Gdy wieziono ją po kamiennych wiaduktach, dostrzegła biegnące pod spodem drogi, żółte zwały śmieci opadające w dół jak trakt do piekła. Mijali rozległą rzekę poznaczoną łodziami. Na jej błotnistych brzegach nocami palono odpadki. Po zmroku na ulicach płonęły latarnie, z których spływały sznury jasnozielonych świetlistych pereł. Była tam katedra zwieńczona kopułą wyglądającą jak lśniąca cebula. Były galerie sztuki, opera i teatr. Hyperion wszędzie zabierał swą młodą żonę. Pokazał jej zmrożone, jak gdyby pokryte cukrem wzgórza, zanurzone w blasku bogactwa tego miasta. Laura jednak pamiętała przez cały czas o tamtej drugiej, ciemnej stronie, o cieniach pod mostem. Pociągały ją w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób. Sama mogła się tam znaleźć, gdyby nie Hyperion.

Życie, jakie zapewniał jej mąż, było jak ślizganie się po gładkiej tafli jeziora. Dawał jałmużnę żebrakom stojącym pod arkadami, kupował od jędzowatych staruch prześliczne fiołki, by zdobiły białą szyję Laury.

Nie wspominała mężowi nic o cieniach nędzy. On także o tym nie mówił. Nie bała się, myśli te miały w sobie raczej jakąś siłę przyciągania, jak gdyby chroniona teraz przez bogactwo męża, uniknęła stoczenia się w głąb piekła.

Wybrali się do muzeum, w którym zgromadzono stare przedmioty: posążki dawnych bóstw z azurytu, amulety z kości słoniowej, oczy ze srebra. Z mroku panującego za oknem docierały przytłumione odgłosy. I tak było zawsze. Kiedy wychodzili z teatru i przybrani błyskotkami zmierzali do powozu, Laura dostrzegała na chodniku beznogie istoty.

Pewnej nocy obudziło ją wycie psów. Nie udało się to skrzypiącym wózkom i pijackim głosom dobiegającym z ulicy. Wycie zaś było jednym z dzikich, wiejskich dźwięków. Tego dnia przyglądali się pomnikowi stojącemu na brzegu rzeki: był to mężczyzna z głową psa. Pewnie przyśniło jej się coś podobnego. Nie obudziła męża. Leżała spokojnie myśląc o wilkach dokarmianych przy kościółku, w którym brali ślub. W mieście nie było wilków.

Piętnastego dnia udali się wieczorem z wizytą do jednego ze znanych tamtejszych salonów.

Gospodarz i jego żona przypominali kukły w bardzo drogich strojach. Jak oczekiwała Laura, natychmiast wzięli ją za kogoś, kim wcale nie była.

Tłum gości, każdy z lampką szampana w ręce, stłoczył się w ogromnym salonie wybitym tapetą w egzotyczne ptaki.

- Ale ścisk - zauważył Hyperion. - Ma tu być dzisiaj jakiś magik. Doszedłem do wniosku, że może ci się to spodoba.

- Magik? Co masz na myśli?

- Och, nie jakiś jarmarczny sztukmistrz. To obcokrajowiec, dziwak. Oczarował już wielu ludzi. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy przyjrzeć mu się na własne oczy.

Każdą rozrywkę oferował jej, jak gdyby podawał na malowanym półmisku wytworne słodczyce. Grubiaństwem byłoby nie okazać radości. Więc Laura wyraziła swój zachwyt, po raz pierwszy zirytowana nieustanną paradą, którą stało się jej życie. Jednak to, co powiedziała, wystarczyło w zupełności, by dorównać entuzjazmowi męża. Podobnie jak w seksie można było udawać zadowolenie.

Wreszcie uprzątnięto jeden koniec ogromnego salonu, przyniesiono krzesła i goście usiedli w półkolu. Hyperionowi udało się tak urządzić, by razem z Laurą usiedli z przodu, chociaż ich miejsca znajdowały się z boku.

Zjawił się magik. Za nim kroczyło dwóch pomocników niosących różne przedmioty.

Gdy tylko Laura go ujrzała, ogarnęło ją złe przeczucie.

Był bardzo wysoki, wręcz nienormalnie długi, szczupły i wyprostowany. Miał siwe włosy i ostro zarysowane brwi. Ubrany był w strój wieczorowy i wyglądał równie dobrze co najznamienitsi goście. Nie to jednak zaniepokoiło Laurę. W odróżnieniu od sztucznej atmosfery, jaka panowała w salonie i w całym mieście, w nim było coś bardzo prawdziwego - jak wycie psów, które usłyszała nocą. Jakkolwiek by się maskował, wyglądał jak pustelnik żyjący w lasach czy na samotnej górze. Zagadką pozostawał dla niej powód, dla którego tu przybył - sława i pieniądze z pewnością były dla niego marnym prochem. Nagle wpadło jej do głowy, że jest to dla niego coś w rodzaju zabawy. Przestraszyła się, nie wiadomo dlaczego. Żałowała, że znalazła się w pierwszym rzędzie.

Dwaj pomocnicy wyglądający na ludzi nieokrzesanych, ale również dobrze ubrani i dyskretni, ustawili krzesło, mały stolik, po czym na jego blacie umieścili lampę. Mężczyzna bez słowa zbliżył się do stołu, by ją zapalić, podczas gdy jego pomocnicy usunęli się na bok. Była to najwyklesza lampa, a przynajmniej tak wyglądała. Na ścianach salonu płonęły rzędem świece; lampa wcale nie była potrzebna.

W sali zaległa cisza. Goście nie spuszczaali oczu z magika, chłonąc każdy jego gest.

Mężczyzna wyprostował się, ukazując całą swą osobliwie długą sylwetkę. Mówił bez żadnego akcentu, a jednak jego słowa brzmiały jakoś dziwnie.

- Chciałbym, aby państwo mnie poznali. Nazywam się Julinus. Rzeczy, które zademonstruję, nie będą żadnymi cudami, lecz niemal naukowymi doświadczeniami z materią. Nie mogę przewidzieć, czy tego, co będzie się działo, nie wezmą państwo za jakieś dziwy. W każdym razie muszę prosić, by nie zapominali państwo, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, cokolwiek by się działo. Nic państwu nie grozi.

Nastąpiło lekkie poruszenie, szczególnie wśród zgromadzonych kobiet. Julinus odczekał, aż szum ucichnie.

Następnie powiedział coś do lampy, wymawiając prawdopodobnie łacińskie słowa.

Płomień lampy uniósł się i wychynął jak kwiat na zewnątrz długiego klosza, po czym zaczął skręcać się i wydłużać. W powietrzu wyprężył się wąż. Był idealnie uformowany z płomieni. Wyciągnął się, dotknął ramienia magika i owinął się wokół niego. W końcu zbliżył łeb do warg mężczyzny. Julinus otworzył usta pozwalając, by gad wpełzł do środka. Wąż wczuł się tam i zniknął. Lampa zgasła.

Ludzie zaczęli szeptać.

Julinus pochylił się ku lampie. Dmuchnął w nią. Płomień wy dostał się z jego ust i lampa znowu zabłysła.

Ni z tego, ni z owego zerwała się burza oklasków, po czym szybko zamarła.

Tym razem Julinus zajął się krzesłem. Wskazał na nie palcem. Na krzesle pojawiła się mglista postać siedzącej kobiety.

Choć przezroczysta, była widoczna dla wszystkich zgromadzonych. Niektórzy goście wyciągnęli szyje, by obserwować widowisko. Miała na sobie szaty sprzed trzystu lat z



falbaniastymi rękawami. Włosy spinał jej wielki grzebień. Wszyscy doskonale to widzieli, chociaż pokój przeświecał przez jej ciało. Pojawiła się, po czym natychmiast wstała. Przecięła salon i zbliżywszy się do ściany przeszła przez nią. Zniknęła.

Julinus ponownie wskazał ręką i ze ściany, w miejscu, gdzie zniknęła kobieta, wyszło trzech mężczyzn ubranych w pończochy i wysokie kołnierze. Podeszli do stolika z lampą. Stali tam przez chwilę rozmawiając bezgłośnie, po czym wszyscy trzej nagle zniknęli.

Potem zjawiono się jeszcze pięć duchów: dziecko bawiące się piłką, dwie młode kobiety idące pod rękę, chłopiec, który biegiem puścił się przez pokój, czemu towarzyszyły okrzyki przerażonych gości, a jako ostatni pojawił się mężczyzna spacerujący głową w dół po suficie.

To ostatnie zjawisko wywołało śmiech wśród publiczności i kolejną, gwałtowną falę oklasków.

- A teraz - odezwał się Julinus - chciałbym prosić o pomoc jedną z pań. Jeszcze raz powtarzam, że nie ma się czego obawiać. Pani, która podda się mojej sztuce, będzie zupełnie bezpieczna.

Publiczność zaczęła szemrać. W tym czasie Julinus powiódł wolno wzrokiem po rzędach zgromadzonych. Jego ciemne oczy były dziwnie nieobecne i obojętne. Laura poczuła niepokój, gdy magik zatrzymał na niej wzrok, ale natychmiast spojrzała w inną stronę. Nie zamierzała poddać się żadnym sztuczkom.

Znalazły się jednak światowe kobiety, gotowe włączyć się do tej nieco swobodnej zabawy. Dwie z nich, roześmiane i niby zawstydzone, zjawily się przed Julinusem.

Magik nie odpowiedział uśmiechem ani też nie uczynił żadnego przyjaznego gestu. Wybrał starszą z nich, odsyłając drugą grzecznie i bez dyskusji. Odeszła zła, szeleszcząc wachlarzem.

Starszą kobietę Julinus posadził na krzesło. Miała jakieś czterdzieści lat, piękne ramiona i kształtną szyję opasaną sznurem drobnych rubinów. Wydawała się zadowolona i zdenerwowana jednocześnie.

- Zapoznają się państwo - odezwał się Julinus do zgromadzonych - z teorią reinkarnacji, mówiącą, że każda istota odradza się na nowo wiele razy. Chciałbym teraz zademonstrować wcielenia, które prawdopodobnie przybierało moje medium. Muszą państwo tylko uważnie się jej przyglądać.

Pochylił się ku kobiecie i szepnął jej coś do ucha. Jej twarz zmieniła się gwałtownie. Zbladła, podbródek zeszytniał, powieki opadły. Dłonie, w które jeszcze niedawno klaskała z łatwością, osunęły się bezwładnie na kolana.

Laura wpatrywała się w nią, bojąc się niemal odwrócić wzrok. Nagle kontur kobiety rozmazała jakaś fala gorącego powietrza czy pary. Na krzesle siedziała teraz nobliwa wdowa ze Wschodu. Jej czarne włosy były sztywne, jak gdyby polakierowane. Miała fioletową długą suknię, ciężką od pereł.

Publiczność krzyknęła. Po chwili jednak obraz znowu się rozmazał i medium Minusa ponownie zmieniło swą postać. Tym razem kobieta była starowiną trzęsącą się razem z krzesłem, odzianą w jakieś średniowieczne szaty, z pękiem potężnych kluczy u paska.

Wizja trwała sekundę, może dłużej, po czym na krzesle siedziała już Murzynka w egzotycznym stroju, prawdopodobnie mieszkanka jakiejś odległej wyspy. W uszy miała wetknięte zielone pióra, a jej szyję zdobił naszyjnik z kości.

Ta nowa postać wywołała głośnie poruszenie wśród publiczności, jednak, jak i poprzednie, wizja rozmyła się w jednej chwili. Na jej miejscu zjawila się młoda dziewczyna, świeża jak płatek róży, ubrana w silnie wciętą w tali suknię z epoki angielskiego renesansu. Trzymała w dłoni złotą klatkę z tkwiącą wewnątrz wonną pomarańczą. Dziewczyna posyłała dookoła władcze spojrzenia.

Wtedy przed oczyma zgromadzonych zjawil się najdziwniejszy obraz ze wszystkich. Dziewczyna wstała z krzesła i odwróciła się plecami do widowni. Nie miała jednak pleców. Przed zdumionymi gośćmi stał starzec odziany w długą, luźną szatę, która wydawała się

uszyta z tego samego jedwabiu co prześlizczna suknia dziewczyny. Na głowie miał kaptur z nieprzezroczystego materiału, który wyrastał z brokatowego, krótkiego welonu dziewczyny. Mężczyzna był powykrzywiany ze starości, miał długą brodę, oczy jak kawałki lodu. W ręce dzierżył kostur.

Połączone sylwetki zaczęły powoli obracać się dookoła. Z jednej strony pojawiała się dziewczyna, z drugiej staruch. Gdy obracali się, przez chwilę widać było jednocześnie obydwie postacie, dwie twarze wyrastające z jednej czaszki, dwa zrosnięte ciała.

Publiczność nie wiedziała, co o tym myśleć. Nagle zaczęły odzywać się krótkie, przerażone okrzyki, nie tylko ze strony towarzystwa kobiety medium.

Julinus wziął ze stołu lampę i unióś ją wysoko nad głową.

Dwoista postać, starzec i młoda dziewczyna, zaczęła obracać się szybciej, wirować w kółko niczym mechaniczna zabawka. Barwy i kształty zlały się w jedno. Nagle Laurze wydało się, że widzi syrenę i mężczyznę w zbroi. Potem wszystko zniknęło. Pod lampą znowu stała kobieta z naszyjnikiem z rubinów. Nadal była blada, chociaż jej oczy błyszczały. Przychodziła do siebie jak rozbudzona z głębokiego snu.

Julinus położył dłoń na jej ramieniu i kobieta nagle roześmiała się jakoś niestosownie. Zaczerwieniła się i postąpiła krok w stronę publiczności. Poruszała się chwiejnie, jak gdyby była pijana. Towarzysz wybiegł jej na spotkanie.

Gdy odeszła, Julinus znów postawił lampę na stole.

- Na koniec - odezwał się - tej pantomimy materii zademonstruję państwu, w jaki sposób martwe przedmioty są bardziej giętkie niż myśl. Proszę, aby się państwo nie niepokoiли. Proszę pamiętać, że nic nikomu nie grozi.

Zanim publiczność zdołała się przygotować do kolejnego etapu widowiska, Julinus wznioś rękę do góry.

Krzesło, które przynieśli jego współpracownicy i na którym siedziała zmieniająca swą postać kobieta, zaczęło wyginać się we wszystkie strony. Skręciło się w węzeł, a następnie, po kilku gwałtownych skurczach, znowu rozprostowało się. Tym razem nie było to już krzesło, lecz lew z grzywą czarną jak węgiel. Jego oczy także były jak noc. Zwierzę wpatrywało się uważnie w zgromadzonych. Na widowni ozwały się krzyki, zobaczono jednak, że Julinus trzyma bestię na uwięzi. Mężczyzna pociągnął raptownie za powróż i lew posłusznie usiadł. Po chwili zaczął wyginać się stół. Wessał lampę, zwinął się, obrócił, a gdy się wyprostował, nie był już stołem, lecz smukłym jeleniem. Zbliżywszy się do lwa, trącił go nosem. Bestia rozwarła paszczę. Zaczęła połykać jelenia, ale jednocześnie to jeleni połykał lwa. Kształty zwierząt zespoliły się, po czym znikły.

Ozwały się odgłosy dżungli.

Laura uniosła głowę i zobaczyła, że pasma tapety falują. Na tkaninie widać było ptaki poruszające skrzydłami. Pod sufitem przemknęły pelikany.

Świece rozjaśniające salon stopniowo gasły. W pomieszczeniu, do niedawna rozświetlonym jak w dzień, zapanowała noc. Knoty syczały jeden za drugim.

Oszołomieni widzowie wydali z siebie okrzyk, po czym zamilkli niezdecydowani.

Zamiast sufitu mieli teraz nad sobą nocne nieco poznaczone gwiazdami. Pojawił się księżyc z twarzą anioła. Ludzie siedzieli z głowami uniesionymi do góry, wpatrując się ze zdumieniem w cudowną przemianę. Księżyc z anielską twarzą odbył swą drogę po niebie i zniknął, po chwili zaś rozdarła mrok strzała meteoru, oświetlając wszystko żywym ogniem. Jakaś kobieta krzyknęła. Nagle ponownie zapłonęły wszystkie świece.

Salon powrócił do dawnej postaci. Nie było już nic niezwykłego. Stół, krzesło, wreszcie lampa, nad którą magik właśnie pochylił się, by ją zdmuchnąć. Powrócił dawny porządek rzeczy, lecz goście byli skrępowani.

- Patrzysz na wszystko tak spokojnie, Lauro? - zapytał Hyperion. - Przyznam, że ja sam jestem wstrząśnięty. Widziałem w zaroślach ogromnego węża, a ten ostatni fajerwerk to było coś niesamowitego. Widziałas, jak z tapety zrywały się ptaki?

- Chyba tak - odpowiedziała Laura.

- Ten człowiek to bez wątpienia prawdziwy mistrz iluzji. Mógłbym iść o zakład - dodał - że wszystko w tym pokoju poprzestawiano do góry nogami.

Właśnie w taki sposób widzowie dochodzili do siebie. Otwarto drzwi, żeby znowu podać szampana. Gospodyni uwiesiła się ramienia Julinusa.

- Dokąd pójdziemy teraz na kolację? - zapytał żonę Hyperion.

- Zostaniemy tutaj - odpowiedziała Laura.

Gdy następnego ranka małżonkowie siedzieli w hotelowym salonie, zjawił się z wizytą Julinus.

Wprowadzono go jak dzentelmena. Hyperion był wyraźnie rozbawiony, chociaż przybrał surowy wyraz twarzy. Laura nigdy nie uważała go za zdolnego do gniewu, wiedząc tylko o jednym wybuchu wielkiej namiętności.

- Czego chcesz?

- Mam nadzieję, iż wybaczy mi pan, że go niepokoję. Powiedziano mi jednak, że jest pan swego rodzaju koneserem. Słyszałem także o pańskim małżeństwie.

- Pokazałeś nam diabelskie sztuki - powiedział łagodnie Hyperion.

- Twarz pańskiej żony jaśniała w tłumie. - Słowa magika były zimne, precyzyjne. - Posiadam pewien klejnot, który może stanie się ozdobą pani wartą.

- Nie - zaproponowała Laura.

- Pani należy do niego - powiedział grzecznie. - Jeżeli mąż zechce podarować pani ten klejnot, nie może pani się opierać.

- Posłuchaj - odezwał się Hyperion. - Podobał mi się twój występ, ale nie jestem klientem dla zwykłych przekupniów.

- Podobnie jak ja. Ten klejnot to rzecz niezwykle rzadka. Pochodzi z Bliskiego Wschodu. Chociaż ja natrafiłem na niego gdzie indziej. To zbrodnia trzymać ten kamień w zamknięciu. Powinien ujrzeć światło dzienne, ozdabiając piękną kobietę.

Julinus podszedł do stolika stojącego obok krzesła Hyperiona. Wyciągnął zza pazuchy proste, drewniane pudełko i otworzył je. W środku na czarnym aksamicie skrzyło się białe coś przypominającego ogromną łzę.

- Musiałeś postradać rozum - odezwał się Hyperion po chwili milczenia - żeby chodzić po ulicy z czymś takim w kieszeni.

- Wierzę w przeznaczenie - odpowiedział Julinus. - Gdyby ktoś zechciał mi go zabrać, musiałby najpierw spróbować. Do tej pory nikt jednak tego zrobił.

- Gdzie go, na Boga, zdobyłeś?

- W ciemności.

- Ukradłeś go?

- Nie. Ten klejnot wybrał mnie na swojego strażnika. Przychodzi i odchodzi. A teraz powraca. Musi znaleźć się w pańskich rękach.

- Jestem innego zdania - odparł Hyperion. - Raczej nie stać mnie na tę błyskotkę.

- Jeszcze nie powiedziałem swojej ceny. Laura wstała z miejsca.

- Będę w drugim pokoju. Hyperion popatrzył na nią zdumiony.

- Jak chcesz, kochanie.

Dziewczyna wyszła pospiesznie z salonu, zamykając za sobą drzwi sypialni. Nie chciała przypatrywać się temu, co miało nastąpić.

Klejnot. Przypominał jej kryształ lodu. Cofnęła się pamięcią. Zobaczyła strumień i zamazaną bryłę, a w niej ciemną sylwetkę wilka. Nagle poczuła straszliwą samotność, jak gdyby znalazła się bezradna na śnieżnej pustyni.

Podeszła do drzwi i przystawiła do nich ucho. Usłyszała, jak Julinus mówi:

- Widzi pan tę skazę tutaj? Prawie jak zarys zwierzęcia. To jest magiczny kamień.

Laura zbliżyła się do okna i zaczęła obserwować sunące po parku powozy.

Pomyślała o Jenavere Vehmund, którą zawiadomiła listownie o swym zamążpójściu.

Przypomniała sobie białozielony blask brylantu zdobiącego szyję Jenavere. Uderzyło ją coś dziwnego. „A teraz powraca, powiedział magik. Musi znaleźć się w pańskich rękach”. Jak gdyby kamień był już kiedyś jej własnością lub też należał do jej rodziny, jakichś odległych krewnych, których nie było dane jej poznać.

Po dłuższej chwili usłyszała wreszcie trzaśnięcie drzwi wejściowych. Hyperion zastukał do sypialni. Laura z niechęcią przyglądała się, jak mąż wchodzi do pokoju. Był podniecony i radosny, jak mogła się tego spodziewać.

- Każę komuś przyjrzeć się tej sprawie - powiedział. - Wyobrażasz to sobie? Łazić po całym mieście z brylantem w kieszeni, jak gdyby to był zwykły kawałek szkła.

- A więc zamierzasz kupić ten klejnot?

- Chciałabyś?

- Ten kamień przynosi nieszczęście - odparła cicho.

- Magik twierdził, że był własnością ksiąząt. Bóg jeden wie, ile ten klejnot jest wart.

- Więc kupisz go i zmusisz mnie, abym go nosiła - powiedziała Laura.

- Mam cię zmuszać? Będziesz obiektem zazdrości w całym hrabstwie. Jak cudownie będzie na tobie wyglądał, Lauro. Między twoimi białymi piersiami.

Dziewczyna poczuła, że coś przesuwają się koło nich. Jakaś siła, która jak w farsie rzuciła ją w ramiona tego mężczyzny i uczyniła z niej to, czym była teraz - manekinem demonstrującym brylanty. Przeszył ją nagły strach, po chwili zaś odniosła dziwne wrażenie, jak gdyby stała gdzieś wysoko, a wiatr wirował wokół niej jak opętany... Pod nią rozciągały się leżące na równinie miasta spokojne przed dniem sądu, jaki miał wkrótce nastąpić.

Hyperion zbliżył się do niej. Na jego twarzy malowała się żądza i znajome podniecenie.

Oto była jej niewola. Nie taka jak ciężka praca dziewczyny ubranej w nędzne łachmany, ale jednak niewola, choć Laura była teraz wielką damą w koronkach. Zawarła transakcję. Poddała się.

Przez cały dzień nie opuszczał jej obraz brylantu. Wisiał przed nią niczym błyszczące oko. Myślała, że ujrzy go także we śnie, ale śniła jej się tylko ciemność, gwiazdy i jakieś pustkowie. Następnego ranka powiedziała sobie, że to głupota. To przecież tylko zwykły klejnot, podobnie jak szmaragdy, które ofiarował jej już wcześniej Hyperion.

## CZĘŚĆ TRZECIA

1.

Przez drzwi sączyła się smuga wiosennego światła. Ponura Rosamunde Ax szorowała stół kuchenny. Robiła to w milczeniu, z jakimś nieświadomym okrucieństwem. Wszędzie dookoła panowała cisza, tylko od czasu do czasu od strony wzgórz docierało beczenie jagnięcia.

Gdy na stół nagle padł cień, Rosamunde była przekonana, że to Marsall wrócił wcześniej, jak ostatnio zdarzało się często, od obowiązków narzuconych mu przez Wortha. Ale było tu coś dziwnego. Nadchodzący Marsall narobiłby, jak zwykle, hałasu. W ten sposób zawsze oznajmiał swoje przybycie: słychać było jego ciężkie kroki, głośny oddech, a niekiedy pogwizdywanie, gdy myślał o czekającym nań kuflu piwa.

Rosamunde odwróciła się. W drzwiach stał jakiś wysoki mężczyzna. Wokół głowy miał złocistą, lśniąca aureolę jak święty na obrazie. Było to zjawisko na tyle niezwykle, że Rosamunde rozpoczęła rozmowę oschle, podejrzliwie i z wrogością, jak to zresztą miała we zwyczaju.

- Tak? - spytała zaczepnie. Drobną dłonią chwyciła nóż leżący na serwantce.

Może nie powinna być taka agresywna. Ale czyż nie popełniono tu morderstwa?

Nagle mężczyzna postąpił naprzód o cal, może dwa. Zauważyła, że na plecach dźwiga torbę jak jakiś domokrażca. Światło dzienne padło na jego twarz. Rosamunde wydało się, że zna tego człowieka, po chwili znów była pewna, że nigdy przedtem go nie widziała. Nagle odgadła. Przed nią stał Daniel Vehmund, syn jej zmarłego pana.

- Teraz mnie już poznajesz, Rosamunde?

Kobieta jednak wcale nie przypominała go sobie. Bardzo się zmienił. Twarz była znajoma, ale jak gdyby należała do dorosłego mężczyzny widzianego ostatnio jako dziecko. Tamten Daniel był szczupły, czysty i zupełnie inny. Od kiedy poszedł do szkoły, zachowywał się jak wymuskany mądrala i dlatego nim gardziła. Ot młodzieniaszek, głupek, wymoczek.

A ten człowiek był inny. Gdy tylko go zobaczyła, wyczuła w nim siłę potężną jak ogień; intensywną, ukrytą męskość, przypominającą miecz owinięty aksamitem.

Tamten Daniel niewiele miał z nią do czynienia, ledwie ją zauważał. Ten zaś nie spuszczał z niej oka, jak gdyby wpatrywał się z ogromnej wysokości, jak jastrząb śledzi wzrokiem ziemię w poszukiwaniu swej ofiary, a wszystko, co się porusza, przyciąga jego uwagę.

Rosamunde poczuła, że zgina się pod tym spojrzeniem jak oporny metal.

- Ależ to pan Daniel - powiedziała kwaśno.

- Wreszcie w domu z dalekiej podróży - dodał przybysz. - I po długim marszu.

Zdawało się, że dotarł tu maszerując przez cały czas z torbą na plecach: silny, obojętny, jednak zafascynowany wszystkim dookoła. Kobieta wyobraziła sobie, że szedł, przypatrując się temu, co się porusza, i temu, co jest nieruchome. Aż wreszcie przeszedł przez sad, dalej przez ogród i bezszelestnie znalazł się przy drzwiach.

- Pani właśnie śpi - powiedziała Rosamunde. Złośliwy instynkt nakazywał jej jak najdłużej nie dopuszczać do spotkania przybysza z matką.

- A gdzie Marsall?

- Na polu z parobkami. Farma została sprzedana.

- Tak, jakiemuś człowiekowi nazwiskiem Worth. Słyszałem o tym w zajeździe.

Rosamunde żałowała, że już zdążył się o tym dowiedzieć. Nie wydawał się jednak zirytowany, a raczej rozbawiony. Może rzeczywiście tak to odbierał.

Żeby pokazać Danielowi, jak mało obchodzi ją jego obecność, Rosamunde odłożyła nóż i wróciła do szorowania stołu.

Daniel wszedł do środka. Gdy mijał kobietę, poczuła jakaś falę gorąca czy energii. Staruszka zatrzęsała się, jednak ani na chwilę nie przerwała pracy. Choć odwrócona, czuła, jak mężczyzna znika w drzwiach i idzie ku schodom. Potem doszedł ją ledwo słyszalny rytm jego kroków na stopniach. Miała wrażenie, jak gdyby Daniel chciał, aby wszystko słyszała.

Szedł do tej kobiety. Do tej idiotki Jenavere.

Szok może ją zabić.

Rosamunde powoli, rytmicznie szorowała stół, wsłuchując się w odgłosy z pokoju na górze. Lecz jedynym dźwiękiem, jaki rozróżniła, było delikatne stukanie, a potem odgłos otwieranych drzwi. Przez masywny sufit nie dochodziły żadne kroki. Zresztą i tak nie usłyszałyby Daniela - kilka minut temu zjawił się w drzwiach kuchni bezszelestnie jak mgła.

Rosamunde szorowała stół powoli, czekając na okrzyk Jenavere, w domu jednak panowała cisza.

Po chwili doszedł ją ten sam odgłos stłumionych kroków. Tym razem mężczyzna schodził po schodach.

Zatrzymał się tuż za progiem kuchni.

- Trzeba przygotować mój pokój - powiedział.

- Dziewczyny poszły do wioski - odparła Rosamunde.

- To ty się tym zajmij. Rosamunde wyprostowała się.

- Ja służę panu Marsallowi.

Nagle stało się coś zaskakującego. Daniel w jednej sekundzie znalazł się przed staruszką, jak gdyby przeskoczył kuchnię jednym susem - kobieta prawie nie zauważyła, by się poruszał. Stał nad nią bardzo blisko, jak gdyby zamierzał jej dotknąć. Biła z niego taka siła, że Rosamunde skurczyła się, wykrzywiła twarz i zacisnęła oczy, jak gdyby oślepiła ją światło. Chciała odepchnąć go, ale nie miała śmiałości. Nigdy przedtem nie czuła strachu przed Danielem.

- Zrobisz, jak mówię - odezwał się.

- Tak, tak, panie - potwierdziła.

W tej samej chwili Daniel wyminął ją i usiadł w fotelu przy kominku, tam gdzie zwykł siadywać jego ojciec i gdzie odpoczywał również Marsall, kiedy nie upijał się przy stole. Daniel usiadł tam, jak gdyby fotel był przygotowany właśnie dla niego. Wypchaną torbę położył u swych stóp.

Rosamunde popatrzyła na niego, śledząc wszystkie zmiany, jakie w nim zaszły. Był bardzo opalony. Włosy były tak gęste, że przypominały lwią grzywę. W jego oczach kryło się coś dziwnego, to jednak staruszka zauważyła już na początku.

Wytała ręce i wyszła, by przygotować mu pokój, powlec czystą bieliznę, napalić w kominku. Ostatnio spała tam ta ladacznica, która uwiodła dziedzica i wspięła się tak wysoko, że już nie zawracała sobie głowy Jenavere.

Starannie przygotowała pokój dla przybysza, gdy jednak zašla już łóżko, splunęła na nie. Wyszła na korytarz ogarnięta dziwnym strachem. Miała wrażenie, jak gdyby Daniel wiedział, co zrobiła, i siedząc w fotelu w kuchni właśnie się nad tym zastanawiał.

Miała nadzieję, że wkrótce nadejdzie Marsall. Zazwyczaj był już w domu o tej porze, nie przykładając się do swej opłacanej pracy na ziemi Wortha. Co się stanie, kiedy się pojawi?

Zeszła na dół. Daniel siedział tak jak poprzednio. Nawet się nie poruszył. Rosamunde pomyślała o zwierzęciu siedzącym na skale i w jednej pozycji trwającym w oczekiwaniu.

Zanim zdążyła przejść przez kuchnię, na zboczu wzniesienia ozwał się odgłos końskich kopyt, po czym dały się słyszeć ciężkie kroki Marsalla.

Po chwili stanął w drzwiach.

Dzień nie był już tak jasny jak poprzednio, słońce chyliło się ku zachodowi, jednak kuchnię przeciął ukośny cień Marsalla. Jak zwykle wniósł ze sobą zapach błotnistych pól, koni i własnego potężnego ciała.

- Hm? - mruknął Marsall, po czym dodał: - Kto to jest? Rosamunde stanęła w cieniu pod ścianą, przypatrując się jedynie tej scenie.

Po chwili Daniel odezwał się:

- Czyżbyś mnie nie znał?

- Zachowujesz się, jakbyś był u siebie - warknął oburzony Marsall.

- A nie wolno mi?

- Pytam się jeszcze raz, coś ty za jeden?

- Twój brat we własnej osobie - odparł Daniel.

Marsall zaklął. Potarł wielkim łapskiem o udo, jak gdyby na wszelki wypadek czyścił broń.

- Daniel - powiedział.

Wszedł ostrożnie do kuchni, jak gdyby znalazł się tutaj po raz pierwszy, po czym chwycił stojące przy stole krzesło i postawił je po drugiej stronie kominka. Usiadł twarzą zwrócony do Daniela, czy też do nieznanego, który twierdził, że jest jego bratem. Z trudem dawało się zauważyć, że w istocie mógł to być Daniel, ale jakże zmieniony.

- Przynieś piwa! - zawołał Marsall do służącej. Kobieta usłuchała go natychmiast.

Marsall przypatrywał się Danielowi spod przymrużonych powiek.

- A więc wróciłeś.

- Jak widzisz.

Marsall wykrzywił usta w serdecznym, chytrym uśmiechu.

- Zdawało się nam, że wyjechałeś w poszukiwaniu szczęścia, no nie?

- Nie.

- A więc nie zdobyłeś fortuny, co? Szczęście nie dopisało.

- Wręcz przeciwnie - odparł Daniel.

- Słucham?

- Zdobyłem fortunę. Jestem bogaty, Marsall. Moja torba jest pełna złota.

- No, no, mów dalej - roześmiał się Marsall. Rosamunde podała mu piwo, które wychylił duszkiem.

- Spotkałem bogatego człowieka, który umierając zostawił mi wszystkie swoje pieniądze - powiedział Daniel chłodno. Nawet nie tknął piwa.

- Dobra? A to dlaczego?

- Nie miał spadkobierców.

- Ale polubił cię, co nie?

- Bał się mnie.

- Ach, tak! - Marsall szczerze się roześmiał. - Jaki człowiek mógłby się ciebie bać?

Niewiarygodne.

- Sprzedałeś farmę - powiedział Daniel.

- Rzeczywiście, sprzedałem.

- Mógłbym ją odkupić. Mam tyle złota. I jeszcze by zostało.

- Aż cały się trzęsę na myśl o tym złocie. Uważaj, bo mogę się zrobić zazdrosny.

- Twoja strata, bo będziesz się musiał udusić z tej zazdrości. Marsall znowu się roześmiał.

- Odważny jesteś. I pomyśleć, ile to razy pobitem cię w dzieciństwie.

- O niczym nie zapomniałem.

Marsall podniósł głowę. Jego małe oczka zerknęły na Daniela. Promienie zachodzącego słońca przecięły kuchnię, nadając oczom młodszego brata dziwny blask. Wałęsał się po świetle i zrobił się cholernie sprytny.

- No, cóż - odezwał się Marsall. - Zobaczymy. Dom należy teraz do mnie.

- Czy kiedykolwiek go złapali? - zapytał Daniel. - Tego mordercę?

Marsall jęknął.

- Włóczęgę, który tak podle urządził tatkę?

- Właśnie.

- Uciekł - odparł Marsall. - Uciekł z pieniędzmi.

- Morderca i złodziej w jednej osobie - powiedział łagodnie Daniel. Zdawało się, że bawi go ta cała sytuacja: słowa, które wypowiedział. Marsall zgarbiony na krześle, Rosamunde,



która jak kościsty chochlik przykucnęła, by napełnić kufel swego pana. Był tym samym człowiekiem, a jednak zupełnie innym.

- Bardzo rozpaczaleś?

- Był moim ojcem. Dobrym ojcem. Najlepszym.

- To dziwne, że nie zdołał się obronić - powiedział Daniel.

- Tak. Ale ten łajdak podszedł go od tyłu.

- Ach, tak.

- On nigdy nie sprzedałby farmy - odezwał się znowu Marsall. - Ale co tam. Liczą się też pieniądze, jakie z tego są. Mam pewne plany co do tych pieniędzy.

- Ach, tak.

- No, zobaczymy. - Marsall uśmiechnął się do swojego piwa. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że jego pomruki upodabniają go do niezdarnej ropuchy, która rozkraczyła się na stercie monet. Co takiego mógłby zrobić z pieniędzmi? Miał za mało wyobraźni. Podobnie jak ojciec schowa je w jakiejś ciemnej norze...

Piwo mocno zaszumiło mu już w głowie. Gęstniejące, miedziane światło pobudziło do działania jego zamroczonego alkoholem mózg. Nie bał się brata, bo rzeczywiście siedział przed nim Daniel, Daniel, który nie był w stanie w nikim wzbudzić strachu. Był delikatnym kwiatkiem. To tylko światło nadało jego oczom taki dziwny wygląd, jak gdyby były to ślepia bestii błyszczące w ciemności.

Rosamunde zaczęła już przygotowywać kolację. Kuchnię wypełnił zapach smażonego mięsa i czarnego sosu.

Daniel wstał z miejsca. Podniósł swą okazałych rozmiarów torbę, która dotąd leżała przy nim wiernie jak pies. Spoczął na niej wzrok Marsalla. Otwarcie szacował jej zawartość.

- Tak - powiedział Daniel - jest pełna złota. Jak chcesz, to może później pokażę ci coś niecoś. Ale teraz zabieram ją do siebie.

- Starucha wie, że wróciłeś? - zapytał Marsall. Daniel zatrzymał się i spojrzał na brata.

- To znaczy - poprawił się - mam na myśli naszą matkę.

- Tak - odparł cicho Daniel. Odwrócił się i wyszedł. Ciemność sprawiła, że zdawało się, jakby w magiczny sposób rozpląnął się w drzwiach.

Marsall nadstawił ucha, by usłyszeć kroki brata na schodach, było jednak cicho.

- Zapal te cholerne lampy - powiedział Marsall do Rosamunde. Gdy Daniel znalazł się w korytarzu na piętrze, zobaczył, jak w dole błysnęło światło, rzucając mu pod nogami jego własny, niewyraźny cień. Nie spojrzał jednak na niego, podobnie jak nie doszukiwał się w swoim umyśle i twarzy złowróżbnych znaków.

Po raz drugi zbliżył się do drzwi sypialni i znów zapukał tak cicho, by tamci z dołu nie mogli tego usłyszeć. Jenavere jednak odezwała się zza drzwi.

Poprzednim razem zostawił pod jej bezwładną we śnie ręką list, najkrótszy z możliwych. „Wróciłem”. Gdy spała, wyglądała nie tyle staro, co mizernie. Była zniszczona jak podarty, biały papier. Spodziewał się, że gdy wejdzie, zobaczy jej ducha. Ale nie miało to żadnego znaczenia, gdyż mimo wszystko były to jej szczątki.

Ale gdy otworzył drzwi, matka stała wyprostowana przy kominku, ubrana w czerwoną suknię. Padał na nią blask ognia. Na jej policzkach wykwitły żywe rumieńce.

Daniel wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i nie ruszał się z miejsca.

Obydwoje patrzyli sobie w oczy.

- Spałaś, kiedy przyszedłem poprzednim razem. Nie chciałem cię budzić.

- Obudziłam się i znalazłam tę kartkę. Myślałam, że to Marsall naigrawa się ze mnie. Ale nagle poznałam twoje pismo. On jest za głupi, żeby zrobić coś tak chytrze. Źle wyglądam, kiedy śpię - powiedziała. - Nie powinieneś się tym sugerować. Teraz czuję się już dobrze. Żyję.

Kiedy jednak syn zbliżył się do niej i wziął ją w ramiona, opadła na niego bezwładnie i pomyślała: „Mogę już spokojnie umrzeć. Jestem bezpieczna”. Jak gdyby teraz, kiedy Daniel wrócił do domu, mogła powierzyć mu wszystko, nawet życie, cicho pograżając się w błogosławioną nicość.

Wspinaczka drogą prowadzącą na cmentarz była męcząca. Jasnowłosa mężczyzna w eleganckim surducie jakby zagranicznego kroju i wsparta na jego ramieniu kobieta ubrana na szaro dość wolno posuwali się pod górę.

Groby, z których większość chyliła się na boki, wystawały, czarne i białe, z szarzielonego płaskowyżu. Gdzieniedzie jak stara wiedźma pochylało się rozdarte drzewo. Stary kościół był w ruinie. Żeby odprawić pogrzeb, musiał przyjeżdżać ksiądz z wioski.

Kobieta i mężczyzna zatrzymali się na skraju, wpatrując się w ten podwórzec śmierci.

- Bałam się, że już nigdy nie wrócisz - powiedziała Jenavere. - Ale teraz, kiedy tutaj jesteś, wiem, że tamto nie ma już żadnego znaczenia. Jak ten człowiek mógłby cię teraz skrzywdzić?

Daniel nie odpowiedział. Po chwili zaczęli posuwać się bladezielonymi alejkami między nagrobkami.

Mogila Vehmunda znajdowała się nieco z boku, na pochyłości wzgórza. Było to miejsce smagane wiatrem. Grób zdążył już zarosnąć, kamień pochylał się. Wyglądał na równie zaniedbany co pozostałe. Zmarli leżeli na tej wyżynie zapomnieni.

Ze ślepej wieży kościoła poderwał się kruk.

Daniel w milczeniu wpatrywał się w ziemię.

- To wszystko, co z niego pozostawiłem - powiedział wreszcie.

- Nie, to jeszcze mniej - odparła Jenavere.

- Gdybym miał decydować w kwestii pogrzebu, zostawiłbym go gdzieś na otwartej przestrzeni - mówił Daniel - jak to robią niektóre sekty na Wschodzie. Przynajmniej sępy miałyby z niego pożytek.

Jenavere także spojrzała na mogiłę.

- Teraz jest już po wszystkim - powiedziała. - Tak długo nie mogłeś przez niego wrócić do domu.

Podnieśli oczy znad grobu i zapatrzyli się w krajobraz przed nimi: faliste wzgórza, lasy okryte pierwszym przezroczystym szalem zieleni.

Jenavere była wątła i delikatna, jednak miała w sobie taką siłę ducha, że zdawała się niezmordowana i wręcz młoda. Gdy Daniel wodził wzrokiem po okolicznych wzgórzach, ona obserwowała jego twarz. Zauważyła zmiany, jakie w nim zaszły; siłę przypominającą młodą korę na pniu rosnącego drzewa. Czas i oddalenie napelniły go nowym duchem. Dla niej był bez skazy. Pragnęła tylko być przy nim, słuchać jego głosu, wyczuwać bieg jego myśli.

- Nie wiem, jak mam się tutaj urządzić - powiedział Daniel. A zresztą wiem. Obydwoje, ja i ty, będziemy żyć sobie tutaj spokojnie, a Marsall niech się powoli stacza. Dla nas jest po prostu zerem. Być może pieniądze, które zarobił, tak go zaczną śwędzić, że wyjedzie stąd i uwolni nas od swego towarzystwa.

- Tak - zgodziła się Jenavere.

- Będziemy nadal mieszkać w domu w swojej kryjówce - mówił dalej Daniel - patrząc, jak wokół tamtych zbierają się ciemne chmury. Musisz mi zaufać - dodał.

- A któż tam liczy się jeszcze oprócz Marsalla? - zapytała z prostotą kobieta. - Wyprawiłam cię w drogę, nadeszła zima. Cieszę się, że znowu jesteś ze mną.

- Mogą dziać się dziwne rzeczy - powiedział Daniel. - Nie możesz zwracać na to uwagi.

- Jeśli tylko nic ci nie będzie groziło i będziesz ze mną.

- Będę, mamu. Już nigdy cię nie opuszczę.

Przytuliła się do niego jak młoda dziewczyna. Nie zaczęła mówić z niepokojem, że mogą zawładnąć nim inne marzenia, że może nadejść taki czas, kiedy znowu będzie musiał wyjechać. Wierzyła mu.

- Opowiedz mi o krajach, które zwiedziłeś - odezwała się jak dziecko proszące o bajkę.

Opowiedział jej więc ponownie o złocistym Wschodzie, o kurzu i korzennych aromatach, o bursztynowych dniach, o palmach i wielbłądach.

Gdy mówił, odeszli znad mogiły ojca i męża.

Schodzili w dół po zboczach wzgórza. Daniel przypominał sobie tygrysa w klatce i maskarona na drzwiach domostwa Surim Beya. Ona pomyślała o tym, że koty nie będą już przychodzić do jej sypialni. Wyniosły się chichcem; od tej pory trzymają się dalszych części farmy, tak jak to było niegdyś w czasach panowania tyrana.

Teraz jednak jest z nią Daniel. Przynoszące ulgę kocie ciepło nie jest jej potrzebne. Pewnie zwierzęta po prostu poczuły wiosnę.

Tego ranka zdarzyło się coś niezwykłego. Do sypialni weszła Rosamunde, niosąc mały wazonik pierwiosnków. Bez słowa postawiła kwiaty na toalecie Jenavere i odeszła.

Daniel zbliżył się bezszelestnie do drzwi swego pokoju. Stał obserwując Marsalla klęczącego nad otwartą torbą. Kilka lśniących monet leżało na dywanie. Jedną z nich Marsall trzymał w dłoni, próbując odczytać napis. Daniel stał bez ruchu, przyglądając się bratu. Marsall nie widział go. Odłożył monetę, wziął inną i zaczął się w nią wpatrywać.

- Nie wymieniałem całej obcej waluty - odezwał się wreszcie Daniel.

Marsall upuścił monetę, odwrócił się i dźwignął ociężałe potężne cielsko.

- Nigdy nie zamykasz drzwi na klucz - odezwał się zaczepnie. - Torba leżała na dywanie.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. Marsall zmarszczył brwi.

- I co w tym złego?

- Zupełnie nic. Cieszysz się, że dobrze mi się wiedzie?

- O ile te pieniądze są prawdziwe...

- Są prawdziwe. Najprawdziwsze złoto, srebro i zwykły brąz. Tutejsze pieniądze i nie tylko. Niektóre monety są dość stare i dlatego mają większą wartość.

- Skąd to masz?

- Już ci mówiłem. Dostałem w spadku. Zaniepokojony Marsall popatrzył na brata chytrze.

- A może ukradłeś.

- Pokazano mi, gdzie są te pieniądze - odezwał się Daniel cicho, swobodnym tonem - i nikt nie miał nic przeciwko temu, kiedy się poczęstowałem.

- Niezła sztuczka - powiedział Marsall. - Miał już trochę w czubie i bez prowokacji był agresywny i w dobrym nastroju. Nie wiedział jeszcze, czy zyskał przewagę, ale był pewien, że nie został wystrychnięty na dudka.

- Tylko wyobraź sobie ten dom, gdzie były pieniądze - powiedział Daniel. - Cicho jak w grobie.

Marsall zawahał się, wyczuwając jakąś grę słów, która zdołała mu umknąć.

- No i teraz wszystko należy do ciebie - powiedział. - Co zamierzasz z tym zrobić?

- Och, ukryję gdzieś mój majątek tak, jak robisz to ty i jak to robił ojciec.

- Nie podzielisz się ze mną? - zapytał Marsall ze zmarszczonym czołem.

- Może kiedyś się dogadamy - odparł beztrąsko Daniel. Marsall podszedł i stanął w drzwiach obok brata.

- Albo ja sam wszystko zabiorę.

- Nie - brzmiała prosta odpowiedź.

Marsall posłał mu groźne spojrzenie. Czuł, że lśniące oczy brata spychają go gdzieś do tyłu. Tam na Wschodzie stały się intensywnie żółte, czyste. Zachował dla siebie pewną myśl,

która musiała jeszcze poczekać, by stać się zgubą Daniela. Przyjdzie odpowiedni moment. Teraz jeszcze nie pora.

W kuchni Rosamunde zdążyła już przygotować herbatę. Wyciągnęła też piwo. Dwie pary wysokich butów stały wyczyszczone. Jedna należała do Daniela.

- Kocą się dzisiaj owce - powiedział Marsall do Rosamunde. - Jest jedna, która może tego nie wytrzymać. Masz jeszcze sprawne ręce?

- Jeżeli po mnie przyślą, to pójdę - odparła kobieta.

- Prześpij się w szopie na wzgórzu - dodał Marsall. Odczekał, aż nalała mu piwa, po czym patrzył, jak napełnia filiżankę Daniela herbatą. - Zrobił się z ciebie niezgorszy dżentelmen.

Daniel podniósł filiżankę do ust.

- Rosamunde - odezwał się - zaniósłś herbatę na górę dla mojej matki?

- Tak, panie.

- Aha - powiedział Marsall. - Wiec ona teraz popija sobie herbatę?

- I co w tym złego?

- Wyleguje się cały czas w sypialni. Ten pokój będzie mi potrzebny. Ona nie musi już tam spać, odkąd ojciec nie żyje.

- Zostaw ją w spokoju, Marsall - odparł Daniel.

- To tylko strata miejsca.

- Wszyscy pozwalamy sobie na jakieś straty.

Marsall już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zawahał się, Od strony sadu dał się słyszeć tętent kopyt.

- Idź i zobacz, kto to - powiedział Marsall do staruszki. Rosamunde wyjrzała przez okno.

- Pan Worth.

- Do diabła - rzucił Marsall. - Teraz ten. Kolejny wytworny dżentelmen. Czego tu chce? Ta jego żona dziwka już mu nie wystarcza?

Kilka minut później do kuchni wszedł spokojnym krokiem Hyperion Worth.

Daniel zobaczył bardzo młodego człowieka, nieskazitelnego jak wiosenny listek. Był pełen wdzięku. Na widok Rosamunde zdjął kapelusz, staruszka jednak usunęła się w swój kąt niewzruszona, obojętna na jego hołdy.

- Panie Vehmund - zwrócił się Worth do Marsalla. - Spodziewałem się zastać pana na pastwisku.

- I tak wszystko idzie dobrze - odparł Marsall.

- Owszem. Ale pana zadaniem jest nad tym czuwać.

- Tak też robię - stwierdził Marsall i pociągnął potężny łyk piwa. - Niech pan siada i napije się z nami.

- Poproszę o herbatę - powiedział Hyperion, po czym spojrzał na Daniela.

- Rosamunde - odezwał się Daniel - nalej panu Worthowi herbaty.

Staruszka wyszła z kąta jak czarna mrówka i zrobiła, co jej kazano.

Hyperion Worth usiadł przy stole.

- Skoro pan Vehmund nie widzi potrzeby, by nas sobie przedstawić - odezwał się gość - uczynię to sam. Nazywam się Hyperion Worth, jestem obecnym właścicielem farmy. A z kim mam przyjemność?

- Daniel Vehmund.

- Ach, ten syn marnotrawny. Proszę mi wybaczyć. Dlaczegoż miałbym nazywać pana marnotrawnym? Ale w każdym razie wrócił pan z dalekich stron.

- I to wrócił bogaty - jak zwykle bełkotliwie wtrącił Marsall. Hyperion uśmiechnął się.

- Nie pozostaje mi nic innego jak złożyć gratulacje.

- Przywiózł kupę złota - nie przestawał mówić Marsall. - I nie chce powiedzieć, jak to zdobył.

- Nikt nie lubi zwierzać się w tych sprawach - powiedział Worth z grymasem. - Wolimy mówić o dobrodziejstwach, jakie płyną z posiadania pieniędzy.

Marsall coś mruknął.

Hyperion z żywym zainteresowaniem przyglądał się Danielowi. Podobnie jak Jenavere, która bez wątpienia uchodziła niegdyś za piękność, Daniel był cudownym zjawiskiem, którego trudno było się spodziewać w takim miejscu. Z pewnością otoczył matkę opieką, czego zaniedbywał rozmyślnie drugi syn.

- Zawsze to miło - dodał Hyperion - dorobić się za granicą. Mój majątek został zgromadzony zupełnie zwyczajnie. Jak przebiegała podróż, panie Vehmund?

Daniel opowiedział o swych wrażeniach krótko i barwnie parafrazując swą rozmowę z matką.

Hyperion wydawał się oczarowany.

Ignorowany Marsall siedział przy stole popijając piwo.

- A ten człowiek z maskarionem na drzwiach, czy był magikiem?

- Ależ nie. Był bogatym kupcem.

- Spotkał się pan jednak ze sztukmistrzami? - spytał poważnie Hyperion.

- Owszem, poznałem jednego. Ale on tylko przemknął przez moje życie.

- W jednym z salonów w mieście byliśmy razem z żoną świadkami bardzo dziwnego pokazu magii. Nigdy przedtem nie widziałem nic podobnego. Mówiono, że tamten człowiek podróżował po krajach Orientu.

- Nie każdy wraca ze Wschodu w splendorze - zauważył Daniel.

Jego wygląd zadawał kłam tym słowom. Wydawał się postacią z ciemnego i lśniącego złota. Tak nie pasował do kuchni Vehmundów, jak tamten maskaron do swojego otoczenia. Jak później miał się o nim wyrazić Hyperion w rozmowie z Laurą: „Tańczące węże i latające dywany mogłyby wyfrunąć spod jego rąk”.

- W naszym domu odbędzie się przyjęcie - powiedział Hyperion ze swobodą bogacza. - Pragnę przedstawić moją żonę ludziom z tutejszego towarzystwa. Czy zrobi nam pan ten honor i przyjmie zaproszenie?

Daniel nie odpowiedział od razu. Marsall wydał z siebie jakiś dźwięk oznaczający jednocześnie drwinę i rozgoryczenie.

- Naprawdę obawiam się - mówił dalej Hyperion - że Laura zanudzi się na śmierć. Jeden błyskotliwy gość będzie przeciwwagą dla pozostałych i dzięki temu żona mi wybaczy.

- Zamierzam żyć spokojnie na uboczu - powiedział Daniel.

- To będzie bardzo spokojne przyjęcie.

- Jak mam odmówić, aby pana nie urazić?

- Nie ma takiego sposobu. - Hyperion pochylił się do przodu, wziął Daniela za rękę, przytrzymał jego dłoń, a po namyśle uściśnił. - Warto zobaczyć dom. I, proszę mi wierzyć, Laurę także.

Marsall powiedział coś tej treści, że Laura jeszcze nie tak dawno była ubłoconą chłopką, dojarką o czerwonych rękach.

- Dobrze, że mi pan przypomniał, panie Vehmund - zwrócił się do niego wyniośle Hyperion. - Należy się zająć owcami, a pan nie wywiązuje się ze swoich obowiązków. Proszę, aby zmienił pan swoje postępowanie.

- Farma należy teraz do pana, Worth. Jestem tylko pańskim pracownikiem.

- Spodziewam się, że moi ludzie zasłużą na swoje pieniądze. Marsall wydał z siebie coś w rodzaju śmiechu. Hyperion popatrzył na niego, po czym przestał zajmować się starszym Vehmundem.

- Napiszę do pana - zwrócił się do Daniela. To powiedziawszy wysączył do końca herbatę i skłoniwszy się sztywno Rosamunde, wyszedł.

- W tobie też się zakochał - powiedział Marsall do brata. - Lubi ładne stworzonka.

- A ty wkrótce stracisz pracę, jeżeli jeszcze bardziej go rozgniewasz - odparł Daniel.  
- No to stracę. I co z tego? Niech ten głupiec sam beczy nad swoimi owcami, jeśli mu to odpowiada. Teraz nic mnie to już nie obchodzi.

Upajała się jego powrotem i wytrwale nie zauważała nic wokół siebie. Bo czyż było coś jeszcze wartego oglądania? Daniel wrócił do domu. Był wyższy, chyba zmieniony, ale jedynie w taki sposób, w jaki chłopiec zmienia się, stając się mężczyzną. Jenavere była w siódmym niebie; siły wstąpiły w jej ciało, jakby pokrzepiła się mocnym winem. Nie była w stanie przywiązywać wagi do niczego więcej. Nawet ohydny Marsall był bezsilny wobec tego nowego Daniela - podobny los dosięgnął w końcu starego potwora.

Troskliwość, jaką nagle zaczęła objawiać w stosunku do niej Rosamunde, również była wynikiem powrotu Daniela. Ta pełna nienawiści służąca także uznała w Danielu swego pana. Czołgała się przed nim ze strachu. Pucowała do połysku jego buty, podczas gdy buty Marsalla tylko z grubsza oczyszczała z błota. Przyrządzała mu przysmaki różniące się od zwykłego pożywienia, jakie serwowano w tym domu. Przynosiła Jenavere kwiaty i ciasteczka. Pewnego dnia pani Vehmund zobaczyła w lustrze Rosamunde skradającą się po pokoju i ustawiającą rzeczy na miejsce - w czerwonym blasku wyglądała jak poskromiona czarownica.

Jenavere pomyślała o grobie, który odwiedziła razem z synem. Spacer zmęczył ją, ale był to tryumf ich obydwójga. Jakże była głupia, tkwiąc w przekonaniu, że Danielowi nie wolno wracać do domu, że musi zostać gdzieś daleko, jak gdyby zmarły mógł podnieść się z grobu i rzucić mu w twarz oskarżenie. Złoty Daniel był zbyt nieskazitelny, aby taki zmarły śmieć mógł go pokalać.

Syn zrobił to właśnie dla niej. A teraz do niej powrócił. Napawała się aromatem tej nowej epoki, nie zważając na żaden cień.

Gdyż od czasu do czasu Daniel mówił coś, co mogło sugerować, że ich szczęście zostanie zmaćcone. Że może zobaczyć go w zmienionej postaci - rzeczywiście, takim go ujrziała, gdy przybył i nie było to ważne. Że czasami może go nie być w domu i wtedy nie powinna się bać. Nie miała wątpliwości, że przywiózł ze sobą jakieś skarby Wschodu, chociaż nigdy o tym nie wspomniał. Czyżby zawarł jakiś układ z magami? Była gotowa uwierzyć we wszystko. Nie będzie dla niej ciężarem, jeżeli nie powie jej o niczym. On, Daniel, był cudem samym w sobie.

Znów, w nieuchwytny sposób, stała się królową tego domu, tak, jak była nią przez krótki czas, gdy po raz pierwszy stanęła w tych progach w towarzystwie tego potwora, swojego męża. Tamten siłą i strachem zniszczył tę jej królewskość, Daniel na nowo przywrócił ją do życia.

Jej myśli krążyły tylko wokół niego. Myślała o nim przez cały dzień i w ciemności przed zaśnięciem. Widziała go we śnie w codziennych sytuacjach, jak stał, spacerował, słyszała jego głos, gdy opowiadał jej różne historie.

Jednak pewnego razu śniło jej się, że stoją na wysokiej wieży. Nad nimi świecił księżyc jak ogromny biały pąk. Daniel wskazał ręką na księżyc i powiedział: „Polecimy tam”. I pewnie tak zrobili.

Innym razem śniły jej się dwa psy walczące ze sobą w sadzie i rozrywające się na strzępy, a w domu Daniel siedział przy kominku obracając w dłoniach lśniący nóż. Walka psów przestała ją interesować.

Pewnej nocy Jenavere widziała we śnie Laurę, żonę Hyperiona Wortha. Wieziono ją w ogromnej srebrnej karocy, dziewczyna jednak miała na sobie połataną sukienkę, a na jej kolanach spoczywało martwe jagnię.

Koty nie pojawiły się w pokoju Jenavere. Nie pokazały się też kociaki. Tęskniła za nimi, mimo że nie były jej już potrzebne. Pewnie odstraszyły je częste wizyty Rosamunde Ax.

Czasami Daniel i Jenavere siadywali wieczorami w sypialni. Grali w karty albo Daniel czytał coś matce. Z dołu dochodziły ich stłumione odgłosy krzątania brzmiące, jakby świnia taplała się w brei swojego legowiska. Jenavere przypomniała sobie, jak starszy syn wymierzył jej policzek, nie odezwała się jednak ani słowem. Ten cios był jak zapowiedź obecnego szczęścia. Jak ostatni ostry przymrozek poprzedzający nadejście wiosny.

Przez okno wpadało światło księżyca rozrośniętego do trzech czwartych. Srebrzyste promienie i blask świecy łączyły się ze sobą, spływając na sylwetkę Laury. Dziewczyna szcztokowała swe bujne rude włosy, które trzaskały jak ogień.

Hyperion, ubrany w atlasowy szlafrok, siedział przypatrując się żonie.

- Jesteś taka piękna.

Laura nadal przesuwała szcztokę długimi pociągnięciami. Włosy sypały iskry. Przywykła do swej urody, a ciągle wzmianki na ten temat ze strony męża sprawiały, że czuła się niezręcznie. Poza tym komplementy zawsze stanowiły preludium do wybuchu namiętności. Nie dzieliła z nim nienasyconej żądz i czasami pragnęła jakoś usprawiedliwić się przed mężem. Jednak poczucie honoru nie pozwalało jej na zaniedbywanie małżeńskich obowiązków.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj mi. Podziękuj Bogu, że cię taką stworzył.

- Tak sądzisz?

- Oczywiście. Już widzę, jak ten doskonały rzeźbiarz formuje twoją postać z obłoków i zachodów słońca. Bo przecież tamci ludzie nie mogą być twoimi rodzicami, prawda?

Hyperion w swojej hojności umieścił Wheelwrightów w małym, przytulnym domku, posłał im służącą i wyznaczył pewną sumę pieniędzy jako roczny dochód. Tam mogli leniuchować, dąsać się i zapijać na śmierć.

Laura nic nie odpowiedziała, nie pomyślała nawet o swej rodzime. Zimny blask księżyca przyciągnął ją do okna.

- Przypuszczam, że w noc przyjęcia - odezwał się Hyperion - księżyc wszędzie dość późno. Ale i tak nie przyćmi twojego blasku. Podoba ci się twoja suknia?

- O tak - odparła. Po czym dodała: - Całkiem biała jak dla panny młodej.

- Jak wiosenny księżyc - powiedział Hyperion. Zbliżył się i stanął za dziewczyną, opasując dłońmi jej talię. - Jest równie jasna.

- Chcesz, żebym włożyła brylant? - zapytała.

- Oczywiście. To już postanowione. Wspaniale będzie na tobie wyglądał.

- Jest dla mnie zbyt egzotyczny. Czy nie będzie plotek? Już i tak nie jest najlepiej.

- Czy moja Laura ma stracha?

- To ty powinieneś się bać.

- Słucham? - spytał zdumiony, gdyż jako dorosły mężczyzna nie bał się niczego, a i w dzieciństwie zdarzało mu się to rzadko.

- Nie wiem - odparła Laura. - Ale wydaje mi się, że przeze mnie kusisz tylko los. Dobrze wiesz, że tak jest. Powinieneś poślubić jakąś kobietę ze swojej sfery.

- Ty jesteś moją żoną. Wszyscy to zobaczą i schylą czoło przed twoim blaskiem.

- Nie sądzę - odparła. Jego romantyczny optymizm nieco ją irytował. Nie odczuwała strachu, jednak ogarniał ją wstyd na myśl, że Hyperion będzie się nią chełpił przed gośćmi.

Dłonie męża zdążyły już podnieść się do jej piersi. Pożądliwie pieściły jej ciało.

Laura poczuła zawód. Nagle własna niewdzięczność wzbudziła w niej wstręt. Otrzymała tak wiele i tak zręcznie umknęła swej rodzinie. Jak mogłaby się teraz wymigiwać? Odwróciła się do męża udając, że pieszczoty sprawiają jej przyjemność.

Towarzystwo z hrabstwa zaproszone do rezydencji Worthów przybyło na przyjęcie. W obszernej sali balowej, pod kandelabrami przypominającymi bukiety płonących,

kryształowych kwiatów, przedstawiciele arystokracji, jak i bogacze nie mogący poszczycić się tak znamienitym pochodzeniem, popisywali się uprzejmością i dobrymi manierami.

Świadectwem prawdziwej odwagi ze strony Hyperiona było zebranie tu tych wszystkich gości. Jego dobrze wyszkoleni służący przesuwali się między zgromadzonymi. Roznoszono kieliszki przypominające wielkie krople deszczu spowite mgłą. Pienił się szampan. Dalej w jadalni błyszcząły wypolerowane srebra. Przy złotogłowi lśniły trzy srebrne łososie.

Hyperion wyraził ubolewanie, że jego żona nie zaszczyliła jeszcze gości swą obecnością. Miała jakiś problem z suknią - takie rzeczy zwykle zdarzają się przy podobnych okazjach. Było to kłamstwo. Do sali balowej prowadziły ogromne, kręcone, marmurowe schody. Laura miała pojawić się na nich punktualnie o siódmej. Hyperion z radością zaplanował to widowiskowe wejście, jak gdyby Laura była jakąś znaną aktorką, której pojawienie się musiało być wielkim wydarzeniem. Każdy myślący człowiek spojrzawszy na schody i zamieniwszy kilka słów z Hyperionem bez trudu doszukałby się w słowach gospodarza kłamstwa. Ale ilu myślących ludzi miało zjawić się na przyjęciu? Przypominając sobie listę gości, Hyperion uznał, że jednym z nich będzie z pewnością Daniel Vehmund. Nie miał wątpliwości, że Danielowi spodoba się zarówno kłamstwo, jak i jego przyczyna.

Hyperion chętnie umieściłby na ziemi Vehmundów własnego człowieka, zwalniając z pracy Marsalla. Pragnął jednak zaskarbić sobie przyjaźń Daniela, a może również jego srebrzystowłosej matki. Były to osoby godne, by przyjmować je u siebie, odpowiednie towarzystwo dla Laury, ludzie piękni i tajemniczy.

Worth przechadzał się między grupami popijającej trunki okolicznej szlachty i farmerów. Cieszyła go ich niezręczność, gdyż łatwo można się było ich pozbyć. Najpierw jednak pragnął ich olśnić.

Pewien lord, którego Hyperion tytułował w myślach „Kapusta”, zagadnął gospodarza.

- Moja córka zachwyca się, jakie to wspaniałe miejsce do tańca.

- Przypuszczam, że sala balowa została zaprojektowana właśnie do tego celu.

Lord Kapusta zadumał się.

- Cieszę się - powiedział wreszcie - że nie przyszedł tu ten głupiec Ossiter. Lata z siatką i łapie ćmy. Tylko o tym potrafi gadać.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Wbijają te cholerne stworzenia na szpilki. Nocami biega za nimi po polach i straszy wieśniaków kochających się w sianie. To nie jest męska rozrywka. A propos, poluje pan z chartami?

- Żal mi małych lisków - odparł Hyperion.

- Ależ one wcale nie cierpią - powiedział lord Kapusta. - Te nicponie są piekielnie żywotne. Słyszałem, że zimą pokazywały się tu wilki. Polowanie na te bestie to byłoby coś.

- Rzymianie rzeczywiście bardzo zachwalali tę rozrywkę - odparł Hyperion - mieli jednak wilków pod dostatkiem.

W drugim końcu sali ujrzał Daniela stojącego samotnie jak pojedyncza wyspa. Hyperion był zdumiony. Nagle zdał sobie sprawę, iż nie przypuszczał, że Daniel się pojawi.

Zostawił lorda Kapustę samego.

Daniel trzymał w dłoni lampkę szampana. Ledwie go skosztował, chyba że napełniano jego kieliszek kilkakrotnie. Był odpowiednio ubrany niczym urzędnik, jednak nie było to odzienie szyte dokładnie na jego miarę. Miał na sobie stary wieczorowy garnitur trzymany na farmie na wypadek jakichś rautów i prawdopodobnie należący do jego ojca. Uroda Daniela jaśniała jeszcze bardziej przy tym stroju, jak światło wydobywające się z ciemności, jednakże twarz mężczyzny była ironiczna i spięta.

- A więc jest pan - powiedział Hyperion.

- Zwykłem stawiać się na wezwanie - odparł Daniel. - Przysłał pan swój powóz.



- Nie po to, żeby pana zmusić - odpowiedział gospodarz. - Chciałem wyrazić, że jest pan oczekiwany.

Daniel podniósł kieliszek do ust. Uczynił to gwałtownie i dziwnie niezgrabnie, chociaż nikt nie mógłby spodziewać się niezdarności właśnie po nim. Kropla barwnego płynu spadła na marynarkę. Wodził dokoła wolno sennymi oczyma. Nie wyglądał tak jak poprzednio.

Przypominał teraz niebezpieczne zwierzę, był na wpół odurzony, ale nie wypitym trunkiem. Hyperion, zaintrygowany, patrzył uważnie na gościa.

- To chyba całkiem rozsądne, że na moment wyrwał się pan ze swojego otoczenia, z dusznej atmosfery, jaką roztacza wokół siebie pański brat.

- Wkrótce się go pan pozbędzie.

- Z pewnością. Ale nie mówmy o tym. Mam nadzieję, że nasza znajomość będzie wykraczać poza tego typu zobowiązania.

- Gdzież jest pana słynna żona? - zapytał Daniel niemal niegrzecznie.

- Laura ma pojawić się na schodach dokładnie o siódmej. Czas oczekiwania zostanie panu wynagrodzony.

- Świetnie. Gdyby miało to być jeszcze później, już by mnie tu nie było.

- Ale zostanie pan z nami na kolacji?

- Nie - odparł Daniel. - Muszę stąd wyjść przed ósmą.

- Jakież pilne sprawy?

- Niezwykle pilne.

- Powóz jest do pana dyspozycji - powiedział Hyperion.

- Nie będzie mi potrzebny.

- Ach, więc wybiera się pan na spacer - zakonkludował gospodarz. - Spacer przy pełni księżycy. Bez wątpienia mnie i mojej żonie będzie tego brakowało w tłumie tych wszystkich gości.

- Niech pan zostanie w domu, panie Worth - odparł Daniel. - Należy ufać pierwotnemu instynktowi i wystrzegać się ciemności.

- Znowu mowa o wilkach? - zapytał Hyperion. - Teraz wiosną są już zupełnie niegroźne. Mają mnóstwo pożywienia.

- Nie chodzi o wilki - odparł Daniel. - Są inne rzeczy, których należy się lękać.

- Nadal patrzy pan z perspektywy swojej podróży na Wschód. To zabawne. Jakież to demony odkrył pan u nas na wsi? A może pan sam przywiózł jednego ze sobą?

- Owszem, w butelce - Daniel wydawał się rozbawiony.

- Nie pozostaje mi nic innego, jak zaproponować panu kieliszek wina.

Obydwaj mężczyźni popatrzyli na morze ludzi. Kobięce suknie o najprzeróżniejszych odcieniach mieszały się ze sobą jak barwne kwiaty. Błyski biżuterii na odsłoniętych młodych i jasnych, jak i zwiędłych ciałach przypominały rozwinięte kwiaty. Przez salon przewijały się białoczarne sylwetki mężczyzn. Był to na swój sposób tłum równie kolorowy jak na wschodnim bazarze, jednakże Daniel nie myślał teraz o suku.

Umysł Hyperiona był jasny i żywy, natomiast Daniel rejestrował obrazy jakby przez zamgloną soczewkę. Jak zawsze, gdy nadchodziła noc taka jak ta, puste widziadła przemykały mu przed oczami jak we śnie. Zjawił się tego wieczora w rozświetlonym domu Hyperiona z wrogim nastawieniem, by stać się upiorem na ich uczie. Wcale nie zamierzał przychodzić. Pojawienie się powozu na chwilę popsło mu szyki, był już bowiem na wpół odurzony przed zbliżającą się nocą, która miała należeć do niego, przed popadnięciem w tajemnicze delirium. Przyjazd powozu w niczym mu nie zagrażał, jednak zdołał zakłócić spokój. Zdążył zrobić już plany na tę noc. Zamierzał opuścić farmę, udać się do lasu i tam pozwolić zagubić się bestii. Nagle jednak wyobraził sobie inne miejsce, rozległy teren wokół rezydencji, dzikie zakątki i wzgórze. Wiedział z doświadczenia, że dla istoty, którą się stawał, odległość nie ma żadnego znaczenia i że prawdopodobnie zdoła dotrzeć do domu, zanim

wstanie dzień. Myśl o potwornych czynach, jakich dokona w takiej ciemności i tak daleko, zachwyciła go. Warto było nawet poświęcić się i włożyć ubranie ojca. I samo niebezpieczeństwo, ono także nie było bez znaczenia. Księżyc bowiem, okrągły i przerażająco biały, wszędzie kilka minut po ósmej. Daniel zdoła tylko zjawić się na przyjęciu, a już będzie musiał uciekać. Był przekonany, że wyczuwa istotę tej części swojej natury, która w przesywającym mrok światła księżyca weźmie nad nim górę. I tak oto spoglądał teraz na ten rozświetlony dom, położony na wzgórzu i otoczony drzewami, na snujące się w różnych kierunkach postacie pogrążone w błogiej niewiedzy.

Ile z tych wystrojonych, chodzących kukieł zabłąka się przy księżycu tam, gdzie on już będzie na nie czekał?

Zegar w sali balowej, kapiący od ozdób i górujący nad wszystkim jak monarcha, wybił siódmą.

Daniel ożywił się tak bardzo, że aż go to zdziwiło. Cóż z tego, że żona tego bogacza, biedna dziewczyna ze wsi, miała właśnie pojawić się na schodach w jakiejś przeładowanej ozdobami sukni.

Wszyscy goście spojrzeli w górę. Coś na szczycie schodów przyciągnęło ich uwagę. Jakaś postać zmierzała w kierunku pierwszych stopni.

Zdawało się, że jakaś martwota i ciemność wypełniła rześście oświetloną salę balową. Jasne były teraz jedynie schody i blada postać zstępująca powoli w dół.

Suknia miała barwę gęstej, nieprzeniknionej bieli, jak zachodzący księżyc, tak że długie rękawiczki na przedramionach kobiety i jej skóra zdawały się jeszcze bledsze. Rude włosy miała upięte na głowie, z wyjątkiem dwóch długich pasm, które spływały na jej obnażone ramiona jak miedziane sprężynki. Tak jak tego pragnął Hyperion, Laura wyglądała jak postać z bajki, gdzie dziewczyny od krów bez trudu stają się księżniczkami.

Daniel poczuł dziwną przyjemność widząc tę odległą postać. Nagle wydało mu się, że obraz tej kobiety zapłonął i wypalił drogę przez jego oczy do samego dna umysłu. Laura nabrała życia, stała się autentyczną postacią, jedyną poza nim samym, a nawet prawdziwszą niż on, Daniel czuł bowiem, że stopniowo zatracą swą tożsamość. Na białej skórze kobiety migotały złote refleksy. W głębokim wycięciu sukni, pomiędzy białymi piersiami lśniła gwiazda. Mieniła się na zielono, potem jej błyski stały się tak białe jak nic innego dookoła.

Hyperion ruszył naprzód. Spotkał się z żoną na niższych stopniach. Na oczach gości ucałował jej rękę, po czym sprowadził spóźnioną do sali. Tłum zakrył ich jak zamykające się wody.

Daniel ruszył za nimi wzdłuż sali balowej, w pewnej odległości, lecz dotrzymując im kroku. Coś błyszczało między barwnym nieładem sukien, czarnobiałymi strojami mężczyzn, twarzami, ramionami, wachlarzami i szkłem kieliszków. Tak zaczynała swą drogę biała postać kobiety i dwa płonące na niej ognie.

Przestał zważać na Hyperiona. Gospodarz nic go nie obchodził. Przyciągała go do siebie Laura i brylant lśniący na jej skórze.

Obydwoje szli przez salę balową, jak gdyby byli jednością. Zatrzymywali się, to znów ruszali dalej. Nagle wyszli zza jakiejś grupki gości i stanęli ze sobą twarzą w twarz: Daniel i Laura wsparta na ramieniu męża.

- Daniel Vehmund, a to moja żona.

Hyperion jak gdyby wcale nie istniał. Danielowi zdawało się, że widzi kobietę przez pryzmat klejnotu, uwięzioną w jego wnętrzu.

Miała piękne rysy, twarde jak diament. Była jakby otoczona połyskującym lodem.

Daniel nie uklonił się ani też nie uścisnął jej ręki. Patrzył na nią bez zmruczenia powiek, a napięcie w jego spojrzeniu było tak wielkie, że cała krew odpłynęła z twarzy Laury. Dla niej także reszta pokoju i wszyscy goście, a wraz z nimi Hyperion, nagle zniknęli. Stała sam na sam z Danielem na szczycie spowitym w mroku. Z oczu mężczyzny płynęła taka siła, iż miała

wrażenie, że spojrzenie to zawładnie nią i rozerwie na strzępy, a ona nie będzie nawet w stanie krzyknąć, wzywając pomocy. Jeszcze nigdy nie doświadczyła nic podobnego, nie śniło jej się, że takie rzeczy są możliwe.

- Niech pan przestanie, panie Vehmund. - Hyperion odezwał się swobodnie, choć stanowczo. - Tego się po panu nie spodziewam.

Daniel podniósł wzrok i popatrzył na gospodarza. Hyperion zadrżał, opamiętał się i roześmiał.

- To był błąd z mojej strony poddawać pana działaniu takiego piękna. Ja sam wciąż jestem oszołomiony.

- Przestań, Hyperionie - szepnęła Laura. Nagle zaczerwieniła się jak wino spływające do kryształowego kieliszka. Oderwała wzrok od oczu Daniela i popatrzyła w inną stronę.

- Ma pan rację - odparł Daniel, po czym nadal zwracając się do Hyperiona dodał: - jedynie ten klejnot dorównuje jej urodę.

- Moje własne słowa. Ładny, nieprawdaż?

- Widziałem go już kiedyś - powiedział Daniel. - Na Wschodzie był przez krótki czas w moim posiadaniu. Potem go oddałem.

- To niemożliwe. Pan żartuje, Danielu.

- Oczywiście - odparł Daniel. - Ale ten klejnot nazywa się Wilk, czyż nie? Z powodu niewielkiej skazy w jego sercu, przypominającej biegnącego wilka.

- Przypuszczani, że tak. Najwyraźniej legendy o tym kamieniu dotarły szybciej niż on sam.

- Gdzie pan na niego trafił? - zapytał Daniel.

- Mam nadzieję, że smakuje panu szampan - odparł Hyperion.

- Tam gdzie znajduje się brylant - powiedział Daniel - liczy się już tylko on. A oto teraz leży na sercu pańskiej żony.

Laura znowu spojrzała na niego zdumiona. Podniosła dłoń w białej rękawiczce ku bladym, atlasowym piersiom, gdzie palił ją brylant.

- Nie zamierzałem pani przestraszyć - zwrócił się do niej Daniel.

- Ale pan to zrobił - odparła cicho.

- W takim razie musi mi pani wybaczyć. Pełnia tak na mnie działa. Inni już to zauważyli. Zachowuję się wtedy zupełnie inaczej.

- Gdyby brylant należał do pana... - powiedziała Laura.

- Ale teraz nie należy już do mnie. Oddałem go pewnemu człowiekowi i to zapewne on przywiózł go pani. Sam chętnie bym to zrobił, gdybym mógł przewidzieć... - nie skończył i Laura poczuła, jak płonąca strzała wymyka się z jego oczu, przenikając na wskroś brylant i sam środek jej piersi. Zdawało jej się, że została przywiązana do tego człowieka jakimiś napiętymi sznurami. Szukając ratunku, spojrzała na Hyperiona.

- Jak tu gorąco. Nie można by otworzyć drzwi?

- Rzeczywiście - odpowiedział Hyperion. - Sami tego dopilnujemy, zostawiając pana Vehmunda sam na sam z jego rozmyślaniami na temat klejnotów.

Tym razem Daniel pozostał w miejscu, obserwując, jak tamci znowu przechodzą pomiędzy gośćmi. Laura, jak gdyby prowadzono ją przez jakiś nedorzeczny las, raz jeden odwróciła się i spojrzała za siebie.

Daniel poczuł, jak ubranie znieawidzonego ojca drży na jego plecach, lecz nie mogło przecieć z niego sztych. I nagle gdzieś daleko podniósł się niski, stłumiony dźwięk, którego nie miał usłyszeć nikt inny; muzyka księżycy zbliżającego się do krawędzi horyzontu.

Laura sama wyglądała teraz jak brylant. Przezroczysty kamień przeświecał przez jej ciało i krwawiące włosy. Postać kobiety płonęła ponad całym tłumem. Miedzy jej piersiami kamień mienił się zielono niczym bryłka lodu, pozostawiając Laurze swą biel.

Hyperion jasno wyraził swoje myśli.

Ale był tylko kolejnym cieniem, kukłą, jak reszta biesiadników.

W jednym końcu sali lokaje otwierali właśnie oszklone drzwi. Do rozgrzanego pomieszczenia wpadł chłodny, aromatyczny powiew nocy.

Na zewnątrz światło gwiazd sączyło się na trawniki, drzewa, wody, lasy i skaliste wzgórza. Tam właśnie musiał się teraz udać.

Zostawi ich wszystkich w forticy oświetlonego domu, w tym małym, świecącym punkcie, otoczonym przez czarne potoki nocy, którą rozdzierał krzyk wschodzącego księżyca.

Ostre bóle przeszywały już ciało Daniela, wykręcając mięśnie z dziwnym, uporczywym okrucieństwem.

Zaczął przemierzać salę balową, mijając grupy gości, którzy odwracali od niego oczy, szepcząc coś z lekceważeniem.

Laura była w niebie, zatopiona w księżycu.

Gdy znalazł się na skraju nocy, upuścił cenny kieliszek, który roztrzaskał się o posadzkę. W zgiełku, jaki panował w sali balowej, niewielu gości zwróciło na to uwagę.

Daniel wyskoczył w ciemność i co sił w nogach zaczął biec przed siebie, zapominając o wszystkim, potykając się i skacząc lekko, zmierzając na spotkanie nadchodzącego szaleństwa.

Przyjęcie w domu Hyperiona okazało się prawdziwym sukcesem. Laura była taka śliczna, a mąż zdążył ją już tak dobrze wyszkolić, jak gdyby pobierała nauki od dzieciństwa i była właśnie taką osobą, jaką ją przedstawiał. Zachowywała się jak nakręcana figurka, poruszająca się bez zarzutu. Cokolwiek robiła, było właściwe. Mówiła niewiele, a kiedy już zabierała głos, nie wypowiadała nic, co mogłoby ją zdradzić. Z pewnością była jakimś podmienionym arystokratycznym dzieckiem, które przez pomyłkę trafiło do rodziny Wheelwrightów. Wszyscy goście uznali z ulgą, iż Laurę, mimo wszystko, można zaakceptować jako damę. Mężczyźni z nieukrywanym szacunkiem spoglądali na Hyperiona, człowieka, który odkrył tę piękność.

Goście zasiedli wreszcie do kolacji: wniesiono ogromne ryby i pieczenie, alabastrowe puddingi oblewane szklistym lukrem. Rośliny zdawały się wyrastać spod stołu: były tam nieduże palmy i drzewka pomarańczowe obwieszane lśniącymi owocami.

Świece były coraz krótsze i ich blask stał się teraz najpiękniejszy. Nocne powietrze ochłodziło się znacznie, więc zamknięto wszystkie drzwi i okna. Wokół kominka w salonie zebrała się grupa gości. Najważniejsze miejsce zajmowała tu Laura siedząca w szerokim fotelu. Kupcy i panicze siedzieli na poduszkach u jej stóp. Hyperion zaś, król tego zaimprovizowanego dworu, zadowolony, krążył wokół zgromadzonych, pilnując by napełniano kieliszki i częstowano marcepanem spłonięte młode kobiety o ściśniętych taliach i karbowanych, lśniących włosach.

Opowiadano różne historie. O pannach uwieczonych w wysokich wieżach, o bezgłowych jeźdźcach, złamanych przyrzeczeniach i skarbach znajdujących na strychu.

Lord Kapusta zażądał, aby Laura opowiedziała jakąś historię. Popatrzyła na niego, jak gdyby w jego osobie skupili się wszyscy zgromadzeni. Oczy miała bardzo ciemne, jak najczarniejszy mrok. Była tak spokojna, że podziwiali ją, teraz zaś byli wprost zachwyceni. Nie zdawali sobie sprawy, że ten spokój wynikał z jej przerażenia.

Laura panicznie bała się tego wieczoru, gdy jednak dobiegał już końca, w jej duszy nie pozostał nawet cień strachu. Jak w transie uczestniczyła we wszystkich ceremoniach. Zachowywała się rozważnie i z wyczuciem, gdyż pozostawała właściwie nieobecna. Jej myślami zawładnął niepodzielnie syn Jenavere. Daniel, który wrócił do domu z dalekiej podróży, jak pewien młody człowiek w jednej z opowieści. Wrócił i popatrzył na nią tak, iż nie mogłaby nic przed nim ukryć. Przejrzał ją na wylot - było to coś więcej, niż gdyby zobaczył jej nagie ciało. Zgłębił jej duszę, dotknął jej. Nie była w stanie myśleć o niczym innym.

Hyperion, błędnie interpretując jej wahanie, wtrącił się:

- Moja żona jest panią swojego dworu. Ma prawo prosić o historie, ale sama nie musi stawać w zawody.

- Nie, nie - odparł Lord Kapusta. - Twierdzą, że teraz jej kolej.

- Opowiem państwo o królewskim statku - odpowiedziała Laura bez namysłu.

Była to opowieść zasłyszana w wiejskiej szkółce. Dzieci siedziały wówczas z szeroko otwartymi oczami, lecz w końcu wszystkie z wyjątkiem Laury zapomniały o tej historii. Podczas gdy ona była małą dziewczynką w wiosce, Daniel spędzał dzieciństwo na farmie Vehmundów. Nigdy się nie spotkali, chociaż byli tak blisko siebie, dzieliło ich zaledwie kilka mil, godzina lub dwie drogi.

- Był to najpiękniejszy statek ze wszystkich - zaczęła Laura. - Pomalowany na niebiesko, jego maszty miały barwę szafranu, a żagle były złote. Na dziobie widniała wyrzeźbiona ogromna ryba. Oczy miała z topazów, a na jej wygiętym grzbiecie widniał szafir. Ci, którzy znajdowali się na pokładzie, celowo przywdziali szaty błękitne i mieniące się różnymi odcieniami żółci. Zdobiły ich szafiry, topazy, lazuryty, turkusy i bryłki cytrynu. Pośród nich stał jasnowłosy syn króla odziany w szatę koloru morza. Na statku było również wielu przyjaciół władcy i ich dzieci. Obecność tam poczytywano sobie za wielki honor. Był piękny, jasny dzień. Marynarze machali malowanymi wiosłami, wiatr wydymał złote żagle. Statek oddalał się od brzegu jak chart. Ludzie żegnali go okrzykami radości, muzykanci wygrywali żwawą melodię. O zachodzie słońca, gdy już niebo stopi się w jedną barwę ze statkiem, żeglarze mieli powrócić.

Ogień trząsał na kominku. Laura przerwała na moment swą opowieść. Miała skupioną i jakby nieobecną twarz, jednak serce waliło jej jak oszalałe. Na piersi drżał bajkowy brylant, o którym wielu gości rozmawiało, jednak przy niej nie wspominał o nim nikt oprócz Daniela. Zastłuchani w jej słowa, czekali teraz w milczeniu na dalszy ciąg opowieści. Zdawało się, jakby Laura wcale ich nie dostrzegała. Nie widziała także Hyperiona stojącego z boku, z lśniąca karafką w ręce.

- O zachodzie słońca ludzie zebrali się na brzegu, wypatrując powracającego statku. Jednak barwę złota i szafiru widać było tylko na niebie. Obłoki przybierały kształty statków, lecz prawdziwego żaglowca nie było na horyzoncie. Ludzie wypatrywali jego żółtych masztów, wsłuchiwali się w ciszę, czy nie przetnie jej odgłos rogu. Ale morze było puste i kryło nieprzenikniętą tajemnicę. Gdy zapadła ciemność, król rozkazał połowie swej floty, by przemierzała wody w poszukiwaniu malowanego statku. Całą noc w czystym świetle drwiącego księżyca przeszukiwano ocean wzdłuż i wszerz. Jednak nic nie znalazłszy, statki powróciły o świcie. Król ponownie wysłał je na morze, a wraz z nimi drugą połowę floty. Poszukiwania trwały miesiąc, przy świetle księżyca i w blasku dnia, jednak po malowanym statku nie pozostał żaden ślad ani jedna drzazga, wiosło, zupełnie nic, jak gdyby wody pochłonięły go w całości.

Laura zamilkła na dłuższą chwilę. Ręce położyła na kolanach. Jej słuchacze zgromadzeni wokół ognia czekali cierpliwie. Brylant drżał odbijając światło.

- Król rozpoczął - odezwała się wreszcie Laura - a wraz z nim jego dworzanie. Nie było człowieka, który na malowanym statku nie miałby osoby bliskiej sercu.

Jakaś młoda kobieta westchnęła, po czym nagle roześmiała się. Nikt inny się nie poruszył.

Hyperion odezwał się wreszcie, niemal ostrym tonem:

- Mów dalej. Nie możesz tego tak zostawić. Laura nawet na niego nie spojrzała.

- Mijały miesiące - rozpoczęła na nowo swą opowieść - potem lata. Upłynęły trzy lata od fatalnego dnia, kiedy przed oblicze króla przyprowadzono starego żeglarza. „Nie lękaj się - powiedział król. Opowiedz jedynie to, o czym mówiłeś wcześniej”. Wtedy marynarz opowiedział swoją historię. Pewnego razu wybrał się nocą na połów i kiedy zatrzymał się na otwartym morzu, zobaczył, jak w głębinie pod jego łodzią przepływa malowany statek, niebieskożółty, lśniący, jak gdyby ciemną nocą spoczęły na nim promienie słońca. Na

pokładzie zgromadził się tłum marynarzy odzianych w niebieskie i żółte szaty, ozdobionych niebieskimi i żółtymi klejnotami. Tam w morzu śmiali się, gestykulowali, pili z kubków wysadzanych drogimi kamieniami. Lecz były to szkielety. Szkielety załogi pracowały przy wiosłach. W bocianim gnieździe stał szkielet wpatrując się hen w morską toń. Statek popłynął dalej i zniknął. Gdy stary żeglarz skończył swoją opowieść, król wynagrodził go i odprawił. „Opowiadaj tę historię, powiedział władca na pożegnanie, gdzie tylko zdołasz. Wspominaj jeszcze, że był to królewski statek, a pomiędzy zmarłymi znajdował się syn króla. I że moce tego świata nie znają miłosierdzia”.

- Ciekawa historyjka - powiedział lord Kapusta, niestosownie przerywając ciszę, po czym zwrócił się do córki. - Co o tym myślisz, Ado?

- Nie widzę tu żadnej pointy - odparła Ada, która chciała tańczyć. - Co to miało znaczyć, że syn królewski zamienił się w szkielet?

- Być może - odezwał się jeden z kupców - ojciec celowo wyprawił go na statek i doprowadził do zatonięcia okrętu. Być może bał się syna.

- To byłaby najstraszliwsza zbrodnia na świecie - powiedziała jedna z dam.

- Najstraszliwszą zbrodnią jest ojcobójstwo.

- Może syn planował zabicie ojca - znowu odezwał się kupiec. - Lecz ojciec pierwszy się z nim rozprawił.

- Moja żona jest niewzruszona - powiedział Hyperion. Laura siedziała jak kamienny posąg. Myślała o Danielu, który był synem króla i zapadał się na dno morza. Jego jasne włosy splątały się z granatowym mrokiem głębin. Ryby krążyły wokół jego ciała. To ona go zabiła. Za jej przyczyną zamienił się w widmo.

- Lauro - powiedział z ożywieniem Hyperion - sama musisz to wytłumaczyć.

Na przekór wszystkiemu prowokował ją - nie był jej sprzymierzeńcem, lecz wrogiem. A jednak miała przewagę nad nim i całym jego towarzystwem. Nie zważała na nic.

- To tylko bajka - odparła.

Uniosła się lekko i brylant jak meteor znowu wystrzelił jaskrawą wiązką promieni.

Kobiety zapatrzyły się w klejnot, może z zazdrością, mężczyźni spoglądali nań ze źle skrywaną aprobatą, gdyż piękną kobietę tak właśnie powinny zdobić skarby jej męża. Jedynie Hyperion odwrócił wzrok, proponując Adzie, by skosztowała marcepanu.

Nikt nie patrzył na Laurę tak jak Daniel. A on odszedł w noc, nie licząc się z nikim i nie zważając na dobre obyczaje.

Laura odwróciła się i spojrzała na wysokie okna zasłonięte storami.

Z oddali, ze szczytów wzgórz, przerwał ciszę nocy jakiś dźwięk.

Był pełen takiej agresji, że nikt spośród tych, którzy go słyszeli, nie potrafił tego zrozumieć. A jednak włosy stanęły im dęba. Był to przerażający krzyk, nie mający nic wspólnego z jakąkolwiek żyjącą istotą. Rozproszony w przestrzeni jak odgłos wiatru, a jednak jakiś zwierzęcy, zmysłowy.

- A cóż to za diabeł?

Jedna z kobiet wydała z siebie słaby okrzyk.

- To lis. Wyje jak dusze potępionych.

- To nie był lis.

Lord Kapusta podszedł do wysokiego okna, odrzucił zasłonę i wyjrzał na zewnątrz.

- Nic nie widać. Księżyc wzeszedł. Jest jasno jak w dzień. Mężczyźni stłoczyli się przy oknach. Lord Kapusta zdobył się na odwagę i otworzył to, przy którym stanął. Kobiety cofnęły się.

- Nie... nie... tam coś jest.

Nagle znowu rozległ się ten sam dźwięk, ten sam krzyk, świdrujący, głośny i bezlitosny. Brzmiał jak pieśń śmierci. Był to głos polującej i głodnej istoty, samotnej pośród nocy.

Rozbrzmiewało w nim samo Zło. Ludzie wsłuchiwali się weń, dopóki naraz nie zaległa cisza. Jakaś kobieta zaczęła mdleć.

- Zamknijcie okno, nie ma nic do oglądania. To jakieś zwierzę, pewnie wilk.
  - Wycie wilka jest rzeczywiście przerażające, ale to brzmiało jak krzyki potępionych.
- Zamknięto okno, ktoś zajął się kobietą, która zasłabła.

Laura siedziała przy kominku, a blask ognia kładł się na jej twarzy. Mąż nie podszedł do niej, by ją uspokoić. Nie odezwała się ani słowem, ale przytrzymała ręką brylant, spoczywający na jej piersi. Kamień migotał jej między palcami, był żywy, przypominał bryłkę białozielonego węgla.

- Słyszycie te wiejskie odgłosy?
- Noce tutaj są bardziej hałaśliwe niż w mieście.
- Niech mnie diabli, jeżeli wiem, co to było.

Zebrani dołożyli dREW do ognia, nie czekając na pojawienie się służby. Z powrotem zgromadzili się przy kominku. Czuli, jak z każdej strony napiera na ściany domu ciężka noc. „To głos przeznaczenia, pomyślała Laura. Ten skowyt ze wzgórz zapowiada moją zgubę”.

Spowity światłem księżycy mrok spłynął na ziemię.

Długie baldachimy ciemności i każdy zakamarek iskrzyły się srebrem.

Przez pasmo światła przebiegły lis i łasica, po czym zniknęły pod skrzydłem mroku.

Na korony drzew, pokrytych wiosennym puchem, światło księżycy skapywało jak biała woda.

Słysząc było brzęczenie nocnych owadów.

Nagle wszystko ucichło.

Jakiś cień przemknął jak niemy piorun. Trawa ugięła się i wyprostowała z powrotem. Na skraju lasu cień oddzielił się od mroku.

Na szczycie modrzewia siedziała niema sowa jak pierzasta chimera. U stóp drzewa myszy skamieniały z przerażenia.

Cień szedł dalej, zaczął schodzić po zboczu wzgórza. Noc wstrzymała oddech, liście i źdźbła traw przestały szeleścić. Kamienie wcisnęły się pod paprocie. Zahukała sowa.

Cień przeszedł i zniknął. Był mrocznym milczeniem, pierwotną, odwieczną istotą, wyrwaną teraz ze snu. Świetliste bramy blasku księżycy rozwarły się i cień przeszedł przez nie bezgłośnie.

Ossiter, człowiek, którego pasją były ćmy, wybrał się tego wieczora na polowanie, zabierając ze sobą siatkę i słoń, w którym uśmiercał owady. Uparcie przemierzał wzgórze spowite brązowożółtym światłem. Księżyc oświetlał mu drogę niczym pochodnia. Dostrzegł już swą niezwykłą ofiarę: małą, czarną ćmę Carbo, z purpurowymi kleksami na skrzydłach, które w świetle księżycy były szare.

Ossiter nie miał czasu na kontakty z ludźmi. Był zamożny. Służbę i znajomych traktował jednakowo, z jawnym zniecierpliwieniem. Jego całym światem było pomieszczenie pełne powbijanych na szpilki skrzydlatych straszyleł. One były źródłem jego radości. Wiosną i latem buszował nocami po okolicy, wspinał się na drzewa, gdzie w ciemności gromadziły się te delikatne, jakby papierowe istoty. Lubił je chwycić i zatrzymać na stałe, nie dostrzegając żadnego piękna w locie owadów. Pragnął posiadać je martwe z rozpiętymi, niestrudzonymi skrzydłami, aby w ten sposób podziwiać ich kształty i ubarwienie.

Gdy galopował po pagórkach za Carbo, po głowie krążyły mu mgliste, niepotrzebne myśli o jakiejś prozowanej kolacji, o której słyszał, i o mężczyźnie, który wystawiał na pokaz swoją żywą i pozbawioną skrzydeł żonę. Mówiono też coś o brylancie, ale ćma Carbo była bardziej interesująca. Dokąd ten owad pędził tak szybko?

Ścigając czarną ćmę, Ossiter pędził w dół po łąkach, aż dotarł do granicy lasu.

Drzewa nie rosły gęsto, ale zagradzały drogę i Ossiter bał się zgubić owada.

Ćma najwyraźniej dążyła do jakiegoś celu. Ossiterowi wydało się nagle, że widzi światło, być może był to fosfor, wydzielający się na obrzeżu błotnistej kałuży, a może to księżyc odbijał się w gładkiej lustrzanej powierzchni. Cokolwiek to było, ćma poleciała ku światłu. Ossiter popędził za nią. Już widział, jak chwyta Carbo, która wbita potem na szpilkę czerni się i mieni czerwienią, na wieki stając się jego własnością. Ossiter bowiem otaczał się ścianami pełnymi martwych owadów.

Obok tamtego światła pojawiło się drugie. Nagle obydwie zgasły i jedynie zimny blask księżyca przedzierał się między drzewami, oświetlając mu drogę.

Carbo przysiadła na czymś i zwinęła skrzydła. Zapewne był to jakiś pniak.

Ossiter rzucił się między drzewa, trzymając siatkę w pogotowiu. Pozbawionym wdzięku, lecz celnym ruchem spuścił ją na owada i fragment ciemnego kłosa, na którym przysiadła ćma.

Nagle ciemny kształt jakby się rozprysnął. Przypominał ulewę odłamków węgla. Ossiter poczuł, jak jego siatka rozpada się w chwili, gdy przedziera się przez nią wysoka, czarna postać. Nie miał pojęcia, co to takiego, i co się w ogóle dzieje. Kątem oka dostrzegł, że ćma podrywa się i odlatuje, ucieka mu...

Pod ręką Ossitera zabłyśły dwa księżycy. Mężczyznę ogarnęło zdumienie. Wpatrywał się w nie, nic nie rozumiejąc. Nagle ciemność pochłonęła jego rękę aż do barku.

Poczuł straszliwy ból, jak gdyby przypalało go tysiące rozgrzanych do czerwoności prętów.

Krzyknął, próbując się uwolnić. Ciemność przesuwiała się wzdłuż jego ramienia, pochłaniając mięso i kości.

Łowca owadów dostrzegł teraz innego myśliwego, wyraźne linie pyska odbijające światło księżyca, czarną gardziel pełną jego własnego ciała. Nagle olbrzymie szczęki zatrzasnęły się jak drzwi zapadni.

Słój i połamana siatka upadły na zalane światłem paprocie. Księżyc przyglądał się temu i nie odwracał twarzy.

Rosamunde Axe zagniała w kuchni ciasto. Za jej plecami buzował piec.

Przesłonięte nagle bladożółte światło wczesnego poranka zlało się z kolorem oczu i włosów wchodzącego Daniela.

Rosamunde wyprostowała się tak jak wówczas, gdy Daniel wchodził tu po raz pierwszy.

Poza złocistą aurą Daniela otaczał jakiś gęsty mrok. Mężczyzna posuwał się niemal chwiejnie, jednak w jego ruchach była dziwna zwierzęca płynność, jak gdyby dwie natury stopiły się w nim wbrew sobie.

- Rosamunde - odezwał się, a jego głos dobywał się gdzieś z głębi.

- Tak, panie Danielu.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - zapytał. - Chyba nie widzisz mnie po raz pierwszy? Rosamunde spuściła powieki.

- Mam zrobić herbatę?

- Nie. Nie jestem w nastroju. Nie było mnie w domu przez całą noc. Wałęsałem się przy księżycu. Przeszedłem kawał drogi, a potem spałem gdzieś w krzakach.

Rosamunde nie odpowiedziała. Myślała, że zatrzymał się na noc w rezydencji Wortha, a potem wrócił powozem, który stanął przy drodze.

Nie wyglądał jak człowiek, który spędził noc na dworze. Nic mu nie brakowało. Nie ogolony zarost zdążył urosnąć tak szybko, że wyglądał prawie jak broda. Daniel zbliżył się do stołu. Pachniał trawą, kamieniami, korą drzew i wciąż otaczała go jakaś ciemność. Popatrzył na Rosamunde w taki sposób, że starszycie zatrzęsły się kolana. Miała ochotę klęknąć na podłodze.

- Pieczesz chleb? - zapytał.



- Później muszę iść na pastwisko do koczujących się owiec.  
- Rosamunde i baranki - odezwał się Daniel. - Masz chociaż trochę współczucia dla tych biednych stworzeń?

- To tylko nieme istoty - odparła starucha.

Daniel płonął i zdawał się jakąś pierwotną istotą. Ledwie mieścił się w kuchni. Dotknął ubrudzonej mąką ręki staruszki. Ciałem kobiety wstrząsnął dreszcz przerażenia.

- Rozumiesz harmonię tego świata - powiedział Daniel. - Zwierzęta służą człowiekowi dla jego wygody.

Rosamunde zorientowała się, że znowu gapi się na niego.

- Ale jest taka bestia - mówił dalej cicho Daniel - która nie służy człowiekowi. Jest bardziej żarłoczna niż najdrapieżniejszy wilk. Nocami wałęsa się po wzgórzach, idąc za światłem księżycy. Zamknij drzwi na klucz, Rosamunde, i najlepiej schowaj się pod łóżko.

Staruszka cała się teraz trzęsła, nie wiedząc właściwie dlaczego. Zapragnęła paść na twarz i objąć rękami nogi mężczyzny. Nie czuła się starą kobietą.

Daniel odsunął się.

- Kiedy moja matka się obudzi - powiedział - zanieś jej na górę herbatę.

- Tak, panie Danielu.

- Przypuszczam, że mój brat leży pijany.

Przeszedł przez kuchnię zmiierzając w kierunku schodów. Rosamunde odprowadziła go wzrokiem. Ciasto pod jej palcami przypominało w dotyku wilgotne mięso.

Daniel prześlizgnął się przez drzwi zwinnie jak wirujący liść i zniknął.

Nad farmą wstał jasny dzień. Mienił się w młodych listkach, które okryły sad. Kamienie nasycił barwą, dotykał jak pędzlem młodych pędów winorośli. Od czasu do czasu cętkowany kot śmigał w wysokiej trawie, z daleka omijając dom. Na pobliskich wzgórzach spoczęły cienie chmur.

Po południu z domu wyszła Rosamunde Ax i zaczęła piąć się drogą prowadzącą ku górskim pastwiskom. Nieco później zjawily się dwie pokojówki i ruszyły w kierunku wioski, by, jak co miesiąc, odwiedzić swoich bliskich i zostać z nimi do rana. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Ptactwo latało chmarami nad ziemią. W ogrodzie na smukłych kwiatach gromadziły się pszczoły.

Słońce zmierzało ku zachodowi.

Żaba siedząca koło drzwi kuchennych, na beczce z deszczówką, zeskoczyła, tworząc smugę zieleni. Trzy białe kurczaki dziobały ziemię.

Nad doliną zawisło dziwne oczekiwanie. Stopniowo zanikające światło i łagodny bezruch, wbrew pozorom, nie zapowiadały ukojenia.

W domu trzy skamieniałe ludzkie postacie zaczęły się poruszać. Jenavere była niespokojna; to spacerowała po pokoju, to siadała, podczas gdy zegar tykał nieubłaganie. Marsall ocknął się ze śpiączki i zanurzył swą ciężką, małą głowę w misce z wodą. Daniel leżał na łóżku, wodząc oczami po ciemniejących promieniach słońca, które znikaly stopniowo z sufitu.

Wszyscy troje w różnym stopniu wyczuwali zagrożenie, które jakby zbliżało ich do siebie - samotne ludzkie istoty w opuszczonym domu, którego nie odwiedzały już koty.

Słońce zapłonęło, zbliżając się coraz bardziej ku linii horyzontu.

Marsall kopnął jakieś rzeczy walające się po podłodze, dźwignął się i wyszedł na korytarz. Zastukał pięścią do drzwi Jenavere. Nie było odpowiedzi. Zastukał ponownie.

- Wiem, że tam jesteś, kobieto! - wrzasnął.

Otworzył drzwi.

Pokój wypełniała jasna czerwień, gdyż całe niebo, nawet na wschodzie, płonęło krwawo. Jenavere siedziała w fotelu z nogami wspartymi na podnóżku. Rosamunde rozpałała ogień na kominku. W dzbanku stał bukiet żółtych kwiatów.

Marsallowi nie przypadła do gustu odmiana, jaka dokonała się w matce od chwili powrotu Daniela. Staruszka rozkwitła jak roślina, na którą nagle padło słońce. Jej twarz wyrażała spokój i dumę, jak gdyby patrzyła na starszego syna z wysokich murów obronnych.

- Nie zapraszałam cię do środka - odezwała się.

- Nie. Ale ja i tak wszedłem. Nie możesz zamykać mi drzwi przed nosem. Jeśli będę musiał, to je wyłamie.

- Tak, nie wątpię.

- Jasne, jasne. I lepiej o tym nie zapominaj.

- Czego chcesz? - zapytała Jenavere.

Marsall rozejrzył się po pokoju. W głowie miał mętlik, ale na pewno zacznie jasno myśleć, gdy tylko dorwie się do piwa. Ostatnio dużo myślał. Nadeszła pora, by wyrazić głośno swoją wolę.

- Ten pokój jest mi potrzebny - odezwał się. - To sypialnia gospodarza i według prawa mnie się należy. Skoro ojciec nie żyje, oddasz ją mnie. I tak za długo pozwoliłem ci się tutaj gnieździć.

- Ten pokój zawsze należał do mnie - odparła staruszka.

- Nie, nigdy nie był twój. Należał do niego. Teraz oddasz go mnie.

Jenavere nie ruszała się z miejsca.

- Nie oddam.

- Ależ tak. I to jutro. Ta stara wiedźma przeniesie twoje rzeczy.

- Przywykłam do tego pokoju.

- Łóżko jest dla ciebie za duże. Pokój też. Grzechoczesz tutaj jak ziarnko w pustym strąku. Przeszaj się upierać. Zamieszkasz gdzie indziej.

- Nigdzie nie pójdę - odparła kobieta.

- Pójdziesz.

- Daniel mnie obroni - powiedziała, przywołując imię swojego rycerza, jak spodziewał się tego Marsall.

- Ten smarkacz? Niech spróbuje. Specjalnie dla ciebie wyrzucę go na zbity pysk.

Przez twarz kobiety przemknęła chmura niepokoju; po chwili zniknęła.

- Dlaczego wszystko robisz przemocą, Marsall?

- A mam jakieś wyjście? Bronię tylko swoich praw. Ten pokój należy do mnie. Mam już dosyć twoich jęków, starucho. Jutro się wyprowadzasz.

Marsall obrócił się na pięcie i pospieszył do wyjścia. Nie mógł przestać myśleć, kiedy wreszcie dorwie się do kufla z piwem.

Gdy syn wyszedł, zostawiając drzwi szeroko otwarte, Jenavere podniosła się z miejsca. Stała na środku pokoju, podczas gdy różane światło stapało się w szarość. Po chwili wzięła się w garść, podeszła do stojącej na kominku lampy i zapaliła knot. Za oknem sad odbijał jeszcze nikle światło, rozmazując się w szarości wiosennego zmierzchu. Kurczaki wróciły już do kurnika. Wzgórza wyglądały jak gładkie kłębki mroku. Kobieta poczuła się osaczona, zarówno przez ten cichy krajobraz, jak i niegodziwe życzenie Marsalla. Czy Daniel zdoła przyjąć jej z pomocą? Będąc na granicy rozpaczy, zawahała się jednak. Przypomniała sobie nagle wściekle bójki, jakie toczyły się w dzieciństwie między synami. Walczyli ze sobą i Daniel przegrywał, często straszliwie pobity. Ale teraz Daniel był inny, odmieniony. Ona sama rozkwitła otoczona jego siłą, ale co się stanie, kiedy ta siła zostanie poddana próbie?

Nie miała jednak innego wyjścia. Marsall chciał ją wykurzyć z sypialni. Chciał ją postarzyć, odebrać siły i powoli wycisnąć z niej życie. Ten jego jad szkodził jej już od dawna, jak gdyby syn dosypywał trucizny do jedzenia.

Wyszła na korytarz, który zdążył już pograżyć się w mroku, i zbliżyła się do pokoju Daniela. Drzwi otworzyły się bez trudu.

Wewnątrz nie paliło się światło. Zdawało się, jakby cały mrok skupił się w postaci syna.

- Co się stało, matko?

- Odwiedził mnie przed chwilą twój brat. Zamierza odebrać mi sypialnię.

„Właściwie to bez znaczenia”, pomyślała nagle Jenavere.

- Nie zrobi tego - powiedział Daniel niskim głosem. - Twój pokój jest bardzo ładny i wychodzi na wschód. Właśnie taki jest dla ciebie odpowiedni.

- Co mam zrobić?

- Ja z nim porozmawiam - odparł Daniel.

Przemknęło jej przez myśl, że głos syna ma w sobie coś nadprzyrodzonego. Rozbrzmiewał w ciemnościach z taką pewnością. Wzięła głęboki oddech, jak gdyby czerpała tlen z obecności ukochanego dziecka.

- Byłam bezradna, dopóki się nie zjawiłeś.

- Ale teraz jestem przy tobie - powiedział Daniel. Pochylił się i pocałował matkę w czoło. Jego suche, ciepłe usta jak gdyby wypaliły na jej skórze gwiazdę. Niemal oczekiwała, że w korytarzu zabłyśnie światło.

- Teraz idź już do siebie - odezwał się Daniel. - Ja się wszystkim zajmę.

Jego oczy widziały w ciemnościach. Obserwował, jak matka wraca niepewnie do swego pokoju, tego świętego przybytku królowej, którego nikt nie miał prawa jej wydrzeć. Daniel odniósł wrażenie, że tłumi w sobie śmiech. Poznał to uczucie już wcześniej. Zdawało mu się, że ciemność za oknem wzywa go aksamitnym głosem. Dotyk ubrania złościł go, a jednocześnie sprawiał przyjemność. Za nieco dłużej niż godzinę nad wzgórzami wstanie księżyc. Czuł siłę jego przyciągania, jak gdyby jego krew burzyła się w potężnym odpływie. Był tutaj, a jednocześnie zupełnie gdzie indziej.

Zszedł na dół do kuchni.

Pomieszczenie oświetlały obydwie lampy. Marsall pozbawiony tego wieczoru usług Rosamunde i towarzystwa swych serdecznych przyjaciół, którzy mogliby go zabawiać, siedział przy płonącym nisko ogniu, pijąc potężnymi haustami.

- A, kochany Daniel - odezwał się Marsall. - Napij się trochę piwa. Od razu poczujesz się lepiej.

- Czuję się wystarczająco dobrze. Masz zostawić matkę w spokoju.

- Zostawić matkę w spokoju - powtórzył Marsall przesadnym tonem. Zaczynał już bełkotać pod wpływem alkoholu. - A cóż jej takiego zrobiłem?

- Nie zabieraj jej sypialni.

- Ach, o to chodzi. Nie, obawiam się, że to niemożliwe. Potrzebuję tego pokoju. Może sprowadzę do domu pannę młodą. Któryś z nas musi zadbać, by ród Vehmundów nie wyginął. A ponieważ tylko jeden z nas jest do tego zdolny, więc będzie mi potrzebne duże łóżko. I to moja żona będzie tu panią. A nie ta zużyta stara suka.

- Przestań ją obrażać.

- A kto mi zabroni?

- Ja to zrobię, jeżeli będę musiał.

Daniel już wcześniej przeszedł przez kuchnię i stanął koło drzwi. Otworzył je i zapatrzył się w noc. Tylko jakąś drobną częścią siebie pozostał w izbie i jego głos docierał jakby z daleka. Większa część jego jestestwa przebywała na szczycie wzgórza. Księżyc pulsował pod powierzchnią ziemi, pod jego sercem.

Marsall podniósł się z miejsca. Stał buńczucznie przy kominku.

- Ty mi zabronisz, tak? No to już, zabieraj się do dzieła.

- Muszę już iść - odparł Daniel z jakąś obłądną uprzejmością.

- Iść? Po prostu uciec? To mi dopiero odwaga. No to idź. Idź. Nie bój się, już ja przekonam tę staruchę. Już ja ją udobrucham. Tak jak ojciec. On nigdy nie dał jej powiedzieć nie. Nasz tatuś, on to miał klasę.

Daniel odwrócił głowę i kątem oka spojrzął na kuchnię. Jego oczy odbiły blask ognia. Były straszliwe jak dwie ogromne planety, ale Marsall był zbyt pijany, by to zauważyć.

- Co to znaczy, że ją przekonasz?

- Męską siłą. Posmakowała jej już wcześniej. I była potem potulna jak baranek.

- Uderzyłeś ją?

- Jeden mały policzek. Mogę ją uderzyć i jeszcze dla ciebie zostanie wystarczająco dużo.

Kiedy już wrócisz od swoich wytwornych przyjaciół.

Daniel stał pomiędzy jasnym blaskiem ognia a połyskującą ciemnością nocy.

- W takim razie nie pójdę.

- Nie pójdziesz? Idź, jeśli chcesz.

Daniel uśmiechnął się. Zamknął starannie i zarygłował drzwi. Marsall zamruczał i odstawił puste naczynie. Podeszedł chwiejnie do Daniela. Ten cofnął się o krok. Marsall wyciągnął łapy. Zmiał w garści koszulę brata.

- Boisz się mnie, prawda, kwiatuszku? Boisz się starszego brata.

Daniel cofnął się. Stał w drzwiach u podnóża schodów. Uśmiech nie opuszczał jego twarzy. Miał przejrzyste, niewidzące oczy, jak człowiek pogrążony w hipnozie.

- Rozprawię się z tobą - powiedział Marsall. Zamierzył się. Daniel odskoczył lekko i znalazł się na schodach. Marsall ruszył za nim. - Rozkwaszę ci tę ładną twarzyczkę, a wtedy bogaty pan nie zechce cię u siebie przyjmować.

Daniel był już w połowie schodów. Jego oczy wyglądały teraz jak zupełnie ślepe. Uśmiech zniknął, a twarz wykrzywiła się grymasem bólu. Drugi cios Marsalla dosięgnął jego piersi. Zachwiał się, ale nie upadł. Wyprostował się i chwycił Marsalla, wciągając go w górę. Dotarli do szczytu schodów. Splunął bratu w twarz. Ten ryknął wściekle. Daniel odskoczył, a Marsall puścił się w pogoń. Bracia znaleźli się w ciemnościach.

- Ty tego nie słyszysz - powiedział Daniel. - Ale księżyc...

Marsall chwycił go i obrócił. Daniel jęknął. Przez chwilę zdawało się, że walczą, Marsall z nim, a on z jakąś inną istotą. Nagle Marsall pchnął go w kierunku schodów. Zamierzył się. Daniel pokoziołkował w dół.

Leciał w kierunku kuchni, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Potem dał się słyszeć stłumiony odgłos padającego bezwładnie ciała. Marsall zerknął na dół.

Tam gdzie przez drzwi wpadała smuga światła, nie było nic. Daniel leżał w ciemnościach u podnóża schodów. Upłynęła chwila milczenia.

Nagle Daniel krzyknął przeraźliwie. Następny krzyk był jeszcze gorszy.

- Mój Boże, zabiłem go.

Marsall przywarł do ściany. W przeblasku świadomości przyszło mu na myśl, iż może powiedzieć, że Daniel sam spadł ze schodów. Nikt nie będzie go obwiniać. Nie było świadków.

Gdy rozległ się pierwszy przeraźliwy krzyk, Marsall usłyszał, jak drzwi sypialni Jenavere otwierają się na oścież. W mroku kobieta zbliżyła się do niego jak przestraszony ptak.

Łagodny odbłask lampy przedostawał się zniekształcony na korytarz.

- Co mu zrobiłeś?

Nie dotknęła nawet Marsalla, ale miał wrażenie, jakby go uderzyła.

- Spadł ze schodów. Idiota.

- Daniel! - zawołała kobieta. Spróbowała precyzyjnie się obok starszego syna, ale ten zagroził jej drogę.

- I tak mu nie pomożesz. - Jego wrzask wzniósł się nad krzykami Daniela. - Ma, na co zasłużył.

Jenavere także wrzasnęła dziko i ochryple.

Marsall podniósł ciężką pięść, aby zmusić kobietę do milczenia. Nagle zatrzymał rękę w pół drogi.

Straszliwe krzyki dochodzące z dołu już ucichły.

Marsall zszedł matce z drogi, ta jednak nie poruszyła się. Stali w ciemnościach pomiędzy odległym światłem obydwu lamp.

- Nie żyje - odezwał się Marsall.

Jenavere wydała z siebie słaby okrzyk niemej rozpacz, której nie sposób wyrazić słowami.

- Tak, wreszcie wyciągnął kopyta. Ten twój Daniel.

Dał się słyszeć jakiś cichusieńki odgłos, jak gdyby patyk albo odłamek węgla padł na kuchenne palenisko.

Marsall nie zwrócił na to uwagi. Zamierzał właśnie zejść na dół i obejrzeć zwłoki brata.

Zanim jednak postąpił krok naprzód, znów rozległ się jakiś dźwięk. Marsall zamarł w bezruchu, nasłuchując.

Dochodził gdzieś z głębi, jak gdyby czarna lawa bulgotała pod podłogą, i przypominał oddech bagna. W ciemnościach u podnóża schodów coś ryczało.

Marsall słuchał osłupiały z przerażenia. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, cofnął się o krok. Zupełnie nieświadomie. Powtarzał sobie, że to, co słyszy, to ostatnie chrapliwe oddechy umierającego.

Nagle cień u podnóża schodów poruszył się i wstał. Drewniane schody zatrzeszczały. Coś wspinało się na górę. Wolno i nieustępliwie. Stopnie jęczały po kolei pod ciężarem wchodzącego.

Dwa lśniące punkty zapłonęły krwawym blaskiem.

- Cofnij się! Już ja ci pokażę...

Pod dwoma krągłymi ognikami utworzyła się kolejna linia płomieni - palisada zębów.

To był Daniel. W jakiś dziwny sposób jego oczy i zęby zaczęły odbijać odległy blask lampy płonącej w sypialni Jenavere. Zbliżał się do brata na czworakach, zbyt poraniony, by stanąć na nogi.

Marsall zmusił się, by ruszyć naprzód. Znowu kopniakiem zrzucił Daniela ze schodów. Bo to przecież musi być Daniel. Tylko on leżał na dole w ciemnościach, pobity przez brata. Marsall zaczął schodzić po stopniach.

Nagle rozległ się dziwny trzask rozłupywanego drewna. Schody w fontannie drzazg rozleciały się na kawałki. Pojawiła się między nimi czarna łapa. Dotknęła nogi Marsalla i ogromne pazury niosące śmiertelną mękę wbiły się w jego łydkę. Teraz Marsall darł się jak opętany. Napastnik pociągnął go głową w dół. Ciało ofiary obijało się po schodach, aż wreszcie potoczyło ku drzwiom kuchni. Jakiś ciężar zwałił się na nie z głuchym łoskotem, tamując oddech mężczyzny.

Marsall leżał na wznak, skręcając się z bólu. To przestronne, oświetlone rzęsiście pomieszczenie było mu tak znajome.

Było jego schronieniem i legowiskiem. Tutaj się upijał, tutaj usługiwały mu kobiety. Tutaj jego ojciec siadywał jak lord i tutaj zginął.

Uświadomił sobie własną śmieszność - oto leży bezradny, zrzucony ze schodów. Ale zaraz wstanie i rozprawi się ze swym wrogiem.

Za drzwiami do oświetlonego wnętrza wpłynęła ciemność.

Nadal leżąc na podłodze, Marsall popatrzył w tym kierunku. Oczy wyszły mu na wierzch i znowu zaczął krzyczeć tak, jak przed chwilą robił to Daniel. Ciemność nie była bezkształtna. Było to jakieś zwierzę podobne do dzika, do wielkiej czarnej świni. Miało ogromny łeb. Połyskujące ślepia były teraz ciemne. Poniżej lśniły równe, potężne kły.

Oszalały z przerażenia Marsall próbował kopnąć zwierzę, wymachując nawet poranioną nogą. Ogromne zęby kłapnęły, ostre jak brzytwa.

Marsall zaczął krzyczeć, wzywając na pomoc Boga i swego ojca. Ogromna świnia z głową śmierci rozpruła mu brzuch. Splątane wnętrzności wypłynęły na podłogę. Krew rozprysnęła się fontanną po ścianach, zasyczała na kominku. Marsall nie przestawał krzyczeć. Nagle

zwierzę zbliżyło pysk do jego twarzy i rozszarpało to, co zostało jeszcze z ofiary, przerywając jej krzyk.

Zaległa cisza, tylko knoty lamp drżały delikatnie. Nagle dał się słyszeć rytmiczny oddech kobiety.

Bestia podniosła łeb. Spojrzała i zdawało się, że widzi. W drzwiach stała Jenavere. Ręce opuściła wzdłuż tułowia. Jak krwawa madonna przyglądała się ze spokojem całej scenie. Bryznęło na nią trochę krwi. Na szarym tle spódnicy widać było Jasnoczerwone kropki niczym subtelny haft.

Twarz kobiety nie wyrażała nic. Oczy miała przejrzyste.

Wyciągnęła rękę.

Bestia poruszyła się płynnie jak czarna wstążka.

- Chodź - powiedziała kobieta. - Chodź.

Zwierze podeszło do niej. Jenavere dotknęła jego gęstej sierści tam, gdzie krew skropiła ją szkarłatem. Pogładziła potężne czoło, gdzie uszy leżały jak wygięte liście. Zauważyła, że zwierzę nie ma genitaliów. Pozbawione zdolności prokreacji, nie było w stanie się odradzać.

Cielsko bestii przylgnęło do ciała Jenavere. Było gorące jak rozpalony piec. Kobieta nie czuła strachu. Była przepełniona radością.

Upłynęło kilka minut, po czym Jenavere przeszła przez kuchnię i otworzyła drzwi. Do wnętrza wpadło światło księżycy.

Bestia, która przed chwilą wypatroszyła Marsalla, przeszła obok Jenavere i zanurzyła się w mrok.

Staruszka zamknęła drzwi i z powrotem przeszła przez splamioną krwią kuchnię, mijając zwłoki syna. Jak pograżona w półśnie wspięła się po roztrzaskanych schodach. Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Godzinę po wschodzie słońca na farmie zjawiała się Rosamunde Ax. Ruszyła w drogę, jeszcze zanim na ziemię spłynęło pierwsze światło. Tuliła do siebie owinięte w kawałek koca maleńkie jagnię wydarte z martwej matki. Weszła prosto do kuchni.

Wszędzie było pełno ciemnych plam. Na podłodze leżały zwłoki Marsalla, obok nich jego wnętrzności i noga oderwana od tułowia.

Skuliła się jak wrona.

Z krzesła przy kominku przemówił do niej Daniel Vehmund.

- Zrób z tym porządek, Rosamunde.

Palce kobiety, umazane krwią owcy, zacisnęły się nerwowo. Skłoniła głowę i poczuła, jak zniewala ją bezlitosna siła tego człowieka. Jagnię zabeczało.

- Tak, odpowiedziała. - Tak, panie.

2.

Bajkowa rezydencja Hyperiona Wortha łagodnie ciemniała pod wiosennym kloszem zapadającego mroku. Pinakle sterczały wyraźnie na tle chłodnego nieba. Kiedy rozbłysły okna, złociste światło padło na białe rzeźby tłoczące się na tarasie. Długie trawniki ciągnęły się do ciekłego lustra jeziora. Drzewa wzdłuż lipowej alei porastał coraz grubszy płaszcz liści. Za dnia w gałęziach śpiewał drozd, który teraz już umilkł. Cisza otoczyła dom jak martwe wody. Najwyraźniej bogacz i jego żona spędzali ten wieczór w samotności. Najpierw zjedli obiad przy rześcicie oświetlonym stole pełnym lichtarzy i wina, potem przeszli na karty do salonu. Dyskretni lokaje usługiwali im, znikali zaś, gdy nie byli potrzebni. Na niebie wzeszedł księżyc. Jego surowa twarz odbiła się w tafli jeziora. Żona bogacza przeprosiła i samotnie wspięła się po schodach, zdążając do swych apartamentów.

Laura zamknęła drzwi na klucz i przeszła się po sypialni, wciąż zaskoczona, że to wszystko należy do niej.

Ściany wykładane atłasem. Niebieskozielone gobeliny z Francji. Łoże z baldachimem. Otworzyła szkatułkę z biżuterią. Wyciągnęła sznur pereł, naszyjnik i kolczyki ze szmaragdów, bransolety ze złota. Wyjęła brylant, który Hyperion kupił od sztukmistrza. Tego wieczoru kamień jakby zmatowiał, był zamglony i tajemniczy, małeńka skaza zaś rozmazała się bezkształtnie.

Nie wzywając pokojówki Laura zdjęła wytworną suknię, pantofle ze srebrnymi rozetkami, jedwabne pończochy, podwiązki, sztywne halki, a wreszcie obszyty lamówką gorset. Gdy była już naga, rozpuściła włosy.

Tak wyglądały wiedźmy, gdy odprawiały czary i tańczyły dla szatana. Samotne i nagie w swych kryjówkach. Laura wyprostowała najpierw jedną, potem drugą stopę. Tylko ręce miała zniszczone. Nigdy nie będą wyglądały jak ręce damy, chociaż teraz były znacznie bielsze i ozdobione pierścionkami.

Stała przed lustrem i włożyła na szyję posepnie wyglądający brylant. Klejnot spadł pomiędzy białe księżycy jej piersi.

Myślała o Danielu. Nie wspominała sceny sprzed dwóch dni, kiedy widziała go w sali balowej. Teraz wyobraziła go sobie tutaj, przy niej, razem z nią odgradzonego od świata drzwiami sypialni. Tym razem wpatrywał się nie w brylant, lecz w jej nagie białe ciało.

Z wazonu wyciągnęła różę. Przytuliła kwiat do brylantu między piersiami, po czym róża dotknęła kępki rudych włosów między udami dziewczyny.

A może wrócił. Może właśnie teraz przechadza się po parku wokół rezydencji.

Podeszła do okna i, zanim zdążyła się zastanowić, przyłgnęła całym ciałem do szyby. Dotyk zimnego szkła sprawił, że wstrząsnął nią dreszcz. Nie cofnęła się jednak. Myślała o Danielu, który stoi gdzieś w ciemnym parku i patrzy na nią.

Księżyc utonął w jeziorze. Zdawało się, że trawa stała się niebieska. Cienie drzew przecinały ją jak głuche rozpadliny.

Coś poruszyło się w ciemnościach. Laura dostrzegła niskie, czarne zwierzę, przesuające się od cienia do cienia.

Otarła się ciałem o zimną szybę. Brylant drasnął szkło. W ciemnościach zapłonęło nagle dwoje oczu, które po chwili znowu wtopiły się w mrok.

Jakaś bestia ukrywała się w ciemnościach i spoglądała na nią. Jakaś bestia, nie Daniel.

Rozkoszny dreszcz zniknął. Uświadomiła sobie nagle swoją nagość i ogarnął ją wstyd. Odeszła od okna i szybko narzuciła na siebie szlafrok. Zdjęła z szyi brylant i schowała go do szkatułki.

Usiadła przy kominku. Wyobraziła sobie, że spaceruje po lesie i nagle między drzewami zjawia się Daniel. A potem, że siedzi w salonie i on ukazuje się w drzwiach.

Na łąkach znaleziono czyjeś zwłoki. Słyszała, jak przyciszonymi głosami rozmawiali o tym dwaj lokaje, zazwyczaj zachowujący się cicho i dyskretnie. Ciało było rozszarpane na strzępy i mówiono, że zrobiły to wilki. Laura wyobraziła sobie, że stoi na wzgórzu przy kościółku, w którym brała ślub. W dole uczują wilki, a ścieżką zbliża się ku niej Daniel.

Następnego ranka Laura zeszła na dół, by zjeść z mężem śniadanie. Ostatnio robiła to coraz rzadziej. Hyperion przyglądał się jej znad talerza z szynką, półmiskiem jajek i gorącym chlebem.

- Żałuję, że wczoraj nie mogłem powiedzieć ci dobranoc. Miał na myśli, że żałuje, iż nie kochał się z nią ostatniej nocy.

Laura poczuła, że ogarnia ją znajome rozdrażnienie. Od pamiętnego dnia, w którym odbywało się przyjęcie, stroniła od męża. Wcześniej udawała się na spoczynek i zamykała na klucz drzwi sypialni.

- Byłam taka zmęczona.

- Oczywiście.

Ten człowiek ofiarował jej wszystko, myślała, a ona nie wypełniała swoich zobowiązań. Była bardziej hojna, kiedy cieszyła się jeszcze wolnością. Nagradzała go wówczas swoim ciałem, nie mając nadziei na zyskanie czegokolwiek. On jednak nie mógł się nią nasycić. Zazwyczaj, kiedy przychodził do jej sypialni, a robił to co noc, jeżeli na to pozwalała, kilkakrotnie szukał ciała żony, budząc ją delikatnie w ciemności, grzeczny w każdej sytuacji. A jednak drażniła ją pożądlivość męża i to, że musiała udawać zadowolenie od samego początku. Nie tęskniła szczególnie za swą poprzednią sypialnią, gdzie kładła się do łóżka ze złośliwymi siostrami. Teraz pragnęła samotnie cieszyć się możliwością odosobnienia, jaką ofiarował jej Hyperion, przestronną sypialnią i łóżem z baldachimem. Czy to rzeczywiście było takie proste? Kiedy oddała się Hyperionowi, nie знаła jeszcze syna Jenavere.

Przypomniała sobie noce spędzone niegdyś na farmie Vehmundów w sypialni Daniela. Myślała wówczas, że on nie żyje. Uciekła, nie mogąc znieść bólu Jenavere.

- Hyperionie, nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym wzięła powóz? Chciałabym odwiedzić panią Vehmund.

Przez moment patrzył na nią zdumiony, jak gdyby czytał w jej myślach, nic nie podejrzewając. Z pewnością jednak podejrzewał coś, nie mogąc jednocześnie przejrzeć jej zamiarów.

- Powóz? Oczywiście, kochanie. Przejażdżka dobrze ci zrobi. - Po czym dodał: - Pani Vehmund musi teraz czuć się znacznie lepiej, od kiedy syn wrócił do domu. - A wreszcie zapytał: - Jak ci się podobał?

- Nie jest podobny do matki - odparła spokojnie.

- Doprawdy? Zdawało mi się, że jest wręcz przeciwnie, że jest do niej bardzo podobny. Z wyjątkiem manier, bardziej grubiańskich, niż się spodziewałem.

- Pokojówka mówiła mi, że podczas przyjęcia krążyły plotki, jakoby Daniel Vehmund dorobił się za granicą ogromnej fortuny.

- Bardzo możliwe. A niechże mu się wiedzie. Zwróciłaś uwagę na jego oczy?

- Jego oczy? - powtórzyła Laura. Czyżby Hyperion ją sprawdzał?

- Zupełnie mnie zauroczyły - powiedział Hyperion w sposób, w jaki powinna raczej wyrazić się kobieta. - Były dzikie. Jak gdyby jakieś pogańskie bóstwo wyszło z lasów, żeby zadrwić sobie z naszych cywilizowanych rozrywek.

- Co za fantazja.

Hyperion wypił herbatę, choć nie był spragniony.

- Koniecznie pozdrów go ode mnie.

- Och, wątpię, abym zastała go na farmie.

- W każdym razie unikaj spotkania z tym drugim, Marsallem.



- Zawsze tak robię - odparła.

Przyglądała się mężowi, wspominając swoje dawne życie wiejskiej dziewczyny, kiedy odwiedzała farmę Vehmundów, by za pieniądze dotrzymać towarzystwa Jenavere. Twarz Hyperiona nie wyrażała chęci posiadania, nie traktował Laury jak swojej własności. Był uczciwym człowiekiem, honorowym i nieskazitelnym. Nagle ogarnęło ją tak wielkie współczucie dla niego, że zadrżały jej ręce i odstawiła filiżankę.

- Musisz wrócić na obiad - powiedział Hyperion. - Będę za tobą tęsknił, moja kochana.

- Tak, oczywiście.

O ileż lepiej wysławiała się, od kiedy była z Hyperionem. Ale ostatnie zdanie wypowiedziała z rezygnacją. Gdyby tak nadal była wiejską dziewczyną, zwykłą dojarką, gdyby zjawiała się na farmie, żeby dotrzymać towarzystwa Jenavere i zastała tam Daniela, który powrócił do domu z dalekiej podróży - tego młodego boga - wilka, którego wychwalał Hyperion.

- Pamiętaj, kochanie - odezwał się Hyperion. - Jeżeli wrócisz po zachodzie słońca, nie wysiadaj z powozu, dopóki nie dojedziesz do alei. Ostatnio zdarzyło się kilka wypadków.

- Chodzi o tego człowieka, który polował na ómy? Słyszałam, jak rozmawiała o tym służba.

- Nie powinni mówić o takich rzeczach, kiedy ty możesz to usłyszeć. Ale to prawda, właśnie on. I jeszcze pewien pasterz. Jego owcom nic się nie stało, ale on... no, cóż, on zginął.

- Wilki nie są zazwyczaj aż tak agresywne - powiedziała jakby nieobecna. Już była w drodze, jechała turkoczącym powozem między wyżynami i stromizną szczytów, do których przylgnęły drzewa. Jechała w kierunku pastwisk otaczających farmę, w kierunku rozciągającego się dalej lasu, z którego kiedyś uciekła.

- Może to jakiś szaleniec - odezwał się Hyperion. - Człowiek, a nie biedne wilczysko. Nie chcę, żeby ci się coś stało.

Laura uśmiechnęła się i podziękowała. Hyperion wstał od stołu i, nie kończąc śniadania, odszedł w głąb domu.

Podróż minęła Laurze w napięciu. Zdawało jej się, że przemierza dziwną, nieznaną okolicę. Patrzyła na wszystko, jakby dotychczas było jej obce, jakby nagle odkryła w tym groźbę. Ogarnęło ją gwałtowne podniecenie. Ale wśród jej uczuć dominowało poczucie winy. Dlaczego jednak miałyby czuć się winna? Zaniedbywała dotychczas Jenavere Vehmund i teraz pragnęła to naprawić. Daniela z pewnością nie będzie na farmie, bo takie czy inne sprawy na pewno zatrzymywały go poza domem.

Było już po dwunastej, kiedy powóz zatrzymał się przy drodze. Laura wysiadła i samotnie wspięła się na wzgórze, po czym zeszła po zboczu ku dolinie, w której widniały zabudowania farmy. Buki przywdziały płaszcz czystej, ciemnej zieleni. Z drzew w sadzie opadły kwiaty. Przystanąła na moment na drodze, wpatrując się w otoczony drzewami kamienny dom. Nie dostrzegła żadnych zmian. Z kominów unosił się dym, po podwórzu chodziły kury dziobiąc ziarno. Wszystko wyglądało jak dawniej.

Gdy podeszła bliżej, spostrzegła, że drzwi kuchni są zamknięte. Jako dama powinna zbliżyć się pewnie do drugiego wejścia. Podniosła dłoń w perłowej rękawiczce, opasaną srebrną bransoletą, i zastukała.

Spodziewała się, że otworzy jej Rosamunde Ax lub jedna z pokojówek. I rzeczywiście w drzwiach stanęła Rosamunde.

- Słucham - odezwała się stara nie kryjąc lekceważenia, które nie było jednak przeznaczone dla Laury Wheelwright. Najwyraźniej Rosamunde nie poznawała dziewczyny, która przychodziła kiedyś na farmę, żeby zarabiać czytaniem, w tej damie w kapeluszu z piórami i rękawiczkach.

.- Chciałam zobaczyć się z panią.

Rosamunde też była zmieniona. Skurczyła się jakby, a w jej wyglądzie rzucały się w oczy tylko najważniejsze cechy. Jej piktyjskie<sup>4</sup> pochodzenie nie było nigdy bardziej wyraźne. Kobieta była ogorzala, ciemnowłosa. Jej drobne, żylaste, pomarszczone ciało przypominało gorzki orzech. Nieprzyjazne, zwierzęce oczy spoglądały na Laurę złośliwie, ale nieobecny wzrokiem. Jak gdyby stara słuchała jakiejś piskliwej pieśni swoich ziomków, której dźwięki nie docierały do przybyłej.

- Pani jest chora - odparła Rosamunde.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała pospiesznie Laura, żeby tylko nie zostać odprawiona. - Przywiozłam jej coś na poprawę samopoczucia. - W koszyku leżały uprawiane w oranżerii brzoskwinie i inne niezwykle owoce.

Rosamunde rzuciła na nie okiem. Nagle jakby wreszcie poznała, z kim ma do czynienia.

- No to niech idzie na górę - powiedziała z grubiańską obojętnością, jak gdyby zwracała się do dziewczyny od krów.

- Lepiej ty idź pierwsza i zaanonsuj mnie.

Rosamunde zgarbiła się. Wzrokiem posiadacza powiodła po kuchni, która stała się widownią morderstwa. Mogłaby powiedzieć, że to jest jej wyłączone królestwo. Nagle jednak odwróciła się i zaczęła zmierzać w kierunku schodów.

Laura, wbrew temu, co powiedziała, ruszyła tuż za nią. Gdy znalazła się na schodach, w nikłym świetle zobaczyła zdumiewające zniszczenia.

- Co tu się stało?

- To pan Marsall - odparła Rosamunde.

- Co, czyżby spadł?

- Nie - było jedyną odpowiedzią staruszki.

Laura ominęła połamane stopnie, z których wystawały ostre drzazgi. Marsall Vehmund musiał tego dokonać w pijackim szale. A gdzie jest teraz? Hyperion wspominał, że Marsall nie jest już u niego na służbie.

Rosamunde dotarła do pokoju Jenavere. Zastukała silnie i weszła do środka, zamykając za sobą drzwi.

Laura została na korytarzu. Ręce jej się trzęsły. Piękne włosy powoli zjeżyły się na karku. Nic się nie poruszyło. Słyszała jedynie śpiew ptaków.

Rosamunde wyszła.

- Można wejść.

Laura przeszła koło staruszki lekkim krokiem i sama zamknęła za nią drzwi.

Pamiętała Jenavere jak postać z obrazu, siedzącą prosto w fotelu z przegowanym kotem na kolanach. Wtedy była zima. Ściana chłodu przywarła do okna, a Laura tęskniła za roziskrzonym powietrzem na zewnątrz. Teraz wszystko wyglądało inaczej, jak gdyby przewróciła w książce kolejną stronę. Nie było tamtej Jenavere. W łóżku, wsparta o poduszki, leżała nowa, wiosenna Jenavere. Jedyną barwną plamą była pikowana kołdra z kolorowych latek. Chora nie wyglądała staro, ale zdawało się, jakby obciążony skórą szkielet był w środku pustej. Włosy miała zaplecione w długie, cienki warkocz jak mała dziewczynka. Jej twarz także przypominała twarzyczkę dziecka, była tak czysta i pozbawiona wszelkiego wyrazu, poza odległym spojrzeniem nieśmiały oczu. Aby podkreślić jeszcze niewinność tej sceny, w szalu obok kobiety leżało jagnię. Chora trzymała dzbanuszek z mlekiem, a jagnię ssało jego dzióbek.

Jenavere popatrzyła na Laurę oddalonym, jak zwykle, spojrzeniem, tym razem jednak zdawało się, że duchem jest jeszcze bardziej nieobecna.

- Och, Lauro, jak pięknie wyglądasz. Jakże służy ci to nowe życie?

Wspaniałomyślność Jenavere zirytowała Laurę. Miała ochotę potrząsnąć chorą i zawołać: „Ale co z tobą? Dlaczego nie narzekasz?”

---

<sup>4</sup> Piktowie - dawni mieszkańcy Szkocji (przyp. tłum.).

- Miewani się zupełnie dobrze - odparła Laura. - Przykro mi, że pani jest chora.

- Tak - powiedziała Jenavere.

- Miałam nadzieję, że pani... - Laura zająknęła się - że pani syn... jego powrót... że dzięki temu nabierze pani sił.

- Tak było - odparła Jenavere. Jej oczy wyglądały, jakby była w transie; stały się opalizująco szkliste. - A potem coś się stało. Cieszyłam się. Szalałam z radości. Spadła na mnie zbyt wielka radość, Lauro. Zwaliła mnie z nóg jak nagły cios. Czy to nie dziwne? Ostawać się tak długo o chlebie i wodzie, i oto wino cię zabija.

Dziewczyńskie serce zaczęło podchodzić do gardła jakby w przypiływie strachu. Bijące tętno przypomniało jej o ciężkiej kropli ciepła leżącej na sercu, pod ubraniem.

- Co się stało, Jenavere?

Chora zamrugnęła. Spuściła oczy, patrząc na jagnię, które trącało ją nosem, prosząc o więcej mleka. Zanurzyła palce w białym płynie i dała je zwierzątku do ssania.

- Stało? Och, to sen, Lauro. Zły sen nagle się sprawdził. Wydostało się na zewnątrz coś, co było gdzieś głęboko we mnie. - Laura, dziwnie zaniepokojona, nie rozumiejąc ani słowa, przyglądała się chorej. - Ale tego było już za dużo, ponad moje siły. Chyba właśnie to odebrało mi zdrowie.

- Musi pani wypoczywać. Wróć pani siły, gdy nastaną piękne dni.

Mówiła jak głupia, wiejska dziewczyna.

- Wątpię. Czuję, że coś we mnie pękło, rozprysnęło się jak cienkie szkło. Co teraz? Teraz już po wszystkim.

- Nie wolno pani tak mówić. Ze wszystkich sił musi pani starać się wyzdrowieć.

- Po co? - odparła spokojnie Jenavere.

- Dla... dla niego - powiedziała Laura.

Jenavere jakby dopiero teraz spostrzegła Laurę. Nie tylko jej powierzchowność, pióra i aksamit, ale to, co kryło się w środku. Popatrzyła na to z ledwo widoczną wrogością, która po chwili zniknęła w hipnotycznym spojrzeniu jej oczu.

- On już nie jest mój.

- Co to znaczy?

- Widziałas go, Lauro. Widziałas mojego syna.

Laurę ogarnęło zdenerwowanie. Krew napłynęła jej do twarzy. Opanowała się i zaczęła bezmyślnie bawić się koszykiem pełnym owoców.

- To dla pani. Owoce z bajkowej oranżerii Hyperiona. Tak, widziałam Daniela Vehmunda. Ale tylko przez chwilę.

- Na Wschodzie poznał różne tajemnice.

- Jakie tajemnice? O czym pani mówi?

- Nie wiem, Lauro. To bez znaczenia. Wybacz mi. Łatwo się męczę...

Laura położyła owoce na stole. Jagnię nie przestawało ssać. Było bardzo małe, ale ruchy miało agresywne. Zdawało się, że wysysa życie z palców Jenavere, która wykarmiła przy piersi dwóch synów.

Laurę znowu oblał rumieniec. Tak jak poprzednio zapragnęła uciec od Jenavere, schorowanej i widzącej tak wiele.

- Nie mogę pani zamęczać. Ale przyjadę jeszcze wiosną...

- Ten pokój będzie już wtedy pusty.

- Jenavere! - Laura była teraz zbyt dystygowana, aby nie okazać przerażenia.

- Zostań jeszcze chwilę - powiedziała Jenavere karmiąc dziwne jagnię. - Przejechałaś taki szmat drogi. Lada chwila będzie tu Daniel.

Zamiast zaczerwienić się, Laura poczuła, że tym razem błędnie.

- Myślałam, że jest na polu. Musi być ciężko... od kiedy Marsall sprzedał farmę. Poza tym Marsall...

- Marsall zniknął - powiedziała cicho Jenavere. Jej twarz była teraz gładka jak pokrywa śnieżna, bez najmniejszej bruzdy. Oczy pociemniały. - Jeden z jego kompanów przyszedł pytać o niego. Byliśmy pewni, że Marsall jest z nimi, ale okazało się, że nie. Wyszedł po południu i nie wrócił.

Laura podchwyciła temat. Udała zatroskanie.

- Rozpoczęto poszukiwania?

- Jego przyjaciele szukają przez cały czas. Jak dotąd nie mamy żadnych wieści.

Laura przypomniała sobie sposób, w jaki Jenavere zwykła mówić o Marsallu, jej drobne uwagi, wyrażenia. Pomyślała o rozpacz i przerażeniu tej kobiety, kiedy wszyscy myśleli, że Daniel zaginął.

- Wyszedł z domu bez broni? - zapytała Laura, po czym dodała ostrożnie: - Były wypadki zagryzienia przez wilki. Ale Marsall jest przecież bardzo silny.

- Słyszeliśmy o tych wypadkach z wilkami - powiedziała Jenavere. Wyglądała na zadowoloną i senną. - Tak, wyszedł bez broni.

„Przypuszcza, że jej syn zginął i jest zadowolona”. Pierwotna natura Laury przyjęła to ze spokojem. Marsall był potworem.

- Pewnie wkrótce otrzyma pani jakieś wiadomości - powiedziała. Przypomniała sobie napomnienie Jenavere, że lada chwila zjawi się tu Daniel. Zaczęła się zbierać, jakby szykując się do wyjścia. Serce waliło jej młotem. W tej samej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Jenavere poprosiła syna, żeby wszedł. W jej oczach zapłonął tryumf, gdy przelotnie popatrzyła na Laurę. W sypialni stanął Daniel Vehmund.

Był tylko człowiekiem. Mięśnie dziewczyny zwiotczały i poczuła rozczarowanie tak nikłe, że ledwie rozpoznawała, co czuje. Mężczyzna był taki młody, przystojny, złocisty. Nagle zwrócił oczy na Laurę. Jakby wcale nie dziwił się, że przyszła. Dziewczyna ze spokojem czekała, aż nastąpi między nimi wymiana grzeczności.

Nagle jednak, jak dźwięk następujący po błysku światła, dotarło do niej, że Daniel naprawdę tu jest.

W jednej chwili stał się ogniem, sięgającym do sufitu, płonącym na jej ciele, strasznym.

Zaczęły wstrząsać nią gwałtowne dreszcze. Brylant między jej piersiami, który włożyła specjalnie dla niego, drgnął, jakby był żywą istotą.

Za wszelką cenę musi przestać patrzeć na mężczyznę. Odwróciła oczy jakby z lekceważeniem i wbiła wzrok w okno.

- Jak to miło - odezwał się Daniel - że małżonka pana Wortha odwiedziła moją matkę.

- To żadna uprzejmość z mojej strony. - Laura z trudem wydobywała głos z krtani. - Już dawno powinnam odwiedzić Pańską matkę. Kiedyś przychodziłam tu, żeby czytać pani Vehmund.

- Ale wtedy była pani wiejską dziewczyną.

Jenavere nie powiedziała ani słowa, nie wtrącała się. Obok niej leżało skulone jagnię. Przestało już ssać i zasnęło.

Laurę ogarnął strach. Niewiele brakowało, żeby wpadła w panikę. Co ma teraz robić? Nigdy nie powinna tu przyjeżdżać.

- Mój mąż - powiedziała - stara się, żebym zapomniała o swym pochodzeniu.

- To wcale nietrudne.

- Przypuszczam, że powinnam podziękować panu za komplement. Ale nie wstydzę się swego niskiego urodzenia.

- Chodziło mi o to - odparł Daniel - że wcale nie wygląda pani na wieśniaczkę. Raczej na przepiękną damę z innej planety.

I Laura poczuła się piękna. To odkrycie poraziło ją. Czowała wręcz własną urodę zdobiącą ją jak ubranie.

Patrzyła na mężczyznę w jakimś rozpaczliwym zdumieniu.

Daniel natomiast przeszedł przez pokój i zbliżył się do łóżka, w którym leżała matka. Podniósł dłoń chorej i przytrzymał w swojej.

- Jak się czujesz?

Laura była poruszona jego czułością. Nagle zalała ją fala zazdrości.

- Muszę się teraz przespać - powiedziała Jenavere do syna. - Zabierz Laurę do salonu i powiedz Rosamunde, żeby zrobiła herbatę.

Laura przypomniała sobie, że dawniej nigdy nie zlecano Rosamunde podobnych czynności.

Daniel delikatnie położył na kołdrze dłoń Jenavere, jak gdyby był to wiotki kwiat. Śpiące jagnię nie poruszyło się. Oczy chorej były zimne i nieprzyjazne, kąciki ust opadły ze smutkiem. Nagle uśmiechnęła się do Laury wyrozumiale. Jej powieki opadły.

Daniel otworzył drzwi i Laura wyszła na korytarz. Czowała na sercu ciężar ulgi i narastający strach.

Salon znajdował się w tylnej części domu. Było tam chłodno i pachniało stęchlizną. Nie wietrzono go i nie palono w kominku, gdyż od wielu lat nie przyjmowano tutaj gości. I chociaż pokojówki ścierały kurze, zasłony były ciężkie od pajęczyn.

- Proszę, niech pani siada. Mam posłać po herbatę? - mówił zdawkowo i ironicznie.

- Nie, dziękuję. - Nie byłaby w stanie przełknąć czegokolwiek. Stała na środku pokoju. Mężczyzna przypatrywał się jej zza stołu, na którym postawiono półmisek woskowych jakby owoców.

Obydwoje czuli śmieszność całej sytuacji. On reagował wyraźną, choć skrywaną uciechą, ona niemal przerażeniem. To Jenavere sprowokowała sytuację, a oni poszli za jej radą, jak gdyby nie mogli postąpić inaczej.

- Ogromnie mi przykro, że pani Vehmund jest taka chora. Czy nic nie można zrobić?

- Nic - zbył ją szorstko Daniel.

- Doznała jakiegoś szoku - odezwała się znowu Laura.

- Na to wygląda.

- A teraz jeszcze zaginął pański brat.

- Marsall? Tak, rzeczywiście. Na pewno leży w jakimś rowie pijany jak bela.

Nagle roześmiał się. Laurą wstrząsnął dreszcz. Jak gdyby jakiś mocny trunek spłynął jej do żołądka.

- Nie jest pan zaniepokojony, panie Vehmund?

- Ani trochę. Chciałbym, żeby nie żył.

- Żywi pan urazę...

- Nic z tych rzeczy. Po prostu czysta złośliwość, Lauro. - Obrócił na nią lśniąco ożywieniem oczy. - Jeżeli wolno mi tak się do pani zwracać. Dlaczego nie? Prawda? Nie znam pani jeszcze wystarczająco długo, ale i tak nie może pani być dla mnie bogatą panią Worth. Dla mnie ma pani jedno imię. Zamierzam powiedzieć, że nie chcę przed panią udawać. Że chcę mówić to, co czuję. Ojca także nienawidziłem. Szalałem z radości, kiedy dowiedziałem się o jego śmierci. Ale chyba nie przeraża pani to, co mówię? Prawda?

- Przeraża mnie, i to bardzo. To właśnie ma pan na celu?

- Nie mam żadnego celu. Tego właśnie nauczyłem się podczas podróży. Trzeba po prostu być. Ja żyję, Lauro. Wyczułem istotę własnej duszy, jeśli nawet jej jeszcze nie poznałem. Przerażające i cudowne zjawisko.

- Jestem zbyt naiwna, aby zrozumieć tajemnice, jakie pan Poznał na Wschodzie.

- Ale przecież ma pani brylant - odparł Daniel.

Laura wzdrygnęła się. Na jej piersi jak kula ognia lśnił klejnot. Czyżby Daniel widział go przez materiał sukni?

- Podarował mi go Hyperion.

- Hyperion był tylko narzędziem. Pewnej nocy, w lichej chacie, brylant ukryty w naczyniu z alkoholem dotknął moich ust. Znalaziono go w grobie, w jelicie jakiegoś króla. Czuję się związany z tym klejnotem. Gdzie jest teraz?

- W mojej szkatułce na biżuterię - odparła Laura.

- Nie włożyła go pani dla mnie? - zapytał. Laura cofnęła się o krok.

- Dla pana? Skądże znowu.

- Czy wiesz, Lauro, że potrafię wyczuwać jego obecność? Podobnie jak za dnia czuję obecność księżycy. Czy zdajesz sobie sprawę, że księżyc ryczy? On nawołuje, ciągnąc łańcuchy przypliwów i odpływów. A ten brylant jest taki jak księżyc.

- Muszę... naprawdę muszę już iść - powiedziała Laura.

- Przejechała pani kawał drogi.

- Żeby odwiedzić Jenavere.

Daniel okrążył stół. Cały pokój spowiła matowa, bezbarwna mgła. Laura czekała, obserwując, jak mężczyzna zbliża się do niej.

- Proszę bardzo - powiedział.

Jednym ramieniem objął ją w talii, drugą ręką złapał dziewczynę za gardło. Poczula, że traci oddech i poddała się. Oczy mężczyzny płonęły; wyglądały, jak wypełnione żółtą wodą, która ją pochłonęła.

Ledwie uświadomiła sobie, że ich wargi złączone są w pocałunku i szaleńczo wpijają się w siebie. Rozumiała tylko, że połączyli się i zatracili się w tym zjednoczeniu. Jej ciało wygięło się w łuk. Nie czuła pod stopami podłogi; zawisała w powietrzu. Dookoła zaległa ciemność. Była noc. Mężczyzna wprost pożerał ją, a ona poddawała się temu całkowicie.

Próbowała się uwolnić. Gwałtownie wyszarpnęła głowę. Daniel puścił ją.

Dysząc, stała w jakimś nieokreślonym miejscu, gdzie jedyną oprócz niej istotą był Daniel.

Nic nie powiedział. Żądza malująca się na jego twarzy niemal rzuciła Laurę z powrotem w jego ramiona.

Dziewczynie zdawało się, że tonie. Niektóre kosmyki włosów rozplotły się i opadły. Odzież była jakby poszarpana i ciężka od wody. Dowlokła się do drzwi tego nie używanego pokoju i wyszła na korytarz. Szła przez dom, nie widząc go, i nie spotykając nikogo. Wreszcie znalazła się w zalanym słońcem ogrodzie. Co to za miejsce? Jak tu trafiła? Nie mogła biec. Pióra na kapeluszu, spódnice, gorset krępowały jej ruchy. Stopy miała jak z ołowiu, do jej szyi uwiązano kamień. Najszybciej jak mogła wspinała się po zboczu w kierunku leżącej poniżej wzgórza drogi.

Po zachodzie słońca Rosamunde Ax weszła do pokoju Jenavere. Dołożyła do ognia, stawiając w kominku zamki z drewnianych szczap. Wyjęła z dzbanka zwiędłe kwiaty, a na ich miejsce wstawiła miękką poduszczkę zawilców. Gdy zbliżyła się do obramowania kominka, zatrzymał ją w miejscu cichy głos Jenavere:

- Nie zapalaj lampy. Ogień wystarczy.

Cień Rosamunde padł na okno. Nad grzbietami wzgórz pojawiła się pierwsza gwiazda.

- Mam przynieść herbatę?

- Nie, dziękuję.

- Na kolację ugotowałam dla pani zupę.

- To miło. Czy możesz przynieść trochę mleka dla owieczki?

- Dochodzi do siebie - powiedziała Rosamunde. - Będzie żyła. Jenavere nie odpowiedziała. Jagnię spało przytulone do jej boku. Mogło tu leżeć spokojnie, gdyż pozbawiona sił kobieta nie poruszała się prawie.

Rosamunde stała w nogach łóżka. Za jej plecami ogień rzucał czerwony blask. Wyglądała jak duch ciemności. Jenavere spokojnie przyglądała się służącej. Na kilka minut obydwie

kobiety zamarły w bezruchu, jak gdyby rozmawiały, żadna jednak nie powiedziała nawet słowa. Nagle Rosamunde pokiwała głową, ruszyła do drzwi i wyszła.

Wkrótce potem do pokoju wszedł Daniel.

Ucałował matkę. Była lekka jak muszelka, unosząca się na wodzie.

- Nie potrzebujesz lampy?

- Tak jest lepiej dla moich oczu.

- Spokojne światło - powiedział Daniel. - Spokojne, angielskie światło.

Usiadł na skraju łóżka.

- Jak tu teraz cicho - powiedziała po chwili Jenavere. - Tak.

- On już nie może hałasować.

- Marsall - powiedział Daniel.

- Marsall.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Ogień trzaskał na kominku, wijąc się ku szczytom płonących drewnianych zamków. Jenavere odezwała się wreszcie bardzo cicho:

- Nie wolno ci myśleć, że mi to przeszkadza. To nie ból odebrał mi siły.

- Wiem, mam.

- To sprawiło moje zwycięstwo. Obrońca, który wyszedł z mroku nocy. Jak gdyby przybył z ciemnej strony mojej duszy. Powodowany moją wolą.

- Co widziałaś? - zapytał Daniel. - Możesz mi opowiedzieć?

- Widziałam bestię - odparła kobieta. - Bestię z samego jądra nocy.

- Jak wyglądała? Czy była podobna do wilka?

- Nie. Właściwie nie przypominała żadnego zwierzęcia.

- Tak myślałem.

- To był potwór, który drzemał na dnie serca, w głębi duszy.

- To byłem ja sam, matko.

- Każdy z nas - odparła Jenavere. - Jeżeli tylko potrafilibyśmy przybrać taką postać.

- Nic nie pamiętam. Ale bestia znała cię.

- Nie czułam strachu. To był mój tryumf. Marsall wyszedł z mojego łona, był moim synem, a jednak cieszyłam się. Ciekawe, kiedy odnajdą ciało, a raczej jego szczątki.

- Lada dzień.

- Mówisz, że porzuciłeś je na grobie ojca? - zapytała. - Tak.

- Pomyśl, że padł tam pijany, a one go zaatakowały.

- O ile Rosamunde nikomu nie powie prawdy.

- Rosamunde to twoja niewolnica. Kiedyś należała do niego, ale potem ty stałeś się jej panem. Zrób, co tylko chcesz, a ona i tak nikomu nie powie.

- Jaki dziwny jest teraz ten dom - powiedział Daniel. - Dwie wierne kobiety opiekują się demonem.

- Jest jeszcze jedna - odparła Jenavere.

Daniel popatrzył na nią, po czym odwrócił wzrok.

- Opowiadałem ci już kiedyś o tym brylancie. Teraz ma go Laura.

- Ona jest tobie przeznaczona - powiedziała Jenavere. Czują chłód. W jej oczach połyskiwał ogień. - Mój czas już się skończył.

- Nie mów tak.

- Wkrótce umrę. W każdej chwili spodziewam się śmierci.

- Nie... - powiedział Daniel, w tym momencie równie bezsilny jak matka.

- Nie ma innego wyjścia - powiedziała. Wzięła syna za rękę.

- Laura będzie twoja.

- Jest mężatką.

- Jakie to ma znaczenie? Ty jesteś ponad ich prawem.

- Tak - odparł Daniel. - To rzeczywiście nie ma znaczenia, tak jak mówisz.

Po chwili Jenavere zaczęła powoli mówić do syna:

- Niech ci się nie wydaje, że jestem cierpliwa i pogodzona z losem. Jestem taka jak ty. Mam w sobie Zło, ale nigdy nie pozwoliłam mu żyć własnym życiem. A teraz jest już za późno. Muszę odejść. Żyj za mnie, Danielu. Bądź okrutny, groźny, bądź panem. Rządź w tym domu tak, jak mnie nigdy się to nie udało.

- Jestem silny - powiedział Daniel - ale to ja służę bestii. Nie mogę być panem. Jestem większym niewolnikiem niż Rosamunde.

- Kto wie - odparła Jenavere.

- Ja to wiem.

- Uda ci się to zmienić?

- Już za późno - odparł, po czym roześmiał się, ciszej niż trzask ognia na kominku.

Jenavere zmarszczyła brwi.

- Nie mam przed sobą przyszłości - powiedziała - ale nie boję się. Coś tam jest, za tym światem. Teraz to rozumiem. Niemożliwe, aby to już było wszystko.

- Nigdy nie powinienem cię opuszczać.

- A teraz ja ciebie opuszczę.

Daniel patrzył uważnie na matkę, a ona obserwowała twarz syna. Szukała na niej wyrazu jakiegoś wielkiego smutku, przypominając sobie zapewne, jak bardzo Daniel rozpaczał, kiedy ją opuszczał jako dziecko i jak, ostatnim razem, po zamordowaniu pierwszego potwora - jej męża - w oczach syna pojawiły się gorące łzy. Ale teraz spojrzenie miał tylko lśniące, skupione i współczujące. Był ponad smutkiem. Należał już do przyszłości, której ona miała już nie zobaczyć.

Zwłoki Marsalla znaleziono pewnego pięknego poranka. Leżały na grobie na wzgórzu i gniły. Uwijały się przy nich drobne stworzenia.

We wsi rozpoczęto śledztwo. Z miasta przybył człowiek, który poprzednio zajmował się przypadkami śmierci pasterza i Ossitera. Zarówno werdykt, jak i rezultaty poszukiwań w niczym nie odbiegały od tamtych spraw. Rozpoczęto polowanie na wilki, ale na próżno. W okolicy nie spotkano ani jednego.

Marsalla pochowano pospiesznie, jak gdyby było to coś wstydlivego. Daniel uczestniczył w obrzędzie, podobnie jak brał udział w śledztwie. Na pogrzebie było także kilka osób służących na farmie. Towarzysze Marsalla, z którymi popijał, nie pojawili się.

Nikt więcej nie zginął, a gdy minął miesiąc od tragicznych wydarzeń, strach, jaki wywołały, przybladł.

Laura stała w towarzystwie męża na szczycie zielonego wzgórza.

Było złociste popołudnie. Pod nimi rozciągał się park Hyperiona: gładkie trawniki, połyskujące kępy krzewów, między którymi stały rzeźby, oazy drzew, ogromne jezioro usiane białymi sylwetkami kaczek, altana. W dali stał dom. Szyby okien odbijały światło.

Laura z całych sił starała się grać rolę szczęśliwej i rozradowanej. Udało jej się niemal oszukać samą siebie. Hyperion usiłował odgadywać jej życzenia, zanim jeszcze wypowiedziała je głośno. Rozmawiali na tematy poważne i błahe. Nic nie mogło ująć ich uwagi: kontury parku, przelot ptaków. Nie wspominali ani słowem o tamtej nocy, kiedy odbywało się przyjęcie i kiedy z takiego samego wzgórza spłynął w ciemność przeraźliwy krzyk.

- Cały czas myślę o balonie - powiedział Hyperion.

- O balonie? - zapytała z ożywieniem Laura.

Hyperion zapatrzył się w szczyty drzew swojego królestwa. Otoczony bogactwami, traktował takie rzeczy jak ogromne zabawki.



- Tak, o balonie na gorące powietrze. Wyobraź sobie, jak dryfuje po niebie i siada na trawniku przed domem. Kolorowy jak motyl. Jakie to malownicze.

- I będziesz nim latał?

- Tak, razem będziemy latać, ty i ja. Do nieba i z powrotem.

- Jestem pewna, że gdyby udało się trafić do nieba, jedyną możliwością powrotu byłby upadek. - Natychmiast dostrzegła, że popełniła błąd, wypowiadając te słowa. Zdumienie Hyperiona przekształciło się w smutek.

- Jeżeli znajdziemy niebo, to zostaniemy tam, Lauro - powiedział.

- Oczywiście - odparła Laura. - Kto chciałby stamtąd odchodzić?

Hyperion poważnie uśmiechnął się do żony.

- W raju zawsze musi istnieć jakiś kusiciel. Cała sztuka w tym, żeby mu nie ulec.

- A może zdeptać go - odparła Laura z zawziętością. - Pobić na śmierć.

- To zbyt brutalne, Lauro. Gdy w raju choć raz przeleje się krew, na zawsze przestaje być rajem.

- W takim razie to beznadziejne - rzekła. - Jeżeli nie podejmuje się walki.

- Nie będę walczył o coś, co jest już stracone - stwierdził Hyperion.

- Kto mówi, że jest stracone?

- A nie jest tak, Lauro?

Kobieta spuściła oczy, patrząc na zieleń pod swymi stopami, w której rozkwiatały kwiaty. W gałęziach zaśpiewał kos. Jeszcze dziesięć minut temu zwróciliby na niego uwagę i zachwyciliby się, jak gdyby nigdy dotąd ludzie nie słyszeli jego śpiewu.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła Laura. - Jestem twoją żoną. Dałeś mi wszystko.

- A co takiego da ci Daniel Vehmund? - zapytał Hyperion.

- Nic - odparła. - Nic, co zgodziłabym się wziąć.

- Może już tak cię zauroczył, że nie masz wyboru.

- Dlaczego poddajesz mnie próbie - zapytała. - Nie widzisz, że chcę być uczciwa? Myślisz, że jestem zwykłą dziwką?

- Mam wrażenie, jakby zarzucono na ciebie sieć - odparł Hyperion. - Walczysz i opierasz się, ale nie jesteś w stanie się wyplątać.

- Wiec mi pomóż.

- Gdybyś tylko zechciała. Co mam zrobić?

- Przestań mówić o rajskich kusicielach. To nie jest zadem raj.

- Ależ tak, dla mnie tak. Kobieta westchnęła.

- Dajesz mi zbyt wielką władzę.

- Nie, ja jedynie ją uznaję.

- Przeceniasz mnie. Jestem tylko Laurą.

- A kim jesteś dla niego? - zapytał.

- Bóg jeden wie. Niczym. Wszystkiemu winien jest brylant, który kazałeś mi włożyć. Przez niego zaczęło się to opętanie.

- Więc to jednak bajka - stwierdził Hyperion. - I tę część mówiącą o szczęściu mamy już za sobą.

- Posłuchaj, to kos śpiewa - powiedziała Laura.

On jednak podał żonie ramię i obydwójce w milczeniu zeszli ze wzgórze.

Mijały dni. Stawały się coraz jaśniejsze i dłuższe, ale na kominku w pokoju Jenavere nadal płonął ogień, pokazując wiośnie, że nie ma tu wstępu.

Chora leżała, obserwując płomień.

Co jakiś czas karmiła jagnię. Zwierzątko symbolizowało schyłek jej dni, podobnie jak niegdyś koty były znakiem jej samotności.

W pokoju stopniowo zalegała ciemność. Światło dnia rozplynęło się na ścianach. Pozostał jedynie ogień na kominku, przypominający gorące serce.

Jenavere spoglądała w niego. Trzaskał i jak dym, ulatywała z niego ciemność.

Wkrótce przyjdzie Daniel i posiedzi przy niej przez jakiś czas. Ale to już nie jest Daniel, to już nie jest jej syn. Zamiast Daniela powrócił do niej wspaniały demon. Była szczęśliwa. Ten spokojny świat, tak obojętny do tej pory na ich cierpienia, musi zapłacić teraz ofiarą krwi. Nie przerażało jej własne zło. Nie czuła strachu.

Ogień zmniejszył się, ściemniał, oddalił. Daniel nie zjawił się w porę. Było jej to obojętne. A jednak wszystko jest proste. Ogień był jakby daleko w dole, u stóp wzgórza, niewyraźny jak powiew różanej mgły. Gdy szła w dół po zboczu, usłyszała, jak w jakimś innym wymiarze otworzyły się drzwi. Nagle pojawiło się przelotne uczucie straty. Po chwili Zniknęło, a ona była już daleko.

Daniel podszedł do łóżka i stanął przypatrując się matce. Zamierzał przeczytać jej kolejny rozdział książki, ona jednak nigdy już nie miała go usłyszeć. Jagnię spało na jej ręku, nie czując, że ciało kobiety stygnie.

Jakby nie w swojej duszy, lecz gdzieś daleko, Daniel poczuł ostry ból. Jakaś część jego natury zadrżała gwałtownie, chcąc odczuć cierpienie. Ale człowiek, jakiego skrywał w sobie, był zmieniony. Było mu jedynie przykro.

Zastanawiał się, dokąd odeszła dusza matki, gdyż z pewnością nie przebywała już w tym pokoju. Była to pierwsza spośród wielu śmierci, jakie widział ostatnio, która nastąpiła w ciszy i po ludzku. Czekał, aż objawi się jej znaczenie. Ale była go pozbawiona. Śmierć i rozstanie, w jakiś sposób, zdążyły stać się istotne.

Nagle jagnię obudziło się i wyczuwając, że po raz drugi zostało osierocone, zabczało piskliwie.

Pokojówka Laury nie wybrałaby się z własnej woli na nocną wędrówkę.

Jednak obowiązki wzywały ją z powrotem do domu. Laura zapewne potrzebowałaby jej pomocy, aby przebrać się do kolacji, ale nie będąc damą z urodzenia, często dawała dziewczynie wolny wieczór.

Pokojówka miała w stajni schadzki z chłopakiem od koni. Zwierzęta Hyperiona przestępowały z nogi na nogę i parskały. Gdy było po wszystkim, dziewczyna strzepnęła ze spódnicy siano i upięła włosy. Parobek stał niżej od niej w hierarchii społecznej, ale jego lśniące oczy, szerokie ramiona i zapach koni sprawiały, że kładła się z nim na słomie.

Dziewczyna stanęła przy drzwiach stajni.

- I co z tego, że jest ciemno. Co tam się może kryć?

- Tam czyha bestia - odpowiedział parobek trochę dla żartu, gdyż poza kontaktami seksualnymi obydwój nie darzyli się zbyt dużą sympatią.

- Nie gadaj mi o żadnej bestii! To bajka.

- Wszyscy tak gadają po okolicy, nawet w mieście. To nie wilk tak urządził starego Ossitera.

- Daj sobie spokój z tą opowieścią.

- Lepiej zabieraj swoje halki i zmykaj, dziewczyno. Bo inaczej dopadnie cię ta bestyjka.

Dziewczyna wyszła szybko na wybrukowany dziedziniec i zaczęła oddalać się z godnością. Przechodząc między ścianami budynków, widziała na stoku zarysy parku, czarne pod mahoniowym niebem. Co mogło się kryć między drzewami? Wilki na pewno nie ośmieliłyby się tak bardzo zbliżyć do ludzkiej siedziby, chociaż słyszała opowieści o zimach tak srogich, że zdesperowane zwierzęta zjawiały się w najbliższej okolicy. Plotki o krwiożerczych wilkach już ucichły, ale dziewczyna odnosiła wrażenie, że nie jest jedyną osobą lękającą się ciemności.

Nad tarasem lśniły światłem wysokie okna salonu. Jedno było uchylone. Prawdopodobnie nikogo nie było w środku. Pan Worth i jego żona schodzili na dół znacznie później. Zdecydowała, że zaryzykuje i tą drogą dostanie się do domu, unikając marszu w ciemnościach do drzwi spiżarni.

Wbiegła na schody, po czym przeszła szybko przez taras między pogańskimi rzeźbami, których nagość stanowi karę za grzechy. Czy jej grzech był na tyle ciężki, by na to zasłużyć?

Coś poruszyło się w ciemnościach. Przypominało kształtem słup czarnego powietrza. Dziewczyna uskokczyła w bok, zatrzymując się pod uniesioną ręką greckiego boga.

Nie krzyknęła, gdyż głęboko przeświadczona o własnej wartości, nie mogła uwierzyć, że ona też umrze.

Co to było - tam u podnóża schodów prowadzących na taras? Mogła to być ludzka postać, ale poruszała się tak szybko jak bystra woda.

Dziewczyna stała roztrzęsiona w ukryciu. Wpatrywała się w ciemność i w płonące naprzeciwko światło, którego blask oznaczał ocalenie.

Nic już się nie poruszało. Jedynie drzewa szumiały, gdy poryw wiatru marszczył lśniąca taflę jeziora.

Teraz musi zerwać się, dobiec do okna i wejść do środka.

Gdy ruszyła z miejsca, z wnętrza ziemi, jakby z kamieni, które czuła pod stopami, wyrwał się dziwny, nieludzki krzyk.

Dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie, bo strach odebrał jej rozsądek.

Okno salonu otworzyło się na oścież i na taras spłynęło światło. Stał tam zarządca Hyperiona.

- Co to za hałasy?

Pokojówka nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wskazała na krawędź muru poniżej okna. Zarządca spojrział na dół.

- Ależ to jagnię - zawołał.

Zwierzątko popatrzyło na niego błyszczącymi oczami. Zabezczało po raz drugi. Niesiono je wiele mil w ciemnościach, kołysane w rytm kroków, a wreszcie porzucone tutaj w koszyku. Było zbyt słabe, aby odejść o własnych siłach. Tak godne pożałowania, że aż wyglądało to groźnie, czekało, aż zostanie zabrane do środka.

Dzień, w którym odbywał się pogrzeb, był bardzo gorący. Zielona żywica ściekała po pniach drzew, podobnie jak krople potu perliły się na twarzach żałobników ubranych w obcisłe, czarne stroje. Jenavere Vehmund nie miała zostać pochowana na zdziczałym cmentarzu na wzgórzu, lecz w wiosce, na tyłach kościoła. Ludzie dziwili się, że matka i żona nie spocznie jak należy u boku męża i starszego syna. Pomyśleli, że drugi syn, którego obyczaje podczas dalekich podróży uległy całkowitej odmianie, uznał tamto tradycyjne miejsce pochówku za zbyt ponure. Poza tym tam właśnie znaleziono rozszarpane na strzępy ciało brata. Być może Jenavere zabił szok, wywołany wieścią o tej tragedii. Cała wioska zebrała się, by zobaczyć jej pogrzeb. Zmarła także była kimś obcym, damą z zupełnie innej sfery. Miała być pierwszą osobą z rodu Vehmundów pochowaną na cmentarzu we wsi.

Mieszkańcy wioski wypełnili kościół czernią i zapachem potu. Uważnie przypatrywali się Danielowi, temu obcemu człowiekowi, który długi czas spędził z dala od domu.

Zgadziali się, że młody Vehmund wygląda jak cudzoziemiec, jak gdyby dopiero co wyszedł z namiotu jakiego koczowniczego plemienia albo z barwnego tłumu tłoczącego się na wschodnim bazarze. Chociaż przybrał żałobę, był ubrany inaczej niż mieszkańcy wioski - zapięci pod samą szyję, w koronkach, duszący się w sztywnych kołnierzach i gorsetach. Była w nim giętkość, jakieś zwierzęcy wdzięk. Twarz miał nieruchomą, jakby była wykuta w kamieniu. Nie było na niej znac cierpienia ani nawet zwykłego żalu. Jakby spłynął na nią zupełny spokój. Prosta linia warg przypominała uśmiech. Oczy nadawały twarzy Daniela

wyraz okrucieństwa. Nikt nie patrzył na niego obojętnie. Wszyscy byli wstrząśnięci; instynktownie czuli niepokój i niechęć. I kiedy żałobnicy wyszli już z kościoła odprowadzając trumnę do grobu, nie było pośród nich nikogo, kto nie czułby awersji do syna nieboszczki, nikogo, kto nie chciałby go zlekceważyć albo okpić, jednocześnie nigdy się na to nie poważając. Kapłan pochylił się nad otchłanią grobu. Oczekującą na przyjęcie trumny, ciemną ziemię także zrosił pot; była wilgotna jak usta.

- Ty znasz, o Panie, sekrety naszych serc...

Trumnę spuszczone do grobu. Daniel rzucił na nią garść ziemi.

- ...który odmienisz nasze grzeszne ciała...

Jenavere nie leżała w trumnie. Powróciła w kosmiczny chaos, który rozbił w pył jej osobowość i w którym nie było już dla niej imienia. Była teraz wszędzie, jak gdyby przybrała postać nieba, a jednocześnie była tak maleńka jak drobina kurzu. Jenavere nie istniała.

Daniel rozejrzał się po zgromadzonych. Rzędy szklanych spojrzeń znad ciasnych kołnierzy rozbiegły się na boki. Przyglądał się tym czarnym kurczakom jak lis, który dostał się do kurnika. Wkrótce dopadnie je i poukręca im szyje. Wydrze im dusze i pośle tam, gdzie jest tylko chaos i bezmiennność.

Strata Jenavere nie pozostawiła po sobie nic poza uczuciem pustki, jak gdyby jednej nocy w jakimś pokoju jego duszy rozpadły się wszystkie meble.

Zgromadzeni odmawiali Ojcie nasz.

Daniel nie otwierał ust.

Recytując słowa modlitwy, mieszkańcy wsi obserwowali jego nieruchome wargi, które jakby układały mu się w uśmiechu. Mimo żaru lejącego się z nieba, Daniel nie pocił się. Ludzie zauważyli to, czując jeszcze większe rozdrażnienie. Jego włosy miały barwę złota Wschodu.

Kilka kroków dalej stała, jak ciemny skrzat, kobieta z farmy Vehmundów. Rosamunde Ax. Co mogła wiedzieć?

- I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Jakiś powóz jechał z turkotem przez wieś. Gniade konie pędziły w stronę kościoła.

Ludzie zwrócili oczy na nowe widowisko.

Stangret otworzył drzwi. Z powozu wyszła jakaś dama i przeszła przez furtę na dziedziniec kościoła. Stała między grobami pod zielonym baldachimem drzew. Miała na sobie suknię z czarnego jedwabiu. Pod czarnym kapeluszem z piórami płonęły włosy. Na ręku trzymała coś białego, jakby wiązanek kwiatów.

Dobrze wiedzieli, kim jest przybyła. Rozległy się szepty, że zjawiała się pani Worth, by nieco zbyt późno oddać zmarłej ostatnią posługę.

Nie podeszła także do grobu. Przyglądała się pogrzebowi z daleka jak cień. Kwiaty, które trzymała w ręku, poruszyły się. Kobieta przywozła ze sobą jakieś żywe stworzenie.

- Amen - powiedział ksiądz, co żałobnicy powtórzyli za nim jak echo.

Nie składając kondolencji Danielowi czy Rosamunde, ludzie odwrócili się od dołu i rozeszli między grobami. Ci, którzy znaleźli się w pobliżu Laury, rozdzielili się jak rzeka i poszli dalej, chociaż niektórzy zdążyli zauważyć, że suknia kobiety była uszyta z jedwabiu, a na jej ręku, jak pokojowy piesek, spoczywało jagnię.

Nad grobem pozostali jedynie ksiądz, Daniel i stojąca z boku Rosamunde Ax.

- Kamień ma być z marmuru? - zapytał ksiądz.

- Ładny nagrobek, nieprawdaż? - odparł Daniel. Kapłan dosłownie zrozumiał jego słowa.

- Doprawdy wielka w tym będzie pana zasługa.

- A Dnia Sądnego wszystkie ciała powstaną na nowo - stwierdził Daniel.

- Tak mówi Pismo.

Daniel roześmiał się. Śmiech zabrzmiał z przeraźliwą swobodą. Księdzem wstrząsnął dreszcz. Już otwierał usta, by odpowiedzieć, że wiara stanowi istotę życia, bezbożność zaś

jest niewybaczalną pomyłką, ale Daniel nie zwracał już na niego uwagi, patrząc jedynie na stojącą pośród drzew kobietę w czerni.

Ksiądz ruszył przed siebie. Gdy przechodził koło Rosamunde Ax, stara wiedźma mruknęła coś, ale nie wychwycił poszczególnych słów.

Daniel podążył za żałobnikami wycofującymi się z cmentarza, ale zbliżywszy się do Laury, stanął. Młoda kobieta patrzyła mu prosto w twarz szeroko otwartymi oczami.

- Dlaczego pani przyjechała? - zapytał.

- Otrzymałam pańską wiadomość.

- Ach, to jagnię - odpowiedział Daniel. - Widzę, że dobrze mu się wiedzie.

- Dlaczego przejechał pan konno taki szmat drogi i nawet nie zajrzał wtedy do środka? Przecież Hyperion nie odprawiłby pana.

- Nie miałem ze sobą konia. Po prostu biegłem, biegłem tyle mil. Teraz potrafię takie rzeczy.

- Ale dlaczego przyniósł mi pan to jagnię? - zapytała.

- Sądziłem, że pani się nim zaopiekuje, skoro nie może tego już robić moja matka.

- Zajmę się tą owieczką przez wzgląd na Jenavere - odparła Laura. - Ale musi pan zrozumieć, panie Vehmund, że nic nie będzie między nami.

- Gdzie brylant? - zapytał.

- Przyślę go na farmę. Powinien należeć do pana.

- Nie. To ja należę do niego. Proszę go zatrzymać. Przyjemność sprawia mi myśl, że należy do pani. Że nosi go pani na piersi.

- Nie włożę go już nigdy więcej.

- Niech go pani nosi przy pełni księżyca - powiedział Daniel.

- Księżyc jest pana obsesją - stwierdziła Laura.

- Tak. Księżyc, brylant i pani.

- Nie wolno mi do tego dopuścić - odparła. Stali jakieś sześć stóp od siebie. Drzewa rosnące wokół przykryły ich cienkim zielonym kloszem.

- Biedna Lauro - powiedział Daniel - znalazłaś się w matni i wcale tego nie widzisz. Za pięć dni księżyc znowu będzie w pełni. Cóż się wtedy stanie? Spod ziemi wyzwoli się szaleństwo i zaczną skakać po tych wszystkich grobach.

- Niech pan nie próbuje znowu mnie przestraszyć.

- Znam kościół, w którym brała pani ślub - powiedział Daniel. - Mówią, że tamtejszy ksiądz karmi wilki i pozwala im spać na chrzcielnicy.

- Małżeństwo to zwykły handel - powiedziała ona.

- Twoje małżeństwo nie zostało zawarte w niebie. Powinnaś była poczekać, dojarko.

Laura odwróciła się od niego plecami i ruszyła w kierunku powozu. Jagnię leżało potulnie na jej ręku. Teraz czuła jego ciężar. Jak ciężar słów.

Daniel pozostał pod drzewami. Pewnie przyglądał się, jak odjeżdżała, ale nie mogła być tego pewna. Teraz niczego nie była już pewna.

Hyperion Worth przyglądał się badawczo swemu gabinetowi. Było to przestronne i raczej bezużyteczne pomieszczenie. Hyperion bowiem nie poświęcał nigdy czasu na studiowanie czegokolwiek ani też nie przychodził tu często, by szukać samotności. Kilka typowo męskich przedmiotów przyciągnęło jego uwagę wprawiając w lekkie rozbawienie. Pudła z pistoletami, których nie użyłby nawet w najśmielszych marzeniach, wisząca na ścianie szabla z czasów jakiejś zamierchłej wojny, co do słuszności której miałby poważne wątpliwości. W gabinecie nie brakowało też książek. Niektóre przeczytał w całości, inne tylko częściowo. Na biurku, pod wspaniałym kałamarzem, leżał rysunek balonu na gorące powietrze.

Myśl o balonie uspokajała Hyperiona. Pamiętał, że jako dziecko widział jeden nad miastem. Jechał właśnie powozem z ciotką. „Co to jest? - Nie bądź wulgarny, Udawaj, że

tego nie widzisz”. Przez wiele miesięcy natura tej pięknej, czarodziejskiej maszyny latającej pozostawała dla niego tajemnicą. W końcu zwierzył się stangretowi i ten wyjaśnił mu, co to jest balon.

W dzieciństwie Hyperion nierzadko spotykał się z natręctwem służby - więc kiedy stał się już mężczyzną, żądał, by służący w jego rezydencji zachowywali się dyskretnie. Dziwne więc, że teraz czuło się ich obecność, można było usłyszeć, jak szepczą i plotkują.

Rozmawiali o Laurze. Ich słowa przeniknęły w jakiś sposób przez drzwi i ściany, docierając do niego. Była mowa o jej przejażdżkach powozem. O tym, jak stała na cmentarzu w towarzystwie Daniela Vehmunda. Te szepty nie były krytyczne, pobrzmiwało w nich natomiast dziwne przerażenie.

Inne plotki dotyczyły pełni księżyca. Te ponure opowieści ciemne i zabobonne, zdawały się płynąć przez cały dom niewidzialnym kanałem. Hyperion nie mógł wychwycić poszczególnych słów i gdyby nie jego czujność, pewnie w ogóle niczego by nie zauważył. Księżyc budził w ludziach lęk. Mówiono coś o zamykaniu drzwi i okien, zasuwaniu zasłon, by nie pozwolić światłu księżyca padać na cokolwiek. I żeby nie wsłuchiwać się w nocną ciszę.

Przypomnił sobie dziwny krzyk, który przeciął park w noc przyjęcia. Miał wrażenie, iż śniło mu się, że w ciemnościach stoi sam na wzgórzu i znowu słyszy ten głos. Wie, że niebezpieczeństwo czyha gdzieś blisko i jest zupełnie bezsilny. Nie pamiętał, co stało się później. W końcu krzyk i sen zmieszały się z szeptami dochodzącymi zza ściany.

Jedynie Laura jakby niczego nie zauważała. Była jak obraz o tak czystych konturach czerwieni i bieli, że zdawał się namalowany celowo, by podkreślić rozmazane zarysy otoczenia.

Laura w delikatny sposób dała do zrozumienia, że tej nocy chciałaby, aby zjawił się w jej sypialni.

Hyperion zawahał się. Przyszedł do gabinetu, aby odwlec moment udania się do żony.

Nie zastanawiał się nad przyczyną. Podobnie jak dom przebiła smuga ciemności, tak w głębi mózgu Hyperiona przepływał jakiś prąd nakazując mu, by nie szedł teraz do apartamentów Laury. Ale zignorował ten sygnał podobnie jak szepty krążące po domu. Wyszedł z gabinetu i udał się na górę do przestronnego, zielononiebieskiego pokoju żony, gdzie wisiały francuskie gobeliny przedstawiające jednorożce, altany i piękne kapłanki.

Gdy zastukał, Laura poprosiła cicho, żeby wszedł.

Pokój zalegała delikatna poświata lampy z różowego alabastru. Laura leżała na poduszkach. Białe ciało spowijały koronki.

Popatrzył na nią zdziwiony, bez pożądania. Jak w bajce znalazł się w buduarze księżniczki. Ale na nią rzucono czar i nie w jego mocy leżało przełamanie zaklęcia. Jego głowę miała ozdobić korona cierniowa, zanim o umówionej godzinie nie pojawi się prawdziwy książę.

Laura jednak wyciągnęła ku niemu gładkie ramiona.

Powiedziała, że cieszy się, że przyszedł do jej sypialni.

Jej czarne oczy, które do tej pory wydawały się to ciepłe, to dumne, to zalotne i niezmiennie szczere, były teraz nieprzeniknione i chmurne. Będzie czuła wstręt oddając się, a jednak to zrobi.

To go złościło, a gniew przyniósł ze sobą pożądanie. Rozebrał się i wszedł do jej łóżka.

Gdy położył dłoń na ramieniu żony, coś zaszeleściło na poduszce.

Leżało tam kremowe jak płótno osierocone jagnię i przyglądało się mężczyźnie.

- Wzięłaś to zwierzę do łóżka?

- Ono nie ma matki.

- Zgorszy się. Jagniątko to niewinne stworzenie.

W rzeczywistości uważał, że to małe zwierzątko jest szpiegiem. Poprzez jego oczy spozierały jeszcze jakieś inne, obserwując wszystko, co robią.

Hyperion posiadał żonę. Była jego, należała tylko do niego.

Zawsze udawała przed nim namiętność. Wystarczająco dużo wiedział o kobietach, aby to rozumieć. Miał nadzieję, że pewnego dnia ogarnie ją prawdziwa fala tego, co teraz udawała. Ale nie miało się to stać tym razem. To nie jego pocałunek miał ją rozbudzić.

Spazm, który powinien stać się tryumfem, był tylko czymś nieuniknionym, czego nie można powstrzymać. Natychmiast ogarnęła go czarna rozpacz, a ponieważ nie chciał, aby Laura patrzyła na niego w takim stanie, wyszedł szybko z sypialni.

Lśniące oczy jagnięcia odprowadziły go do drzwi.

Gdy znalazł się na korytarzu, ogarnął go nagły, szaleńczy strach. Z wysiłkiem otrząsnął się z niego. Strach zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Ale stojąc tak w samotności, wyczuwał szepty rozchodzące się po domu, cienie, ciszę ciężką od słów. Zdumiony rozejrzał się dookoła, szukając ratunku. Ale, jak wobec nieuchronnego nadejścia zimy, nie można było zawrócić przeznaczenia. Biegło ku niemu lekko po kwiatnych spokojnych łąkach pod rozgwieżdżonym niebem.

Przez chwilę łkał jak dziecko. Nagle zdecydował, że pozwoli Laurze odejść, jak gdyby była wędną różą. Patrzył, jak dziewczyna spada w otchłań. Zostawił ją tam razem z szemraniem szeptów.

Wokół romańskiego kościoła stare cisy i cyprysy uniosły głowy ku słońcu. Sędziwą krainę pokryła zieleń. Zielone lasy zdawały się jeszcze gęstsze i bardziej wiekowe, jak gdyby w każdej chwili między drzewami mógł pojawić się rzymski legion lub wymalowani ludzie pędzący na rydwanach.

Laura odesłała powóz. Nadchodziło lato. Pieszko wróci do domu. W życiu przywykła do chodzenia. Z pewnością dobrze jej to zrobi.

Spróbowała otworzyć drzwi kościoła. Były zamknięte. Pomyślała o położonej nieco niżej plebanii. Nie, nie będzie fatygować proboszcza.

Zeszła na dół, tam gdzie widziała niegdyś uczujące wilki.

Na krzewach pojawiły się pączki. Przyrodziane tak drzewa przykucnęły na zboczach wzniesienia. Dzwonki już przekwitły. Teraz na skalistym podłożu jak obłoki bieleły się kwiaty dzikiej pietruszki. Laura pomyślała że zdumieniem o swym ślubnym welonie. Dziewczyna poślubiona w tej świątyni była zupełnie inną osobą.

Nawet kościół wydawał się przygarbiony i skurczony, kiedy schodziła na dół do lasu wilków.

Drzewa przypominały barwą nefryt. Promienie słońca przenikały przez ich korony. Po nocnym deszczu ziemia była czarna od błota. Kwiaty pokładały się tworząc wieńce. Wielkie, stare paprocie prostowały się, rozpryskując wodę. Las parował aromatycznie. Krople wilgoci skapywały z liścia na liść. Jedna spadła na policzek dziewczyny jak łza. Pomyślała o Jenaverie pogrzebanej w czarnej ziemi pod zbudzoną do życia zielenią. Śmierć kończy wszystko, ale śmierć jest daleko.

Zatrzęsa się. Czowała w sobie życie, czowała własne ciało. Jest jeszcze taka młoda. Wszystko inne pozbawione jest sensu.

Zdjęła kapelusz i upuściła go na wilgotne kwiaty. Wyciągnęła szpilki z włosów, które spłynęły jej na plecy jak woda z dzikiego źródła.

Pragnęła na powrót być małą dziewczynką, kiedy nie czowała jeszcze na swym sercu ciężaru odpowiedzialności. Chciała biegać po letnich ścieżkach, po chłodnej wodzie strumienia, nie wiedząc, że stoi przed nią ta druga Laura i zagradza drogę.

Te prastare lasy pełne były dawnych bożków, elfów, nimf i demonów. Tutaj czowała się wolna.

Ściągnęła buty. Jej kosztowne pończochy zanurzyły się w błocie.

Zza drzew wyszedł Daniel Vehmund.

Nie zdziwiła się na jego widok.

To on wspominał o tym miejscu, o kościele, gdzie dokarmiano wilki. Jak gdyby prosił, aby tutaj przysła. Czyżby zjawiał się tu codziennie, czekając, że przyjdzie?

Miała wrażenie, że postać mężczyzny rozmazuje się jej przed oczami.

Daniel zbliżył się i bez wahania wziął ją za rękę.

- Droga pani Worth.

Laura, nic nie mówiąc, pozwoliła, by trzymał jej dłoń w swojej.

- Jak się miewa szanowny małżonek?

- Dobrze, dziękuję.

- To świetnie. Miewa się dobrze, ale jest daleko.

- Przywiozłam panu brylant - powiedziała Laura. - Tak?

- Przecież uważa pan, że ten klejnot należy do pana.

- Gdzie on jest? - zapytał.

Laura położyła dłoń na szyi i zaczęła powoli wyciągać złoty łańcuszek, aż nad kołnierzem ukazał się zimny błysk światła. Daniel puścił jej rękę i dotknął klejnotu.

- Ciepły - powiedział.

Laura stała tak czując, jak moc, z jaką Daniel włada brylantem, przenika naszyjnik, jak gdyby mężczyzna nakładał jej kajdany.

- Proszę go wziąć - powiedziała.

Podobnie jak na cmentarzu, przykrył ich przejrzysty zielony klosz. Jakby znajdowali się w dżungli. Ziemia parowała i odbijała promienie słońca.

Daniel szybko i delikatnie rozpiął jej stanik. Guziki poddały mu się bez oporu. Jeden pękł i upadł na ziemię. Brylant z powrotem przylgnął do ciała kobiety. Z większą gwałtownością mężczyzna zaatakował koronkowy pancerz gorsetu. Zatrzeszczały fiszbiny. Gorset pękł. Daniel silnie przyciągnął kobietę do siebie. Czula jego bliskość, jej ciało płonęło i omdlewało z bólu. Nigdy dotąd nie była tak podniecona. Bez zastanowienia zaczęła zdzierać z niego koszulę, by dotknąć wreszcie jego ciała.

Uklękli w kwiatach. Laura leżała wsparta na jego ramieniu, a łodygi roślin muskały jej szyję. Usta i ręce Daniela przesuwaly się po jej nagich piersiach, podobnie jak czynił to brylant. Włosy miała wilgotne i ciężkie. Pod palcami czula mięśnie jego pleców, zakończenia żeber. Położyła się na ziemi pośród parującej zieleni, a Daniel przygniótł ją swym ciałem.

Nie odkrywali już ostrożnie swych ciał. Sięgali po siebie chciwie i wpijali się w ziemię. Dłonie mieli pełne własnych ciał, trawy, miękkiego błota. Całowali się łapczywie i chłonili nawzajem, jak ludzie umierający z pragnienia. Gryźli swoje wargi, po czym odrywali się od siebie, by spojrzeć sobie w oczy, zanim nie owładnie nimi kolejna fala szaleństwa.

Tam gdzie przez gałęzie drzew strumieniami spływało na ziemię zielone światło, gdzie przychodziły i odchodziły wilki, mężczyzna przebrnął przez białe halki Laury i dotarł do jej rozpalonego wnętrza.

Gdy się połączyli, każde z nich wydało z siebie stłumiony okrzyk ulgi, jak gdyby, dotychczas rozerwani, teraz przeżywali na powrót cudowne zjednoczenie.

Teraz zaczęli zmagać się ze sobą jak wrogowie, tarzając się w czarnym błocie. Między ich złączonymi ciałami ginęły kwiaty.

Zdawało się, że cały las dostosował się do ich rytmicznych ruchów, jak gdyby kochankowie zakłócili jego spokój, zarazając jednocześnie swym szaleństwem. Pękały bańki powietrza. Liście drżały bezwładnie.

Korzenie drzew wpijały się w plecy Laury. Całym ciałem przylgnęła do mężczyzny. On wił się w jej objęciach, coraz głębiej i głębiej zanurzając w niej swoją siłę. Pod jej łokciem znalazł się nagle szkielet gronostaja, który w swym szale wydarli z zacisza grobu. Błoto pachniało życiem i śmiercią, rzeką i upływającym czasem. Połamane kwiaty przykryły twarz kobiety.



Walczyła nieprzytomnie, bijąc i drapiąc swego partnera. Krzyczała, a z krzewów podrywały się srebrne owady, w koronach drzew migały odlatujące ptaki.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą twarz oślepej złościstej bestii. Zaczęła drzeć w chwili, gdy podróż mężczyzny dobiegła końca i dał się słyszeć niski krzyk agonii. Po chwili on także otworzył oczy.

Pograżyli się w milczeniu.

Spoglądali na siebie bez słowa. Nie byli już jednym ciałem. Każde cofnęło się w swoją stronę. Rozdzielili się.

Świat jakby zamarł. Słońce nie poruszało się.

Nagle po piersiach kobiety ześlizgnął się brylant. Był teraz zimny i twardy.

Laura usiadła. Na całym ciele miała błoto. Ubranie było poplamione i częściowo podarte. We włosy wplątały się łodygi kwiatów.

Daniel siedział na kamieniu.

- Zniszczyłem twój strój i fryzurę - powiedział. - Chodź ze mną na farmę.

- To wiele mil stąd - odpowiedziała.

- Tak, zapomniałem. Dla ciebie za daleko na piesze wędrówkę. Laura wstała i otrząsnęła spódnice. Włożyła pęknięty gorset, koronkowe halki i zaczęła zapinać stanik.

- Pisany jest ci las - powiedział Daniel.

Dziewczyna trzymała w dłoni brylant. Złoty łańcuszek nadal opasywał jej szyję.

Mężczyzna obserwował ją. Z powrotem wsunęła klejnot pod ubranie.

- Kiedy do mnie przyjdiesz? - zapytał.

- Nie mogę - odparła. - To niemożliwe. - Słowa były pozbawione znaczenia. Gdy padały z jej ust, przysłuchiwała się im obojętnie.

- W takim razie ja muszę przyjść do ciebie.

- Masz mnie zostawić w spokoju.

Daniel wstał. Laura poszarpała mu koszulę. Jego ciało także było pokryte błotem i zieloną krwią trawy. Obydwoje wyglądali jak ofiary straszliwego wypadku, jak ludzie, którzy cudem uszli z życiem.

W koronach drzew zaczęły ćwierkać ptaki. Cisza została przerwana.

Laura odwróciła się od mężczyzny. Znalazła buty, kapelusz zostawiła na leśnym poszyciu. Ruszyła z powrotem. Nie przestawała myśleć, że nagle zjawi się ksiądz i zobaczy ją w tym stanie, albo, że spotka kogoś na drodze. Nie przestawała myśleć o niewidzialnej służbie Hyperiona, której obecność można było teraz dostrzec. Ludzie ci widzieli Laurę taką, jaką była naprawdę. Musi powiedzieć, że upadła. Przestraszyło ją jakieś zwierzę i upadła.

Daniel szedł za nią. Wolno wynurzył się z lasu i nie odstępował jej ani na krok. Zastanawiała się, czy pogna za nią aż do dworu Hyperiona. Nie obchodziły go pozory zewnętrzne, a brał je pod uwagę tylko dlatego, by zatrzymać kobietę przy sobie.

Powinna była oddać mu brylant. A jednak zatrzymała klejnot. Nie powinna teraz myśleć o tej twarzy, która unosiła się nad nią, o krzyku mężczyzny.

Kilka kroków za kościołem Daniel zatrzymał się. Gdy po chwili Laura odwróciła się, już go nie było.

Czy zdoła zachowywać się tak, jakby nic się nie stało?

3.

Ciała zetknęły się w półmroku. Tkaniny ubrań ocierały się o siebie pożądliwie.

- Nie bądź taki gwałtowny. Nie powinnam tu przychodzić.

- Ale przyszedłeś. I podoba ci się moja siła.

Mężczyzna napierał na nią. Była gotowa go przyjąć i przemoc nie była potrzebna.

Dziewczyna położyła się, przyciągając mężczyznę do siebie.

- Ty parszywa dziwko - powiedział.

Pomyślał, że dosiadzie jej i wytryśnie w jej ciele, nie chciał jednak ryzykować. Czeką go piekło, jeżeli zmuszą go, by ożenił się z tą wyfiokowaną pokojówką. Ale ta zdzira będzie miała za swoje, za te swoje fuchy, jakby przychodząc tutaj robiła mu wielką łaskę, a jednocześnie nie mając go dosyć.

Słoma chrzęściła pod jej plecami. W boksach pięć koni oddychała spokojnie. Zwierzęta zdążyły już przywyknąć do tego, co robili ludzie. Niski płomień lampy spowijał wnętrze stajni głęboką poświatą.

Nad wzgórzami, kępami drzew, dzikimi łąkami i gładką taflą wody wzeszedł bladożółty, okrągły księżyc, pan nocy wczesnego lata.

Pokojówka Laury wyczuwała obecność księżyca. Gdy zaciekle rzucała się słomie, owładnął ją dziwny półsen. Pod zamkniętymi powiekami widziała, jak biegnie przez las tak dziki, że ludzka stopa jeszcze nigdy tam nie stanęła. Zza drzew połyskiwał i mrugał na nią księżyc, jak gdyby sobie z nią igrał. Ale potem zjawilo się coś jeszcze. Coś ciemnego, tuż nad ziemią...

Otworzyła oczy. Parobek leżał na niej, jęcząc głośno. Nie pamiętała, o czym rozmawiali.

- Przestań - odezwała się.

- Nie - odparł i jeszcze silniej wbił się w jej ciało. Może ta dziwka nauczy się wreszcie, że nie należy robić mu na złość.

Dziewczyna sama nie poruszała się, rozkołysana energicznymi pchnięciami parobka. Śledziła wzrokiem każdy cień. Była jak mała dziewczynka, która przypadkowo znalazła się w samym środku tego dorosłego aktu. Nagle konie zaniepokoiły się. Zaczęły potrząsać głowami, stawać dęba i stłoczyły się w najdalszym kącie.

- Czekaj... - szepnęła dziewczyna, wpijając palce w niewrażliwe ciało parobka. Ale on myślał teraz o czymś innym.

Drzwi zakołysały się lekko.

W szparze pojawił się skrawek ciemnego nieba. Poniżej także stanęła ciemność.

Dziewczyna nie widziała wyraźnie, gdyż ujeżdżające ją zwaliste cielsko przygniatało ją do ziemi.

- Nie - powiedziała. - Nie... nie...

W stajni zjawila się bestia. Bestia, o której przez cały miesiąc krążyły ponure plotki. Była teraz właśnie tutaj.

Pokojówka nie widziała jej dokładnie. Jedyne czarne kształt to wtapiający się w cieniu, to znów otulony blaskiem lampy. Nieforemny, milczący.

Nagle bestia stanęła za plecami jej kochanka i dziewczyna zobaczyła intruza - jego szerokie bary i straszliwą głowę.

Zakrzusila się i wrzasnęła przeraźliwie łamiącym się głosem.

- Krzycz, dziewczyno, krzycz - wymamrotał parobek, źle tłumacząc sobie jej reakcję.

Zawisła nad nim potężna łapa. Oskalpowała go, zdzierając skórę głowy. Nim zdążył krzyknąć, został odrzucony na bok ze straszną siłą. Brynęła krew.

Przerażone konie biły kopytami o podłozę.

Na dziewczynę spadł czerwony deszcz. Spróbowała wyprostować się, ale czarny kształt sięgnął po nią. Cios powalił ją, gdy czołgała się po słomie. Leżała martwa twarzą w dół, nie bacząc już na rozpuszczone włosy i uniesione spódnice.

Zarządca Hyperiona dostrzegł już wcześniej, że okno w salonie zostawiono uchylone. Przypuszczał, że zrobiła to celowo pani Worth, swym chłopskim zwyczajem wpuszczając do wnętrza ciepłe powietrze.

Zamarł w bezruchu jak kukła. Na dłoni trzymał srebrną tacę z karafką rubinową trunku i kosztownymi kieliszkami.

Nie miał pojęcia, że zastygł między życiem a śmiercią.

Gdy zbliżył się do okna i wyciągnął lewe ramię, by zamknąć okno przed nocą, nie myślał o niczym szczególnym.

Gdy tylko dotknął szyby, noc zamiast zostać na zewnątrz, wtargnęła do środka. Ten długi cień pokryty był gęstą sierścią i miał straszliwe pazury. Bestia wciągnęła człowieka w mrok. Dywan zmarszczył, upadło krzesło, a mężczyzna krzyczał, ale jego krzyk zmienił się w jakiś inny zduszony dźwięk. Taca uderzyła z hukiem o posadzkę tarasu, kieliszki roztrzaskały się. Dziwnym trafem karafka upadła na rozczapierzoną dłoń mężczyzny i napełniła się krwią.

Ciało zostało powleczone dalej. Światła salonu odbijały się w szkłe szkarłatnej teraz karafki. Głowa upadła u podnóża schodów, inne szczątki zostały rozrzucone po trawniku.

Gdy Laura weszła do pokoju, Hyperion podniósł się z miejsca.

Był zdumiony jej wyglądem. Miała na sobie zieloną suknię; na piersi połyskiwał brylant, który jej ofiarował. Nie był to odpowiedni strój wobec atmosfery panującej w całym domu. Nie uświadamiając sobie tego, oczekiwał, że żona ubierze się skromnie. Nie ze względu na jakiegokolwiek formy, ale ze zwykłej delikatności.

- Będą musieli przeprowadzić śledztwo - odezwał się z miejsca.

- W sprawie tych straszliwych zabójstw?

Mówiła, jakby ta plaga nieszczęść, straszliwych, nieuniknionych wypadków nie stanowiła dla niej żadnego zagrożenia.

- Bóg jeden wie - powiedział Hyperion, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, by dokończyć zdanie.

Laura usiadła przy kominku.

Hyperion nie przestawał myśleć o domu, w którym wrzało. Popatrzył na Laurę wystrojoną bez pomocy swej nieżyjącej pokojówki.

- Pięknie wyglądasz - powiedział. Nie był to komplement.

- Dziękuję.

- Jak gdyby w ogóle nic się nie stało.

- Więc uważasz, że to ja jestem winna? - zapytała.

- Ależ, Lauro.

- Być może jestem.

- Co to znaczy? - zapytał wolno wymawiając słowa.

- Ty sam sprowadziłeś mnie tutaj. Kiedyś było zupełnie inaczej. Może przez tę szczelinę wkradło się Zło.

- Pamiętam, jak mówiłaś kiedyś, że ten brylant...

- Przynosi nieszczęście? - dokończyła. - Bo to prawda. Mam wrzucić go do ognia?

- Kamień nie poddaje się płomieniom.

- Wolałbyś, żebym przywdziała włosiennicę i posypała głowę popiołem - spytała.

- Służba zamierza odejść - odezwał się Hyperion. - Przyszli do mnie wszyscy twierdząc, jakoby ten dom był przeklęty.

- Bo tak jest.

- Jak to?

- To ja sprowadziłam na ciebie nieszczęście, Hyperionie. Przeze mnie czyha na ciebie ciemność, i to, co w niej żyje.

- Mówisz tak, jakbyś wiedziała, co to było...

- Rzeczywiście wiem.

Hyperion nie spuszczał z niej oczu. Twarz żony, na którą padał blask ognia, była spokojna i blada.

- A więc co? - zapytał.

- Każdy z nich ci to powie - odparła Laura.

- Skądże znowu. Oni nie przestają gadać o jakiejś bestii. Co to znaczy? Że to był wilk? Chyba nie. Ani szaleniec.

- To była bestia - powiedziała cicho Laura zapatrzona w ogień. - Nie wiem...

- Mówiłaś, że wiesz.

- Och, wywołaliśmy coś - odparła. - Wyczarowaliśmy demona.

- Kto? Ja? W jaki sposób?

- Nie, nie ty. Ale strach. Nadzieja. - Laura podniosła głowę. - Niepohamowane namiętności.

- To śmieszna rozmowa - stwierdził Hyperion. - Istnieje proste, ohydne wytłumaczenie.

- Tak?

- Demony nie istnieją, Lauro.

Kobieta dotknęła brylantu. Z klejnotu, jak pocisk z broni palnej, wystrzelił świetlisty punkt.

- Ja wierzę w ich obecność - powiedziała. - Teraz wierzę. Hyperion spojrzał przelotnie na drzwi. Nikt nie zjawi się, by zapowiedzieć obiad. Salon był odcięty od świata.

- Po całym hrabstwie krążą jakieś bajdy - powiedział. - Od śmierci Marsalla na farmie Vehmundów są jakieś problemy. Chyba powinienem wybrać się tam. Porozmawiać trochę z ludźmi. - Laura nie odezwała się słowem. - Zajrzeć do Daniela.

Kobieta westchnęła. Wpatrywała się w ogień, jakby to był jakiś odległy ląd.

- Rób to, co uważasz za najlepsze - powiedziała.

- Najlepiej nic bym nie zrobił. Nic mi się nie chce.

- I może to jest najrozsądniejsze wyjście.

Nad ich głowami księżyc wgryzł się w dach rezydencji. Wszystkie drzwi i okna były zatrzęsnięte na głucho. Po zachodzie słońca nikt nie ośmielił się wyjść na zewnątrz.

Ani z parku, ani od strony wzgórz nie dochodził żaden dźwięk.

Następnego ranka, zgodnie z zapowiedzią, służba składająca się z pięciu osób miała opuścić rezydencję.

- Jak twoje jagnię? - zapytał żonę Hyperion.

- Znacznie silniejsze. Już spaceruje.

- Nigdy się nie dowiemy, kto je tutaj zostawił.

- Tak, rzeczywiście - odparła.

Hyperion przypomniał sobie konie drżące i obryzgane krwią, ale nawet nie draśnięte. I karafkę lśniąco krwawo na tarasie.

- Wilk może także zgodzić się z owcą - powiedział.

Strach był jak tępy ból i Hyperion nie potrafił się z niego otrząsnąć.

Słońce zachodziło nad ziemią i farmą Vehmundów. W kuchni pod kratą palił się niski ogień, ogrzewając zawieszony nad nim czajnik. Zza okna sączyło się łagodne, orzechowe światło. Ogorzała wiedźma Rosamunde siedziała między tymi dwoma źródłami blasku i gęstym, starannym ścięciem naprawiała podartą koszulę. Właściwie była sama w całym domu, gdyż po śmierci Jenavere odprawiono obydwie pokojówki. Gdy drzwi od strony schodów otworzyły się, Rosamunde nie oderwała oczu od igły. Do kuchni wszedł Daniel Vehmund i przysiadł z boku kominka na miejscu swego ojca.

- Mam zrobić herbatę? - spytała Rosamunde.

- Żadnej herbaty - odparł Daniel. Wymawianie słów sprawiało mu pewną trudność.

Podobnie bełkotliwie mówił pijany Marsall. Rosamunde szła dalej.

- Wkrótce się ściemni - powiedział Daniel. - Znowu pełnia. Już trzecia noc.

Rosamunde nie odezwała się. Była na pastwiskach i pomagała przy kąpieli owiec, ale ludzie odesłali ją. Tłumaczyli się, że nie jest im już potrzebna, chociaż w przeszłości, kiedy farma należała do Marsalla, zawsze prosili ją, by przyszła, podobnie jak na chrzciny zaprasza się złą wróżkę, bojąc się o niej zapomnieć. Teraz jednak dali upust silniejszej niechęci. Gdy Rosamunde nie było w pobliżu, ludzie rozmawiali o Danielu i domu na farmie. Nie słyszała, czy też nie zwracała uwagi na to, co mówiono. Sama wiedziała, że jej pan wychodzi wieczorami z domu. Przecinał sad i szedł dalej w kierunku wzgórz. Nigdy nie widziała, jak wracał, chociaż często była już na nogach, nim pierwsze promienie padły na ziemię.

- Jak dawno tu służysz? - zapytał Daniel.

- Od wczesnej młodości, panie.

Kim więc była ta kobieta? Chuda, maleńka, opryskliwa, o czarnych włosach ściągniętych do tyłu w węzeł, sprawiająca, że w wiadrach sąsiadów kwaśniało mleko.

- I to było całe twoje życie - powiedział Daniel.

- Tak - odparła z godnością.

- Jakże wierną jesteś służką - powiedział mężczyzna. - Nawet po krwawej śmierci Marsalla trzymałaś język za zębami.

- Jego dni były policzone - odparła.

- Ach, tak? A kiedy nadejdzie mój dzień? - Kobieta nie odpowiedziała. - Marsalla zagryzł wilk, dzika bestia - dokończył Daniel.

Rosamunde podniosła oczy, w których zamigotał ponury, czarny błysk. Po chwili znowu wpatrywała się w igłę. Może tę koszulę także poszarpały wilki.

- Tak, bestia - odezwała się kobieta. - Właśnie o tym mówią ludzie.

- A co mówią?

- Że żyje przy pełni księżyca, gdy nastanie ciemność. Odżywa i czyha na ludzi. Potem znika.

- Jacy mądrzy ludzie. A co ty o tym myślisz?

- To nie na moją głowę.

- Nie boisz się bestii?

- Urodziła się, żeby zwyciężać - odparła Rosamunde.

- Urodziła się w piekle. Zamykasz drzwi swojej sypialni, Rosamunde?

- Nie, panie.

- To rozsądnie, Rosamunde. Bestia i tak może wyłamać drzwi. Może tej nocy będzie tu gdzieś blisko. Dokąd pójdziesz?

Rosamunde znowu podniosła oczy. Utkwiła je w Danielu, chciwie wyczekując tego, co powie.

- Dokąd miałabym pójść?

- Dokądkolwiek. Do kogoś we wsi.

- Nikt mnie nie przyjmie.

- Musisz spróbować.

Czarne oczy Rosamunde płonęły złym blaskiem.

- Zostanę tutaj.

- Lepiej nie, Rosamunde.

- Zostanę tutaj. Tak jak pani.

- Pani była bezpieczna.

- Któż może być bezpieczny? - powiedziała Rosamunde. - To i tak kiedyś przyjdzie.

- Ale żeby w taki sposób? - powiedział Daniel. Mówił z trudem, a w jego głosie pobrzmiwała swoista litość, a może tylko pogarda. Blask ognia muskał złociste włosy na grzbietach jego dłoni.

- Widziałam wiele sposobów umierania.

- To ja zabiłem Marsalla - powiedział Daniel. - Dobrze o tym wiesz. Zrobiłem to, kiedy byłem bestią. - Kobieta nie przestawała szyc, a on mówił dalej: - Ale zabiłem także ojca. To nie żaden złodziej ani włóczęga. To był Daniel.

- Był pan wtedy kimś innym.

- Ale i tak musiała we mnie drzemać bestia.

- Na pewno.

- I myślisz, że ciebie ona oszczędzi, Rosamunde?

Kobieta zszywała nadal koszulę, poszarpaną w lesie przez wilki. Dwa wilki tarzające się w błocie pod zielonymi kopułami drzew. Daniel był podobno bogaty i mógł sobie kupić dwadzieścia takich koszul. Igła jednak migotała w jej zręcznych palcach. Nie potwierdziła, że tego wieczoru się ukryje.

Za oknem światło przybierało barwę różu.

- Mam zrobić kolację? - zapytała Rosamunde.

- Nie.

Nad okolicą gęstniał mrok. Na zboczach wzgórz beczały owce. Zbliżał się czas strzyży. Już wkrótce ziemia napuchnie letnim upałem, wyschnie trawa, omdleją poparzone liście drzew. Co miesiąc na niebie zawisnie okrągły wielki księżyc. Minął już czas bladego księżyca. Teraz zjawi się dojrzały żółty księżyc, pan lata, potem bursztynowy księżyc jesieni, aż wreszcie nad ziemią stanie biały zimowy księżyc, cienki i płaski jak tarcza.

Z zewnątrz nie wpadało już do kuchni żadne światło. Igła Rosamunde połyskiwała w blasku ognia, dopóki kobieta mnie odłożyła roboty.

- Wychodzę - powiedział Daniel. Wstał niezdarnie i podszedł do drzwi prowadzących na podwórze. Zmierzch zakradł się już do sadu. Z ogrodu unosił się zapach ziół.

Gdy Daniel już zniknął, Rosamunde także zbliżyła się do drzwi i wyszła na dwór. W półmroku zaczęła myszkować między roślinami, od czasu do czasu schylając się i wrywając jakąś łodygę. Przecięła dziedziniec, po czym zamknęła kurczaki w kurniku. Rozejrzała się dookoła. Wzgórza pociemniały, nabierając miękkości. Niebo przykryła zasłona ciemności.

Wróciła do domu, po czym zapaliwszy obydwie lampy zaczęła krzątać się w kuchni. Wyszorowała stół i podłogę. Zioła powiązała w pęczki i rozwiesiła jak girlandy. Wytarła do sucha garnki. Czajnik zestawiła z ognia. W świetle lampy skończyła naprawiać koszulę, którą zostawił jej Daniel. Złożyła ją i położyła na krześle, tam gdzie Daniel nie mógł jej przeoczyć. Przez cały czas drzwi prowadzące na podwórze i dalej do ogrodu stały jakby otworem. Stopniowo wypełniła je ciemność. Staruszka jakby nie zwracała na to uwagi, a wychodząc z kuchni zostawiła je otwarte.

Pokój Rosamunde znajdował się na najwyższej kondygnacji domu, którą stanowił długi, niski strych, idealnie dopasowany do niskiego wzrostu kobiety. Tutaj mogła zajmować się własnymi sprawami, jakiegokolwiek by one były. Na stołku przy małym wąskim jak żerdź łóżku leżała Biblia. Rosamunde nie umiała czytać, ale w dzieciństwie nauczono ją nazw wszystkich ksiąg Pisma Świętego i wieczorami wymawiała je jak modlitwę, wodząc palcem po stronicy.

Rozebrała się i umyła, nalewając z dzbana zimną wodę. Dziwne, że gdy stała naga, nadal widać było, że jest kobietą, a nie jakimś złośliwym skrzatem. Włożyła wreszcie koszulę nocną i rozpuściła włosy, wciąż kruczoczarne i sięgające do pasa. Rozczesała je starym, drewnianym grzebieniem, wzięła w ręce wianek z rozmarynu, kopru i innych ziół, który już wcześniej zrobiła i przyniosła do pokoju w spódnicy, po czym ozdobiła nim głowę jak koronę.

Siedziała na łóżku w długiej, białej szacie i zielonym diademie na głowie jak podstarzała panna młoda o brzasku dnia, w którym miała zostać żoną. Rosamunde nigdy nie wyszła za mąż, nigdy nikt jej nie pieścił i nie uwiódł. Nadal była dziewicą, malutką, pomarszczoną i starą jak jabłonie w sadzie.

Na kolanach położyła Biblię. Otworzyła ją i wodząc palcem po literach druku, zaczęła głośno wymawiać nazwy ksiąg.

- Księga Rodzaju, Księga Wyjścia, Księga Kapłańska, Księga Liczb, Księga Powtórzonego Prawa, Księga Jozuego, Księga Sędziów, Księga Ruth.

Przez małe okienko do wnętrza zaglądała czarna noc. Księżyc stał już na niebie. Jego blask utworzył łuk na suficie. Coś błysnęło i prześlizgnęło się po niebie - spadająca gwiazda.

- Pierwsza Księga Samuela, Druga Księga Samuela, Pierwsza Księga Królewska, Druga Księga Królewska, Pierwsza Księga Kronik, Druga Księga Kronik - mówiła Rosamunde Ax. - Księga Ezdrasza, Księga Nehemiasza, Księga Estery, Księga Joba.

Zdawało się jej, jakby na dole drzwi kuchni poruszyły się lekko, delikatnie pchnięte. Zaczęła szybciej wymawiać nazwy ksiąg.

- Księga Psalmów, Księga Przysłów, Księga Eklezjasty, Pieśń nad Pieśniami, Księga Izjasza, Księga Jeremiasza, Lamentacje.

Na schodach, gdzie niektóre stopnie zostały roztrzaskane w noc śmierci Marsalla, dał się słyszeć jakiś dźwięk... A może jej się tylko zdawało.

- Księga Ezechiela - powiedziała Rosamunde. Przypomniała sobie jak we wczesnym dzieciństwie grzbiety dłoni bolały ją od uderzeń różgi księdza. Potem zatarło się jej to w pamięci.

Coś zbliżało się po schodach. Czowała to jak migotliwe ciepło, jakby w pobliżu płonęła pochodnia.

- Księga Daniela - powiedziała głośno. - Księga Ozeasza, Księga Joela, Księga Amosa, Księga Abdiasza, Księga Jonasza, Księga Micheasza, Księga Nahuma, Księga Habakuka.

To, co nadchodziło, było już na pierwszym piętrze i zmierzało w kierunku tylnych schodów. Kobieta zaczęła nasłuchiwać. Jakby dochodził ją stłumiony śpiew, odległe bicie dzwonów.

- Księga Sofoniasza - ciągnęła Rosamunde. - Księga Aggeusza, Księga Zachariasza, Księga Malachiasza.

Schody prowadzące na strych zalegała ciemność. Nagle z mroku wyszła bestia. Znalazła się na strychu. Rosamunde patrzyła na nią znad Biblii.

Siedziała tak zapatrzona przez dłuższą chwilę. Bestia także trwała w bezruchu, utkwivszy w kobiecie czarne, płaskie oczy. Zmarszczyła pysk. Miała czarny łeb, nogi jak słupy z żelaza.

Rosamunde powoli odsunęła księgę. Padła na kolana.

Bestia nie spuszczała z niej oka. Po chwili podeszła bliżej.

Kobieta poczuła ciepło jej ciała, jakby było żywym ogniem. Bestia nie wydzielala żadnej woni.

Rosamunde padła na twarz.

Czarna łapa wystrzeliła nagle jak błyskawica. Ciałem kobiety wstrząsnęły drgawki. Miała złamany kręgosłup. Wiła się jak śmiertelnie ranny wąż. Oczy cały czas miała otwarte.

Bestia podeszła jeszcze bliżej. Oczy rannej wychodziły na wierzch, z jej ust sączyła się ślina. Próbowala mówić.

- Panie - jęknęła.

Pazury przejechały po jej twarzy, krusząc kości i gasząc blask oczu.

Dom zaległa martwa cisza. Wszystko zamarło w bezruchu.

Lampy w kuchni powoli wygasły. Świeca płonąca na strychu stopiła się i zamarła. Z południa nadciągnął spokojny wiatr i zakołysał drzewami w sadzie. Księżyc przykryła na moment zasłona chmur, po czym popłynęła dalej.

Nocą rządził niepodzielnie księżyc. Nad światem zawisła ogromna tarcza nieubłaganego zegara, odmierzając niewiarygodny czas. Czarny cień przysiadł w sadzie, wpatrując się w oblicze zegara. Morderstwo spłynęło po nim jak woda. W bezdusznych oczach odbijał się księżyc, nadając im wygląd dwóch cennych klejnotów. Czarny jęzor uderzał o kły ostre jak sztylety. W trawę upadło niedojrzałe jeszcze jabłko.



## CZĘŚĆ CZWARTA

1.

Życie na wyższej stopie, jeżeli tak to można nazwać, nie wpłynęło na poprawę charakteru Wheelwrightów. Dom, który kupił dla nich Hyperion, znajdował się na obrzeżach miasteczka. Składał się z kilku pokoi, kuchni i ogrodu. Poza tym Wheelwrightowie mieli teraz służącą i konia. Gnili tam nie udając już nawet, że mają coś do roboty. Rocznie otrzymywali od Hyperiona pewną kwotę i nie musieli już w trudzie zarabiać na chleb. Domem zajmowała się siwowłosa, energiczna służąca, więc pani Wheelwright, Elfie i Alice snuły się bez zajęcia jak ociężałe ropuchy i nie miały nawet takiego jak one wdzięku. Całymi dniami wszystkie trzy włóczyły się po domu i ogrodzie jedząc, grając w karty i ziewając z nudów. Zawsze tęgie, teraz zrobiły się grube. Były dobrze ubrane, ale ich włosy przypominały wronie gniazda, bo rozleniwione kobiety zupełnie straciły energię. Wyglądały jak bezkształtne bryły tłuszczu.

Natomiast Jasona nie opuściła zwykła aktywność. Nadał włóczył się po sklepach i jarmarkach, skupował nikomu niepotrzebne przedmioty, upijał się, po czym kupował jeszcze więcej. W połowie lata dom był już prawdziwą graciarnią. Korytarze zawałały kawałki jakichś mechanizmów, za sofami piętrzyły się paskudne obrazy w obrzydliwych ramach, koniki na kiju zerkały spomiędzy szczebelków balustrad. Prawdziwy koń, niedbale dogładany w stajni, często wybiegał na drogę. Co najmniej raz w tygodniu zapuszczał się do ogrodów wzdłuż ulicy i wyjadał to, co wcale nie było przeznaczone na przekąskę dla koni. W rezultacie między rodziną Wheelwrightów a ich najbliższymi sąsiadami wybuchła wojna.

Wheelwrightowie byli nieświadomi swej zewnętrznej i wewnętrznej szpetoty, a może nie zwracali na to uwagi. O Laurze, przyczynie swojego szczęścia, mówili tylko z pustą przechwałką lub wyniosłą pogardą za to, że do tej pory nie raczyła ich odwiedzić. Zazwyczaj jednak nie pamiętali o niej ani przez chwilę nie wątpiąc, że to, co osiągnęli, słusznie im się należało. Niepomni prawdziwej wartości swego szczęścia, wściekali się, gdy powodzenie osiągnęli inni. Tak oto zasłużyli sobie na nienawiść swojej służącej Bess Mubby.

Bess, w przeciwieństwie do spokojnie dryfujących przez życie Wheelwrightów, była kobietą z temperamentem i skłonnością do przesady. Gdyby pracowała w przyjaznej atmosferze, ładnym otoczeniu, pośród ludzi doceniających jej starania, w dwójnasób odwdzięczyłaby się im dobrocią i wiernością. Ale w domu Wheelwrightów traktowano ją jak ducha. Nie zwracano uwagi na jej sumienną pracę, na lśniące lustra i wspaniałe ciasta, jak gdyby zjawiały się same z siebie pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Najłżejszy ludzki odgłos świadczący o jej obecności był przyczyną skarg. Gdy znalazła się na drodze kogoś z domowników, nie dostrzegano jej. Początkowo Bess starała się jeszcze lepiej pracować, by zadowolić swoich państwa. Gdy jednak nadal traktowano ją, jakby była przezroczyista, Bess zaczęła patrzeć na Wheelwrightów krzywym okiem. Służbę u nich uznała za swe najgorsze niepowodzenie życiowe. Była prostą, oddaną kobietą, a Wheelwrightów uważała za swe złe duchy.

Posprzątała ze stołu, mając wrażenie, jakby sprzątała koryto wściekłych świń. Nie zdziwiła się, gdy także i tym razem nie usłyszała słowa podziękowania. Gdy próbowała ścierać kurze, wpadała ciągle na śmiecie kupowane przez tego pijaka, swego pracodawcę, i z całej siły hamowała złość. Piorąc bieliznę obydwu zgnuśniałych córeczek, przypominała sobie, jak jej własne siostry śpiewały ciężko pracując. Wheelwrightowie nie byli ludźmi. Byli jak rosnące w gnoju pasożyty. Bezużyteczni. Zakała rodu ludzkiego. A ona musiała im służyć.

Gdy lato rozpięło nad ziemią swój złocisty łuk i brązowało zbliżając się ku końcowi, Bess postanowiła odejść. W jej żyłach płynęła krew włóczęgów. Wiedziała doskonale, w jaki sposób należy ludziom zniknąć z oczu, jeżeli to okaże się konieczne. Najpierw gruntownie wysprzątała cały dom, tropiąc brud w każdym zakątku. Była bowiem bardzo porządna i nie pozostawiłaby bezkarnie nawet ździebełka kurzu czy pajęczyny.

Wheelwrightowie siedzieli na dole przy obiedzie, zajadając placek z nadzieniem z wątróbek, cynaderek, wołowiny i grzybów ukrytym pod bajeczną konstrukcją z rumianego ciasta. Także i tym razem nawet nie spojrzeli na Bess.

Dziewczęta była tego dnia naburmuszone i matka zdawała się odgadywać przyczynę.

- Słowo honoru, Laura jest złą siostrą dla Elfie i Alice - odezwała się pani Wheelwright.

- Laura? - zapytał Jason takim tonem, jakby zapomniał, że ma jeszcze jedną córkę.

- Tak, właśnie. Ma, ot, wspinały dom, bogatego męża, obraca się w towarzystwie, a nie posłała jeszcze po dziewczęta, żeby je pokazać światu. A co, nie mogłyby sobie też złapać bogatych chłopów?

- Co to, to prawda - zgodził się Jason.

- A pewnie. Samolubna istota. Nigdy nie wiedziała, jak się zachować.

- Ale została królową - powiedział Jason. - Musisz oddać jej sprawiedliwość. Potrafiła zawrócić mu w głowie.

- Ale czy tej zdzirze wydaje się, że na tym skończyły się jej obowiązki? Przecież gdyby nie moje nagabywania i rady, nigdy nie złapałaby Wortha. Ma go dzięki mnie. Ale teraz nie jesteśmy już dla niej kompanią.

- Zawsze taka była. Dumna i nieprzystępna.

- A gdzie by teraz była, gdyby nie my?

- Wcale by się nie urodziła - zauważył rozsądnie Jason.

- Racja - przyznała pani Wheelwright. - I mogłaby okazać mi trochę wdzięczności za te męki przy porodzie, bo wcale nie szło wtedy jak z płatka.

Jason łyknął trochę wina, teraz bowiem rodzina pijała takie trunki.

- Słyszałem, że dzieją się tam jakieś dziwne rzeczy. Stado szalonych wilków atakuje ludzi. Dwa, trzy razy w miesiącu.

- Bądź pewny, że oni są bezpieczni, Laura i jej szanowny małżonek.

- Może powinniśmy do niej napisać - zaproponował Jason. Miał na myśli, że za opłatą zlecą to zadanie pisarzowi, gdyż ich umiejętności w tej dziedzinie były mocno ograniczone.

- Napisać? Dopraszać się łaski wielmożnej pani? To ona powinna zjawić się tu w podskokach. Powinna paść z wdzięczności na kolana.

Zdążyli już pokroić placek i zaczęli go pałaszować. Smakował wybornie, ale nikt o tym nie wspomniał, nawet gdy Bess Mubby zjawiła się jeszcze z półmiskiem jarzyn.

Zaczęła usługiwać im w milczeniu. Przemówiła, gdy spostrzegła, że wszystkie szczęki poruszają się przeżuając.

- Zerwałam się wcześniej rano, żeby zebrać te grzyby.

Pani Wheelwright popatrzyła na nią ze zdumieniem, jak gdyby duch nagle zaczął mówić. Jej mąż nawet nie podniósł oczu znad talerza. Elfie i Alice także zdawały się nie słyszeć, zajęte swoimi porcjami placka.

- Tak, tak - powiedziała służąca. - Jeszcze perliła się na nich rosa.

Stanęła pod ścianą, obserwując, jak rodzina spożywa posiłek.

- No, idź już - powiedziała pani Wheelwright. - Mamy, czego nam trzeba.

- Pewnie, wracaj do roboty - powiedziała Alice, coraz lepiej naśladująca matkę.

Bess wróciła do kuchni, lśniącej czystością dzięki jej staraniom. Usiadła przy stole i czekała.

Wheelwrightowie zjedli cały placek i większość jarzyn. Do obiadu poszło niemało wina. Przestali rozmawiać o Laurze. Jason zaczął chełpić się, jaki to spryt wykazał kupując na jarmarku stary, zardzewiały magiel. Pani Wheelwright nie przedstawiała co i rusz wtrącać uwag o swych biednych młodszych córkach, pozbawionych podstępnie przyjęć, tańców i sznura adoratorów. Elfie i Alice zaś zaczęły pożerać jabłka, czekając, aż jakimś cudem pojawi się na stole pudding albo krem.

Duch jednak nie przyszedł już z żadną nową potrawą. Nie, służąca siedziała w kuchni ze spakowaną torbą leżącą u jej stóp, czekając, aż dzwon na wieży kościelnej wybije równą godzinę.

Rozległo się bicie dzwonu.

- Strasznie mi gorąco - powiedział Jason. - Pójdę się trochę przejść.

Pani Wheelwright i jej córki posnęły na krzesłach. Elfie chrapała.

Jason znalazł się w prześlicznym ogrodzie, gdzie zaniedbane krzewy różane kładły się teraz na ziemi, rabatki kwiatów zarosły chwastem, a na ścieżce zaczął się tworzyć dywanik mchu. Gdy tak przechadzał się, myśląc bez żalu o tym, że chyba wypił za dużo wina, tylnymi drzwiami wyszła z domu Bess Mubby i przeszła dookoła płotu.

Jason popatrzył na nią lekko zdumiony. Dokądże to wybiera się to niegodne zaufania popychadło? Może w pobliżu mieszka jakiś krewny Bess i pani Wheelwright dała jej wolne popołudnie. Spozrzegł, że jego niewolnica trzyma w garści torbę.

- Hej, ty... - zawołał Jason, po czym przypomniał sobie jej imię, dokończył - ... Bess. Bess odwróciła się i popatrzyła na niego tak, jak mysz patrzy na kawałek sera.

- Tak, proszę pana?

- Dokąd to się wybierasz?

- Na wzgórze - odparła kobieta, w której żyłach płynęła krew włóczęgów.

- Jakie znowu wzgórze?

- Te, gdzie mieszkają wróżki.

- No, coś takiego. Bądź z powrotem przed kolacją.

Bess uśmiechnęła się cynicznie. Jasonowi, który wypił niemało do obiadu i pochłonął trzy porcje placka, przez moment zdawało się, że Bess Mubby ma dwie głowy, które kiwały nad nim z uprzejmą wyrozumiałością.

Pozwolił jej iść, nie zdając sobie sprawy, że oto zniszczyła go jak wymieciony z kąta kurz, a wraz z nim jego żonę i dwie córki.

Laura siedziała w swej wieży z kości słoniowej, którą zdążyły już porosnąć kolczaste krzewy dzikiej róży. Otoczona przepychem swej sypialni, trzymała na kolanach naszyjnik ze szmaragdów подарowany jej przez męża w dzień ich ślubu. Patrzyła na klejnoty, ale zamiast ich blasku miała przed oczyma szmaragdowe, letnie dni, które spędziła z Hyperionem.

Był taki przystojny, delikatny, wesoły i hojny. Przypominała sobie, jak ją traktował, i nie znajdowała w nim cienia winy. Ale wcale nie chciała go obwiniać.

Minęło już kilka miesięcy, od kiedy leżała z Danielem w lesie wilków.

W lecie wiele osób spośród służby opuściło rezydencję Worthów. Dziewczyna, która była jej pokojówką, chłopak od koni i główny lokaj zostali straszliwie zamordowani. Od tego czasu ze wszystkich stron jak kruki zaczęły napływać ponure historie, opisy niewiarygodnych wydarzeń. O polowaniach, które nie dawały rezultatu, i o zwłokach znajdowanych o świcie. Zamknięta w swoim świecie jak w kryształowej kuli, Laura nie słuchała szeptów. Nie musiała się w nie wsłuchiwać. W głębi duszy, nie rozumiejąc tego, ani nie starając się wyjaśnić, wiedziała, że to Daniel jest źródłem całego zła. Nocami przychodził do niej we śnie i nie mogła uwolnić się od wizji jego postaci. Pragnęła, by Hyperion zajął jego miejsce, ale Daniel był wszechmocny jak Bóg jej dzieciństwa. Widział wszystko i żył we wszystkim dookoła. Na próżno mogłaby temu zaprzeczać.

Ale Hyperion był jej mężem. A ta posiadłość stanowiła jej fortecę. Jeżeli Daniel pragnął, by z nim. została, dlaczego do tej pory tego nie zażądał? To, co wydarzyło się zimą, było dla niego chwilową rozrywką, bez znaczenia. Posiadł ją wtedy naprawdę. Dokonał tego, w przeciwieństwie do Hyperiona... Jedynie brylant przypominał jej o przerażającej więzi łączącej ją z tym człowiekiem. Zamknęła klejnot w szkatułce i nigdy nie podnosiła wieczka.

Musi jedynie pozostać wierna, wszystko inne to senna mara, kłamstwo, wybujałe fantazje, halucynacje. Tak jak wilk uwięziony w bryle lodu i jej wrażenie, że się topi.

Ale na nic nie zdały się wszystkie te spekulacje. Przez całe lato walczyła z Aniołem Zagłady. Czuła obecność Daniela jak własny cień. Hyperion, ten dobry i spokojny mąż, nie liczył się pod żadnym względem. To Daniel był jej snem, z którego nie wiadomo kiedy miała się otrząsnąć.

Laura rozejrzała się po pokoju. Pod oknem stało podrośnięte już jagnię. Było białe jak śnieg żyjąc w ludzkim domu. Codziennie wychodziło na zewnątrz, by pokosztować zielonych źdźbeł na trawniku, w mieszkaniu zaś przywykło do skubania dywanu, który miejscami zdążył już wyłysieć. Zwierzątko oderwało się właśnie od tego zajęcia i popatrzyło ponuro na kobietę.

Laura wstała, podeszła do jagnięcia i zawiesiła mu na szyi kosztowne szmaragdy.

Był to symbol śmieszności i przegranej walki. Żaden absurd nie krył się w tym, że zwierzątko przystrojono w podobny sposób. Było w tym widoku raczej jakieś złośliwe barbarzyństwo, coś, co przypominało obwieszone klejnotami wizerunki dziwacznych bóstw stojące na ołtarzach na odludziu.

Spostrzegła instynktownie to podobieństwo i nagle przeszył ją ostry ból.

Rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi. To na pewno stąpająca bezszelestnie pokojówka, która zajęła miejsce zmarłej, i ostatnio zjawiała się coraz częściej. Laura poprosiła, żeby weszła. Dziewczyna otworzyła drzwi. Na jej twarzy malował się strach.

- Och, proszę pani...

- Co się stało? - zapytała Laura, a jej serce zaczęło uderzać boleśnie.

- Przyszedł jakiś człowiek. Pan Worth prosi, żeby pani natychmiast zeszła do salonu.

„Nic nie wie, a jednak się boi”, pomyślała Laura.

- Tak, oczywiście - powiedziała głośno. - Już idę.

„Nie przyszedł po mnie osobiście. Nie chce mi niczego oszczędzić. Nie wiem, o co chodzi, ale też się boję”.

Zeszła na dół ostrożnie, jak gdyby była starą kobietą albo męczyły ją zawroty głowy.

Z salonu usunięto już ślady mordu. W wazonach stały róże i przeżyły się niebieskie płomyki irysów. Hyperion zbliżył się do żony i wziął jej dłonie w swoje.

- Tak mi przykro, Lauro. Przygotuj się na wielki wstrząs. - Kobieta patrzyła na niego tępo. Zdążyła już dowiedzieć się, czym jest wielki wstrząs; przyniosły go noce pełne morderstw i snów. - Fatalnym zbiegiem okoliczności twoja rodzina... - Urwał, żeby zebrać myśli. Jeszcze rok temu nie byłby w stanie przekazać jej tej ponurej wiadomości, zbyt wesoły na to i bez troski. Ale przez ten czas zebrały się nad nim chmury i przysłoniły jego jasne spojrzenie. Teraz był człowiekiem posępnym i przygotowanym na wszystko.

Podczas gdy przybyły mężczyzna siedział obok na krześle, Hyperion cichym głosem powiedział Laurze, iż jej rodzice i obydwie siostry zmarli jednego popołudnia po zjedzeniu placka nadzianego przez pomyłkę trującymi grzybami. Resztki uczt były tego dowodem. Służąca widać uciekła, zobaczywszy, co zrobiła przez swą głupotę, i od tamtej pory słuch o niej zaginął.

Tyle powiedział żonie Hyperion, podczas gdy posłaniec odpoczywał. Nie wspomniał o tym, że Jasona znaleziono obejmującego kurczowo drzewo, która to dziwna pozycja przyciągnęła uwagę przejeżdżającego furmana. Nie powiedział też o powykęcanych kończynach trzech kobiet, które musiały rzucać się po pokoju w jakimś szaleńczym tańcu śmierci.

Gdy skończył swą ponurą opowieść, doprowadził Laurę do kanapy.

Siadła przerażona swą obojętnością. Przeżyła ze swą rodziną ciężkie chwile, ale czy rzeczywiście niczego im nie zawdzięcza? Czy nie potrafi nawet zapłakać ze zwykłego, ludzkiego żalu?

Oniemiała z przerażenia odezwała się wreszcie:

- Muszę tam pojechać.

- Jak sobie życzysz, Lauro. Oczywiście pojedę z tobą.

- Nie - odparła zdezorientowana. - Muszę być sama. - Chciała tam pójść bosą, chciała coś dla nich zrobić. Nie mogła znieść myśli, że Hyperion będzie patrzył na jej chłód, gdy obydwójce staną nad ich grobem. Może będzie się starał ją pocieszyć.

Mężczyzna wstał z miejsca i uniżenie skłonił się Laurze. Powiedział, że Wheelwrightowie byli kimś w ich okolicy, że byli bardzo lubiani i wszyscy odczuwają dotkliwie tę stratę. Laura patrzyła na niego osłupiała, w duszy nazywając go głupcem.

Gdy mężczyzna wyszedł, Hyperion usiadł koło niej na kanapie i wziął żonę za rękę.

- Co mam zrobić? - zapytał. - Jak mogę ci pomóc?

- Bym pogodziła się ze swoją stratą? - odparła Laura.

- Nie jestem w stanie wyobrazić sobie tego, co czujesz - powiedział. - Byłem sierotą.

Laura wejrzała w swoje serce, by rozpoznać uczucia, które nie istniały. I wtedy wreszcie zapłakała z żalu i wstydu.

Burza zwiastująca nadejście jesieni przewaliła się nad okolicą. Powóz pędził atakowany ostrzami błyskawic. W ich świetle wyglądał jak widmo. Potem spadła ulewa i powóz przedzierał się przez strugi deszczu. Z kałuż na drodze bryzgała woda zalewając okna. Laura siedziała w samym sercu tego wiru. Jej myśli krążyły bezładnie.

Wreszcie dotarli do domu, który należał do jej rodziny i gdzie jej noga nigdy jeszcze nie powstała. W potokach deszczu jego kontury zdawały się rozmyte i bezkształtne. Pospieszyła do drzwi osłonięta trzymanym przez stangreta parasolem.

Jakiś człowiek w czerni przywitał ją ze smutkiem i zaprowadził do pokoju, gdzie stały cztery otwarte trumny. Została sama.

Oto była jej pokuta. Musiała ją odprawić.

Podchodziła do każdej z trumien i przystawała na chwilę wpatrując się w ciało.

Pierwszy był Jason. Dołożono wszelkich starań, by dobrze wyglądał w trumnie. Jego czerstwa twarz była wygładzona i uróżowana. Wyglądał tak spokojnie, jakby był wręcz zadowolony z siebie. Musiano połamać mu niektóre kości, by nadać jego ciału normalną pozycję, ale gdy tak leżał ubrany w swój najlepszy surdut i kamizelkę, wcale nie było tego widać. Można by pomyśleć, że umarł lekką śmiercią, w spokoju ducha. Podobnie wyglądała pani Wheelwright, nieskazitelna w swym obszytym koronką czepku. Alice była teraz ładniejsza niż za życia. Miała zaróżowione sztucznie policzki, włosy starannie ułożone. Jedynie na ciele Elfie trucizna pozostawiła trwałe ślady, wykręcając na bok jej wargę, której nie udało się wyprostować i zdawało się, jakby nawet po śmierci nie opuściła dziewczyny wrodzona złośliwość.

Laura była przygnębiona tą śmiercią czwórki niekochanych, obcych ludzi. Pomyślała o ich zmarnowanym życiu, o bezowocnej młodości swoich sióstr. Czowała, że powinna do nich przemówić, ale nie była w stanie.

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

Znalazła się w korytarzu. Z sąsiedniego pokoju dochodził szmer głosów zagłuszając plusk deszczu. Laura stanęła w drzwiach i zawahała się.

Stali tam ubrani na czarno grabarze. Za nimi, w głębi pokoju, znajdował się stół nakryty czerwonym rypsem, na którym jeszcze jeden ubrany na czarno mężczyzna przesuwiał trzy ciemnobrązowe kubki; Poruszał nimi rytmicznie po całym blacie, zataczając koła.

Gdy kubki zamarły w bezruchu, grabarze znowu zaczęli szeptać.

- Tutaj - powiedział jeden z nich, wskazując na drugi kubek.

- Tutaj? - Pod uniesionym kubkiem nie było nic.

Ludzie zaprotestowali. Najwyraźniej spodziewali się, że pod drugim kubkiem coś ukaże się ich oczom. Mężczyzna uniósł pozostałe kubki. Pod nimi czerwieniał jedynie obrus.

- No to gdzie ona jest? - zapytał ostro człowiek, który wpuścił Laurę.

Tamten dotknął swojej piersi. Nagle coś błysnęło mu między palcami. Srebrna moneta.

- Co robicie? - zapytała stanowczym głosem Laura. Grabarze popatrzyli po sobie zawstyżeni. Ich szef odezwał się do Laury buńczucznie:

- Ten jegomość chce zabrać stąd wszystko, co niepotrzebne. Laura zapatrzyła się w drżące odbicie deszczu, które zdawało się potrząsać pokojem jak potłuczonym szkłem. Spostrzegła teraz to, czego nie zauważyła wcześniej, iż człowiek trzymający monetę ma na twarzy ślady po ospie. To był sztukmistrz Julinus.

Ogarnął ją paniczny strach. Jak gdyby nagle znalazła się na końcu świata.

Julinus przemówił do ludzi. Była pośród nich przypominająca psa kreatura, którą Laura widziała podczas przedstawienia w miejskim salonie i do której sztukmistrz zwracał się imieniem Aaron. Obserwowała oszołomiona, jak wszyscy wycofują się z pokoju. To był jakiś senny koszmar.

I nagle, jak we śnie, Julinus wysunął język upodabniając się do chimery. Przez chwilę Laura widziała na tym skrawku ciała przerażającą szramę, jak gdyby zagojoną ranę zadaną przez piorun.

Obydwoje stali przy jednym z okien. Zobaczyła spływające z nieba brylantowe strugi deszczu. To był potop. Nie było nadziei.

- Jest pani wstrząśnięta śmiercią rodziców - zaczął Julinus. Laura nie odpowiedziała, po chwili zaś krzyknęła:

- Co to za szrama na języku...

- Ślad po ranie. Mam ich kilka.

- Dlaczego mi pan to pokazał?

- Pokazałem? Chyba przez przypadek.

- Po co pan tutaj przyszedł? - pytała dalej. - W jakim celu?

- Skupuję to, co niepotrzebne, i odsprzedaję dalej.

- Ależ to niemożliwe. Przecież w mieście... - ale nie skończyła.

- Ach, więc wydaje się pani, że spotkaliśmy się już kiedyś. Jest pani pewna?

Zapatrzyła się w jego twarz. Tak, była pewna. Ale Julinus tylko się uśmiechnął.

- Od życia zawsze domagamy się sensu. Próbujemy tworzyć wzorce. Wszystko musi mieć jakiś cel. A czasami wcale tak się nie dzieje. Niektórych rzeczy prawie nie ma. Pojawiają się, istnieją przez chwilę i już po nich.

- Pamięta pan tamten brylant? - zapytała Laura.

- To bajkowy klejnot utworzony z rzeczy najzwyklejszych na świecie. Grudka ziemi przekształcona cudownie w światło i lód.

Zabłysło milion rozrzuconych brylantów w chwili, gdy upadły na drogę. Stał tam powóz. W deszczu jego ciemna sylwetka wydawała się utworzona z dymu.

- Stał się pan innym człowiekiem - powiedziała Laura. - Ale czekał tu pan właśnie na mnie. Wydaje się panu, że ma do mnie jakąś sprawę. O co chodzi?

- Chciałbym powiedzieć pani coś na temat Daniela Vehmunda - odparł Julinus i zapatrzył się w deszcz. Jego dziobata twarz wyglądała jak powygniatana, srebrna maska. Zaczął mówić po francusku i Laura nie rozumiała jego słów.

- Słucham?

- Powiedziałem, że kiedyś obserwowałem Daniela, ot, z czystej ciekawości. Spał wtedy na wzgórzu, w ruinach. Aaron, jeden z moich ludzi, napisał na murze „Terepha”, co znaczy „niezdalny” - zepsuty i bezużyteczny. Potem Aaron strzelił Vehmundowi prosto w serce.

- To niemożliwe.

- A jednak. Daniel jest teraz niezniszczalny. Nie można go zabić. Sama przemiana, która dokonuje się w nim przy każdej pełni księżyca, jest na tyle silna, aby go zabić, ale tego nie robi. Daniel upodobił się do brylantu. Zwykła glina nabrała cudownych cech, nie ulega destrukcji.

- Co pan ma na myśli mówiąc „przemiana”? - zapytała Laura.

- Jeszcze pani tego nie wie? Jeszcze nie pokosztowała pani jej smaku?

Laura złożyła ręce i zacisnęła je mocno. Była w pułapce, ale jak się tu dostała i dlaczego? Tamci ludzie wyszli. Zmarli leżeli w trumnach oczekując pochówku. W jakiś sposób Julinus dowiedział się o lesie wilków.

- Muszę już iść - powiedziała.

- Daniel staje się bestią - odezwał się Julinus.

- Jaką bestią?

- Bestią, która morduje i rozrywa na strzępy. Bestią, której nie może zabić żadna ziemska siła. Ani stal, ani drewno, ani kule, kwas, trucizna czy ogień. Nic. To ziemia nadała Danielowi inną postać. Nie może występować teraz przeciwko sobie.

- Tak - powiedziała Laura. - Dobrze. Pozwoli pan, że teraz już pójdę.

- Niech pani idzie - odparł Julinus. - I powie sobie, że to był sen.

Laura odwróciła się i pobiegła do drzwi. Przystanąła.

- Niech pan niczego stąd nie zabiera - powiedziała szybko. - Mój mąż wszystkim się zajmie.

Julinus nie odpowiedział. Może nie było go już w pokoju. Nie odwróciła się, aby to sprawdzić. Wyszła na korytarz i udała się tam, gdzie oczekiwali na nią grabarze i zmarli.

Jesień rozmyła się w deszczu. Ta sama ulewa, która chłostała ubraną w żałobę Laurę i spływała do czterech mogił, obmywała także pewien kopczyk na farmie Vehmundów, pomiędzy ogrodem a sadem. Chwasty porosły go gęsto, żywiąc się deszczem i spoczywającym w ziemi ciałem Rosamunde Ax.

Deszcz zmywał z drzew mokre, żółtawe liście. Rzeki i strumienie wezbrały. Owce zagnano do zagród na wzgórzach.

W parku otaczającym rezydencję Wortha jezioro wystąpiło z brzegów zalewając położone niżej trawniki. Rzeźby były lśniące i gładkie jak ryby. Zakrzepła krew spłynęła.

Hyperion Worth i jego żona oddalali się od siebie, jak gdyby pod wpływem padającego deszczu.

Deszczowy księżyc schował się za chmurami. Pośrodku burzy zakrólowała pełnia.

Włóczęgę, którego zostawiono na noc w żelaznej klatce, znaleziono w wiosce rankiem rozszarpanego na strzępy, stalowe pręty zaś leżały pogięte i powyrywane. Pewna kobieta, cierpiąca na bezsenność i mieszkająca pół mili dalej, widziała, jak coś przemyka wzdłuż drogi oświetlone drżącym światłem księżyca. Nie był to pies ani wilk, ale jakieś zupełnie nowe zwierzę. W deszczu jego gęsta sierść zdawała się więc niespokojnie. Kobieta bała się, że pomimo zamków i sztab bestia dostanie się siłą do środka, ale ta, nie spojrzawszy nawet, przeszła mimo. Ociekający wodą ciężki łeb zwróciła ku księżycowi.

Większość służby opuściła dom Hyperiona. Nie zatrzymywał ich. Pewnej nocy pijany parobek ukraść powóz i konie. Pozostałe wierzchowce wypuścił ze stajni i one także zniknęły na nasiąkniętych wodą pustkowiach. Hyperion i jego żona pozostali sami w rezydencji jak wraki statków wyrzucone na bezludną wyspę, otoczoną morzem deszczu.



2.

Spadająca gwiazda. „Szybko, szybko, wymyśl życzenie”. Ale wobec tylu pomieszanych pragnień trudno było sprecyzować jedno na czas, a gwiazda zdążyła już zniknąć. Potem następna i następna. I jeszcze jedna. Wszystkie gasły.

Rudowłosa dziewczyna przyglądała się niezwykle mu niebu. Deszcz gwiazd padał już trzecią noc. Nie było to tylko osobliwe zjawisko, ale coś złowróżbnego jak upadek potępionych aniołów.

Za plecami Laury po sypialni krzątała się stara pokojówka, jedyna poza Laurą kobieta, która pozostała w rezydencji. Przygotowywała dla swej pani wieczorową suknię, którą Laura miała włożyć, by spożyć z mężem skromny posiłek, przyrządzony przez starca, jedynego mężczyznę poza Hyperionem.

Deszcz już się skończył. Mróz ścisnął okolicę jakby żelazną obręczą. Nad jeziorem trzciny wyrastające z pokrytego lodem błota chrzęściły jak cukier. Kaczki odleciały. Nigdy dotąd tego nie robiły. Jakby tym razem uciekały przed mrozem, nim ten odbierze siłę ich skrzydłom i zamieni je w kamień. Rzeźby na tarasie lśniły od lodu. Gwiazdy spadające na ziemię wyglądały jak zamrożone kryształy. Włożyła suknię. Stara pomagała jej w miarę możliwości, a gdy Laura zwinęła swe włosy, pokojówka zaczęła krążyć wokół niej, nieudolnie unosząc ręce nad głową swej pani. Na łóżku siedziało jagnię przystrojone szmaragdami, których Laura nigdy nie zdejmowała z jego szyi, i przyglądało się tej scenie.

Gdy Laura była już gotowa, zeszła na dół, zostawiając w sypialni pokojówkę, by uporządkowała pokój, na ile zdoła, oraz jagnię przyglądające się bacznie staruszce.

Obiad mieli jeść w salonie. To tutaj Laura dowiedziała się o tragicznej śmierci swej rodziny, stąd też wyciągnięto lokaja, by krwawo się z nim rozprawić. Wysokie okna zakryte były grubymi zasłonami. Z oranżerii nie przyniesiono na stół żadnych kwiatów. Także w tym salonie Laura została po raz pierwszy uwiedziona i tutaj uległa.

Hyperion stał przy kominku. Laura popatrzyła na niego z obojętnym zdziwieniem. Był człowiekiem, miał tors, głowę, ręce i nogi. Był rzeczywisty, a ona należała do niego.

- To okropne, prawda? - odezwał się, gdy tylko weszła. - Trochę makabryczne, że, ot tak, przyszliśmy tu sobie na obiad.

- Tak - odparła.

- Właśnie się zastanawiałem. Moglibyśmy wyjechać stąd na zimę. Niestety będzie mnie czekać ciężka wyprawa do najbliższej wioski. Pójdę i sprowadzę transport. A potem wyjedziemy.

- Dokąd?

- Do miasta, na koniec świata, dokądkolwiek, gdzie życie jest radosne.

Laura popatrzyła uważnie na męża. Pokój zalegało mnóstwo cieni. Świece nie paliły się dobrze. Odniosła wrażenie, jak gdyby Hyperion mówił o opuszczeniu obłąkanego miasta. Nie można było nawet myśleć o wyjeździe. A może tylko tak bardzo tego nie chciała? Tutaj była z nim sama, poza tym chodziło jeszcze o coś innego.

- Jak uważasz - powiedziała.

- Przewietrzenie się dobrze nam zrobi. Wolałbym oczywiście zostać z tobą tutaj i cieszyć się śniegiem. Po jeziorze można jeździć na łyżwach. Ale dom nie będzie funkcjonował normalnie. Będzie tu niewygodnie i strasznie.

Hyperion ani słowem nie poskarżył się na parobka, który zabrał powóz i konie, ani na zdradę służby. Odżałowywał takie straty, jak gdyby pozostawały w zgodzie z naturalnym porządkiem rzeczy, podobnie jak nadejście zimy. Nie drażnił też Laury, nie zadawał pytań, nie narzucał się. Obydwoje oddalili się od siebie. Czułości zagubiły się gdzieś po drodze.

Drzwi otworzyły się i do salonu wszedł starzec ubrany na czarno podobnie jak Laura, którą nadal obowiązywała żałoba. Postawił na stole duże porcelanowe naczynie.

Hyperion łaskawym okiem powitał służę i wniesioną potrawę. Podniósł pokrywkę. W misie parowało coś w rodzaju gulaszu czy ragout. Służący pomógł im nałożyć potrawę na talerze, po czym wyszedł.

Jedli w milczeniu.

Laura myślała o tym, jak pewnej nocy główny lokaj został wyciągnięty na taras i o tym, co z niego zostało. Nie czuła nic poza przygnębieniem i jakąś dziwną, zimną ekscytacją. Daniel Vehmund... przy każdej pełni księżyca... przemiana... bestia.

- Tak, powinniśmy wyjechać - powiedziała. - A więc kiedy?

- Jeżeli chcesz, to nawet jutro. Gdzieś w okolicy musi być jakiś powóz.

- Wystarczy furmanka.

Hyperion roześmiał się. Laura przez moment widziała człowieka, jakim naprawdę był jej mąż, ale trwało to zaledwie chwilę.

- Musimy zabrać twoją małą owieczkę - powiedział Hyperion. - Wyobrażasz sobie, jaką furorę zrobi w hotelu? Salonowy piesek pani Worth w obroży ze szmaragdów.

Nagle coś zaskrobało ostro w szybę.

Małżonkowie zamarli w bezruchu, spoglądając sobie w oczy. Drapanie rozległo się znowu.

Odczekali chwilę. Cisza. Hyperion odstawił kieliszek. Laura położyła na stole sztucce.

- Co to może być? - zapytał na pozór spokojnie Hyperion.

- Przecież nie ma księżyca - powiedziała Laura.

- Ach, tak. Te wszystkie opowieści. Nie ma księżyca i nie będzie pełni przez najbliższe dwadzieścia dni. Więc to nie może być potwór. Niechże się przekonam.

Wstał z miejsca, po czym zbliżywszy się do okna, rozsunął zasłony. Na zewnątrz nie było nic prócz nieprzeniknionych ciemności. Nad nimi zalegała nieco rozjaśniona czerń nieba. Przeciął ją pojedynczy srebrny szlak spadającej gwiazdy.

Hyperion podszedł do sekretarzyka i wyciągnął pistolet. Wypróbował go w dłoni.

- Prawdopodobnie na nic się to nie przyda, jeżeli to coś nadprzyrodzonego - powiedział.

- W ogóle nic tu nie pomoże - odpowiedziała Laura.

- Ale kto wie, może to coś istnieje naprawdę. - Wziął jeden ze stojących na stole świeczników. - Masz na tyle odwagi, żeby otworzyć mi okno? Zamknij je, gdy tylko będę na zewnątrz.

Zrobiła, o co prosił, i Hyperion wkroczył w mrok. Laura zamknęła za nim okno, nie odeszła jednak, lecz przyłgnęła do szyby. Wiotki cień na złocistym tle pokoju.

Hyperion przeszedł przez taras, trzymając w górze świecznik. Bezwietrzna noc zamarła w bezruchu. Powietrze było tak zimne, że przypominało gęstą masę, przez którą trzeba się było przedzierać. Gwiazdy połyskiwały z rzadka, ale tafla jeziora świeciła nikłym blaskiem jak wypolerowany blat stołu. Między błyszczącą wodą a blaskiem świecy pojawił się jakiś kształt.

- Kto tam? - krzyknął Hyperion.

Kształt zachwiał się i zaczął powiększać. Nagle w blask świecy wkroczył mężczyzna o złotych włosach. Uniósł głowę, wpatrując się w stojącego na tarasie Hyperiona.

- Pan Vehmund.

- Pan Worth - powiedział Daniel. - Nie zejdzie pan na dół? Nie ma się czego bać. Chcę panu coś pokazać.

Hyperion odwrócił się i przez krótką chwilę patrzył na sylwetkę swej pięknej żony przyklejoną do szyby, po czym wciąż trzymając pistolet i lichtarz zszedł schodami na trawnik.

Daniel powitał go z wdziękiem, jak gdyby prowadził gościa do salonu.

- O co chodzi? - zapytał Hyperion.

Daniel uśmiechnął się. Na jego twarzy malowało się ożywienie i dzikość. Wyglądał jak uczesany i ogolony satyr. Nagle zdmuchnął świece i zniknął w ciemności.

- Niech pan spojrzy - odezwał się z mroku jego głos. - Na tę noc. Tylko tyle chciałem panu pokazać.

Hyperion stał bez ruchu. Może rozglądał się, a przynajmniej próbował. Był nadal oślepiiony płomieniami świateł.

- Doskonale widzę w nocy - powiedział Daniel. - Dla mnie wszystko jest teraz równie wyraźne jak w dzień. Ale pan pewnie nie ma takich zdolności. Szkoda. Wiele pan traci.

Oczy Hyperiona przywykły do ciemności. Okolicę jednak nadal zalegała głęboka czerń. Widział długie, łagodne wzniesienia, wyczelowane kształty, które mogły być drzewami, w oddali zaś migotliwe jezioro. Na niebieskawym pasie nieba gwiazdy były teraz tak wyraźne jak połyskliwe brosze.

Ale jego wzrok przyciągał uparcie złocisty krąg światła na tle czarnego nieba, oświetlone okno salonu, gdzie tkwiła Laura niczym źrenica oka.

- Gwiazdy już nie istnieją - powiedział Daniel. - Zgasły, ale nadal świecą ich odbicia. To skamieniałości. Ale tam na tarasie jest księżyc.

- Po co pan tutaj przyszedł? - spytał Hyperion.

- Czyżbym nie był mile widziany? Przyszedłem w odwiedziny. Do pana i księżycowej damy.

- Przyszedł pan pieszo?

- Oczywiście.

- W takim razie nie mogę pana wyprosić.

- A chciałby pan? - zapytał Daniel. - Proszę to zrobić.

- I tak niczego to nie zmieni - odparł Hyperion. - Czyżby stał się pan zwierzęciem, panie Vehmund? Te nocne eskapady - dodał. - Drapanie w okno. I opowieści o widzeniu w ciemnościach.

Daniel stał bez ruchu otulony mrokiem, jak gdyby rozmyślał nad odpowiedzią.

- Nie wiem, kim jestem - odparł. - Istnieją na to różne nazwy, ale żadna nie jest właściwa. Nie potrafię się zdefiniować. Do pana należy ziemia Vehmundów. Wie pan, że pańscy ludzie nigdy nie zbliżają się do mojego domu? To takie głupie, nie uzasadnione przesady. Powinien pan to ukrócić, panie Worth.

Hyperion dostrzegł nagle coś dziwnego w twarzy Daniela. W ciemnościach wyglądało to jak maska, a jednak pulsowało życiem. Życiem błędzącym pomiędzy niebem a ziemią.

Obydwaj mężczyźni popatrzyli w kierunku rozjaśnionego okna.

- Przykro mi, że zmarła pańska matka - powiedział Hyperion.

- Cóż - odparł Daniel. Nie powiedział nic więcej. Nie wyraził smutku, gniewu czy rezygnacji. Nie była to obojętność. W nagłym, bolesnym przeblasku Hyperion zrozumiał, w co wtopiła się postać Jenavere - nie zniknęła, ale żyła pełnią życia. Jenavere nie umarła. Odżyła w Laurze. W Laurze, która była jednocześnie królową i niewolnicą, stwórczynią i obiektem przemiany.

W ciemnościach stał koło niego wilk. Jego złociste oczy wpatrywały się w złociste okna.

Laura także miała stać się wilczycą, a może opiekunką wilków. Piękna i Bestia.

- Ona nie należy do ciebie - powiedział Hyperion.

- Ależ tak.

- W takim razie, kim ja jestem?

- Intruzem.

- Zdumiewa mnie pan, Danielu. Czy aby wypada być równie szczerym w tak delikatnej kwestii?

- Nie pozostaje mi nic innego. Darzę pana sympatią, proszę mi wierzyć - odparł Daniel. - Powinniśmy zostać przyjaciółmi, jak gdyby nic takiego się nie stało.

- W takim razie muszę uchronić ją przed panem.

- Proszę spróbować.

- A pan będzie próbował na własną rękę - stwierdził Hyperion.  
- Noc jest po mojej stronie.  
- Być może. - Hyperion przymknął na chwilę oczy i w otaczającej czerni nastąpiła jeszcze większa ciemność. - Uważa pan, że Laura jest pozbawiona woli i własnych pragnień?  
Daniel nie odpowiedział.

Ogarnięty nagłym strachem, Hyperion znowu się obejrzał, lecz tym razem zobaczył za plecami ciemność. Laura odeszła od okna i zasunęła storę, jak gdyby słyszała całą ich rozmowę.

Daniel stał zaledwie kilka stóp dalej przy pionowej ścianie tarasu.

Hyperion rozejrzył się. Nocny krajobraz nabrał wyraźniejszych kształtów. Dostrzegł lśniąco jezioro, grupę drzew rozpiętą na tle nieba, wzgórze wznoszące się nad rezydencją. Usłyszał dziwną wibrację. Pomyślał, że to szumi mu w uszach, jak fizyczna zapowiedź ogarniającego go przerażenia.

- Powinienem wrócić do żony - odezwał się. - Pan oczywiście także może wejść do domu, jeżeli tylko pan sobie życzy.

- Mógłbym wspinać się po ścianach pańskiego domu - odparł Daniel. - Ale jeszcze nie tym razem.

- Ilu ich pan zabił? - spytał Hyperion lodowatym głosem. - Jak się to panu udaje? A, prawda, zapomniałem. Zamienia się pan w istotę z piekła rodem. Czy pan naprawdę zwariował, panie Vehmund, żeby brać na siebie czyny jakiegoś maniaka?

Daniel zbliżył się do schodów i wszedł na taras. Nie odezwał się słowem.

Wibracja w uszach Hyperiona przybrała na sile. Jak gdyby jej źródło leżało gdzieś za jego plecami, gdzieś w górze. Mimowolnie podniósł oczy ku niebu. Gwiazdy drżały, jak gdyby oglądane przez lzy.

Daniel stał na tarasie, tam gdzie poprzednio Hyperion. Zatrzymał się przy balustradzie i popatrzył w dal.

- Niech pan posłucha.

- Więc pan także to słyszy - odparł Hyperion.

- Na Wschodzie mówią, że to Bóg przeszedł po niewidocznej stronie nieba.

Obydwaj mężczyźni trwali w bezruchu. Ale przez noc rwał teraz jakiś prąd, jak gdyby zaczął padać suchy deszcz. Dźwięk narastał. Był ostry i rozdzierający, odbijał się echem o sklepienie niebios i zboczył wzgórze, aż wreszcie zdawało się, że dociera zewsząd jednocześnie.

Z oddali, gdzieś z ukrytych zagród, doleciało wycie psów.

Nagle część nieba zapłonęła jak osmalona i krwistoczerwona rana. Zaczęła powiększać się z przerażającą szybkością.

Noc nie była już czarna, lecz purpurowa. Hyperion spostrzegł, że fasada domu, rzeźby, sam Daniel toną w ogniu i krwi i oddalają się. Jezioro zbudziło się, jakby wypełnione wrzącą lawą. Kępy drzew i wzgórze zapłonęły, jakby podłożono pod nimi ogień. Zrobiło się jasno jak w dzień.

Ze wszystkich stron z przeraźliwym łopotem i krzykiem poderwały się ptaki, witając nadejście piekielnego poranka. Świat skamieniał i spłaszczył się. Z wysoka odezwało się wycie potężniejsze, niż gdyby wydawały je z siebie wszystkie psy jednocześnie. Niebo rozpękało się ukazując ranę kipiącej bieli.

Okno w salonie otworzyło się gwałtownie. W zgiełku światła było blade jak spopielone szczątki.

- Cofnij się! - krzyknął Hyperion. Jego głos zniknął w łoskocie dźwięków.

Coś przeszło nad światem. Jakby Anioł Śmierci z Księgi Wyjścia. Tak musiała wyglądać tamta noc w Egipcie: zatopiona w ogniu i przeraźliwym łopocie skrzydeł.

Hyperion padł na trawnik, jak gdyby przewrócony ręką olbrzyma.

Zdawało mu się, że dźwięk i czerwony blask ognia odpływają gdzieś, wsysane przez olbrzymi rynsztok.

Noc pociemniała. Nagle nad wzgórzami pojawiła się smuga bieli.

Niebo zaczęło gwałtownie zmieniać barwę. Stało się purpurowe, potem różowe, by momentalnie błysnąć fioletem. Ziemię wstrząsnął wybuch. Ściany ciemności zdrząły. Gwiazdy zatrzęśły się, ale nie spadły z firmamentu.

Gdy ziemia wchłonęła drżenie, Hyperion wstał. Spozrzegł, że dom stoi wytrwale na swych fundamentach. Za nim obramowana wzgórzami wolno wznosiła się ku niebu łagodna, czerwona poświata, słup dymu, a może ognia.

To gwiazda spadła na ziemię.

Czytał o podobnych zjawiskach. Przypomnił sobie to, co widział przed chwilą. To spadł na ziemię piorun, boski kamień. Meteor.

W koronach drzew ptaki skakały i trzepotały o liście, świergocząc przerażone. W kręgu nocy czekały psy. Z oddali dochodziło bicie dzwonu.

Daniel stał na tarasie, nieporuszony jak rzeźby. Laura spoglądała przez otwarte okno. Dłonie trzymała przyciśnięte do szyi. Za nią w salonie, niczym woskowe kukły, stało dwoje staruszków. Ich twarze były nieruchome i ściągnięte.

W dawnym świecie poczytano by to sobie za zły omen. Ludzie z pewnością wpletliby ten przejaw siły przyrody w swoje życie. Na ziemię spadł gwiazdny gruz. Cóż innego mogło to zapowiadać, jak nie zawalenie się jakiejś strzelistej budowli?

Hyperion wpatrywał się w taras, gdzie stała jego żona, tamten człowiek i antyczny, czarny chór jego dworzan.

Czyżby zjawisko tak potężne mogło zapowiadać jedynie upadek jego małego królestwa, jego nic nie znaczące odejście w niebyt?

Ogień zastąpił z nieba. W nocy spadł śnieg. Wcześniej jak na tę porę roku. Ludzie ukryci w swych domostwach nazwali to kolejnym cudem.

Laura stała przy oknie obserwując, jak śnieg wypełnia ziemski półmisek.

Myślała o Bożym Narodzeniu, takim, jakie obiecywał jej Hyperion. O gałęziach ostrokrzewu, o szczapach trzaskających na kominku, o wysokiej choince przystrojonej pozłacanym papierem i różowymi wstążkami. O kołędnicach stukających do drzwi, o wspaniałej uczcie. Wtedy, gdy tego słuchała, wszystko zdawało się jej nierzeczywiste. Teraz wiedziała już, że bajkowe wizje nie staną się prawdą.

Daniel przekroczył drzwi domu jej męża. Usiadł w salonie i obydwaj z Hyperionem zaczęli popijać brandy. Hyperion rozprawiał o meteorze, Daniel zaś wpatrywał się w ogień. Na Laure ledwo rzucił okiem. Zdawało się, że posiadłość należy do niego, Laura zaś jest tylko jakimś sprzętem stojącym z pewnością na swoim miejscu.

Była roztrzęsiona. Meteor, który przeleciał nad domem, by zniknąć gdzieś na wzgórzach, nie przeraził jej bardziej niż pojawienie się Daniela. Zdawało się, jakby to nagłe zjawisko potwierdzało jego nadejście jak strzała wystrzelona dla oznaczenia miejsca.

Laura znosiła obecność Daniela i chaotyczny wykład Hyperiona na temat meteoru nie dłużej niż piętnaście minut, po czym odeszła. Gdy znalazła się w sypialni, zamknęła drzwi na klucz. Wszystko zawisło na krawędzi urwiska. Niczego nie da się już uniknąć.

Pokojówka nie pojawiła się, więc Laura sama zdjęła suknię i włożyła szlafrok. Jagnię nie leżało już na łóżku, lecz przy kominku. Migotliwe szmaragdy owijały jego szyję jak zielony wąż. Zwierzę leżało bez ruchu z zamkniętymi oczami, pochłonięte same sobą. Było jakąś nową istotą, hybrydą, symbolem nie wiedzieć czego. Nie widać było, żeby upadek meteoru zakłócił jego spokój. Zwierzątko pewnie dawno już o tym zapomniało.

Stanie się coś okropnego. Teraz to już tylko kwestia czasu.

Zatrzął ją nagły gniew. Była bezsilna. Nie wiedziała, co robić.

Śnieg sfrunął z nieba. Park pokryła warstwa białego puchu i spowiła śmiertelna bladeść. Jak powiedział Hyperion, piorun, który spadł z nieba, będzie jeszcze płonął w śniegu. Ludzie pójdą go zobaczyć. Nie mógł upaść daleko, jakieś dwie, trzy mile stąd.

Gdzieś w domu z pewnością śpi Daniel, chyba że razem z Hyperionem pozostali w salonie pijąc brandy. Hyperion pewnie nadal rozprawia.

O szarej godzinie poranka Laura zapadła w sen. Śniły się jej wilki biegnące po skutym lodem morzu. Fale leżały na brzegu jak kryształy kwarcu. Szare ciała wilków rzucały zimne, czarne cienie. Na nieruchomej wodzie leżał zamarznęty statek. Na jego pokładzie uwięziony w bryle lodu stał wilk. Cienie jednak były ważniejsze niż zwierzęta. Odłączyły się od nich i zaczęły sunąć w głąb łądu. Niebo pojaśniało i rozległ się jakiś trzask. Laura obudziła się.

Pokój i park zalany był światłem, szarym jak ciała wilków.

Zobaczyła przez okno dwie ciemne postacie sunące wolno i ostrożnie po lukrowanych trawnikach. Jedna z nich prowadziła drugą pod ramię i niosła koszyk. Laura zdała sobie sprawę, że to opuszczają dom staruszkowie, ostatni słudzy Hyperiona.

Pokonując ostatnie mile swej podróży meteor przemknął nad ziemią jak ognisty wiatr, jak bitumiczna kosa. Pożłobił korony drzew i uparcie torując sobie drogę, pościnał ich czubki. Do miejsca jego spoczynku prowadził szlak zniszczeń, który śnieg oprószył, ale nie ukrył przed ludzkim okiem. Meteor spoczął ostatecznie na zboczu wzniesienia. Wzgórze zostało rozdarte. Wielkie głazy i odłamki skał wyleciały w powietrze i potoczyły się w dół. Śnieg poplamiały dookoła dymiące kraterzyki - szczątki meteoru. Ale potężna część jego cielska pozostała nietknięta. Wbiła się w zbocze niczym pięść wciśnięta w uległą ziemię. Na zewnątrz widać było głaz wielkości małego powozu, przypominający kształtem poobijaną kulę. Miał barwę grafitu, ale w jego sercu, na tle wzgórza, wrzało czerwone jądro, z którego unosiła się cieniutka żółta wstążka dymu. Szkarłatna poświata drżała na bieli śniegu, nadając mu barwę purpury i czerwieniąc przyległe wzgórza, blednąc i rozżarzając się niczym palenisko. Ze szczytu wzniesienia, w które uderzył meteor, natychmiast spłynął śnieg ukazując dziką zielen. Przebiśniegi, zwiedzione narastającym ciepłem, wysunęły delikatne, zakończone ostro łodygi, biorąc masakrę za nadejście wiosny.

W południe pojawili się gapie. Niektórzy ociągali się z odejściem, a gdy nadeszło popołudnie, przyszedli inni. Z trudem można było utrzymać w miejscu ruchliwe konie, zaniepokojone osobliwym, metalicznym zapachem dogasającej gwiazdy. Eleganckie panie i panowie przywieźli ze sobą wino i kosze z jedzeniem, by w miłej atmosferze cieszyć się widowiskiem. Zjawili się także ludzie z wioski. Przyjechali wozami i rozklekotanymi furami, niektórzy zaś przyszedli pieszo.

Lord, który nie miał pojęcia, iż nadano mu przydomek „Kapusta”, przywiózł na widowisko Adę, swą córkę o kręconych włosach. Stali na śniegu, przypatrując się wielkiej kuli, która przybyła z kosmosu i może była odłamkiem innej planety.

- Ależ to brzydkie - powiedziała Ada i zatarła ręce w lawendowych rękawiczkach. Uważała, że to oczywiście konieczne, by sama przyjrzała się ciekawostce. Nie była jednak poruszona. Bo o co tu właściwie chodzi?

- Jesteś rozpieszczona - odparł lord Kapusta. - Niech mnie diabli, jeżeli tak nie jest. Może zwróciłaś uwagę, gdyby ten głaz wyładował w oranżerii. - Ada zachnęła się. Lord Kapusta popatrzył w dół zbocza. - O, idzie tu Worth. I ten dziwak z farmy.

Ada spojrziała w tę stronę, lekko zaciekawiona. Hyperion Worth nie interesował jej wcale, gdyż był żonaty, Daniel Vehmund zaś nie należał do jej sfery, chociaż słyszała o nim. Doszły ją słuchy o dziwnej, krążącej po okolicy pogłosce, jakoby człowiek ten był wilkołakiem i przy każdej pełni księżyca zmieniał się w krwiożercze monstrum. Plotki te, choć tak zabawne, musiały jednak na czymś się opierać. Mężczyzna był rzeczywiście bardzo przystojny, jakby

złocisty. Adzie wydawał się bardziej intrygujący niż meteor. Kilka miesięcy wcześniej podczas przyjęcia w domu Hyperiona nie zauważyła Daniela.

Hyperion Worth właśnie uniósł głowę. Lord Kapusta skinął mu na powitanie i ruszył w dół po zboczu. Ada poszła za ojcem.

Odniosła wrażenie, że Worth jest blady i spięty. U jego boku stał powszechnie znany już Daniel Vehmund i prawdopodobnie zdołał już zyskać nad Hyperionem pewną kontrolę. Ada nie mogła wymyślić żadnego innego powodu, dla którego jeden człowiek miałby stać się niewolnikiem drugiego.

- Witam, witam, a więc przyszedł pan popatrzeć na fajerwerki - odezwał się lord Kapusta.

- Tak, rzeczywiście - odparł Hyperion. - Pozwolą państwo, że przedstawię mojego towarzysza. - Tak też zrobił, wymieniając następnie właściwe nazwisko lorda. Nie pominięto także Ady. Daniel ledwie rzucił okiem na lorda i jego córkę, chociaż skinął grzecznie głową i obdarzył ich uśmiechem.

- Nie zauważyłem pańskiego powozu - powiedział lord Kapusta.

- Nie mam powozu. Moi słudzy odeszli.

- Do diabła, czy to możliwe? Strasznie jest w tych okolicach. Mogę w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję - odparł Hyperion. Wpatrywał się w pulsujące, krwawe serce meteoru. - Jestem skazany na odosobnieniu. Wygląda na to, że nie ma ucieczki.

- Ucieczki? - Lord Kapusta popatrzył na niego spode łba.

- Patrę na to tak jak Rzymianie - stwierdził Hyperion. - Coś się na mnie wali. To dziwne, jak pan wie, jestem beztroskim człowiekiem.

- Co to za mowa. Czy zdołam przekonać pana, by przyjechał wraz z żoną do naszego niszczonego domostwa? Zimą jest upiornie chłodno, ale przynajmniej są pewne wygody. Mam przysłać powóz?

- To bardzo miło z pana strony - odparł Hyperion. - Proszę niczego nie przysyłać.

- Ale dlaczego...

- Chodzi o moją żonę - powiedział Hyperion. - Obawiam się, że nie pojechałaby ze mną. - Dziwnie się zachowywał, w beztroski sposób wypowiadał niezrozumiałe słowa, jak gdyby wessał go wir kolorów i dźwięków, których nikt inny nie mógł usłyszeć ani dostrzec.

- No, oczywiście, to zależy od pana.

- Chylę czoło przed pańską wspaniałomyślnością - odparł Hyperion.

- Musimy być wyrozumiali - wtrąciła kwaśno Ada. - Pan Worth nie może zostawić swojego gościa.

Daniel zaszczycił ją przelotnym spojrzeniem. Nie były to oczy człowieka, lecz zwierzęcia, mimo iż zabłysło w nich rozbawienie. Ada poczuła niechęć, była jednak zbyt rozsądna, by poddać się strachowi. „Przecież to wieśniak”, pomyślała. Złościło ją, że nie zrobiła żadnego wrażenia. Może ten człowiek jest po prostu tępy, tak samo jak to mówiono o jego nieżyjącym bracie. Rozpowiadano, że zabił go Daniel zamieniony w bestię. Czy było w tym ziarno prawdy? Może. Czyżby Daniel Vehmund był niespełna rozumu?

- Pan Vehmund ma przecież własny dom - odezwał się lord Kapusta.

- Nie - powiedział Hyperion z jakimś bladym uśmiechem. - Tamto miejsce jest równie ponure i zaniedbane jak moja rezydencja.

- No cóż, nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedział lord Kapusta. Najwyraźniej uważał swoje zaproszenie za coś znacznie bardziej pożądanego. - W każdym razie musimy już wracać. Ukłony dla pani Worth.

- I proszę jej powiedzieć, żeby uważała na wilki - dodała Ada. - Krążą jakieś straszne opowieści.

Daniel jednak nie spojrzął na nią i tym razem. Lord i jego córka odeszli.

- Powinien pan przyjąć jego zaproszenie - powiedział Daniel.

- I zostawić panu Laurę?

- Jeśli to byłoby konieczne. Naprawdę najlepiej pan zrobi, jeżeli wyjedzie.

Przez całą drogę do miejsca, gdzie spadł meteor, rozprawiali o zupełnie zwykłych sprawach, jak gdyby byli dobrymi znajomymi darzącymi się szczerą sympatią. Jednak od czasu do czasu Hyperion odwracał się plecami do swego towarzysza albo przechodził przed Daniela, jak gdyby dając mu sposobność, by zaatakował go od tyłu. Podczas jednego z tych manewrów Daniel roześmiał się. Nie wydarzyło się nic więcej.

Hyperion także zaproponował tę wycieczkę, jak gdyby Daniel był zwykłym gościem w jego domu i jakby nie powodowało nim nic więcej prócz uzasadnionej ciekawości. Laura nie wychodziła z pokoju. Oznajmiła, że zejdzie na dół i w opustoszałej kuchni przygotuje kolację.

Hyperion popatrzył na Daniela ze swobodnym wdziękiem.

- Będzie musiał mnie pan zabić, żeby się mnie pozbyć.

- Po co stwarzać taką konieczność?

- Więc sam pan przyznaje, że myśli o morderstwie.

- Morderstwo z pewnością wisi w powietrzu. Ale wybór należy do pana. Ma pan jeszcze dziewiętnaście dni.

- To prawda, co rozgłasza pan o sobie, czyż nie? Przy każdej pełni księżyca zamienia się pan w potwora? Te wszystkie straszne rzeczy to pańskie dzieło?

- Proszę samemu zdecydować, czy pan w to wierzy.

- Oczywiście, że nie wierzę. Wszechświatem musi rządzić jakaś logika.

Daniel wskazał na wbity w ziemię meteor.

- A czy w tym jest logika?

Jakichś dwóch ludzi pięło się łukiem po spękany zbocz. Byli zbyt daleko, by można było dostrzec rysy ich twarzy. Jeden z nich niósł w ręku lśniący kilof.

- Napatrzył się pan już do woli? - spytał łaskawie Hyperion. - Może chce pan wspiąć się na górę i zdobyć jakieś trofeum?

- Nie - odparł Daniel. Wskazał na stojący w oddali powóz i marudzących przed nim lorda Kapustę i dziewczynę. - Jeżeli się pan pospieszy, jeszcze ich dogoni.

- Zawracajmy - powiedział Hyperion - żeby wrócić do domu, zanim się ściemni. Nie mogę narażać mojego drogiego gościa na niebezpieczeństwa nocnej wędrówki.

\* \* \*

W dogasającym świetle dnia Ada zaczęła schodzić po zbocz między połamanymi drzewami. Stangret nie opuszczał jej ani na krok. Musiała przez dłuższą chwilę przekonywać uparcie ojca, by w towarzystwie służącego pozwolił jej pójść do cygańskiego wozu, który zauważyła już wcześniej między drzewami. Ada nie wierzyła w istnienie potworów, ani statków widm, była jednak śmiała i nie bardziej niż inni przesądna. Zjawienie się meteoru rozdrażniło ją, a spotkanie z żonatych Hyperionem Worthem i Vehmundem, który nie raczył jej zauważyć, dopełniło wszystkiego i zachwiało jej spokój. Mieszkalny wóz oznaczał, że pojawili się Cyganie. Poprosi, by przepowiedzieli jej przyszłość. Pół roku wcześniej odtrąciła pogardliwie podobną okazję, gdy podczas pewnego wieczorku tańczącego okazało się, że w pomieszczeniach dla służby zjawiała się jakaś stara Cyganka. Dziewczęta chodziły do niej jedna za drugą, by poznać swój los, po czym wracały zadowolone, przejęte strachem i chichoczące. Wówczas Ada, pragnąc być inna niż wszystkie, zrezygnowała z okazji.

Wokół wozu piętrzyły się wysokie zasypy śniegu. Sam pojazd był zdezelowany, brakowało też konia. Mogłoby się zdawać, że wóz stanął tu już wcześniej, nim z nieba spadł meteor.

Stangret zastukał głośno.

Drzwi poruszyły się. Były otwarte.

- Jest tu kto? - zawołała dziewczyna. Nikt nie odpowiedział.

- Lepiej wracajmy - powiedział stangret. Ada odepchnęła go.

- Poczekaaj tu na mnie - rzuciła i weszła do wozu.



Nie miała przy tym większych oporów, niż gdyby włamywała się do pokoju kogoś ze swojej służby. Ci ludzie i różne przedmioty istnieli dla jej wygody. Tego została nauczona. Jednak wygląd wnętrza, w którym się znalazła, przerósł jej oczekiwania. Panowały tam głębokie ciemności. Długie płaszczyzny rozciągały się na różnych poziomach, jak gdyby było to wnętrze kredensu. Przez małe okienko sączyła się blada, drżąca poświata, którą meteor rzucał na ciemniejące niebo. Nagle u stóp dziewczyny zabłysło żółte światło.

Przestraszyła się. Nie tylko nie była tu sama, ale jeszcze otaczało ją wiele par oczu.

- Proszę uważać - powiedziała cierpko. - Za drzwiami stoi człowiek mojego ojca.

Zza lampy odezwał się męski głos:

- Nie musi się pani niczego obawiać.

- Wcale się nie boję - ucieła Ada. - Przepowiada pan przyszłość?

- Jeżeli pani sobie życzy.

Oczy Ady zdążyły już przywyknąć do światła, którego źródłem była lampa płonąca na niskim stole. Za nim siedziała malownicza postać. Mężczyzna nie był jednak ubrany na sposób cygański. Miał na sobie ciężką, długą szatę, wokół głowy zamotany wypłowiały kawałek płótna. Wyglądał, jakby wyszedł z obrazka zdobiącego zbiór orientalnych opowieści. Wokół leżały magiczne przedmioty: stare księgi, zwoje pergaminu. W górze we wszystkich szczelinach przycupnęły przypominające kukły koty z błyszczącymi ślepiami. To właśnie one ją obserwowały, a przekonawszy się o tym, Ada natychmiast przestała o nich myśleć.

- Mam tylko kilka pensów - odezwała się Ada, którą cechowała również chorobliwa chciwość. - Czy to wystarczy?

- Pieniądze są zbyteczne. Ale proszę, niech pani podejdzie bliżej i usiądzie.

Wykazując śmiałość czy może głupotę, dziewczyna posłuchała. Podeszła i usiadła przed lampą na ozdobnej poduszce, twarzą do mężczyzny.

Podobnie jak o gwiazdnej kuli, pomyślała o nim jedynie, że jest brzydki. I tyle, żadnych dalszych wrażeń. Wyciągnęła rękę do mężczyzny, a on wziął ją w swoją. Gdy spuszczał głowę, wykonał dziwny, węzowy ruch szyją. Coś innego jednak zwróciło uwagę dziewczyny. Były to blizna biegnąca po jego grdyce, na moment odsłonięta przez wycięcie szaty, po czym znowu ukryta pod tkaniną.

- Nie ma powodu do niepokoju - odezwał się mężczyzna w turbanie. W kraterach jego policzków światło zbierało się jak drobne cekiny. - Na pani dłoni wryte jest spokojne, radosne życie. Nigdy pani niczego nie zabraknie. Nigdy nie padnie pani ofiarą poważnej choroby czy niepowodzenia. Urodzi pani jedno dziecko, chłopca, lekko i bezpiecznie. W dobrym zdrowiu dożyje pani późnej starości. - Wypuścił jej dłoń, która ku zdumieniu dziewczyny opadła bezwładna i chłodna. - Będzie pani - dodał - bardzo nieszczęśliwa.

Ada starała się wydobyć z siebie głos, ale nie była w stanie.

Urażona wstała i zaczęła wycofywać się do drzwi, mijając rzędy lśniących szklanych oczu. Przez cały czas starała się ułożyć w myślach jakąś stanowczą bądź ciętą odpowiedź. Coś szamotało się opętańczo w jej duszy, ale stłumiła to w sobie.

Gdy zbliżyła się do drzwi, doleciały ją słowa:

- Powinna pani być wdzięczna, że nie zamierzam ukarać pani za jej impertynencję.

Skłonił się ukryty za światłem lampy, która nagle zgasła.

W szaleńczym strachu, który później uznała za irytację, Ada dopadła do drzwi i wyskoczyła na śnieg.

Stangret stał przy strzaskanym drzewie i palił fajkę. Jego twarz wyglądała wrogo na tle zniszczeń. Przez chwilę cały świat wydał się Adzie nagi i straszny. Ale ten obraz zaraz zniknął, jakby zarzuciła nań zasłonę.

- Chodźmy. Czeka na mnie ojciec.

Gdy doszła do powozu, znowu była sobą, a przynajmniej osobą, za jaką się miała. Usłyszane w cygańskim wozie słowa puściła w niepamięć jako pozbawione sensu, uznając je za dowód, iż podobne praktyki to czysta głupota.

Na spowitym nocnym mrokiem wzgórzu stało dwóch mężczyzn, odłupując kawałki meteoru. Gapie odeszli. Nie było śladu po panu Worcie i jego przyjacielu ze wsi.

Ada wsiadła do powozu i pojazd ruszył. Przez ułamek sekundy twarz ojca także należała do kogoś innego, ale ten dziwny obraz rozwiązał się tak jak poprzedni. Wieczorem będzie musiała zapisać w pamiętniku, że tego dnia widziała meteor, ale wcale nie wydał jej się szczególnym cudem oraz, że pewien Cygan przepowiedział jej przyszłość mówiąc rzeczy, których się można spodziewać. Wspomni także, iż wątpliwe jest, by w rezydencji Worthów odbył się w najbliższym czasie jakiś bal, pan Worth bowiem wydaje się chory i spięty, i trudno jeszcze czegoś po nim oczekiwać.

Panowie Vehmund i Worth sami siedzieli tego wieczora przy obiedzie. Posiłek, który Laura przygotowała w opustoszałej kuchni, był skromny, ale smaczny. Zostawiła go dla nich jak duch. Żaden z nich jej nie widział.

Po obiedzie gospodarz i gość zaczęli spacerować po rezydencji. Hyperion trzymał w dłoni kilkuramienny lichtarz, oświetlając niektóre obrazy, rzeźby, gobeliny, żebrowanie sklepień.

Rozprawiali o sztuce. Daniel opowiadał o dziełach mistrzów z innych krajów.

- Jestem bardzo przywiązany do tego domu - powiedział Hyperion. - Teraz rozumie pan, dlaczego nie dam się stąd wygonić. Będę go bronić nagim mieczem.

- Niczego pan przez to nie zyska.

- A jednak nie mogę się oprzeć.

Udali się na spoczynek do swych pokoi, lecz nie mogło być mowy o spaniu i czekała ich bezsenna noc w grotach z płótna i jedwabiu.

Ciemność wolno rozpięła nad dachem swe skrzydła.

Gdy poranek rozjaśnił zaśnieżony świat, do sypialni Hyperiona przyszła Laura. Mąż już nie spał. Ubrany w szlafrok siedział w fotelu. W pokoju panował chłód.

- Rozpalę w kominku - powiedziała Laura.

- Nie, nie jesteś moją służącą. Sam się tym zajmę.

- On się do mnie nie zbliża - powiedziała - a drzwi mojej sypialni są zamknięte na klucz. - Hyperion nie odpowiedział. - Wspominałeś kiedyś o wyjeździe - dodała.

- Tak... Moglibyśmy wyjechać. Ale co z domem?

- Zostawmy mu dom, jeżeli go tak bardzo pragnie - powiedziała Laura. - Niech się po nim włóczy, dopóki mu się nie znudzi.

- Obawiam się, że wcale nie zależy mu na domu - odparł Hyperion. - Podobno zgromadził podczas podróży ogromny majątek i wcale z niego nie korzysta. Przypuszczam, że ten dom jest dla niego tylko jeszcze jednym skrawkiem ziemi. A jednak nim zawładnął. Chętnie pootwieralby wszystkie drzwi i pozwolił, żeby po pokojach hulał śnieg. Przyjdą wilki. W salonie i sali balowej zrobią sobie legowiska.

- Wiosną możesz tutaj wrócić z ludźmi i go wykurzyć.

- Wiosną - odparł Hyperion.

- Musimy się od niego uwolnić - powiedziała Laura.

- Jest przekonany, że zamienia się w bestię. Pójdzie za nami. Bóg jeden wie, co się stanie.

- Tym bardziej trzeba stąd odejść.

- Tobie nic nie grozi - powiedział Hyperion. - Z pewnością w tym micie jest dla ciebie miejsce.

- Żałuję, że nie umarł w chwili, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy - powiedziała Laura. - To ja wplotłam go w tę historię. Nie pamiętasz?

- Doprawdy? - Hyperion zapatrzył się w jaśniejące za szybą niebo. - Wiesz, Lauro, ja naprawdę wierzę, że nic nie może go zabić. Pistolet na nic się nie zda. - Laura nieco głośniejszym głosem wciągnęła powietrze. - Wspaniały z niego towarzysz. Poszliśmy do meteoru starą drogą. Doprowadziła nas prawie do końca. Cały czas usta nam się nie zamykały. A kiedy już tam doszliśmy, światło gwiazdy spłynęło na niego. Rzadka z niego istota.

- Dlaczego mnie stąd nie zabierzesz? - spytała Laura.

- Już za późno, kochanie.

- Jak to?

- Moglibyśmy tylko iść pieszo. A on pójdzie za nami i nie będzie nas odstępował na krok. W końcu i tak wszyscy wrócimy. Tak samo byłoby, gdybyśmy wyruszyli powozem.

- On cię zaczarował - powiedziała Laura.

- Moja żona tak wierzy we wszelkie uroki.

- Nie będę wychodzić z pokoju.

- Tak, tak będzie najlepiej. Dopóki tylko się da.

Mijały dni i noce. Hyperion siedział w gabinecie. Czytał stare listy z dzieciństwa, przerysowywał od niechcienia ilustracje z książek. Wkrótce wstanie i poszuka Daniela. Znajdzie go w jakimś zakątku rezydencji, po czym obydwaj zaczną przemierzać korytarze i rozprawiać o chartach i nimfach przedstawionych na obrazach. Laura tylnymi schodami zejdzie niezauważona do kuchni. Produktów na spożywanie w salonie widmowe kolacje dostarczały pełne zapasów ogromne kredensy i zimna spiżarnia, teraz skuta lodem. Laura siadywała w swym pokoju pod alabastrową lampą i rozpruwała suknie, po czym zszywała je na nowo w inny sposób. Każdego ranka po przebudzeniu czuła strach przed tym, co przyniesie nowy dzień. Bała się, że gdzieś w domu spotka Daniela i wychodziła z pokoju coraz częściej, myśląc, że zobaczy go obserwującego ją zza kolumny czy zza rogu.

Spadło więcej śniegu zmieniając kształt światła. Z okna trudno było rozpoznać znajomą dawniej okolicę, jedynie czarne zlodowaciałe jezioro było tam, gdzie zawsze. Nie było ptaków. Całe życie jakby zamarło poza trzema ludzkimi istotami.

Po południu Hyperion zobaczył na tarasie jagnię, które wciąż miało na szyi połyskliwą zieloną obrozę. Widać było, że jest zaskoczone obecnością śniegu i wkrótce weszło do środka znikając mu z oczu. Nie miał pojęcia, czym Laura żywi swojego ulubieńca, prawdopodobnie winem i ciastkami. Dziwnie wyglądało to zwierzę. Nie przypominało owcy ani psa. Pędziło życie inne niż reszta gatunku i to zmieniało je w zupełnie nową istotę.

Hyperion ułożył szczapy na kominku i zapalił je. Usiadł przy małym stoliku i zaczął bawić się kartami przypominając sobie gry, które wymyślił jako dziecko. Potem udał się na górę, by przebrać się do obiadu, gdyż to leżało w jego zwyczaju. Pożyczył Danielowi odpowiednie stroje, by on także mógł czynić zadość temu rytuałowi i gość rzeczywiście tak robił, zjawiając się przy stole zawsze nienagannie ubrany, znacznie lepiej niż tamtego wieczoru, kiedy odbywało się przyjęcie.

Do stołu zasiadało dwóch dżentelmenów obsługiwanych przez niewidzialną gospodynię. Hyperion nie widywał już Laury. Nie miał pojęcia, czy spotyka się z nią Daniel. To było bez znaczenia, podobnie jak opuszczenie rezydencji.

Gdy Hyperion powrócił do salonu, Daniel już tam był. Nadal zachowywał się jak przystało na gościa - czekał na gospodarza i nie wziął do rąk sztućców.

- Pewnego razu jedna z tych karafek była pełna krwi - odezwał się Hyperion.

Daniel wziął z jego rąk kieliszek. Stał oświetlony blaskiem świec i ognia, podczas gdy na stole dymiała potrawa.

- Zapomina pan - odparł Daniel - że te morderstwa popełnia istota pozbawiona zdolności zapamiętywania.

- To bardzo wygodne.
- Tak, rzeczywiście. Zupełnie swobodna w bezprawiu bez poczucia winy.
- Więc nic pana nie dotyka?
- Co? Wyrzuty sumienia? Czy może kule?
- Jedno i drugie - odparł Hyperion.
- Ani jedno, ani drugie.
- Otóż to - powiedział Hyperion. - Myślałem właśnie o swoim dzieciństwie. Było jak ścieżka, która dokądś mnie prowadziła. Ale przywiodła mnie właśnie tutaj.
- Źle pan zrobił, nie przyjmując zaproszenia tamtego człowieka.
- Miałbym zrezygnować z widowiska, jakie się tu odbędzie? Chcę to zobaczyć.
- Co zobaczyć? - zapytał Daniel.
- Istotę, którą się pan stanie. Jeżeli w ogóle zamienia się pan w cokolwiek.
- Staję się sobą.
- Istota, której wyrzuca pan brak świadomości i zdolności zapamiętywania.
- Ja jestem wyrzutkiem.

Ogień oświetlał grzbiety dłoni Daniela, jego oczy i podbródek, tworząc tam mosiężną poświatę.

- Niech mnie pan nauczyc tego - powiedział Hyperion.
- Nie mogę. Poza tym pan należy do grona aniołów, panie Worth.
- A Laura?
- Ona jest wraz ze mną skazana na piekło. Hyperion zmarszczył czoło.
- Dlaczego?
- Laura rządzi swoją duszą. A to jest grzech.
- Dlaczego? - powtórzył Hyperion. Na jego bladej, spowitej cieniami twarzy malowała się fascynacja. Oczy rozszerzyły się z bólu.
- Nie jesteśmy stworzeni po to, aby rządzić, panie Worth. Musimy ulec. Bogu albo Szatanowi.
- Trudno mi wierzyć w cokolwiek - odparł pokornie Hyperion.
- Wiara nie jest konieczna. Człowiek sam ściąga na siebie uwagę nieba albo piekła.
- Wolę dawnych bogów.
- To niech im pan zaufa.

Podszedł do stołu i zawahał się nad dymiącą potrawą.  
Hyperion zbliżył się do niego. Stali razem w milczeniu.  
Z naczynia nie unosił się żaden zapach. Potrawa tylko parowała.  
Hyperion zdjął pokrywę.  
W naczyniu leżały okrągłe kamienie i połamane gałązki zanurzone w czarnej gorącej wodzie. Laura, widmowa gospodyni, niespodziewanie przyrządziła obiad pasujący do ponurych rozmów, cieni, tajemniczości, osamotnienia i śniegu.  
Daniel odwrócił się w stronę Hyperiona. Wziął w dłonie jego głowę, czaszkę obciążoną skórą, twarz, płowe włosy. Pocałował go w usta, po czym nagle puścił go, wyszedł z salonu i wspiął się na schody.  
Hyperion przeciął pokój i napełnił kieliszek trunkiem z karafki.

Jej drzwi były zamknięte na klucz, tak jak się tego spodziewał. Napał na nie, pchnął ramieniem i drzwi ustąpiły.  
Pokój był spowity czerwonym blaskiem. Przypomniawszy sobie sypialnię matki o zachodzie słońca taką, jaką zapamiętał.  
Przed kominkiem siedziało jagnię. Na jego szyi spoczywały wilgotne zielone klejnoty. Zwierzę podniosło głowę i spojrzało na wchodzącego mężczyznę, nie poderwało się jednak i nie uciekło.

Laura stała przy czarnym oknie. Miała na sobie długą suknię kradnącą barwę płomieniom, podczas gdy włosy dziewczyny płonęły same z siebie. Ona także odwróciła się wolno i popatrzyła na Daniela. Mimo blasku ognia jej twarz była biała jak śnieg, a oczy czarne jak noc.

Podszedł do niej w milczeniu, a ona przyjęła go bez słowa sprzeciwu. Twarz miała skupioną i stanowczą. Było to oblicze Ateny, o której niegdyś wspominał Hyperion.

Przez głowę Daniela przemykały zrywami ludzkie myśli. Myślał teraz o Marjannah ubranej w czerwoną suknię rozjarzoną błyskotkami, o jej rozpuszczonych, długich, czarnych włosach. Marjannah mogłaby odgrywać tą samą rolę co Laura, gdyby to na jej szyi zawieszono brylant i gdyby była równie nie ujarzmiona jak ta rudowłosa dziewczyna. Marjannah jednak była dzieckiem zasłon i złotych krat, zwykła niewolnicą. Umarłaby. Miała więc szczęście.

Przez moment tamta podróż wydała mu się czymś przedziwnym. Jakby widział ją przez świetlisty tunel. Potem była już tylko siła i prostota wszystkich rzeczy.

Zsunął połyskliwą szatę. Białe ciało Laury oślepiło go. Nie włożyła brylantu, zapewne ukryła go gdzieś. A jednak klejnot wypalił ślad na jej ciele, wtopił się w nią. Był symbolem, nie dopowiedzianym do końca, jedynie pierwszym akordem pieśni.

Daniel powiódł dłońmi po ciele dziewczyny, po rozkwitłych piersiach. Jej twarz zmieniła się. Widział ją już taką w lesie. Była chciwa i okrutna. Zamachnęła się, chcąc zadać mu ból, on jednak powstrzymał cios, wziął ją za rękę i otworzył pięść pocałunkiem.

Ukląkł przed nią, pochłaniając ustami jej piersi, całe ciało. Wtulił twarz między jej uda i wsunął język w jej wnętrze, delikatnie poruszając nim, podczas gdy kobieta jęczała oparta o czarną szybę.

Gdy wstał ponownie, poddała się mu. Wziął ją na ręce i zaniósł na szerokie łożo. Zrzucił z siebie ubranie i cisnął na podłogę. Blask ognia oblał ich jak woda koloru miedzi.

Gdy tylko wszedł w nią, zaczęła rzucać się na boki w śmiertelnym spazmie rozkoszy. Z jej ust wyrwał się długi przeraźliwy jęk jak dym wciskający się we wszystkie szpary opustoszałego domu. Hyperion nie mógł tego nie słyszeć nawet w najbardziej odległym zakątku.

Daniel nie chciał ani nie musiał osiągać szczytu. Pochylony nad Laurą wpatrywał się w jej piękne ciało i już to zdawało się gasić jego pragnienie. Wyglądał, jakby tlił się i płonął. Ogień rzucał blask na pozłacane włosy, które pokrywały całe jego ciało.

Na niebie podnosił się księżyc, ukazując trzy czwarte swojego oblicza. Był blady jak śnieg, jak gdyby jego także dotknął oddech zimy. Ziemia przypominała księżyc - była równie blada, równie czarna. Dom stał na powierzchni księżyca, a w środku byli ona i on. Wkrótce zostaną sami, zamknięci w białej dłoni pustkowie. Na ziemię zstąpi milczenie i bezruch przypominające zamarznięte serce brylantu.

Hyperion pisał list do jednej ze swoich zmarłych ciotek. Nie przepadał za nią - właściwie wcale jej nie lubił - dlatego nie czuł oporów przed wyjawieniem jej wszystkiego, mimo iż używał eufemizmów i konwencjonalnych banałów, by nie przyprawić staruszki o palpacje serca. Zdążył zapisać już wiele stron.

„Znalazłem dziś szklane drzwi salonu otwarte na oścież. Do wnętrza wpadł śnieg, a z kandelabrow położonej w głębi sali balowej zwisały sople lodu. To Laura daje mi w ten sposób do zrozumienia, że sprawy potoczą się tak, jak przewidywałem. Że będę musiał odejść. Chociaż nie widziałem ani jego, ani jej od chwili, gdy się połączyli.

Oczywiście nie ma sposobu, by się teraz stąd wydostać, nawet gdybym chciał. Być może Laura pamięta, że droga biegnąca za parkiem, ta, którą udaliśmy się do meteoru, jest osłonięta i prawdopodobnie pozostała przejezdna. Musiałbym jednak dotrzeć znacznie dalej niż do tamtego miejsca.

Naprawdę wierzę, że on się zmieni. Już widziałem, jak się przemienia. Coś spojrzęło na mnie przez jego oczy. Czy tak jest w istocie, czy może jestem kolejną ofiarą iluzji?

Oczywiście wkrótce sam się o tym przekonam. Jeszcze dwie noce dzielą nas od pełni.

Odkryłem w domu pewną starą książkę, Bóg jeden wie, jak tu trafiła, traktującą o wilkołakach. Jest tam obrazek przedstawiający człowieka w zwierzęcej skórze, rozrywającego na strzępy owcę. Mógłbym go pewnie zabić srebrną kulą. Ale nie zdecyduję się na to. Mam przeczucie, że bezskutecznie atakowano go już wcześniej. Wygląda na to, że wierzy w Boga, więc jakże Bóg, czy też wyobrażenie Boga, niewinność albo srebro mogły mieć nad nim władzę? Żałuję, że nie opowiedział mi o wszystkim ze szczegółami. Byłbym zapewne zaintrygowany, a może bym się z nim spierał? Ale on pewnie sam nie wie dokładnie.

Co się stanie z Laurą? Czy może poprowadzi go przez świat na szkarłatnej wstążce?

Na kolację chleb i zimny gołąb. Wyśmienite wino. Jest jeszcze kilka butelek. Przydadzą się. To jedyna broń, jaką mam.

Jej okrzyki radości odbijają się echem po całym domu. A może tylko po raz kolejny słyszę tamten pierwszy krzyk?

Laura też się zmieniła. Zgłębiła swoją duszę. Taka jest jej natura, której ja nie byłem w stanie wyzwolić.

Mój dom wygląda jak śnieżna katedra. Nie wiem jednak, co się kryje w jego duszy. Wkrótce stanie się legowiskiem dzikich bestii, siedliskiem sów”.

\* \* \*

Laura zeszła z wysokiej wieży i zapuściła się w leśne ostępy. Myślała o sobie jako o dzikiej istocie, wolnej od wszelkiego przymusu. Ale tak nie było, a ona nie była osobą, za jaką się miała.

Daniel spał przez cały dzień. Przyglądała mu się uważnie. Gdy tak leżał pogrążony we śnie, jego siła pierchła. Mogło się jej wydawać, że mężczyzna nie ma nad nią żadnej władzy i zachodziła w głowę, co tu robi.

Łatwo jednak było go zbudzić. Zwracał się wtedy ku niej jak jasna fala przetaczająca się nad jej ciałem.

Wstała i ubrała się na czarno. Nie mogła ze spokojem znieść swojego uwięzienia. By się rozruszać, przeszła się już po rezydencji, nie spotykając żywej duszy. Nocą poszła do kuchni i zabrała jedzenie - zimne przekąski, które można było zjeść jak na pikniku. Z komina gabinetu jej męża unosił się dym. Hyperion nie odszedł. Chciała, aby podjął taką próbę. Bez cienia współczucia wyobrażała sobie, jak wiele mil dalej pada bezsilny na śnieg. Była na niego zła. Hyperion nigdy nie robi niczego właściwie. Powinien odejść i zostawić ją w spokoju.

W końcu wzięła do ręki klucz, wysunęła szufladę, wyjęła szkatułkę i z kolei ją otworzyła.

Trzymała przez chwilę brylant zawieszony nad śpiącym Danielem.

Klejnot opadał, jak przyciągany magnesem, mężczyzna jednak nie obudził się i nie zareagował.

Gwałtownie odsunęła się od śpiącego.

Wyszła z pokoju i zaczęła schodzić ze schodów. Jagnię szło za nią krok w krok, zeskakując ze stopni i pokonując te nienaturalne dla zwierzęcia przeszkody, jakby były rzeczą normalną.

Na zewnątrz w ogromnej komnacie zimna dzwoniła biała cisza.

Śnieg zamarzł. Laura posuwała się po nim ostrożnie, lecz zdecydowanie. Jagnię odprowadziło ją do skraju tarasu i nie postąpiło ani kroku dalej. Odwróciła się i popatrzyła na zwierzątko. Było jakby jej osobliwym demonicznym dzieckiem, do którego nigdy nie wymówiła ani słowa.

Zaczęła posuwać się w dół po zbiegającym trawniku leżącym spokojnie pod porcelanowym niebem. Ubrana w czarną pelerynę wyraźnie odcinała się od tła. Mimo ciepłego ubrania szpilki mrozu przenikały ją do kości. Śnieg był jak biblijna plaga, jak straszna susza,

niszczący ogień czy zmywająca wszystko z powierzchni ziemi powódź. Czuła się jak maleńka istotka, na którą patrzą z góry czyjeś oczy.

Maszerowała długo, ostrożnie stawiając stopy. Wreszcie dotarła do czarnej krawędzi zamrożonego jeziora.

Z bezkształtnych kopców drzew pospadały na lód, złamane pod ciężarem śniegu, gałęzie. Laura rozejrzała się i znalazła to, czego szukała.

Weszła bojaźliwie na gładką czarną powierzchnię. Serce waliło jej jak młotem. Bała się lodu, po którym, jak mówił Hyperion można jeździć na łyżwach. Ale ta zamrożona tafla mogła przydać się jeszcze do czegoś. Laura podeszła do miejsca, gdzie lód wydawał się cieńszy i uwięził źdźbło podwodnej trawy, jakby połyskliwy włos zmarłej najady.

Dziewczyna cofnęła się i dźgnęła lód znalezionym kijem. Rozległ się odgłos uderzenia. Zdawało się, że odbił się od ściany i sufit nieba. Ogromna moc zabrzmiała w tym matowym dźwięku. Laura przysłuchiwała się, po czym nagle odwróciła i popatrzyła na dom. Na stopniach tarasu stał mężczyzna.

Znowu chwyciła zakończoną ostro gałąź i z całej siły jeszcze raz walnęła w zamrożony blat jeziora.

Odgłos uderzenia zabrzmiał inaczej. Nagle pojawiło się pęknięcie. Laura pochyliła się i znowu wbiła kij w to miejsce. Zachwiała się. Przez ułamek sekundy czuła, że lód unosi się pod jej stopami, pragnąc otworzyć jej drogę w potworną wodnistą otchłań. Nagle wszystko uspokoiło się. Klęczała na tafli jeziora. Gałąź potoczyła się dalej. W lodzie pojawił się niewielki otwór, wypełniony czarnym atramentem.

Wyciągnęła brylant i ukryła go w dłoni. On sam był jak zima, jakby za jego sprawą spadł śnieg. W jego sercu widniała nieznaczna skaza - wilk uwięziony w bryle lodu. Czy się ośmieli?

Odwróciła się ponownie. Mężczyzna zbliżał się szybko po białej połaci trawnika, jak gdyby stąpał w powietrzu. W bezkrwawym świetle lśnił złotem. Był to Daniel. Laura pochyliła się do przodu. Brylant, gładki jak ryba, prześlizgnął się niepostrzeżenie przez otwór w lodzie. Woda przyjęła go bez zmarszczki. Zielony płomień błysnął raz, po czym zniknął.

Woda była nieruchoma. Mróz zaczął już zablizniać rany, wkrótce szczelinę pokryje nowy lód.

Podniosła się i ostrożnie doszła do białego brzegu jeziora.

Stała bez ruchu, czekając.

Daniel zszedł ze zbocza i zrównał się z nią. Miał na sobie tylko koszulę i spodnie, w których spał. Zdawało się, jakby w ogóle nie czuł chłodu. Jego oczy lśniły, wodząc po sylwetce kobiety, po tafli jeziora.

- Wrzuciłam brylant do wody - powiedziała. - Jest wystarczająco głęboko.

- Wrzuciłaś go pod lód? - zapytał.

- Pod lód.

Popatrzył na jezioro błyszczącymi oczami.

- Myślałaś, że zanurkuję i zacznę go szukać. A może spodziewałaś się, że zrobi to bestia, że będzie wyc i drapać w lód pazurami, a wilki w lasach odwrócą wtedy swoje ślepia?

Laura nic nie odpowiedziała.

- To niczego nie zmienia - dodał.

- Ten kamień jednak przywiódł cię do mnie - powiedziała. - A ja go wyrzuciłam.

- Spełnił już swoją rolę. Wyrzuciłaś jedynie prezent, który podarował ci Hyperion. Połóż się na śniegu - powiedział. - Pragnę cię teraz.

Myślała, że jest w niej dzikość, więc zrobiła to, co kazał. Chłód kąsał jej plecy jak ogień. Sparzył jej piersi, po chwili jednak dotknęły ich palące usta mężczyzny. Przenikał ją żar i mróz. Nad jej głową wirowało martwe niebo. Twarz mężczyzny zakrył złoty liść włosów. Parzył się z nią demon i bestia.

Usłyszała własny krzyk, gdy jej ciałem wstrząsnęły konwulsje. „Oto ja - jego dzieło”. Niebo wypełniło się jej krzykami, które uniosły się daleko nad ziemią. Miała wrażenie, że szybuje w powietrzu, jakby wygnana ze swego ciała.

Nagle znów znalazła się na ziemi. Daniel leżał na niej. Mróz palił. Usłyszała ciche beczenie jagnięcia, stojącego na tarasie. Zapragnęła pobiec do niego, do swojego dziecka.

„Dziś zapanuje nad ziemią pierwsza noc w pełni księżyca. Dziś się to stanie. I tak oto muszę kończyć”.

W oranżerii owoce i kwiaty umierały, pozbawione ciepła. Winorośl barwy chalcedonu szerniała, jej owoce zmieniły się w pomarszczone rodzyunki. Hyperion zerwał całe naręcze chłodnych róż.

Na długim stole w salonie położył biały obrus i przygotował stół starannie, jak robiły to pokojówki, które obserwował jako dziecko. Położył piętnaście nakryć, w tym jedno u szczytu stołu. Po obydwu stronach, wzdłuż całej jego długości, ustawił świece. Róże ułożył w dwóch ogromnych białych wazonach. Na paterze stanął kopiec z nadpsutych pomarańczy i zgniłych jabłek. Często widywał, jak czyniono podobne przygotowania, chociaż jeszcze częściej miał okazje oglądać ich rezultaty. Rozbawiło go odkrycie własnych umiejętności w tej dziedzinie. Już wcześniej przyniósł z piwnicy godnego królewskiego stołu szampana i pił go cały czas od samego rana, kiedy to rozpoczął przygotowania.

W ogromnym kominku rozpałił ogień. Szczapy drewna czekały przygotowane. Śnieg leżący na posadzce powoli stopniał, ale nie do końca, gdyż Hyperion zostawił uchylone okno. Leżał tam trzeszczący śnieg, na zewnątrz zaś rozpościerały się rozległe połacie białego puchu i tej samej barwy niebo, które zachmurzyło się z nastaniem popołudnia.

Mimo palącego się ognia w salonie nadal panował chłód. Wyborny szampan rozgrzewał Hyperiona. Uwielbiał ten trunek i z lubością poddawał się jego działaniu. Nie zawiódł się na nim. Osiągnął już pierwszy stopień przyjemnego zamroczenia, gdy z filozoficznym spokojem można patrzeć na upadek mocarstw. Trunek był wystarczająco mocny, by powoli wznieść go na wyżynę, z której mógł spokojnie patrzeć na to, co miało nadejść. Z doskonałego kryształu kieliszków pił zdrowie swojego przeznaczenia.

Udał się do gabinetu, gdzie poskładał rzeczy i uporządkował papiery. Gdy światło zaczęło powoli zanikać, dokończył list do swej zmarłej ciotki.

„I tak oto odchodzę z tej ziemi. Jakież głupie i bezsensowne było moje życie, a jednak dobrze się bawiłem. Nadal mam szansę je zachować, uciekając. Nie chcę jednak obierać drogi, która i tak, jak sadzę, donikąd mnie nie doprowadzi. Szlaki są nieprzetarte. Znalazłby mnie bez trudu po wschodzie księżyca. Poza tym to jest mój dom. Do tego świata przynależę. Jest wszystkim, co mam. Jakże daleko jest teraz Laura, jak gdyby stała się gwiazdą. Pomyliłem się co do niej. Kim ona właściwie jest?

Ale cóż, droga Ciociu, dogasa już światło dnia. Muszę przebrać się do obiadu złożonego z szampana i zając miejsce w sali bankietowej.

Nie łudzę się, że dotrą do Ciebie te słowa. Nie łudzę się, że Cię spotkam, choć udaję się tam, gdzie i Ty odeszłaś”.

Ogień trzaskał na kominku.

To tu właśnie zgromadzono niegdyś fotele i ozdobne poduszki, to tutaj zasiadła Laura jak królowa pośród swego niewielkiego dworu, snując opowieść. Teraz wszystko Zniknęło.

Ogień rzucał na pokój krwawe cienie. Poza tym paliły się tylko świece ustawione u szczytu stołu. Biesiadnik nie zapalił wszystkich. Ich płomienie były nieruchome, gdyż na zewnątrz nie było wiatru, który wpadałby przez otwarte okno. Ciszę zakłócał jedynie trzask ognia, a od czasu do czasu butelka pobrzękiwała cichutko o kryształ.



Na pięknym talerzu leżały obierzyny jabłka, które zjadł powoli. Rzeźbiony, srebrny nóż, jedyny spośród sztucców, który miał być używany podczas tej uczy, spoczywał na krawędzi talerza.

Hyperion pił z przerwami. Twarz miał młodą i spokojną. Lekki uśmiech wykrzywił linię jego ust, zniknął, po czym pojawił się znowu. Siedział wpatrzony w otwarte okno, czekając, aż do pokoju wkroczy przez nie noc.

Za pół godziny wszędzie księżyc.

Czy zostało jeszcze trochę czasu, by odkorkować kolejną butelkę? Oczywiście. Zręcznie i niemal bezgłośnie uwolnił korek ze szklanej szyjki. Połyskujący płyn zapienił się w pucharze.

- Światło - powiedział głośno Hyperion. - Oto czym jest ten trunek. Wino i światło. - Przechylił kielich do ust. - Jak cudownie mieć jedno i drugie.

Za oknem nad migocącym śniegiem leżała nieprzenikniona czern.

Nic się nie poruszało. Nie było słycać żadnego dźwięku.

- W taką noc - powiedział Hyperion. Wypił szampana. Zobaczył, jak pokój oddala się i poczuł, że na twarzy znowu pojawia mu się uśmiech. - Nigdy nie było jeszcze takiej nocy. - Wiele mil dalej, jakby w innym świecie, zaszczekał pies. Hyperion przysłuchiwał się zdumiony. Za wysokimi przezroczystymi ścianami wznoszącymi się od ziemi ku niebu były inne istoty i miały żyć nadal. - Błogosławieni martwi - powiedział. - Albowiem nie żyją. - Pies przestał szczekać. Hyperion zamarł w bezruchu. Zwierzę nie zaszczekało więcej.

Za oknem blask śniegu stał się bardziej intensywny. To ożywił go wstający księżyc.

Hyperion patrzył. Nigdy jeszcze nie widział tak wyraźnie działania księżyca. Bo nigdy jeszcze nie było podobnego księżyca. Worth miał ochotę wstać i wyjść na zewnątrz, żeby popatrzeć w tę monstrualną, wpatrującą się w ziemię twarz, która zawisła nad szczytami wzgórz. Nie opuścił jednak swego miejsca przy stole. Coś mogłoby przerwać jego obserwacje. Nie ma sensu.

Większość butelek została opróżniona. Wystarczy jeszcze czasu, by...

Ogień syczał i tańczył. Chwilę wcześniej spadła na niego ulewa wilgotnej sadzy.

Hyperion urzeczony odwrócił głowę, by tym razem zapatrzeć się w kominek.

Ogień uspokoił się. Nagle rozległ się jakiś trzask, szum, jakby żwir uderzał o ściany. Płomienie puciekwały na boki, a smugi dymu wypełniły pokój.

- Nadchodzi Zło - powiedział Hyperion. Szybko napełnił kieliszek resztą trunku.

Na kominek runęło coś ciemnego. Ogień nie wydostał się na zewnątrz, ale rozczepione płomienie migotały niespokojnie. Pokojem zakotyssało skaczące światło.

Z kominka ześlizgnął się na palenisko długi, czarny kształt, jakby odłamek lśniącego kamienia.

Niczego nie przypominał i z niczym nie można było go porównać. Nagle poruszyły się na nim długie ścięgna. Była to kończyna z czarną łapą i ogromnymi pazurami, które rozczapierzyły się pośród płomieni.

Komin dał początek nowemu życiu.

Za ciemną kończyną wysunął się kolejny równie czarny kształt.

Pojawiła się głowa. Głowa nocy. Lśniły na niej dwa wielkie klejnoty. Poruszały się. Na pysku drgały zmarszczki. To coś żyło.

Reszta cielska jak czarny piorun wydostała się na palenisko. Po chwili z chaosu wyłoniła się nowa istota i stanęła w ogniu, który lizał ją łakomie.

Hyperion dostrzegł stworzenie nie przypominające wilkołaków, o których czytał. Wyglądało jak świnia czy może niedźwiedź, nie zaś jak wilk. Bestia miała grzbiet, zad, połączone ścięgnami słupy nóg, ogromny łeb z kępą dłuższych włosów na szyi i pomarszczony pysk, w którym świeciły długie kły i czarny jęzor. W ślepiach nie było cienia inteligencji. Przypominały oczy nakręcanej zabawki.

Popatrzył w nie.

- Witam. - Podniósł kieliszek.

Wilkołak wydostał się z kominka. Szybkim susem wskoczył na stół. Jego sierść płonęła, potężne cielsko otaczały postrzępione kwiaty ognia. Zwierzę paliło się, ale nie spalało. Gdy sunęło po stole, nie zapalone świece kradły z niego ogień. Jedna za drugą strzelały w górę płomieniem, by natychmiast zacząć topnieć i ukazać poskręcane knoty.

Bestia stąpała po porcelanowych talerzach, po srebrnej zastawie. Białoróżowe, zbrązowiałe teraz róże muskały to wyjątkowo brzydkie płonące cielsko. Jeden z kwiatów zapłonął gwałtownie i na biały obrus posypał się popiół.

Potwór podszedł do patery z owocami. Zdawał się im przyglądać. Pomarańcze, nietknięte, stoczyły się z talerza i dalej na podłogę.

- Twoje zdrowie.

Hyperion dopił trunek i upuścił kieliszek. Kryształ roztrzaskał się. Bestia odwróciła głowę, a Hyperion zaczął się śmiać.

Monstrum spojrzało na mężczyznę. Rzuciło się naprzód jak nagle uruchomiony mechanizm. Hyperion uderzony w pierś stracił równowagę. Upadł nie przestając się śmiać. Śmiał się, gdy leżał przywalony cielskiem bestii, która rozdarła jego tors. Ale Hyperion stał na szczycie, a ból pozostał w dolinie i tylko tam trysnęła krew. Patrzył, jak potwór wypruwa z niego wnętrzności. Bestia Przysiadła na nim jak noc, a jej sierść wiała się od ognia i krwi.

- Kochaj nieprzyjaciół swoich - powiedział.

Pazury wpiły się w jego gardło, dosięgły rdzenia kręgowego. Oczy mężczyzny nadal lśniły, pełne śmiechu.

Połykliwy szampan wykypiał z rozdartego brzucha. Oczy mężczyzny zgasły. Na jego ustach zastygł uśmiech.

Z przeczyszczonego komina spadło w ogień wronie gniazdo.

Płomyki świec pochyliły się i wyprostowały.

Odbyła już swą pokutę i jakież to było proste. Z trumien spojrzały na nią cztery nieruchome twarze, zabalsamowane przed jej przybyciem. Tylko jedno martwe usta były z lekka wykrzywione. A teraz czegoż miała się bać? Baśni? Były bez znaczenia, a czyż ona nie wiedziała tego najlepiej?

Jaki okropny ten księżyc. Nie był biały, ale przypominał różowy migdał na tle granatowego nieba. I ten księżycowy, śnieżny krajobraz.

Gdzieś w głębi duszy wiedziała o wszystkim, jak gdyby zdążyła już o tym usłyszeć. Laura jednak wzniosła się już ponad wiedzę, podobnie jak niegdyś ponad jej brak.

Chodziła po sypialni, zastanawiając się, czy powinna tu zostać. Mimo wszystko to tylko noc. Kolejna noc. Daniel wyszedł, ale to oczywiście, że czasami będzie zostawiał ją samą. Księżyc stał na niebie w pełni, ale był to tylko księżyc.

Jagnię leżało przy kominku. Przednie nogi podwinęło pod siebie. Teraz ciągle miało na szyi szmaragdy. Nie okazywało niepokoju.

Nie rozległ się też żaden krzyk, nie było żadnego poruszenia.

Laura zawahała się, stojąc przed lustrem. Miała na sobie jedną ze swych czarnych sukien, ale nie uczesane włosy opadały na ramiona. Przypomniała sobie stwierdzenie matki: „Najlepiej wyglądają rozpuszczone” - w ten sposób pani Wheelwright radziła córce, jak ma zdobyć Hyperiona Wortha.

Podeszła do zwierzątko i położyła dłoń na jego głowie.

- Co mamusia ma zrobić? - zapytała.

Z przerażeniem wsłuchiwała się we własne słowa. Zwróciła się do jagnięcia tak, jak robiły to stare kobiety przemawiające do swych salonowych piesków. Jakby nie miała mieć innego dziecka prócz tego.

Wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Wzięła ze sobą lampkę oliwną, gdyż w korytarzach panowała ciemność, z wyjątkiem miejsc, gdzie przeciskało się światło księżyca. Zdawała sobie sprawę, że przypomina teraz postać ze średniowiecznej powieści: oto samotna kobieta, oświetlając sobie drogę, przemierza labirynt posępnych korytarzy, poznaczonych złowieszczą pasmami światła księżyca.

Weszła do gabinetu Hyperiona. Pokój był wyziębiony i pusty. Właściciela mogło tu już nie być od tygodnia.

Zeszła następnie po szerokich schodach i znalazła się w przestronnym hallu, który ostatnio przypominał grootę, gdzie hulał wiatr. Stopy Laury głośno uderzały o posadzkę. Skrzyła w bok do saloniku, ale ten pokój, wypełniony stęchłym powietrzem, również był pusty.

Przeszła więc do sali balowej.

Pomieszczenie wyglądało jak scena intrygującej powieści. Przez wszystkie pary szklanych drzwi wpadało światło księżyca. Wszystko zdawało się białe, puste i nagie, jakby obnażone przez bezlitosne, lodowe słońce. Z sufity zwieszały się kryształowe kandelabry niczym płatki śniegu oglądane pod mikroskopem.

Pośród tego białego pustkowia pojawiła się cienka brązowa kreska. Drzwi do salonu były uchylone. Brązowy blask przygasł, po czym znowu odżył. W salonie palił się ogień.

Laura ruszyła w tym kierunku, otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Hyperion...

Na stole płonęło kilka świec. Inne stopiły się, przybierając karykaturalne kształty. W wazonach stały kwiaty, na podłodze leżały rozsypane owoce. Okno stało otworem. Było bardzo zimno.

Pokój wypełniał obrzydliwy odór. Wiejska dziewczyna natychmiast rozpoznała ten zapach. Paniczny strach przeszył ją, zanim jeszcze zobaczyła cokolwiek. Po chwili jednak światło lampy rzuciło blask na to, co leżało pod stołem: na szczątki człowieka, którego niegdyś poślubiła.

Pod białoróżowym księżycem, po srebrzystym stoku szła kobieta, oświetlając sobie drogę i posuwając się wzdłuż ścian domu.

„Co z tego, że jest zimno”.

Nie miała pojęcia, jak się tu znalazła. Nie szła jednak bez celu. Uciekała przed tamtymi potwornościami, przed strachem, jaki ogarnął ją w salonie. Ale paniczny lęk szedł za nią krok w krok.

„Zaraz tam będę”.

Nie wiedziała jednak, dokąd zmierza.

Okrzyła dom i stanęła pod tarasem. Za jej plecami ze wszystkich okien wзираła ciemność. Dom był jak głaz.

W dole zbiegały trawniki zbiegały ku szarości jeziora.

Na łodzi, na skraju jeziora, coś się zatrzymało. Był to jakiś czarny kształt. Przypominał wilka. Wilka z ogromnym, ciężkim łbem, uniesionym właśnie ku górze.

Laura stała na śniegu z płonąca lampą w dłoni. Bestia mogła znaleźć się przy niej w jednej chwili. Ale nie bała się bestii. Po prostu bała się.

Nagle zwierzę odwróciło się, kołysząc potwornym łbem. Popatrzyło na kobietę. Musiało ją widzieć w blasku lampy, stojącą na białym śniegu. Ale najwyraźniej nie zamierzało jej atakować. Kobieta była dopełnieniem bestii, jakąś częścią tej istoty.

W żyłach Laury ścieła się krew.

Ale bestia odwróciła od niej wzrok. Uniosła pysk i zapatrzyła się w księżyc, jak gdyby za chwilę miała wzbić się w powietrze wessana przez srebrzystą tarczę.

Patrzyła oniemiała. Czuła, że zamienia się w szkło albo w słup soli. Musi się przemóc. Lecz stała jak wryta.

Na tafli jeziora bestia wpatrywała się w księżyc. Siłą oderwała stopy od ziemi.

\* \* \*

Za ścianą parku stara droga wrzyniała się w ziemię równie głęboko jak koryto rzeki. Gałęzie drzew zwieszały się nad nią jak baldachim, a cienka warstwa śniegu była twarda jak kamień. Widać było jakieś ślady, wspomnienie życia, które to kryło się, to wychylało spod warstwy upartego śniegu. Nie pozostał jednak nawet cień po śladach stóp dwóch mężczyzn, którzy szli niegdyś tą drogą, a potem wrócili nią do wznoszącego się na wzgórzu domu.

Laura rozsądnie ubrała się do drogi. Miała na sobie ciepłą, zimową odzież, którą podarował jej Hyperion, martwy teraz i rozszarpany na kawałki. Była sama. Nakarmiła jagnię, po czym zamknęła je w swej obwieszanej gobelinami sypialni. Nie było narażone na większe niebezpieczeństwo niż jeszcze niedawno ona sama. Ale wróci tu po swoje dziecko. Wróci tu z ludźmi z wioski, z księdzem, a jeżeli się uda to z żołnierzami. Z wszelką bronią, jaką zdobędą. Muszą jej uwierzyć. Przyjdą tu za dnia, kiedy będzie bezpiecznie. Zaprowadzi ich do niego. A jeśli nie zdołają go zabić, muszą go uwięzić, zamknąć w stalowej celi, której nie zdoła rozłupać, pod ziemią czy w morskiej toni. Idąc przed siebie, odmawiała modlitwę, ale te słowa rozbrzmiewały jakby gdzieś daleko. To nie Bóg, lecz Daniel był wszechobecny.

Od czasu do czasu rozlegał się jakiś cichy dźwięk - śnieg spadał nie wytrzymując własnego ciężaru, drzewa trzeszczały na mrozie. Ale Laura spodziewała się, że w każdej chwili potwór znad jeziora może rzucić się na nią i zagrozić jej drogę. Co wtedy zrobić? Ale tak się nie stało.

Nie rozmyślała o wszechobecnym Danielu. Oto ukazała się jej istota Daniela. To, co przywiódło ją ku niemu, co ją zniewoliło, właśnie to - potworne zwierzę wpatrujące się w księżyc. Zdradziła Hyperiona, swego prawdziwego przyjaciela.

Szła szybko. Była silna i umiała zachować równowagę, w dodatku determinacja pchała ją do przodu. Strach prawie ją opuścił i tylko jakiś jego cień zaległ na dnie duszy. Nie wypuszczała go stamtąd i z trudem posuwała się naprzód.

Raz poślizgnęła się i upadła, ale uratowała ją pochylona gałąź. Nagle wyobraziła sobie, że, tak jak tego niegdyś pragnęła, Hyperion pada na śnieżnej pustyni, pozbawiony wszelkiej pomocy.

- Boże wybac mi - powiedziała głośno. Ta druga modlitwa była bardziej żarliwa niż poprzednia.

Noc była straszna - ogromna i mroźna i zupełnie ciemna. Ale Laura nie dopuszczała jej do siebie.

Nie miała pojęcia, dokąd prowadzi dalej ta droga, za miejscem, gdzie uderzył meteor. Dojdzie pewnie do jakiejś wioski, może do czyjegoś domu. Zwróci się do napotkanych ludzi. Oględnie powie im, że Daniel jest szalony i opisz, co zrobił. Zrozumieją albo wyczują, o co jej chodzi, podobnie jak ona pojęła naturę swojego kochanka.

Ciemność zgęstniała. Gdzieś ponad wysokimi brzegami drogi świecił księżyc.

Nie czuła zmęczenia. Potworne wydarzenia dawały jej siłę. Upłynęło wiele godzin, ale przed nią były następne.

Nagle drogę zaległa zupełna ciemność. Księżyc zniknął.

Laura zatrzymała się. W oddali, jakby poza nocą, zaśpiewał ptak.

Droga wznosiła się ku tej muzyce. Gdy kobieta weszła w ciemność, dźwięki pieśni zamilkły. Pojawiła się natomiast niewyraźna poświata. Pomyślała, że to wschód słońca. Pchana instynktowną radością, przyspieszyła kroku, jak gdyby chciała szybciej spotkać się ze wstającym dniem.

Droga opuściła swe głębokie koryto, dalej ciągnąc się ku górze po oblodzonym zboczach. Po obu stronach ścieżki wystawały spod śniegu korzenie drzew, za które Laura chwyciła się pokonując śliską stromiznę. Przez ostatnie jardy czołgała się w swej obszernej pelerynie,

drapiąc grunt jak zwierzę pazurami. Wreszcie znalazła się na szczycie stoku, na wyżynie jakby z sennego koszmaru.

Przez zrytą, płaską przestrzeń, z której miejscami unosił się dym, prowadziła aleja strzaskanych i powalonych drzew. Na jej końcu znajdowała się płonąca góra.

Gdzie indziej śnieg piętrzył się między olbrzymimi głazami. One także układały się w coś, co niegdyś mogło stanowić szlak, a teraz wiło się tam pasmo czarnego lodu przywalonego dokładnie przez potężne, białe zasy. Na horyzoncie rysowały się pokryte bielą lamówki innych wzniesień.

Laura nie odrywała oczu od tego widoku. Oto był koniec drogi. Niemożliwe było posuwanie się dalej po takim terenie.

W porastającym zbczce zdruzgotanym lesie, oświetlanym migocącym ponuro blaskiem ognia, stał zdezelowany wóz cygański.

Laura zbliżyła się doń pełna obaw. Nie w takiej norze zamierzała prosić o pomoc. Z komina jednak nie unosił się dym i kiedy z trudem dotarła do drzwi, spostrzegła, że kołyszą się, otwarte. W wozie nie było nikogo. Była tylko pusta skorupa z podłogą zasłaną dywanem śniegu.

Odwróciła wzrok. Między poranionymi drzewami spojrzała na gorejące wzgórze. Przez chwilę zdawało się jej, że widzi przed sobą piekło. Ale było to tylko miejsce, w którym meteor spotkał się z ziemią, źródło ognia zaś stanowił utrzymujący się uporczywie żar jego ciała.

Nagle nad szczytem wzgórza znowu zaśpiewał ptak. Jego głos był słodki i ostry zarazem, jak róża na ciernistym krzewie.

Niebo zaczęło rozjaśniać prawdziwe światło, mlecznobiały świt, który nie był złudzeniem.

Weszła w las. Siły opuszczały ją, a za to zaczęły ogarniać jakieś szaleńcze, obsesyjne myśli.

Zza wzgórza wstało słońce budzące do życia okoliczne szczyty. Nad czerwieniejącym meteorom ciągnął się długi zielony pas wzgórza nakrapiany fiołkami i złocistymi główkami mleczy. Pośród roślin ucztowały zające, w powietrzu zaś latało to w jedną, to w drugą stronę zbite stadko ptaków, jak gdyby zerkając z góry na kwitnącą wyspę zagubioną pośród bezkresnego oceanu.

Oczy napełniły się jej łzami. Zakryła twarz dłońmi i zapłakała.

Znowu zaśpiewał dla niej ptak. Był to drozd, który przysiadł na odłamanej czarnej gałęzi. Dalej, tam gdzie ciągnęła się aleja powalonych drzew, coś błyszczało podobnie jak główki mleczy.

Poszła w tym kierunku i zobaczyła koło ułożone ze złotych monet. Był to skarb, o jakim marzył Jason Wheelwright, pieniądze rozrzucone na drodze, jak spełnienie snów biedaka. Zdawało się jednak, że tutaj stanowią jakiś znak. W środku koła stała wbita w śnieg czarna drzazga.

Jej wystający koniec był wypolerowany. Nie przypominała niczego, co kiedykolwiek można było spotkać na ziemi, prócz potężnego cielska wbitego we wzgórze. Trudno było nie zauważyć, że była to drzazga odłupana od macierzystego meteoru, następnie wypolerowana i wbita ostrym końcem w wyziębioną ziemię.

Wydrapano na niej jakieś słowo, a litery pokryto białym nalotem. „Terumah”.

Laura pochyliła się i wyciągnęła drzazgę ze śniegu. Przyjrzała się dokładnie wyrytym literom. Co to znaczy?

Drugi koniec był ostry. Długi i cienki niczym ząb.

Drozd odleciał w stronę zielonego wzgórza.

Laura wytarła oczy i odwróciła się. Trzymając w dłoni odłamek meteoru, popatrzyła na drogę prowadzącą z powrotem do domu.

3.

Balon, powietrzny statek, przez wiele mil płynął nad ziemią pokrytą śniegiem i lodem. Sam lśnił jak zimowy świat - srebrzystobiały, wypełniony gazem melon, którego sens istnienia poza zwykłym byciem zdradzał jedynie zawieszony poniżej okrągły kosz. Srebrnymi literami wypisano na nim nazwę powietrznego statku: „Księżna Palmarii”. Balon zdawał się dryfować swobodnie, zmierzał jednak do celu, do którego powoli prowadził go mężczyzna w koszu. Jego uwagę pochłaniała głównie nawigacja, w przerwach jednak spoglądał ciekawie na ziemię. Cóż za zima! Krajobraz aż po horyzont spowity w bieli, rzeki skute lodem. Od czasu do czasu spoglądało ku niebu ołowiane, martwe oko stawu albo ciemne, parujące garby wioski odpoczywające pod śnieżną pokrywą. Nagle poderwało się stado czarnych gawronów. Ptaki okrążyły balon pokrzykując na siebie, ale odstraszył je gorący oddech „Księżnej”.

Baloniarz nie przypominał swojego pojazdu. Miał mięsistą, czerstwą twarz, przeciętą grubą liną wąsów, ubrany był w płaszcz i czapkę. Nie rozkoszował się swą przejażdżką niczym marzyciel. Otrzymał już pewną kwotę, a miało mu skapnąć jeszcze więcej. Tego lata zabawiał ludzi na jarmarkach. Do balonu przymocowano na szelkach konia i gdy powietrzny okręt podrywał się, mężczyzna siedząc na oklep kołysał się na rumaku w powietrzu niczym książę z Baśni Tysiąca i Jednej Nocy. Ale koń nierzadko przestraszony oddawał kał na głowy gapiów. Gdy zrobiło się zimno, mężczyzna otrzymał propozycję tej nowej pracy, prostej i przynoszącej godziwy zarobek, a jeśli nawet dziwacznej, to nie bardziej niż unoszenie się w powietrzu na grzbiecie konia.

Spojrzenie na mapę potwierdziło, że zbliża się do celu. Zaczął przygotowywać się do lądowania. Pasma wzgórz zbiegało w dolinę, a tam w dole znajdowała się z pewnością wspaniała posiadłość, jak mu to opisano, zdobna w wieżyczki, iglice, balkony, teraz pokryte warstwą lodu. Ma posadzić balon na trawniku nad czarną taflą jeziora. Może nie było to proste zadanie dla kogoś, kto nie wiedział nic o „Księżnej”, ale on znał ją dobrze, a przy dniu tak bezwietrznym lądowanie nie mogło nastęczać większych trudności.

Naprowadził balon ponad kępy krzew, po czym spuścił kotwicę.

Płaszczyna ziemi rozkwitła, nabierając dodatkowego wymiaru. Za nią łagodnie wznosiły się wzgórza. Kotwica zadrapała politurę zlodowaciałego jeziora.

Balon spoczął na śniegu jak barwne pióro.

Mężczyzna zaczął krzątać się przy piecu i klinach. Nie spuścił z balonu powietrza, gdyż tego dnia ludzie mieli jeszcze zachwycać się „Księżną”. Gdy jednak ponownie spojrzął na rezydencję bogacza, ogarnął go lekki niepokój. Pan Worth zarzekał się, że na jego powitanie wyjdą na dziedziniec wszyscy domownicy, przed domem zaś nie było żywej duszy.

W tej samej chwili jedno z okien otworzyło się, po czym na taras wyszła kobieta w sukni tak czarnej jak skrzydła gawronów.

„Ktoś umarł”. Uderzyła go ponura myśl. Spuścił krótką srebrną drabinkę i wysiadł z „Księżnej”, żeby dowiedzieć się, co się stało.

Droga po zaśnieżonym trawniku nie była przyjemna. Kiedy dotarł do pionowej ściany tarasu, zaczął z trudem posuwać się wzdłuż niej, aż zbliżył się do schodów, wyglądających jak jeden kawałek lodu. Podniósł głowę.

Na tarasie stała przepiękna kobieta w eleganckiej, żałobnej sukni, z rudymi włosami rozpuszczonymi jak u małej dziewczynki. U jej boku stał pies. Nie, nie, to było jagnię, prawie już dorosła owca. Sierść zwierzęcia była wyszczotkowana i wyglądała jak delikatna tkanina. Na szyi miało kołnierzyk z połyskujących zielonych kamieni.

- Dzień dobry, pani. Mógłbym zapytać o pana Wortha?

Kobieta spojrzała na niego. Jej oczy były czarniejsze niż jej szaty.

- Czy on tu pana zaprosił? - zapytała.

- W rzeczy samej. Miało być widowisko, żeby sprawić radość jego żonie.

- To ja - powiedziała - ja jestem jego żoną. - Jej powieki zadrżały. - Wdową po nim. „A więc tak, jak myślałem”.

- Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. To straszne. Był jeszcze taki młody.

- I taki miły i dobry - dodała. Jej czarne oczy były suche. Bez wątplenia były bardziej płomienne niż jej włosy. Popatrzył na nią skrępowany. - Nie może pan tutaj zostać - powiedziała.

- No, cóż, pani Worth. Co mam powiedzieć? Zostałem narażony na pewne kłopoty, by spełnić prośbę pani męża. Spodziewałem się... rekompensaty.

- Przykro mi - odparła kobieta.

Czyżby zwariowała? Była taka piękna i dzika, gęste, rude włosy opadały jej na plecy, wąska talia ściągnięta była gorsetem. W miejskim teatrze widział niegdyś aktorkę, która wyglądała tak samo, kiedy szła zamordować swojego wroga.

- Zauważyła pani balon? To „Księżna Palmarii”. Przeprowadziłem ją tutaj na prośbę pana Wortha. I na własny koszt.

- Ach, tak? - Kobieta patrzyła na niego z góry. Patrzyło także jagnię.

- Przykro mi, że zakłócam pani spokój w tak trudnym czasie - powiedział.

- Chce pan pieniędzy? - zapytała.

- Jestem zmuszony przyznać, że tak. Sama podróż, rozumie pani.

Oczy kobiety powędrowały w kierunku balonu. Białosrebrzysty spoczywał na zaśnieżonym trawniku. Niebiański i użyteczny, przywidzenie, które zaczęło służyć człowiekowi. Łza, która zamiast spadać w dół, pięła się ku górze.

- Niech pan wejdzie na taras - powiedziała kobieta. Ślizgając się, łapiąc kurczowo za kamienną poręcz, baloniarz wdrapał się z trudem na schody, po czym potknął się i padł na kolana przed jagnięciem. Zwierzę odsunęło się nieco.

- Proszę za mną - powiedziała kobieta, po czym zwróciła się w kierunku domu.

Weszli do łagodnego, zakurzonego saloniku. Kobieta spódnicą wmiotła do pokoju trochę śniegu, on naniósł go na swych wysokich butach. Najwyraźniej nikt nie zwracał na to uwagi.

Poprowadziła go do przestronnego hallu, gdzie ogień nie palił się na kominku. W domu było równie zimno jak na zewnątrz. Nie pojawił się nikt ze służby. Owieczka dreptała u boku kobiety.

Nagle odniósł niejasne wrażenie, że kobieta zamurowała się w rezydencji i pragnęła zamarznąć na śmierć niczym jakaś dawna królowa po stracie męża. A on jej przeszkodził.

Przecięli hall. Poprowadziła go następnie korytarzem, po czym weszli do przedpokoju. Tam otworzyła na oścież drzwi do sali balowej. Pomieszczenie było również białe - od śniegu.

Baloniarz wybałuszzył oczy. Przed sobą miał scenę jakby z dramatu o księżniczce z krainy wiecznych śniegów. Podłogę zalegały łachy śniegu. Kandelabry zamieniły się w lodowe stalaktyty. Do sali prowadziły długie schody, zaprojektowane dla wchodzących gości. Skomplikowany mechanizm zegara zamarł.

Mężczyzna nie odezwał się. Nie zdradzał się.

Rudowłosa stanęła przy drzwiach sąsiedniej komnaty. Ze spokojem podniosła bladą, idealnie piękną twarz.

- W tym domu - odezwała się - mieszka pewien szaleniec. Przy pełni księżyca, a akurat mamy pełnię, wstępuje w niego niespotykana, zwierzęca siła. W ciągu dnia śpi. Śpi teraz aż do chwili, kiedy wzejdzie księżyc. Ten szaleniec zabił mojego męża. Niech pan sam zobaczy.

Kobieta weszła do wytwornego salonu. Baloniarz ruszył za nią z niesmakiem.

Sięgające posadzki okna stały otworem. To tędy dostawał się do wnętrza śnieg. Dywan zalegały białe wysepki.

Na stole spoczęła pokrywa szronu. Był nakryty jak na przyjęcie gości - stała tam wspaniała porcelana i srebra, puchary i świece. W wazonach tłoczyły się pomarszczone, szerniałe róże.

Świece wypaliły się. Niektóre spadły i stopiły się obok lichtarzy. Kilka talerzy zostało stłuczonych.

Story były oblane frędzlami z lodu. Za oknami krzyczała biel. Mężczyzna spodziewał się ujrzeć barwnie ubranych ludzi, przypuszczał, że dostanie grzanego wina z korzeniami, że usiądzie przy trzaskającym ogniu. Ten mroźny dzień, jakby ciągle mu było mało, stawał się jeszcze bardziej męczący.

- Proszę spojrzeć - powiedziała kobieta.

- Na co mam spojrzeć, proszę pani? Nie odpowiedziała.

Baloniarz, pan podniebnego rydwanu, wszedł do oszronionej, śnieżnej komnaty. Niechętnie obrócił głowę.

Dostrzegł na ścianie grudkę matowego, czerwonego szkła. Dziwne. Rozejrzał się i zobaczył więcej. Coś rozprysnęło się i zamarzło. Krzesło było przewrócone.

Nie mógł uwierzyć w to, co miał przed oczami. Odruchowo podszedł bliżej, by przyjrzeć się dokładniej. Po chwili zrozumiał, że dobrze widzi. Na podłodze leżały zamrożone zwłoki. To nie wszystko. Ciało zostało rozprute, wnętrzności walały się na zewnątrz okręcone wokół mebli. Lodowaty chłód złączył rzeczy jasne i ciemne, flaki i żelazo. Kiedyś na polu bitwy widział podobny obrazek. Wtedy był młodszy i bardziej twardy.

Przy kominku leżała ludzka głowa. Twarz była napuchnięta, skurczona i bezkształtna. Otwarte oczy wyglądały jak duże, błyszczące cukierki. Usta zastygły w uśmiechu, ale widział to już wówczas, na tamtej scenie śmierci. Nic nie można było powiedzieć o tej rozszarpanej istocie, prócz tego, że był to młody mężczyzna. Poza tym bogaty, gdyż pod zlodowaciałą koronką krwi widać było sztywny surdut.

Baloniarz odwrócił się i spojrzął na stojącą w drzwiach kobietę.

Stała nieporuszona. Postać z czerni, radości i bieli.

Mężczyzna wyprostował się. Przyszła mu do głowy makabryczna myśl, że wygląda śmiesznie w tej scenie.

- Czy to... czy to jest pani mąż?

- Tak. To, co zrobił z nim szaleniec.

- Mówi pani, że on śpi?

- Tak, teraz śpi. Ale musi pan odejść stąd jak najszybciej.

- I sprowadzić pomoc?

- Jak pan chce.

- Ale pani...

- Jak pan widzi, nie skrzywdził mnie. - Tak, widział to rzeczywiście. - Ale pana zabije. -

Sparaliżowała go nagła fala przerażenia. Znowu poruszył się odruchowo, tym razem w kierunku otwartych okien.

Z podłogi, pomiędzy wysepek śniegu, dobiegł go głuchy śmiech. Dalej stała nieporuszona kobieta, a przy jej sukni dziwaczne jagnię.

- Musi się pan pospieszyć - powiedziała.

- Widziałem z góry, że drogi są nieprzetarte. Przygotowanie balonu do startu zajmie trochę czasu. Rozumie pani, w piecu trzeba rozpalić odpowiednio duży ogień, żeby uzyskać wystarczającą ilość ciepła, a stąd ciśnienie...

- Proszę nie zwlekać - powtórzyła stanowczo.

Nawet do głowy mu nie przyszło, żeby wspominać jeszcze raz o pieniądzach, nie zatęsknił też do wyrazów gościnności. Był już przy oknie. Jedną nogą zagłębił się w białym, lotnym piasku. Z gardła wyrwał mu się krzyk. Zrozumiał, że opuściła go wszelka odwaga, jego, który niegdyś szybował konno w powietrzu.

- Dolecę do najbliższej wsi - powiedział. - Zrobię, co się da. Zależy jak „Księżna” będzie żeglować. Sterowanie takim pojazdem... - Był już na zewnątrz. Ukłuły go szpileczki mrozu i



wtedy przypomniał sobie ogień buchający w piecu pod drżącymi klinami, ogień - duszę balonu. - Powinna pani lecieć ze mną, pani Worth.

Kobieta spojrzała na niego. Z ulgą przyjął jej odmowę.

Gdy w drodze powrotnej okrążał przerażającą, malowniczą rezydencję, mamrotał i potrząsał głową. Myśli kotłowały się pod jego czaszką jak oszalałe, starał się nadać im jakiś ład. To, co mówiła, to czyste szaleństwo. Może sama zabiła męża? Zdawała się zdolna do takiego czynu. Ale ta siła...

Chciał biec, ale pewnie upadłby i skręcił kostkę. Krew wrzała mu z niecierpliwości, by skryć się jak najprędzej między drzewami, a potem popędzić ku wzgórzom. Ale miał wrażenie, że to i tak na nic, że szalenciec dopadnie go niczym baśniowy olbrzym. „A! kuku! zaraz cię zjem”.

Czy zza ślepych szyb obserwowały go czyjeś oczy?

Musi dostać się do „Księżnej”. Ta wielka dama nie zawiedzie go. Wrzuci do pieca koks, rozwinie kliny, ciśnie na ziemię balast, odetnie kotwicę - nieważne, dokąd poszybuje „Księżna”, byle jak najdalej od tego miejsca. „Nie panikuj. Bądź mężczyzną”. Puścił się jednak biegiem okrążając ściany, zza których śledziły go oczy, i zmierzając w stronę jeziora.

Na tle kredowego nieba wzbil się czarny, padlinożerny kruk. W dziobie trzymał zwój papieru.

- Nie zwlekaj - powiedział Surim Bey. - Wyjedź dokądkolwiek. - Miał na sobie gładkie, domowe szaty, a na palcach lśniące pierścienie. - Żył pewien sułtan, który karmił ptaki uczonymi księgami, aby stały się mądre.

W sadzawce u jego stóp błysnęły monety. Przepłynął cień padlinożernego ptaka. Kruk upuścił zwój, który, gdy tylko uderzył o ziemię, zamienił się w żółtą zasłonę.

- Zabij mnie - powiedziała Marjannah.

- Nie, nic ci nie zrobię. Jesteś bezpieczna.

Na ścianie dostrzegł zielononiebieski gobelin - jednorożec i panny. Leżał pod baldachimem, na łożu Laury. Z pościeli nie wywietrzała jeszcze kremowy, rdzawy zapach jej ciała.

Przypomniał sobie, jak matka uczyła go modlitwy. Po chwili jej obraz rozmył się i Daniel usiadł.

Za oknem zapadał fioletoworóżowy, zimowy zmierzch. Już wkrótce przyjdzie czas.

Zdawało mu się, jakby sam jego umysł pytał: „Czy mam teraz myśleć?” Cicho wyraził zgodę. Myślenie nie było konieczne i to już od dłuższego czasu. Jak nieistotne stało się wszystko dookoła. Prawdziwie żył w ciągu trzech nocy każdego miesiąca. Niczego nie pamiętał, ale podobnie jak Surim Bey łaknął narkotyków i seksu, tak Daniel pożądliwie wyglądał swego prawdziwego życia, które wskrzeszał w nim księżyc w pełni.

Myślał teraz o tym spokojnie. Zdumiony przeszedł do wcześniejszych wydarzeń. Czy ten dom należy teraz do niego? Tak, ponieważ zabił tamtego. Dom i tamten mężczyzna pozostawali niematerialni. Za to Laura była jego namiętnością, cielesną żądzą, podczas gdy księżyc wyzwał pragnienia jego duszy. Stawała się bodźcem do innego życia, bez mordu i zniszczeń. Laura, która wrzuciła brylant do jeziora. Czy wiosną spróbuje go wyłowić? Na jaką przynętę?

Znowu położył się na łóżku. Był jak zwykle ociężały, a jego rozpalone gorączką i obolałe ciało szykowało się do skoku, rozrostu, przenicowania, uwolnienia ze swego wnętrza nowej istoty.

Bieg myśli nie przykuwał uwagi. Za dużo miał na swoim koncie.

W chwili, gdy zamknął oczy, drzwi otworzyły się. Swym zwierzęcym słuchem rozpoznał, że to do pokoju weszło jagnię. Potem zaszeleściły spódnice Laury.

Leniwie podniósł powieki i spojrzał na kobietę. Podeszła i usiadła na skraju łóżka, sadzając sobie na kolanach jagnię. Zaczęła rozpinąć suknię. Zsunęła z ramion czarną tkaninę, po czym zdjęła gorset. Jej piersi bielsze niż jedwabne wstążki, zajaśniały niby dwa księżycy, jak delikatne paki róż. Poglądziła czule główkę jagnięcia. Podała mu sutek i zwierzę zaczęło ssać jak niemowlę.

- Nigdy nie będę miała dziecka - powiedziała.

Daniel nie odrywał od niej wzroku. Wyciągnął rękę, by palcami obrysować drugą pierś kobiety.

- Cóż to byłoby za dziecko - odparł - gdybyś mogła je urodzić. Laura ostrożnie odstawiła jagnię od piersi i postawiła je na podłodze. Zwierzę podreptało do kominka, pochyliło głowę i zaczęło skubać dywan.

Laura zwróciła się do Daniela. Opadła na jego ciało i położyła się na nim. Patrzyła mu w oczy.

- Przez cały czas, kiedy spałeś - odezwała się - to leżało pod prześcieradłem. Myślałam, że to znajdziesz. Ale nie. Przejrzałam księgi Hyperiona i znalazłam to słowo. Już wiem, co znaczy. „To, co zostało wskrzeszone. Ofiara”. - Przesunęła dłoń wokół jego głowy i zagłębiła ją między poduszki. Wyciągnęła coś równie czarnego jak kruk.

Daniel patrzył na nią. Wyprostowała się i usiadła. Nagle trzymając odłamek czerni w złożonych dłoniach, uniosła go nad głowę.

„Zabij mnie”, powiedziała Marjannah.

Ręce Laury, jej cały tułów, gwałtownie opadły. Daniel poczuł uderzenie o pierś jakby huk potężnego gongu.

Ów stały ruch w jego wnętrzu zamarł.

Zdumiony otworzył oczy. Spływała po nim parząca ciecz. W jego ciele wytrysnęło źródło, paralizując mu członki. Nie mógł mówić. Ale przed oczyma zamajaczyło mu wspomnienie innego ciosu, kuli, która utkwiała w jego sercu, przemiany przy pełni księżyca i ozdrowienia. Śmierć nie istniała.

- Powiedział mi... - odezwała się Laura, klękając nad nim. Jej puste ręce zwisały bezwładnie - ...że nic nie może cię zranić. Nic, co pochodzi z ziemi.

Jak czarna kość wystawała z jego piersi drzazga meteoru, odłamek strąconej gwiazdy.

Laura zsunęła się z łóżka. Przecięła sypialnię. Ogień oświetlał ją jak barwny posąg.

- Ty się zmienisz - powiedziała - ale to nie. Pozostanie w tobie, będzie w tobie tkwiło. I w istocie, którą się staniesz. To cię zabije. Zabije bestię. Po to zostało stworzone.

Coś dziwnego pojawiło się nagle w jego wzroku. Laura widziała to nawet z drugiego końca pokoju. Nie było na to nazwy. Oczy zamknęły się.

Szybko wyszła z pokoju, a z nią podreptało jagnię. Weszła do gabinetu Hyperiona, gdzie już wcześniej rozpałała na kominku. Na blacie biurka walały się książki. Tutaj znalazła rysunek przedstawiający balon na gorące powietrze. Nie czuła strachu. Nie bała się bestii. Strach był poza nią, podobnie jak wszystko inne. Wzięła jagnię na kolana i zaczęła kołysać je w blasku ognia.

Gdy kobieta i zwierzę trwali tak, za oknem pociemniało.

Kiedy wstał księżyc, Laura usłyszała, jak coś przechodzi koło drzwi, powłócząc nogami. Usłyszała chrobot pazurów. A może tylko się jej zdawało.

- Cicho, cicho - powiedziała do jagnięcia. - Śpij, kochanie.

Baloniarz zdążył już przygotować swój powietrzny statek do lotu. Piec buchał i dygotał, rzucając ostry blask w górę i na boki, na pokłady śniegu. Mężczyzna cisnął balast na ziemię, odciął kotwicę. Teraz pozostawało już tylko zaczekać, aż balon uniesie się w powietrze, lecz „Księżna” wcale nie spieszyła się, kapryśna jak prawdziwa arystokratka. Zdawało się, że

jeszcze tylko raz odetchnie gorącym powietrzem. Mężczyzna podszedł do balonu i wszedł do kosza. Nagle jego strach przybrał na sile, paraliżując go.

W tej samej chwili od strony zasypanego śniegiem niesamowitego domu coś zaczęło się zbliżać.

Było czarne i niskie. Cień, który nabrał realnych kształtów. Pies. Ogromny pies.

Na dachu rezydencji pojawił się księżyc. Śnieg zabłysnął. Ogromne, czarne zwierzę zbliżało się do balonu, pokonując oświetloną białą przestrzeń. Zostawiało za sobą ścieżkę, jakby czarny jedwabny szal.

Na Boga, co to takiego? Stworzenie jakby czołgało się. Biła z niego ogromna, przeraźliwa siła... i nagle mężczyzna przypomniał sobie to, co widział na podłodze salonu. Nie wiedzieć dlaczego był pewien, że ta pelzająca, przypominająca psa istota nie powinna się do niego zbliżyć. W tej samej chwili ogarnęła go, tak jak poprzednio, nagła pokusa, żeby puścić się biegiem przed siebie, tym razem jednak nie mógł opierać się już dłużej. Wskoczył z kosza i zarył się w śnieg, po czym wygramolił się, odwrócił i zaczął oddalać się niepewnym krokiem, w milczeniu, w niemym strachu przed nocą i sennym koszmarem.

Bestia szła dalej ślaniając się na nogach. Nie przypominała już puszczonej w ruch maszyny, przestała działać. Groteskowa głowa opadła, pysk zarył się w śniegu. Ślepią przypominały guziki. Jedynie księżyc pchał ją jeszcze do przodu. Zostawiała za sobą rzekę krwi, lejącej się z miejsca, gdzie w jej trzewiach tkwiła drzazga.

Po dłuższej chwili dotarła do połyskującego balonu. Rozejrzała się niewidzącymi oczami. Po chwili położyła wstrętne łapy na obramowaniu kosza, po czym podciągnęła się, przerzuciła swe cielsko i wpadła do środka.

„Księżna Palmarii” zadrżała. I po raz ostatni odetchnęła gorącym powietrzem.

Jak leciutka bańka mydlana wzbija się w powietrze ku ogromnemu niebu.

Trwała między niebem a ziemią skąpana w świetle księżyca. Wisiała na nieboskłonie jak wspaniałe srebrne ziarno, jednak owocem tego drzewa pozostawał księżyc. A potwór w brzuchu „Księżnej” kołysał się wsparty o ściany kosza. Podniósł łeb, żeby patrzeć, patrzeć. Nigdy nie był tak blisko. Nigdy. Spłynęło na niego światło rządzące nocą, światło mniejszej z dwóch lamp panujących nad światem. Balon żeglował, a bestia unosiła łeb. Ostrze tkwiło głęboko w jej ciemnym cielsku, pożerając ją żywcem, uśmiercając ją i tego, kim była jako człowiek. Utkwiwszy w gorze nieruchome spojrzenie bezdennych ślepi, pozwalała się unosić coraz wyżej i wyżej, by zagubić się w świetle księżyca.